

Chitra Banerjee Divakaruni urodziła się w Indiach, mieszka w San Francisco. Poza pracą literacką działa w organizacji MAITRI, pomagającej maltretowanym kobietom, imigrantkom z Azji Południowo-Wschodniej.

Debiutowała jako poetka, opublikowała cztery zbiory wierszy. Otrzymała za nie kilka nagród, m.in. Pushcart Prize i Allen Ginsberg Poetry Award. Wydany w 1995 roku zbiór jej opowiadań *Arranged Marriage* został nagrodzony PEN Oakland Josephine Miles Prize for Fiction, Bay Area Book Reviewers Award for Fiction oraz American Book Award, przyznaną przez fundację Before Columbus. *Mistrzynie Przypraw* to jej pierwsza powieść. Następna, *Sister of My Heart*, wydała w 1999 roku (tłumaczenie w przygotowaniu). Obie stały się bestsellerami. W 2001 roku ukazał się kolejny zbiór opowiadań Chitry Banerjee Divakaruni, *The Unknown Errors of Our Lives*.

Mistrzynie Przypraw to wspaniała opowieść o Hindusce Tilo, która ma moc dawania ludziom — wraz z przyprawami — tego, czego pragną najbardziej. Książka łączy narrację realistycznie magiczną, poetycki styl i reporterską relację z życia hinduskich emigrantów w Ameryce. Jej niezaprzeczalne walory to interesujący wątek miłosny, wartka akcja, egzotyczna sceneria, a nade wszystko — niezwykle tajemniczy nastrój.

Chitra Banerjee Divakaruni

MISTRZYNI PRZYPRAW

Tłumaczyła Klaudia Michalak-Palarz



ZYSK I S-KA
WYDAWNICTWO

Tytuł oryginału[^]
THE MISTRESS OF SPICES

Copyright © 1997 by Chitra Banerjee DWakaruni
All rights reserved
Copyright © 2001 for the Polish translation by Zysk i S-ka Wydawnictwo s.c,
Poznań

opracowanie graficzne serii i projekt okładki
Lucyna Talejko-Kwiatkowska

Fotografia na okładce
Piotr Chojnacki

Grafika w tekście^{>1}

Dariusz Jasiczak Redaktor

Hanna Koźmińska

Wszystkie postaci Redaktor serii występujące w tej książce
są fikcyjne Tadeusz Zysk

i jakiegokolwiek podobieństwo do prawdziwych osób, żyjących czy zmarłych,
jest zupełnie przypadkowe.

71 Wydanie I

ISBN 83-7150-872-7

Zysk i S-ka Wydawnictwo
ul. Wielka 10,61-774 Poznań
tel. (0-61) 853 27 51, 853 27 67, fax 852 63 26
Dział handlowy, ul. Zgoda 54,60-122 Poznań
tel. (0-61) 864 14 03, 864 14 04
e-mail: sklep@zysk.com.pl
nasza strona: www.zysk.com.pl

Druk i oprawa Opolgraf S.A.

*Dla moich trzech mężczyzn:
Murthy'ego, Ananda, Abhaya.*

Mistrzem przypraw jest każdy z nich.

Proszę, aby podziękowania zechciały przyjąć następujące osoby i instytucje, które pomogły mi zrealizować marzenie o tej książce:

Sandra Djikstra, moja agentka, która wierzyła we mnie od pierwszego opowiadania.

Martha Levin, mój wydawca, za wizję, przenikliwość i zachętę.

Vikram Chandra, Shobha Menon Hiatt, Tom Jenks, Elaine Kim, Morton Marcus, Jim Quinn, Gerald Rosen, Roshni Rustomji-Kerns i C.J. Wallia za ich bardzo istotne komentarze i sugestie.

Rada Artystyczna Hrabstwa Santa Clara i zarząd Konkursu Twórczego Pisania C.Y. Lee za wsparcie finansowe.

Foothill College za ofiarowanie mi, dzięki urlopowi, daru czasu.

Moja rodzina — zwłaszcza moja matka, Tatini Banerjee, oraz moja teściowa, Sita Shastri Divakaruni — za błogosławieństwo.

I Gurumayi Chidvilasananda, której światło rozświetla moje życie, każdą stronę i każde słowo.

*Ostrzeżenie dla czytelników:
Przyprawy opisane w tej książce
powinny być podawane
tylko
pod nadzorem
dyplomowanej
Mistrzyni.*



Jestem Mistrzynią Przypraw.

Umiem się też posługiwać innymi. Mineralami, metalem, ziemią i piaskiem, i kamieniem. Szlachetnymi kamieniami z ich zimnym czystym światłem. Cieczami, które wypalają swe barwy w twoich oczach, aż nie widzisz już niczego innego. Ich wszystkich nauczyłam się na wyspie.

Ale przyprawy są moją miłością.

Znam ich pochodzenie i zapach, wiem, co oznaczają ich kolory. Potrafię nazwać każdą prawdziwym imieniem, nadanym na początku, gdy ziemia pękła jak skóra i podała ją niebu. Ich żar płynie w mojej krwi. Od *amchuru* do *zafranu*, wszystkie naginają się do moich rozkazów. Wystarczy szept, by oddały mi swe ukryte właściwości, swoją magię.

Tak, one wszystkie kryją magię, nawet te zwykle amerykańskie przyprawy, które bez zastanowienia wrzucasz do garnka.

Wątpisz? Ach. Zapomniałaś starych sekretów, które znała matka twojej matki. Oto jeden z nich: laska wanilii, moczona do miękkości w kozim mleku i potarta o przegub, może ochronić przed złym okiem. I jeszcze jeden: miarka pieprzu w nogach łóżka, ułożona w półksiężyc, leczy z koszmarów.

Ale przyprawy o prawdziwej potędze pochodzą z mojej ziemi, z kraju płomiennej poezji, akwamarynowych piór. Nieba o zachodzie jaskrawego jak krew.

To nimi się posługuję.

Jeśli staniecie w środku tego pokoju i powoli będziecie się obracać dookoła, zobaczycie wszystkie indyjskie przyprawy, ja-

kie kiedykolwiek istniały — nawet te zaginione — zebrane tutaj, na półkach mojego sklepu.

Myślę, że nie przesadzam, kiedy mówię, że nie ma na świecie drugiego takiego miejsca.

Sklep jest tu dopiero od roku. Ale już ludzie patrzą na niego i myślą, że był tutaj zawsze.

Potrafię zrozumieć dlaczego. Zakręć na wygiętym rogu Esperanzy, gdzie autobusy miejskie Oakland syczą przed przystankiem, a zobaczysz go. Idealnie pasuje tu między wąskimi, okratowanymi drzwiami Pensjonatu Róży, ciągle jeszcze czarnymi od pożaru przed rokiem, a Naprawą Maszyn do Szycia i Odkurzaczy Lee Yinga, ze szkłem pękniętym między dwoma pierwszymi literami. Okno ze smugami brudu. Pokrzywione litery, które głoszą BAZAR PRZYPRAW, spłowiałe na brąz zeschłego błota. W środku, ze ścian z żyłkami pajęczyn zwisają odbarwione obrazki bogów o smutnych, cienistych oczach. Metalowe puszki, z których dawno znikł blask, wyładowane *attą* i ryżem basmati, i *masoor dalem*. Rząd za rzędem kaset wideo, aż do czarno-białych czasów. Zwoje materiałów zabarwionych na starodawne kolory: noworoczny żółty, zieleń pól, czerwień na szczęście panny młodej.

A w kątach pragnienia zebrane wśród kłębków kurzu, wydychane przez tych, którzy tu weszli. Ze wszystkich rzeczy w moim sklepie to one są najstarsze. Bo nawet tu, na tej nowej ziemi Ameryki, w mieście dumnym z tego, że nie jest starsze od uderzenia serca, chcemy tych samych rzeczy, znowu i znowu.

Powodem takiego myślenia jestem i ja. Ja też wyglądam, jakbym tu była zawsze. To widzą klienci, gdy wchodzi, schylając się pod liśćmi mango zielonymi jak plastik, powieszonymi nad drzwiami na szczęście — zgięta kobieta o skórze koloru starego piasku, za szklaną ladą, na której stoją *mithai*, słodycze

z ich dzieciństwa. Z kuchni ich matek. Szmaragdowozielone *burfi*, *rasogollahy* białe jak świt i zrobione z soczewicowej mąki *laddu* jak ziarna złota. Wydaje się właściwe, bym tu była od zawsze, bym bez słów rozumiała ich tęsknotę za rzeczami, które zostawili poza sobą, gdy wybrali Amerykę. Ich wstyd za tę tęsknotę, jak gorzkawy posmak w ustach, gdy się żuło *amlaki* dla odświeżenia oddechu.

Oczywiście nie wiedzą, że nie jestem stara, że to pozorne ciało, które przybrałam w ogniu Shampati, gdy składałam przysięgę, bym została Mistrzynią, nie jest moje. Nie mam więcej praw do jego pomarszczenia i sterania niż woda do zmarszczek, które wyginają jej powierzchnię. Oni pod tymi ciężkimi powiekami nie widzą oczu, które lśnią przez chwilę — nie potrzebuję zwierciadła (bo zwierciadła są wzbronione Mistrzynom), by mi o tym powiedziało — jak ciemny ogień. Oczu, które jedyne są moje.

Nie. Jeszcze coś jest moje. Moje imię, które brzmi Tilo, skrót od Tilottama, bo zostałam nazwana po wypolerowanym słońcem ziarnie sezamu, pożywnej przyprawie. Oni, moi klienci, nie wiedzą o tym, nie wiedzą też, że wcześniej miałam inne imiona.

Czasem przepelnia mnie ciężar, jezioro czarnego lodu, gdy myślę, że w całym tym ogromnym kraju ani jeden człowiek nie wie, kim jestem.

Potem mówię sobie, nieważne. Tak jest lepiej.

„Pamiętajcie, nie jesteście ważne” — mówiła Najstarsza, Pierwsza Matka, gdy nas kształciła na wyspie. „Żadna Mistrzyni nie jest. To, co ważne, to sklep. I przyprawy”.

Sklep. Nawet dla tych, którzy nic nie wiedzą o wewnętrznym pokoju z jego uświęconymi, tajemnymi szufladami, ten sklep jest wycieczką do krainy możliwości. Dogadzaniem sobie niebezpiecznym dla brązowego ludu, który przybył skądinąd, któremu prawdziwi Amerykanie mogą stawiać pytanie: „Dlaczego?”

Ach, jak pociągające jest to zagrożenie.

Kochają mnie, bo czują, że to rozumiem. Trochę mnie też za to nienawidzą.

I jeszcze pytania, które ja zadaję. Pulchnej kobiecie, ubranej w poliestrowe spodnie i tunikę z Safewaya, włosy zwinięte w ciasny kok, gdy się schyla nad wzgórkim zielonych chilli i dokładnie przeszukuje:

— Czy pani mąż już znalazł inną pracę po tym zwolnieniu?

Młodej kobiecie z dzieckiem na biodrze, która pospiesznie bierze trochę mielonego *dhania jeera*:

— To krwawienie, czy wciąż jest tak źle? Czy chce pani coś na to?

Widzę, jak prąd elektryczny przechodzi przez ciało każdego z nich, tak samo za każdym razem. Prawie bym się roześmiała, gdyby mnie tak nie poruszało, że to takie żałosne. Każda twarz obracająca się gwałtownie, jakbym położyła rękę na delikatnym owalu szczęki i kości policzkowej i odwróciła ją do siebie. Choć oczywiście tego nie zrobiłam. Nam, Mistrzynom, nie wolno dotykać tych, którzy do nas przychodzą. Naruszać delikatnego punktu ciężkości między dawaniem i otrzymywaniem, na którym chwiejnie opiera się nasze życie.

Przez moment przytrzymuję ich spojrzenia, a powietrze, które nas otacza, staje się spokojne i ciężkie. Parę sztuk chilli pada na podłogę, wyglądają jak ciężki zielony deszcz. Dziecko wykręca się nagle w zaciśniętym uścisku matki, piszcząc.

Ich spojrzenia spłoszone strachem i chęcią.

Czarownica, mówią ich oczy. Pod ich opuszczonymi powiekami przesuwiają się opowieści szeptane wokół nocnych ognisk w rodzinnych wioskach.

— To wszystko na dziś — mówi do mnie kobieta, wycierając ręce o grube poliestrowe uda i przesuwając w moją stronę paczkę chilli.

— Ciii, kochanie, mała *rani* — nuci druga, bardzo zajęta splątanymi lokami dziecka, póki nie podliczę jej zakupów.

Odwracają ostrożne twarze, wychodząc.

Ale później wrócą. Po zmroku. Zapukają do zamkniętych drzwi sklepu, który pachnie ich pragnieniami, i poproszą.

Zabiorę je do pokoju na zapleczu, tego bez okien, gdzie trzymam najczystsze przyprawy, te, które zebrałam na wyspie na chwilę specjalnej potrzeby. Zapalę świecę, którą mam na podorędziu, i poszukam w zabrudzonym sadzą półcieniu korzenia lotosu i sproszkowanego *methi*, pasty z fenkułu i uprażonej na słońcu asafetydy. Zaintonuję hymn. Wydzielę im przyprawy. Pomodłę się, by odegnać smutek i cierpienie, jak uczyła Najstarsza. I dam ostrzeżenie.

To dlatego opuściłam wyspę, gdzie każdy dzień wciąż jest roztopionym cukrem i cynamonem, gdzie śpiewają ptaki o diamentowych gardłach, a cisza, gdy zapada, jest lekka jak górską mgłą.

Zostawiłam to dla tego sklepu, w którym zgromadziłam wszystko, co człowiekowi potrzebne jest do szczęścia.

Ale wcześniej niż sklep była wyspa, a przed wyspą — gdy się rodziłam — wioska.

Jak dawno to było, ta pora sucha, ten dzień, gdy żar spopielił ryżowe tarasy, a moja matka rzuciła się na porodowej macie, jęcząc o wodę.

Potem stalowoniebieski grom i poszarpana błyskawica, która rozłupała stary figowiec na wiejskim targowisku. Akuszerka wykrzyknęła, widząc żyłasty fioletowy czepek na mojej twarzy, a przepowiadacz przyszłości w ten wypełniony śmami wieczór smutno potrząsnął głową nad moim ojcem.

Nazwali mnie Nayan Tara, Gwiazda Oka, ale twarze moich rodziców były ciężkie od straconych nadziei, bo mieli następną córkę, i to w dodatku w kolorze mułu.

Zawińcie ją w starą szmatę i połóżcie twarzą w dół na podłodze. co ona przyniesie rodzinie oprócz długu na posag

Trzy dni zajęło wieśniakom gaszenie ognia na targowisku. Przez ten czas moja matka leżała w gorączce, krowy nie miały mleka, a ja wrzeszczałam, aż w końcu nakarmili mnie mlekiem białej oślicy.

Może dlatego słowa przyszły do mnie tak szybko.

I ten wzrok.

A może to była samotność, tęsknota gniewnie rosnąca w ciemnej dziewczynce, która wędrowała po wsi bez dozoru, bo nikt nie troszczył się dość mocno, by mówić jej „Nie”.

Wiedziałam, kto ukradł bawołu Banku woziwody i która służąca sypia ze swoim panem. Czułam, gdzie pod ziemią leży zakopane złoto i dlaczego córka tkacza od ostatniej pełni zaniemowała. Powiedziałam *zamindarowi*, jak może znaleźć zgubiony pierścień. Ostrzegłam wójta przed powodzią, zanim nadeszła.

Ja, Nayan Tara, której imię znaczy też Widząca Gwiazdy.

Moja sława rozszerzała się. Z sąsiednich miasteczek i jeszcze dalszych, z miast leżących za górami ludzie podróżowali, bym zmieniła ich los dotknięciem ręki. Przynosili mi dary, jakich dotąd nie widziano w naszej wsi, dary tak szczodre, że wieśniacy mówili o nich całymi dniami. Siedziałam na poduszkach przetykanych złotem i jadłam ze srebrnych talerzy nabijanych drogimi kamieniami. Dziwiłam się, jak łatwo było przyjąć zwyczaję potężnych i jak bardzo czułam się upoważniona do ich przyjęcia. Wyleczyłam córkę potentata, przepowiedziałam śmierć tyrana, rysowałam znaki na ziemi, by dobre wiatry wiały dla kupieckich statków. Dorośli mężczyźni drżeli i rzucali się do moich stóp, gdy na nich spoglądałam, i to także zdawało się łatwe i właściwe.

I w ten sposób stałam się dumna i krąbrna. Nosiłam muśliny tak delikatne, że można je było przeciągnąć przez ucho igielne. Cesałam włosy szylkretowymi grzebieniami, zrobionymi ze skorup wielkich żółwi z Andamanów. Długo i z podziwem spoglądałam w lustra oprawione w macicę perłową,

choć dobrze wiedziałam, że nie jestem piękna. Policzkowałam dziewczki służebne, gdy wolno spełniały moje rozkazy. W czasie posiłków jadłam najlepsze porcje, a resztki rzucałam na podłogę moim braciom i siostrze. Moja matka i ojciec nie ośmielili się wyrazić swego gniewu, bo bali się mojej mocy. Ale też kochali życie w luksusie, które im przyniosła.

A gdy to czytałam w ich oczach, czułam wzdarcie i żółciowoczerwony triumf ścinał się w moim brzuchu, bo ja, która byłam ostatnia, stałam się teraz pierwsza. Było coś jeszcze, głęboki smutek bez słów, ale odsuwałam go i nie patrzyłam w jego stronę.

Ja, Nayan Tara, która dawno już zapomniałam inne znaczenie mojego imienia: Kwiat Który Rośnie Przy Zakurzonej Drodze. Która wtedy nie wiedziałam, że jeszcze tylko przez krótki czas będzie to moje imię.

Tymczasem wędrowni *baulowie* chwalili mnie śpiewem, złotnicy wybijali moją podobiznę na medalionach noszonych przez tysiące ludzi na szczęście, a kupcy-żeglarze nieśli opowieści o moich mocach przez ujarzmione morza na każdy łód.

I tak dowiedzieli się o mnie piraci.

r.

URMERIK



Kiedy otworzysz puszkę, która stoi przy wejściu do sklepu, poczujesz to od razu, chociaż chwilę potrwa, zanim do twojego mózgu dotrze ten subtelny zapach, trochę gorzki jak twoja skóra i prawie tak samo znajomy.

Przesuń ręką po powierzchni, a jedwabisty żółty proszek przyłgnie do poduszczek twojej dłoni, do czubków twoich palców. Pył ze skrzydła motyla.

Unieś go do twarzy. Wetrzyj w policzki, czoło, brodę. Nie wahaj się. Tysiące lat wcześniej, zanim zaczęła się historia, panny młode — i te, które chciały być pannami młodymi — robiły to samo. Ukryje plamy i zmarszczki, wysusze wiek i tłuszcz. Później przez wiele dni twoja skóra będzie lśnić bladym złotym blaskiem.

Każda przyprawa ma dzień sobie poświęcony. Dla turmeriku to jest niedziela, kiedy tłuste i maślanego koloru światło kapie do puszek, które wysysają jego blask, kiedy modlisz się do dziewicy planet o miłość i szczęście. Turmerik jest też zwany *halud*, co oznacza żółty, kolor świtu i dźwięk muszli. Turmerik, korzeń powodzenia, sypany na głowy noworodków na szczęście, prószony na kokosy w *pujas*, wcierany w obrębek ślubnych sari.

Ale jest coś więcej. To dlatego podnoszę go tylko w tej chwili, gdy noc zamienia się w dzień, te bulwiaste korzenie jak wykręcone brązowe palce, dlatego ucieram je tylko wtedy, gdy Swati, gwiazda wiary, lśni jasno na północy.

Gdy trzymam go w dłoni, korzeń do mnie przemawia. Jego głos jest jak wieczór, jak początek świata.

Ja jestem turmerik, który uniósł się z oceanu mleka, gdy dewowie i asurowie chwyтали skarby wszechświata. Ja jestem turmerik, który przyszedł po trucifnie i przed nektarem, więc leży pośrodku.

— Tak — szepczę, kołysząc się w jego rytmie. — Tak. Jesteś turmerik, tarcza na smutek serca, krzyżmo na śmierć, nadzieja na odrodzenie.

Razem śpiewamy tę pieśń, jak czyniliśmy wiele razy.

To dlatego od razu myślę o turmeriku, gdy żona Ahuji w ciemnych okularach wchodzi tego ranka do mojego sklepu.

Żona Ahuji jest młoda, a wygląda nawet na jeszcze młodszą. Nie młodością pewną siebie i niezwykłą, ale surową i drżąca, jak ktoś, kto ostatnio usłyszał, że nie jest dość dobry.

Przychodzi co tydzień po wypłacie i kupuje najprostszą żywność: szorstki tani ryż, *dal* z promocji, małą butelkę oleju, może trochę *atty* na *czapati*. Czasem widzę, jak z wahaniem, ale i z wyraźnym pragnieniem podnosi słoik *acham* z mango albo paczkę *papadów*. Jednak zawsze je odstawia.

Częstuję ją *gulab-jamunem* z pudełka, ale rumieni się gwałtownie i boleśnie i potrząsa głową.

Żona Ahuji ma oczywiście imię. Lalita. La-li-ta, trzy płynne sylaby, które idealnie pasują do jej delikatnej urody. Chciałabym ją tak nazywać, ale jak bym mogła, skoro myśli o sobie tylko jako o żonie.

Nie powiedziała mi tego. Przychodząc tu tyle razy, niewiele do mnie mówiła, poza: „*JVamaste*”, „Czy to jest w promocji?” i „Gdzie mogę znaleźć?” Ale wiem to, tak jak wiem inne rzeczy.

Na przykład to: Ahuja jest stróżem w porcie i lubi wypić jednego lub dwa. A ostatnio trzy albo cztery.

Na przykład to: ona też ma dar, moc, chociaż sama tak o tym nie myśli. Każda tkanina, której dotknie swoją igłą, zakwita.

Pewnego razu zastałam ją, gdy pochylała się nad ladą, na której trzymam tkaniny, i patrzyła na sari wyszyte ścięgiem *zari*.

Wyciągnęłam materiał.

— Proszę — powiedziałam, drapując go na jej ramieniu.

— Ten kolor mango wygląda na tobie tak ładnie.

— Nie, nie. — Odskończyła szybko i przepraszając. — Patrzyłam tylko na szycie.

— Aha. Szyjesz.

— Dużo szyłam, kiedyś. Uwielbiałam to. W Kanpurze chodziłam do szkoły kroju i szycia, miałam własną maszynę Singera, dużo pań dawało mi rzeczy do uszycia.

Opuściła wzrok. W przygnębionym zarysie jej karku zobaczyłam to, czego nie powiedziała, marzenie, na które kiedyś się odważyła: pewnego dnia... wkrótce... może... być może... czemu nie... jej własny warsztat, Zakład Krawiecki Lality.

Ale cztery lata temu życzliwa sąsiadka przysłała do jej matki i powiedziała: „*JBahenji*, jest pewien chłopak, bardzo odpowiedni, mieszka w *phoren*, zarabia amerykańskie dolary”, i jej matka odpowiedziała: „Tak”.

— Dlaczego nie pracujesz w tym kraju? — spytałam. — Na pewno tutaj też wiele pań potrzebuje szycia. Nie chciałybyś...

Spojrzała na mnie tęsknie.

— O, tak. — Potem zamilkła.

Oto, co chce mi powiedzieć, tylko jak może, to nie jest właściwe, by żona mówiła takie rzeczy o swoim mężczyźnie: cały dzień w domu jest taka samotna, cisza jak lotny piasek wsysa jej dłonie i stopy. Łzy, których nie może powstrzymać, nieposłuszne łzy jak rozsypane ziarna granatu, i krzyki Ahuji, który wraca do domu do jej spuchniętych oczu.

On nie pozwala, by jego kobieta pracowała. „Czy nie jestem dość mężczyzną, dość mężczyzną, dość mężczyzną?” Słowa drżą jak talerze zrzucone z obiadowego stołu.

Dzisiaj pakuję jej zakupy, skromne jak zawsze: *masoor dal*, dwa funty *atty*, trochę *yeery*- Potem widzę, jak spogląda na srebrną dziecięcą grzechotkę, jej oczy ciemne jak studnia, w której można utonąć.

Tego właśnie żona Ahuji pragnie najbardziej. Dziecka. Na pewno za sprawą dziecka wszystko wróciłoby do normy, nawet te ciężące, bełkotliwe, nie kończące się noce, ciężar przygniatający ją, gorący, kwaśny, zwierzęcy oddech, wysapywany w nią. Jego głos jak pokryte odciskami wnętrze dłoni wybiegające z mroku.

Dziecko, chwytające ją słodkimi mlecznymi ustami, by to wszystko zatrzeć.

Tęsknota za dzieckiem, najgłębsze pożądanie, głębsze niż pragnienie bogactwa czy kochanka, czy nawet śmierci. Powietrze w sklepie staje się od niej ciężkie, fioletowe jak przed burzą. Wydaje zapach piorunów. Pali.

O Lalito, która jeszcze nie jesteś Lalitą, mam balsam na twoje oparzenia. Ale jak, jeśli nie przygotujesz siebie, jeśli się nie otworzysz na burzę? Jak, jeśli nie poprosisz?

Na razie daję ci turmerik.

Garść turmeriku zawinięta w starą gazetę z uzdrawiającymi słowami szeptanymi w nią, wsunięta do twojej torby na zakupy, gdy nie patrzysz. Sznurek związany węzłem potrójnego kwiatu, a w środku jedwabście miękki turmerik koloru siniaka, który wysuwa się na twój policzek spod ciemnej krawędzi okularów.

Czasem się zastanawiam, czy jest coś takiego jak rzeczywistość, obiektywna i nietknięta natura rzeczy? Czy też wszystko, co napotyamy, zostało już zmienione przez to, jak to sobie wyobrażaliśmy? Czy wyśniliśmy to do istnienia?

Najczęściej tak myślę, gdy wspominam piratów.

Piraci mieli zęby jak wypolerowany kamień i szable z rę-

kojeściami z niedźwiedziich kłów. Ich palce były pełne pierścieni, ametystów, beryli i karbunkułów, a ich szyje zdobiły szafiry mające przynieść szczęście na morzu. Ich skóra, nablyszczona wielorybim tłuszczem, lśniła ciemno jak mahoń albo jasno jak brzozowa kora, albowiem piraci pochodzili z wielu ras i wielu lądów.

Wszystko to znałam z opowieści, które nam, dzieciom, snuto przed snem.

Piraci najeżdżali i rabowali, i palili, a gdy odchodzili, zabierali ze sobą dzieci. Chłopców, by z nich uczynić następnych piratów, a dziewczynki — szeptała nasza stara służąca, drżąc z zadowolenia, gdy zdmuchiwała lampki przy łózkach — dla swych zdrożnych uciech.

Nie wiedziała o piratach więcej niż którekolwiek z nas, dzieci. Żadnego pirata nie dostrzeżono w okolicy naszej małej nadrzecznej wioski przynajmniej od stu lat. Wątpię, czy w ogóle w nich wierzyła.

Ale ja wierzyłam. Długo po tym, jak skończyła się opowieść, leżałam, nie mogąc zasnąć, i myślałam o nich z tęsknotą. Gdzieś tam na wielkim oceanie stali wysocy i porywcy na dziobach swych statków, ze skrzyżowanymi ramionami, z granitowymi twarzami odwróconymi w stronę naszej wsi, z włosami rozwianymi przez słony wiatr.

Ten sam słony wiatr wiał przeze mnie. Niepokój. Jakże męczące stało się moje życie, pochwały bez końca, hymny uwielbienia, góry podarków, strachliwy szacunek moich rodziców. I te nie kończące się noce, gdy leżałam bezsennie między dziewczętami, które przez sen wyjękiwały imiona chłopców.

Wtulałam twarz w poduszkę, by uciec od pustki otwierającej się w mojej piersi jak czarna dłoń. Skupiałam uwagę na swoim niezadowoleniu, aż zaczynało błyszczeć ostre jak hak, a potem wysyłałam je przez ocean na poszukiwanie moich piratów.

Używałam przywołującej myśli, choć dopiero później, na wyspie, poznałam jej nazwę. Przywołującej myśli, która — jak

nam mówiła Najstarsza — może przyciągnąć do ciebie, kogośkolwiek zechcesz: kochanka do twego boku, wroga do twoich stóp. Która może unieść duszę z ludzkiego ciała i umieścić ją, krwistą i pulsującą, na twojej dłoni. Która użyta niewłaściwie i bez nadzoru może przynieść zniszczenia poza wszelkim wyobrażeniem.

Więc tak było. Inni za przyjście piratów mogą winić żeglujących kupców, którzy zanieśli opowieści o mnie na wszystkie lądy. Ale ja wiem lepiej.

Przybyli o zmroku. Później myślałam, że to odpowiedni czas, taki moment, gdy nie można odróżnić dnia od nocy, prawdy od tęsknoty. Czarny maszt rozcinający wieczorną mgłę, dwadzieścia pochodni błyskających żarliwą czerwienią nad chatą i spichlerzem, i oborą, już cuchnących spalonym ciałem. A potem błyskające oczy wieśniaków, usta otwarte do krzyku, z których wysnuwał się tylko dym.

Jedliśmy, gdy piraci obrócili bambusowe ściany domu mego ojca w drzazgi i napadli na nas. Tłuszcz kapał z ich poczerwiałych twarzy, a między wywiniętymi wargami... tak, ich zęby były wypolerowanym kamieniem. Ich oczy także. Wypolerowane i niewidzące, gdy szli ku mnie, przyciągani siłą przywołującej myśli, tym złotym hakiem, który wysyłałam tak nierozważnie ponad wodami. Jakaś stopa odrzuciła kopniakiem miski i dzbanki, rozrzuciła ryż, ryby i palmowy miód, ramię swobodnie zatoczyło łuk w powietrzu, wbijając miecz w pierś mego ojca. Inne ręce zerwały kilimy ze ścian, zawlekły kobiety do kątów, pozrzucały naszyjniki, kolczyki i zdobne klejnotami pasy na zieloną spódnicę, którą nosiła jedna z moich sióstr.

Matko, nigdy nie myślałam, że to będzie tak.

Próbowałam ich powstrzymać. Wykrzykiwałam wszystkie zaklęcia, jakie znałam, aż moje gardło zmieniło się w surowe mięso, czyniłam znaki mocy drżącymi dłońmi. Dmuchałam

na skorupy garnków, by zamienić je w strzelbę, i wycelowałam w serce wodza piratów. Ale on odbił ją palcem i skinął na swych ludzi, żeby mnie związali.

Moja przywołująca myśl rozkręciła koło, którego obrotów nawet ja nie mogłam wstrzymać.

Nieśli mnie przez płonąca wieś, ogłupiała ze wstydu i wstrząsu, z nowej bezradności. Żarzące się ruiny. Zwierzęta ryczące z przerażenia. Głos wodza piratów unosił się nad jękami umierających, w okrutnej ironii nadając mi nowe imię. Bhagyavati, Przynosząca Szczęście, bo tym miałam się dla nich stać.

Ojcze, siostry, wybaczcie mi, mnie, która byłam Nayan Tara, która chciałam waszej miłości, ale zdobyłam tylko wasz strach. Wybacz mi, moja wiosko, mnie, która ci to uczyniłam z nudów i rozczarowania.

Ich ból żądlił jak żywy ogień w mojej piersi, gdy piraci rzucali mnie na pokład statku, gdy stawialiśmy żagle, gdy płonąca linia mojej rodzinnej krainy znikwała za horyzontem. Długo po tym, jak przywołująca myśl wyczerpała się i wróciły do mnie moje moce, wzmocnione przez nienawiść, jak to często bywa z mocą, długo po tym, jak obaliłam wodza i zostałam królową piratów (bo nie wiem, czym innym mogłabym zostać), ten ból mnie pożerał. Myślałam, że ukoi go zemsta, ale tak się nie stało.

Nie był to ostatni raz, gdy się pomyliłam co do pragnień mojego serca.

Ach, myślałam, że zawsze będę płonąć, że zawsze moja skóra będzie się pokrywać ranami i odpadać, i dalej będę płonąć, i cieszyłam się na tę karę.

Przez rok — a może dwa albo trzy? w mojej opowieści czas zderza się ze sobą — żyłam jak królowa, wiodłam moich piratów do sławy i chwały, tak że bardowie śpiewali o ich nieustraszonych wyczynach. Niosłam ten sekretny ból, wypalony na każdej komorze mojego serca. Ten ból, inna twarz prawdy, która dała mi nauczkę: że czar jest potężniejszy od czarownika — raz spuszczone ze smyczy, nie może być powstrzymany.

Nocami chodziłam po pokładach samotna i bezsenna, ja, Bhagyavati, czarownica, królowa piratów, przynosząca szczęście i śmierć, w szacie ciągnącej się w solnym pyłe jak złamane skrzydło.

Śmiałybym się, ale nie zostały mi już żadne uśmiechy. Ani łzy.

Nigdy ich nie zapomnę, tego bólu i tej prawdy, tak sobie mówiłam. Nigdy.

Wtedy nie wiedziałam, że wszystko się zapomina. Pewnego dnia.

Ale teraz muszę ci opowiedzieć o węzach.

Węże są wszędzie, tak, nawet w twoim domu, w twoim ulubionym pokoju. Może pod płytą przed kominkiem albo zwinięte w gnieździe w ociepleniu ściany, albo ukryte między niemi dywanu. To mruganie w kąciku twojego oka, które znika, gdy się obracasz.

A sklep? Sklep jest ich pełen.

Dziwisz się? Mówisz, że nigdy ich nie zauważyłaś. To dlatego, że wyćwiczyły się w sztuce niewidzialności. Jeśli sobie tego nie życzą, nigdy ich nie zobaczysz.

Nie, ja też ich nie widzę. Już nie.

Ale wiem, że tam są. Dlatego każdego ranka, zanim przyjdą klienci, stawiam w odległych kątach sklepu gliniane miski z mlekiem. Za zapasowymi workami basmati, w wąskim odłamku przestrzeni pod półkami z *dałem*, w szklanej skrzynce wyładowanej krzykliwymi rękodzielami, które Hindusi kupują tylko wtedy, gdy mają dawać prezenty Amerykanom. Muszę to robić uważnie, wymacać na podłodze właściwe miejsce, ciepłe jak skóra i pulsujące. Muszę odwrócić się we właściwym kierunku, na północ — północny zachód, który w starym języku nazywa się *ishan*. Muszę wyszeptać słowa zaproszenia.

Węże. Najstarsze ze stworzeń, najbliższe Matce Ziemi, sama żyłastość i ślizganie się na jej piersi. Zawsze je kochałam.

Kiedyś one też mnie kochały.

Na spękanych od żaru polach za domem mego ojca ziemne węże osłaniały mnie od słońca, gdy zmęczyłam się zabawą. Ich kaptury rozchyłały się na całą szerokość, ich zapach był chłodny jak mokra ziemia na dnie bananowych zarośli. W strumieniach, które wiły się po wsi, rzeczne węże pływały ze mną skóra przy skórze, złote strzały przecinające cętkowaną słońcem wodę, i snuły opowieści. O tym, jak po tysiącu lat kości topielców zamieniają się w biały koral, a oczy w czarne perły. Jak w głębi podwodnej jaskini spoczywa król węży, Nagraj, strzegąc stosów skarbów.

A węże oceanu, morskie węże?

One uratowały mi życie.

Posłuchaj, opowiem ci.

Gdy byłam już przez jakiś czas królową piratów, pewnej nocy wspierałam się na dziób statku. Tkwiłiśmy w ciszy morskiej na równiku. Wokół mnie rozpościerał się ocean ciemny i gęsty jak ścięte żelazo. Gniótł mnie jak moje życie. Myślałam o tych latach za mną, o napaściach, którym przewodziłam, statkach, które rabowałam, o wszystkich bogactwach, które zgromadziłam bez celu i bez celu rozdałam. Patrzyłam na lata przede mną i widziałam to samo, falę za atramentową zamrożoną falą.

— Chcę, chcę — szeptałam. Ale nie wiedziałam, za czym tęsknię; wiedziałam tylko, że nie za tym.

Czy za śmiercią? Być może.

Wysłałam zatem jeszcze jedną przywołującą myśl ponad wody.

Niebo stało się mętne jak łuski ryby hilsa uwięzionej na piasku, powietrze iskrzyło się i kłuło, wiatr rzucił się na nasze maszty i załopotał żaglami. A potem pojawił się na horyzoncie on, wielki tajfun, który wywołałam ze snu w korycie oceanu na wschodzie. Szedł ku mnie, a pod nim wrzała woda.

Przerażeni piraci krzyczeli w ładowni pod pokładem, ale dźwięk był stłumiony jak echo z mojej przeszłości. Gdy twoje serce jest spieczone własnym bólem, łatwo nie współczuć innym. Zrodziło się we mnie pytanie jak czubek złamanego masztu na wstrząsanym sztormem morzu. Czy inne głosy krzyczały tak do mnie kiedyś, dawno temu? Ale pozwoliłam, by padło bez odpowiedzi w ryk.

O rozradowanie, myślałam. Być uniesioną w górę przez oko chaosu, kołysać się ze wstrzymanym oddechem na krawędzi niczego. I upadek, który potem nastąpi, rozpadnięcie się mojego zapalkowanego ciała na drzazgi, kości fruwające swobodnie jak piana, wreszcie uwolnione serce.

Ale gdy zobaczyłam usta leja, które zawisły nade mną, a wewnątrz niego błyski szarości jak wirujące noże, ciężki chłód wypełnił moje członki. Wiedziałam, że nie jestem gotowa. Świat stał się słodki jak nigdy przedtem, nagle przenikliwie słodki, i zapragnęłam go całym swoim jestestwem.

— Proszę — krzyknęłam. Nie wiedziałam jednak do kogo. Za późno Bhagyavati przynosząca śmierć.

I wtedy je usłyszałam.

Niski dźwięk niczym pomruk, nie mogący się równać z tym wrzeszczącym wichrem. Ale przychodził z głębokiego i spowolnionego miejsca, może ze środka oceanu. Statek zadrżał od niego i moje serce zadrżało. I ich głowy trzymane prosto nad wirującymi wodami, łagodny blask klejnotu, który każdy nosił na czubku głowy. A może to blask ich oczu tak mnie pochwyił?

Nie wiem, kiedy tajfun uniósł się w górę, kiedy fale ucichły. Moje ciało było wypełnione ich pieśnią, pozbawione wagi i lśniącej.

Morskie węże, które cały dzień przesypiają w koralowych jaskiniach, a na powierzchni zjawiają się tylko wtedy, gdy Dhruva, gwiazda północy, wylewa nad oceanem swoją butelczkę mlecznego światła. Ich skóra jak roztopiona macica per-

łowa, ich języki jak falki wypolerowanego srebra. Rzadko widziane przez śmiertelne oko.

Później pytałam:

— Dlaczego mnie uratowaliście, dlaczego?

Zapanowało milczenie. Jaka może być odpowiedź na miłość?

To węże morskie powiedziały mi o wyspie. A czyniąc to, uratowały mnie raz jeszcze.

A może wcale nie? Nie zawsze jestem tego taka pewna.

— Opowiedzcie mi więcej.

— Wyspa była tam zawsze — powiedziały węże. — Najstarsza także. Nawet my, którzy widzieliśmy, jak góry wyrastają ze skalnych pączków na dnie oceanu, którzy byliśmy przy tym, jak Samudra Puri, doskonałe miasto, zapadło się po wielkim potopie, nie znamy ich początku.

— A przyprawy?

— Zawsze. Ich aromat jak długie zakręcone nuty *shehnai*, jak *madol*, który popędza krew swym dzikim rytmem, choćby przez cały ocean.

— A sama wyspa, jak wygląda? A ona?

— Widzieliśmy ją tylko z oddali: uśpiony zielony wulkan, czerwony piasek plaż, granitowe skałki jak szare zęby. W te noce, gdy wspina się do najwyższego punktu, Najstarsza jest kolumną płomienia. Jej ręce wysyłają znaki błyskawic przez niebo.

— Nie chcieliście tam dotrzeć?

— To niebezpieczne. Na wyspie i na wodach, które dotykają jej korzeni, panuje tylko jej siła. Mieliśmy kiedyś brata, Ratna-naga, z opalowymi oczyma. Wszystkiego był ciekaw. Słyszał śpiewy, powążył się zbliżyć, chociaż go ostrzegaliśmy.

— A potem?

— Jego skóra przydryfowała do nas, jego doskonała skóra giętka jak u nowo narodzonego glonu, pachnąca przyprawami.

A nad nią, krzycząc dziko, krążył do zachodu słońca opalowo-
oki ptak.

— Wyspa przypraw — powiedziałam i zdawało się, że
wreszcie znalazłam imię dla mojego pragnienia.

— Nie idź — płakały węże. — Chodź raczej z nami. Damy
ci nowe imię, nowe istnienie. Staniesz się Sarpa-kanya, dzie-
wicą węży. Powieziemy cię na grzbietach przez siedem mórz.
Pokażemy ci, gdzie pod oceanem śpi Samudra Puri, czekając
na swój czas. Może to ty będziesz tą, która je zbudzi.

Gdyby tylko wcześniej mnie poprosiły.

Pierwsze blade światło świtu załśniło przez wody. Skóra wę-
ży stała się przezroczysta, przybrała kolor fal. Zew przypraw
płynął przez moje żyły, trudny do powstrzymania. Odwróciłam
twarz od węży w stronę, gdzie wyobrażałam sobie wyspę cze-
kającą na mnie.

Ich syczenie zarazem pełne smutku i gniewne. Ich ogony
bijące wodę do białości.

— Wszystko utraci, głupia. Wzrok, głos, imię. Może nawet
siebie.

— Nie powinniśmy byli jej o tym mówić.

Ale najstarszy z nich powiedział:

— Dowiedziałyby się w jakiś inny sposób. Pod jej skórą
widać blask przypraw, znak jej przeznaczenia.

I zanim nieprzezroczysty ocean zamknął się nad jego głową,
wskazał mi drogę.

Nigdy więcej nie zobaczyłam węży.

Były pierwsze spośród wszystkiego, co zabrały mi przyprawy.

Słyszałam, że węże są także tu, w Ameryce, w oceanie, który
rozciąga się za czerwonozłotym mostem na końcu zatoki.
Nie poszłam ich zobaczyć. Nie wolno mi opuszczać sklepu.
Nie. Muszę ci powiedzieć, jaki jest prawdziwy powód.

Boję się, że mi się nie ukażą. Że nie wybaczyły mi tego, iż przedłożyłam nad nie przyprawę.

Wsuwam ostatnie naczynie na miejsce pod skrzynką z rękodzielami, prostuję się, przyciskając rękę do pleców. Chwilami męczy mnie to stare ciało, które nałożyłam, gdy przybyłam do Ameryki, wraz z bólami starego ciała. Jest tak, jak ostrzegęła Najstarsza.

Myślę przez chwilę o innych jej ostrzeżeniach, w które także nie wierzyłam.

Jutro podniosę naczynie, puste i wylizane do połysku, i nie będzie tam nawet kawałka złuszczonej skóry, którą bym mogła dojrzeć.

A jednak czasem myślę, że spróbuję, stanę w wieczornej mgle na skraju łądu w zagajniku poskręcanych cyprysów, wśród okrętowych syren i poszczekiwania czarnych fok i zaśpiewam do nich. Położę *skalpami*, ziele pamięci i przekonywania, na języku i zaintonuję stare słowa. I jeśli nawet nie przybędą, przynajmniej będę wiedziała, że próbowałam.

Może poproszę Harouna, który prowadzi rollsa pani Kapadi, Harouna, którego kroki lekkie jak śmiech słyszę teraz za drzwiami, by mnie tam zabrał w swoim wolnym dniu.

— Proszę pani — mówi Haroun, wpadając z pośpiechem i wnosząc zapach sosnowego wiatru i *akhrotu*, pomarszczonego białego orzecha ze wzgórz Kaszmiru, gdzie się urodził. — Och, proszę pani, proszę pani, mam dla pani nowiny.

Jego stopy fruują nad zniszczonym linoleum, prawie nie dotykając go. Jego usta to podekscytowane światło.

Zawsze taki był. Od pierwszego razu, gdy wszedł do sklepu za poruszającymi się dumnie biodrami pani K., szukając i układając w stosy, i nosząc, i kłaniając się, ale zawsze z tym wstyd-

liwym rozbawieniem w oczach, które mówiło: „Bawię się w to tylko chwilowo”. A tego wieczoru wrócił sam i poprosił:

— Proszę pani, niech pani będzie taka dobra, niech mi pani powróży z ręki. — I podał mi swoje odwrócone, poznaczone odciskami dłonie.

— Nie umiem czytać przyszłości — powiedziałam mu.

I jest to zgodne z prawdą. Najstarsza nie uczyła tego Mistrzyń.

„To by was powstrzymało od życia” — mówiła. „Od starania się jak tylko możecie. Od pełnego zaufania przyprawom”.

— O, ale Ahmad mówił, jak mu pani pomogła dostać zieloną kartę, nie, proszę nie zaprzeczać, a Najib Mokhtar miał być wyrzucony, a trzy dni po tym, jak przyszedł do pani i pani mu dała specjalną herbatę, żeby ją gotował i pił, *subhanallah*, jego szefa przenieśli aż do Cleveland i Najib zajął jego miejsce.

— To nie ja. To był *dashmul*, zioło o dziesięciu korzeniach.

Ale on dalej trzymał przede mną ręce, tak stwardniałe i ufne, że w końcu musiałam wskazać szorstkie poduszeczki i spytać:

— Jak to zrobiłeś?

— O, to. Ładowałem węgiel na statku, kiedy tu płynąłem, a potem byłem w warsztacie samochodowym. Klucze francuskie i lewarki, a pomiędzy tym robota przy drodze, młoty pneumatyczne i wylewanie asfaltu.

— A przedtem?

Lekkie drżenie rąk. Przerwa.

— Tak, przedtem też. W domu byliśmy wiosłarzami na jeziorze Dal, dziadek i ojciec, i ja, wiosłowaliśmy na naszej *shikarze* dla turystów z Ameryki i Europy. Jednego roku zarobiliśmy tyle pieniędzy, że obiliśmy siedzenia czerwonym jedwabiem.

Nie chciałam więcej słyszeć. Już wyczułam jego przeszłość w liniach, które unosiły się z jego dłoni zagłębione i ciemne jak grzmot.

Spod lady wyjęłam pudełko *chandanu*, proszku z drewna sandałowego, który koi ból pamiętania. Posypałam jego je-

dwabnym zapachem ręce Harouna, zważając, by ich nie dotknąć. Linie jego życia.

— Wetrzyj to.

Posłuchał, ale w roztargnieniu. A gdy wcierał, opowiedział mi swoją historię.

— Jednego dnia zaczęły się walki i turyści przestali przyjeżdżać. Rebelianci zjeżdżali z górskich przełęczy z karabinami maszynowymi i oczami jak czarne dziury w twarzach, tak, na ulice Srinagaru, którego nazwa oznacza obiecujące miasto. Mówię do ojca: „Abbajan, musimy teraz wyjechać”, ale dziadek na to: „*Tobą, tobą*, gdzie pojedziemy, to jest ziemia naszych przodków”.

— Cicho — mówię, pragnąc usunąć stare linie z jego ręki, wypuszczając jego smutki w przyćmione powietrze sklepu. Jego smutki krążące i krążące nad naszymi głowami, by znaleźć nowy dom, jak to czynią wszystkie uwolnione smutki.

Ale wciąż je wypowiada, słowa staccato jak posiekany kamień.

— Jednej nocy buntownicy. W naszej wsi nad rzeką. Przyszli zabrać młodych mężczyzn. Abbajan próbował ich powstrzymać. Strzały. Pogłos na wodzie. Krew i krew, i krew. Nawet dziadka, który spał. Czerwony jedwab w *shikarze* zrobił się jeszcze czerwiejszy. Wolałbym też, też...

Gdy reszta *chandanu* rozplynęła się na jego dłoni, wstrząsnął się i przestał. Mrugał oszołomiony, jakby się obudził.

— Co ja mówiłem?

— Chciałeś poznać swoją przyszłość.

— O tak. — Uśmiech przybiera kształt na jego ustach tak przejmująco wolno, jakby się go na nowo uczył.

— Wygląda dobrze, bardzo dobrze. Wspaniałe rzeczy ci się przydarzą w tym nowym kraju, w tej Ameryce. Bogactwo i szczęście, i może nawet miłość, piękna kobieta z ciemnymi lotosowymi oczami.

— Ach — powiedział z lekkim westchnieniem. I zanim

mogłam go powstrzymać, zgiął się, by ucałować moją rękę. — Bardzo pani dziękuję. — Jego loki połyskiwały miękką czernią, letnie niebo w nocy. Jego usta były kręgiem ognia, przypalały mi skórę, a jego przyjemność błyskała w moich żyłach, także je paląc.

Nie powinnam na to pozwolić. Ale jak mogłam się wyrwać?

Chciałam tych wszystkich rzeczy, Pierwsza Matko, przed którymi mnie ostrzegałaś. Jego wdzięczne usta niewinne i żarliwe, jego smutki połyskujące jak świetliki lśniące w moich włosach.

W tej samej chwili coś wewnątrz mnie skręciło się ze strachu. Trochę o mnie, ale bardziej o niego. Nie umiem przejrzieć przyszłości, to prawda. Ale to rozpaczliwe pulsowanie w jego przegubach, krew płynąca zbyt szybko, jakby wiedziała, że ma tylko trochę czasu...

Zadowolony wyszedł w niebezpieczną ciemność otaczającą sklep, Haroun bez bojaźni, bo czyż nie obiecałam? Ja, która mogę to wszystko sprawić, zielone karty i awanse, i dziewczyny z ciemnymi lotosowymi oczami.

Ja, Tilo, architektka snów imigrantów.

O Harounie, wstawiam się za tobą, wysyłam prośbę w trzeszczące powietrze, które pozostawiłeś. Drzewo sandałowe, ochroń blask jego oczu. Ale na zewnątrz wystrzeliła nagle eksplozja, huk z silnika autobusu, a może strzał z broni. Zagłuszyła moją modlitwę.

Dziś z radością przyznaję, że się pomyliłam. Bo minęły trzy miesiące i Haroun, uśmiechając się słonecznymi zębami i nowymi amerykańskimi słowami, mówi:

— Proszę pani, nie uwierzy pani. Odszedłem z pracy u tej memsaab Kapadia.

Czekam, aż wyjaśni.

— Ci wszyscy bogacze, oni myślą, że wciąż są w Indiach. Traktują cię *jak janwaara*, jak zwierzę. Rozkazują to, rozkazują

tamto, bez końca, a jak sobie zedrzesz podeszwy, biegając dookoła nich, nawet nie skiną głową, żeby podziękować.

— Co teraz, Harounie?

— Niech pani słucha, niech pani słucha. Wczoraj wieczorem siedzę w McDonalddie, tym obok Taniej Pralni na Czwartej Ulicy, kiedy ktoś kładzie mi rękę na ramieniu. Podskakuję, bo pani pamięta, jak w ubiegłym miesiącu była strzelanina, ktoś prosił o pieniądze i nie dostał tyle, ile chciał. Modłę się do Allacha, kiedy się obracam, ale to tylko Mujibar ze wsi mojego wujka koło Pahalgaoon. Nawet nie wiedziałem, że Mujibar jest w Ameryce. I dobrze mu się wiedzie, ma już parę taksówek i szuka kierowcy. Dobrze zapłaci, mówi mi, zwłaszcza kumpłowi z Kaszmiru, i może nawet kiedyś sam bym mógł kupić. I niech pani pomyśli, co może być lepszego, niż być sobie panem. Więc mówię zgoda i idę, i mówię memsaab, że odchodzę. Proszę pani, jej twarz zrobiła się purpurowa jak *brinjal*. Więc od jutra jeżdżę taksówką czarno-żółtą jak słonecznik.

— Taksówka — powtarzam bezmyślnie. Czuję, jak mój żołądek ściska lód, ale dlaczego?

— Proszę pani, muszę pani podziękować, to wszystko pani *keramat*, a teraz niech pani idzie popatrzeć na moją taksówkę, jest tuż obok. Niech pani idzie, niech pani idzie, sklep da sobie bez pani radę przez minutę.

O Harounie, z twoich błagalnych oczu widzę, że radość nie stanie się prawdziwa, nim nie podzielisz jej z kimś bliskim, a w tym odległym kraju kogóż innego masz? Więc muszę stanąć na zakazanym betonie Ameryki, zostawiając sklep, czego nigdy nie powinnam uczynić.

Za mną syczenie jak zaszokowany, wciągnięty oddech, a może to tylko para unosi się z kratki nad metrem.

Taksówka, jak zapewniał Haroun, stoi tu w swojej rzeźbionej maślanej skorupie, gładka i słodka, ale mnie przechodzi dreszcz, jeszcze zanim Haroun powie: „Proszę dotknąć” i wyciągnę rękę.

Ta wizja wybucha pod powiekami jak nieudane fajerwerki. Ciemność wieczoru, otwarte drzwi samochodu kołyszą się szaleńczo i przegródka na rękawiczki też jest otwarta, ktoś padł na kierownicę, czy to mężczyzna czy kobieta? A te loki czy są czarne i lśniące od potu jak strach, czy to niegdyś słoneczne usta, czy ta skóra jest sina, czy tylko cień tak pada?

Przechodzi.

— Proszę pani, czy dobrze się pani czuje? Pani twarz jest szara jak stare gazety, to za ciężko tak samej prowadzić taki duży sklep. Ile razy mówiłem, że pani powinna dać ogłoszenie w „India West”, że szuka pani kogoś do pomocy.

— Dobrze się czuję, Harounie. To piękny samochód. Ale uważaj.

— O Ladyjaan, za bardzo się pani martwi, zupełnie jak moja stara *nani* w domu. OK, powiem pani coś: zrobi mi pani magiczną paczuszkę i następnym razem jak przyjadę, położę ją w samochodzie na szczęście. Teraz muszę lecieć. Obiecałem chłopakom, że się z nimi spotkam u Akbara i postawię im specjalną *khane*.

On potrzebuje, on potrzebuje...

Ale zanim przyjdzie mi do głowy nazwa przyprawy, jego już nie ma. Tylko stuknięcie zatraskiwanych drzwi ostre jak strzał, radosne pomrukiwanie silnika, lekki zapach benzyny rozplywający się w powietrzu jak obietnica przygody.

Tilo, nie bądź przesądna.

W sklepie czeka na mnie niezadowolenie przypraw. Muszę prosić o wybaczenie. Ale jeszcze nie potrafię przestać myśleć o Harounie. W przypalonym brązowym powietrzu mój język smakuje jak miedź, jak koszmar, z którego uciekasz na chwilę, wyrwasz się, bo jeśli zaśniesz, to wpadniesz w niego znowu, ale twoje oczy są zbyt ciężkie i siłą się zamykają.

Może tym razem też się myślę.

Dlaczego nie potrafię w to uwierzyć?

Kalo jire, myślę tuż przedtem, nim ta wizja znów na mnie spłynie, krew i zgruchotane kości, i cienki krzyk jak czerwona

nić dusząca noc. Muszę wziąć *kalojire*, przyprawę ciemnej planety Ketu, chroniącą przed złym okiem. Przyprawę, która jest niebieskoczarna i lśni wilgotno jak las Sundarban, gdzie po raz pierwszy została znaleziona. *Kalojire* o kształcie łzy, pachnące ostro i dziko jak tygrysy, by zasłonić to, co los napisał dla Harouna.

Może to już odgadliście. To dłonie wywołują potęgę przypraw. Nazywa się to *hater gun*.

Dlatego pierwszą rzeczą, jaką Najstarsza bada, gdy dziewczęta przybywają na wyspę, są dłonie.

Oto co mówi:

— Dobra dłoń nie jest ani za lekka, ani za ciężka. Lekkie dłonie to stworzenia wiatru, unoszone tu i tam przez jego kaprysy. Ciężkie dłonie, ciągnięte w dół przez własną wagę, nie mają ducha. Są tylko bryłami mięsa dla robaków czekających pod ziemią. Dobra dłoń nie ma wewnątrz brązowych plam, które są oznaką gwałtownego usposobienia. Kiedy złożysz ją ciasno i ustawisz palce pod światło słońca, między palcami nie będzie przerw, przez które wyslizgiwałyby się zaklęcia i przyprawy. Nie może być zimna i sucha jak brzuch węża, bo Mistrzynie Przypraw musi czuć ból innych. Nie może być ciepła i wilgotna jak oddech czekającego kochanka na szybie, bo Mistrzynie musi pozostawić za sobą własne namiętności. W centrum dobrej dłoni jest odcisnięta niewidzialna lilia, kwiat chłodnej cnoty, perła lśniąca o północy.

Czy twoje dłonie spełniają tę litanię? Moje też nie.

Więc pytasz, jak zostałam Mistrzynią?

Zaczekaj, opowiem ci.

Od chwili, gdy najstarszy wąż wskazał mi drogę, wiodłam moich piratów dzień i noc, bezlitośnie, aż padali na pokład wy-

czerpani, nie śmiejąc spytać, dlaczego ani dokąd. Aż jednego wieczoru zobaczyliśmy ją na horyzoncie, smugę jak dym albo chmura. Ale ja wiedziałam, co to jest. Kotwica, rozkazałam, i nie rzekłam nic więcej. A gdy zmęczona załoga zasnęła jak zaczarowana, o północy zanurzyłam się w ocean.

Wyspa była daleko, ale ja wierzyłam w siebie. Śpiewałam zaklęcie nieważkości i posuwałam się przez fale łatwo jak w powietrzu. Ale gdy wyspa była wciąż mała jak pierwsze pchnięcie w niebo, zaklęcie zamarło mi w gardle. Moje ramiona i nogi stały się ciężkie i nieposłuszne. W tych wodach, zaklętych przez większą czarodziejkę, moja moc była niczym. Walczyłam i szarpałam się, i łykałam wodę jak każdy inny niezgrabny śmiertelnik, aż wreszcie wypęzłam na piasek i padłam w wirującą spiralę snów.

Tych snów nie pamiętam, ale głosu, który mnie z nich obudził, nigdy nie zapomnę. Chłodny i ziarnisty ze śladem szycerzego śmiechu, ale głęboki, głęboki głos, w który może się zanurzyć serce.

— Co bóg morza zwymiotował na nasz brzeg dzisiajszego ranka?

Najstarsza, otoczona przez swoje nowicjuszki, słońce jak aureola za jej głową rozświetlało różnokolorowe błyski na jej rzęsach. Szybko podnosząc się na kolana, poczułam się zmuszona, by opuścić moje rzęsy obsypane piaskiem.

To wtedy dostrzegłam, że jestem naga. Morze obdarło mnie ze wszystkiego, z ubrań, magii i na ten moment nawet z aro-gancji. Rzuciło mnie do jej stóp wyzutą ze wszystkiego prócz ciemnego, brzydkiego ciała.

Ze wstydu pociągnęłam swoje sztywne od soli włosy, by się okryć. Ze wstydu skrzyżowałam ręce na piersi i skłoniłam głowę.

Ale ona już zdejmowała szal, owijała go wokół moich ramion. Miękki i szary jak gardło gołębiczy, a zapach przypraw unosił się z niego jak tajemnica, do której poznania tęskniłam.

I jej ręce. Miękkie, ale ze skórą spaloną na biało-różowo i pomarszczoną do łokci, jakby włożyła je w dawny ogień.

— Kim jesteś, dziecko?

Kim byłam? Nie umiałam powiedzieć. Moje imię już znikło we wschodzącym słońcu wyspy jak gwiazda z minionej nocy. Dopiero dużo później, gdy uczyła nas ziół pamięci, przypomniałam je sobie, i to razem z moim przeszłym życiem.

— Czego chcesz ode mnie?

Gapiałam się na nią bezmyślnie, na nią, która zdawała się zarazem najstarszą i najpiękniejszą z kobiet z tymi srebrnymi zmarszczkami, choć później dostrzegłam, że nie była piękna w sposób, w jaki mężczyźni używają tego słowa. Jej głos, którego potem nauczyłam się we wszystkich odcieniach — złości i szyderstwa, i smutku — był słodki jak wiatr w cyfamonowych drzewach za nią. Tęsknota, by do niej należeć, uderzała mnie jak fale, z którymi walczyłam przez całą noc.

Myszę, że Najstarsza czytała w moim sercu. A może po prostu wszystkie, które do niej przyszły, były przyciągane przez to samo pragnienie.

Lekko westchnęła. Trudno dźwigać ciężar adoracji, dziś sama to wiem.

— Popatrzmy. — I wzięła moje ręce w swoje, które przeszły przez ogień, kto wie gdzie.

Zbyt lekkie, zbyt gorące, zbyt wilgotne. Moje ręce piegowate jak grzbiet złotej siewki. Wnętrze dłoni, z którego nocą kolczasty purpurowy szczaw wytryśnie kwiatem.

Najstarsza cofnęła się o krok, wypuściła dłonie.

— Nie.

Każdego roku tysiąc dziewcząt odsyła się z wyspy, bo nie mają właściwych dłoni. Nie liczy się to, czy mają dar jasnowidzenia albo czy potrafią opuścić własne ciało i przemierzać niebo. Najstarsza jest niewzruszona.

Każdego roku tysiąc dziewcząt, których ręce zawiodły je, rzuca się w morze, żeglując do domu. Bo śmierć jest łatwiejsza

do zniesienia niż zwykle życie, gotowanie i pranie ubrań, i kąpiele w kobiecym jeziorze, i rodzenie dzieci, które pewnego dnia cię opuszczą, i pamiętanie przez cały czas o tej, której oddałaś swoje serce.

Stają się wodnymi zjawami, duchami mgły i soli, płaczącymi głosami mew.

I ja stałabym się jedną z nich, gdyby nie kości.

To z ich powodu Najstarsza nie mogła się oprzeć i jeszcze raz wzięła moje dłonie w swoje. Z ich powodu pozwoliła mi zostać na wyspie, choć cała mądrość musiała krzyknąć: „Nie”.

Najważniejsze w dobrej dłoni są kości. Muszą być gładkie jak kamienie wypolerowane przez wodę i podatne na dotyk Najstarszej, gdy trzyma twoją dłoń między swoimi, gdy umieszcza przyprawy w jej środku. Muszą wiedzieć, jak śpiewać do przypraw.

— Powinam była cię odprawić — Najstarsza mówiła mi później, z żalem potrząsając głową. — To były ręce wulkaniczne, bulgoczące ryzykiem, czekające, by wybuchnąć. Ale nie potrafiłam.

— Dlaczego nie, Pierwsza Matko?

— Byłaś jedyną, w której dłoniach przyprawy zaśpiewały w odpowiedzi.

C

YNAMON



Pozwól, że opowiem ci o chilli.

Wysuszone chilli, *lanka*, jest najpotężniejszą z przypraw. I najpiękniejszą, w swojej pęcherzowo-czerwonej skórce. Jego inne imię to niebezpieczeństwo.

Chilli śpiewa głosem sokoła, okrążającego zbielełe od słońca wzgórza, na których nic nie rośnie. *Ja, lanka, zrodziłem się z Agniego, boga ognia. Spłynąłem z czubków jego palców, by dać smak tej mdłej ziemi.*

Lanka, myślę, że w tobie jestem najbardziej zakochana.

Chilli rośnie w samym centrum wyspy, w jądrze uspiętego wulkanu. Nie wolno nam się do niego zbliżać, nim nie osiągniemy trzeciego stopnia wtajemniczenia.

Chilli, przyprawa czerwonego czwartku, który jest dniem rozrachunków. Dniem, który zaprasza nas do tego, by wziąć worek naszej egzystencji i wyrzucić go na drugą stronę. Dniem samobójstwa, dniem morderstwa.

Lanka, lanka. Czasem toczę twoje imię na języku. Smakuję jego ponętne żądło.

Tak wiele razy Najstarsza przestrzegła nas przed twoimi mocami.

„Córki, używajcie go tylko jako ostatniego ratunku. Łatwo rozniecić ogień. Ale zgasić go?”

To dlatego powstrzymuję się, *lanka*, którego imię dziesięciogłowy Ravana nadał swemu zaczarowanemu królestwu. Miastu miliona klejnotów, obróconemu na koniec w popiół. Choć nieraz kusiło mnie.

Jak wtedy, gdy Jagjit wchodzi do sklepu.

W pokoju na zapleczu sklepu, na najwyższej półce, stoi zapieczętowany słój pełen czerwonych paluszków światła. Któręgo dnia otworzę go i chilli zatrzepoczą na ziemię. I będą płonąć.

Lanka, dziecię ognia, ty oczyszczasz ze zła. Na czas, gdy nie ma innego sposobu.

Jagjit wchodzi do sklepu ze swoją matką. Stoi częściowo za nią, jego palce dotykają jej *dupały*, chociaż ma już dziesięć i pół roku i jest wysoki jak dziki bambus.

— Oj, Jaggi, nie trzymaj się mnie jak dziewczynka, idź i przynieś mi paczkę *sabu papadów*.

Jagjit ze swoimi chudymi, wystraszonymi przegubami, który ma kłopoty w szkole, bo wciąż zna tylko język pendżabski. Jagjit, którego nauczyciel posadził w ostatnim rzędzie obok śliniącego się chłopca z mlecznoniebieskimi oczami. Jagjit, który nauczył się pierwszego angielskiego słowa: „Idiota. Idiota. Idiota”.

Idę na zaplecze, gdzie wpatruje się oszołomiony w półki *papadów*, paczki oznaczone hieroglifami w hindi i po angielsku.

Podaję mu *sabu papady*. Mówię:

— To są te nierówne białe, widzisz? Następnym razem będziesz wiedział.

Jagjicie o nieśmiałym spojrzeniu, Jagjicie w zielonym turbanie, z którego wyśmiewają się dzieci w szkole, czy wiesz, że twoje imię oznacza zdobywcę świata?

Ale jego matka już krzyczy:

— Co ci zabiera tyle czasu, Jaggi? Nie możesz znaleźć *papadów*, ślepy jesteś, zdążę osiwieć, czekając, czekając, aż wrócisz.

Na podwórku próbują mu ściągnąć z głowy zielony turban w kolorze piersi papugi. Zwieszają materiał z palców i śmieją się z jego długich, nie obciętych włosów. I przewracają go.

„Dupek”, jego drugie angielskie słowo. I kolana krwawiące od żwiru.

Jagjit, który przygryza wargę, żeby powstrzymać płacz. Który podnosi zabłocony turban i zawiązuje go powoli, i wchodzi do środka.

— Jaggi, jak to się dzieje, że zawsze brudzisz szkolne ubrania, tu nie ma guzika i popatrz na tę wielką dziurę w koszuli, ty *badmaszu*, myślisz, że mamy górę pieniędzy.

Nocą leży z otwartymi oczami, wpatrując się, aż gwiazdy zaczną mrugać jak świetliki w *kheli* jego babki pod Jullunder. Babka śpiewa, zbierając na obiad pęczki *saag* zielonego jak jego turban. Pendzabskie słowa brzmią jak deszcz.

Jagjicie, czy oni wracają, gdy w końcu musisz zamknąć oczy, bo coś innego możesz zrobić? Wyszydzające głosy, pluące usta, ręce. Ręce, które ściągają ci spodnie na podwórku, a dziewczyny patrzą.

— *Chhodo ntainu*.

— Mów po angielsku, skurwysynu. Odezwij się, czarnuchu, przybłędę, dupku.

— Jaggi, co to znaczy, że nie chcesz chodzić do szkoły? Ojciec się zabija robotą, robotą w fabryce, dwa razy dostaniesz, to pójdziesz.

— *Chhodo*.

Przy kasie mówię:

— Tu jest dla ciebie *burfi*, nie, nie, proszę pani, dzieci nie płacą.

Widzę, jak ochoczo nadgryza brązową słodkość aromatyzowaną goździkiem i kardamonem, i cynamonem. Lekko się uśmiecha, by odpowiedzieć na mój uśmiech.

Zmiażdżony goździk i kardamon, Jagjicie, by uczynić twój oddech pachnący. Kardamon, który dziś wieczorem rozsieję dla ciebie na wiatr. Północny wiatr zanieś go, by otworzyć niewidzenie twego nauczyciela. A także słodki i szczypiący goździk, *lavang*, przyprawa współczucia. Więc twoja matka,

która nagle spogląda znad tary i odsuwa zmęczone włosy z twarzy, pytając:

— Jaggi *beta*, powiedz mi, co się stało — weźmie cię w mydlinowe ramiona.

A oto cynamon, wydrażona ciemna kość, którą wsuwam ukradkiem do twojego turbanu, tuż zanim odejdiesz. Cynamon dający przyjaciół, cynamon *dalchini* ciepłobrazowy jak skóra, by znalazł ci kogoś, kto weźmie cię za rękę, kto będzie z tobą biegał i śmiał się, i powie: „Widzisz, to jest Ameryka, nie jest taka zła”.

A na innych z oczami twardymi jak kamyki — cynamon niszczący wrogów, by dać ci siłę, siłę, która rośnie w twoich nogach i rękach, i przede wszystkim w ustach, aż pewnego dnia krzykniesz: „Nie” tak głośno, że wstrząśnięci przestaną.

Gdy przeszliśmy ceremonię oczyszczenia, gdy byliśmy gotowe opuścić wyspę i spotkać nasze osobne przeznaczenia, Najstarsza rzekła:

— Cóрки, czas, bym wam dała nowe imiona. Kiedy przybyłyście na tę wyspę, zostawiłyście stare imiona za sobą i od tej pory pozostałyście bezimienne. Ale pozwólcie, że zapytam was jeszcze po raz ostatni: Czy jesteście pewne, że pragniecie zostać Mistrzyniami? Nie jest za późno, by wybrać łatwiejsze życie. Czy jesteście gotowe zrezygnować z waszych młodych ciał, przybrać na siebie wiek i brzydotę, i nie kończącą się służbę? Gotowe nigdy nie opuścić miejsca, w którym się znajdziecie, sklepu czy szkoły, czy lecznicy? Czy jesteście gotowe nigdy nie pokochać nikogo oprócz przypraw?

Wokół mnie moje siostry-nowicjuszki, w strojach jeszcze mokrych od morskiej wody, którą na nie wylała, stały milczące, drżąc odrobinę. I wydawało mi się, że najładniejsze najdłużej miały spuszczone oczy.

Ach, teraz się dowiedziałam, jak głęboko w ludzkim sercu tkwi próżność, próżność, która jest inną twarzą strachu przed byciem niekochanym, *i*

Ale tego dnia ja, która byłam najbystrzejszą uczennicą Najstarszej, najszybciej posiadałam każde zaklęcie i hymn, najszybciej rozmawiałam z przyprawami, nawet tymi najbardziej niebezpiecznymi, popędliwa w częstej arogancji i niecierpliwości, rzuciłam im spojrzenie na pół politowania, na pół drwiny. Spojrzałam Najstarszej śmiało w oczy i powiedziałam:

— Ja jestem gotowa.

Ja, która nie byłam piękna i dlatego myślałam, że mam mało do stracenia.

Spojrzenie Najstarszej ukłuło mnie jak jadowite ziele. Ale powiedziała tylko:

— Bardzo dobrze.

Potem zawołała nas, byśmy podchodziły do niej pojedynczo. Przez morską mgielkę wyspa rzucała swoje perłowe światło wokół nas. Na niebie tęcze wyginały się jak skrzydła. Każda dziewczyna klękała, a Najstarsza schyliwszy się, kreśliła na jej czole nowe imię. Gdy mówiła, zdawało się, że rysy dziewcząt zmieniały się jak woda i coś nowego wstępowało w każdą twarz.

— Ty będziesz zwana Aparajita, od kwiatu, którego sok, rozsmarowany na powiekach, wiedzie do zwycięstwa.

— Ty będziesz Pia, od drzewa piał, którego popioły wtarte w członki dają wigor.

— A ty...

Ale ja już wybrałam.

— Pierwsza Matko, moim imieniem będzie Tilo.

— Tilo? — Niezadowolenie zabrzmiało w jej głosie, a inne nowicjuszeki uniosły spojrzenia przepełnione lękiem.

— Tak — potwierdziłam i chociaż też się bałam, zmusiłam mój głos, by tego nie ujawnił. — Tilo, w skrócie od Tilottamy.

Ach, jaka byłam naiwna, myśląc, że mogę ukryć swe serce

przed Najstarszą, która później miała mnie nauczyć patrzenia w serca innych.

— Odkąd tu przyszłaś, były z tobą tylko kłopoty, ty buntowniczo. Powinnam cię była wyrzucić od razu przy naszym pierwszym spotkaniu.

Dziwiłam się nadal, że Pierwsza Matka nie rozgniewała się tego dnia bardziej. Czy w moim uporze dostrzegła odbicie własnej młodości?

Korzenie, zwieszające się jak warkocze z gałęzi banianów, zaszeleściły w bryzie. A może to ona westchnęła?

— To imię... czy wiesz, co ono oznacza?

Oczekiwałam tego pytania. Miałam gotową odpowiedź.

— Tak, Pierwsza Matko. *TU* to ziarno sezamu, pod władzą planety Wenus, złocistobrazowe, jakby właśnie dotknięte przez ogień. Jego kwiat jest tak mały i prosty, i zaostzony, że matki modlą się, by ich córki miały nosy o takim kształcie. *TU*, który zmielony na pastę z drewnem sandałowym leczy choroby serca i żołądka, *til*, który smażony w swym własnym oleju odnawia blask, gdy ktoś stracił zainteresowanie życiem. Będę Tilottamą, esencją *tilu*, dawczynią życia, odnowicielką zdrowia i nadziei.

Jej śmiech to odgłos suchych liści chrzęszczących pod stopami.

— Pewności siebie rzeczywiście ci nie brakuje, dziewczyno. Żeby przyjąć imię najpiękniejszej *apsary* z dworu Indry, boga deszczu. Tilottamy, najelegantszej z tancerek, koronnego klejnotu między kobietami. A może nie wiedziałaś?

Zwieszam głowę. Przez moment znów jestem nieświadomym dzieckiem z mojego pierwszego dnia na wyspie, mokrym od wody morskiej, nagim, potykającym się na ostrych śliskich kamieniach. Zawsze potrafi mnie tak zawstydzić. Mogłabym ją za to nienawidzić, gdybym tak jej nie kochała, jej, która naprawdę była dla mnie pierwszą matką, gdy utraciłam już nadzieję, że ktoś mi będzie matkował.

Czubki jej palców, lekkie jak oddech w moich włosach.

— Ach, dziecko, pragniesz tego całym sercem, prawda? Ale pamiętaj: gdy Brahma uczynił Tilottamę główną tancerką na dworze Indry, ostrzegł ją, że nigdy nie wolno jej dać miłości mężczyźnie — tylko tańcowi.

— Tak, Matko. — Przyciskając wargi do papierowych dłoni Najstarszej, śmieję się z sukcesu, z ulgi, z triumfu w tej bitwie, w której walczyłam i zwyciężyłam. — Czyż nie znam reguł? Czyż nie złożyłam ślubów?

A teraz pisze nowe imię na moim czole. Moje imię Mistrzyni, ostateczne i na zawsze, po tak wielu zmianach tego, kim jestem. Moje prawdziwe imię, którego nigdy nie wolno mi zdradzić nikomu innemu oprócz sióstr. Jej palec jest chłodny i porusza się gładko jak olej. Powietrze wypełnia się czystym, gorzkim aromatem ziaren *tilu*.

— Pamiętaj także to: Tilottama, nieposłuszna nakazowi, w końcu upadła. I została wygnana na Ziemię, by żyć jako śmiertelniczka przez siedem żywotów. Siedem śmiertelnych żywotów choroby i starości, ludzi odwracających się z niesmakiem od jej poskręcanych, trędotatych członków.

— Ale ja nie upadnę, Matko.

Ani śladu drżenia w moim głosie. Moje serce wypełnia namiętność do przypraw, moje uszy — muzyka naszych wspólnych tańców. Moją krew — nasza, dzielona z innymi, potęga.

Nie potrzebuję żadnego żalosego śmiertelnika do kochania. Wierzę w to. Całkowicie.

% OZIERADKA



Podaj mi dłoń. Otwórz, potem zamknij. Poczuj.

Kozieradka twarda jak kamyk, zwarta i zamknięta, leży w środku twojej dłoni, w kolorze piasku na dnie starego potoku. Ale włóż ją do wody, a rozkwitnie swobodnie.

Rozgryź napęczniałe ziarna i posmakuj ich gorzką słodycz. Poczuj smak wodnych roślin w dzikim ostępie, krzyk szarej gęsi. Kozieradka, przyprawa wtorku, gdy powietrze jest zielone jak mech po deszczu. Przyprawa na dni, gdy chcę się zawinąć w kołdrę haftowaną w liście *peepul* i snuć opowieści jak na wyspie. Tylko komu bym je tutaj opowiadała?

Kozieradko, prosiłam cię o pomoc, gdy przyszła do mnie Ratna płonąca od trucizny w łonie, spadku po mężowskim zbroczeniu z drogi. I gdy Ramaswarny po dwudziestu latach odwrócił się od swojej żony do nowej przyjemności.

Posłuchaj pieśni kozieradki.- *Jestem świeża dla języka jak rzeczny wiatr, sadze, pożądanie w jałowej ziemi.*

Tak, wzywałam cię, gdy Alok, który kocha mężczyzn, pokazał mi rany otwierające się na jego skórze chciwie jak usta i powiedział: „Zdaje się, że to jest to”. Kiedy Binita podniosła ku mnie twarz jak osmalony kwiat. Binita z guzem jak ziarno ołowiu w piersi i doktorzy mówiący: „Ciąć”, i to spojrzenie oczu jej męża, gdy chodził po sklepie, mówiąc: „Co ja mam robić, proszę”.

Ja, kozieradka, która czynię ciało znowu słodkim, gotowym do kochania.

Kozieradka *methi*, cętkowane nasienie wysiewane na początku przez Szabari, najstarszą kobietę świata. Młodzi tobą

gardzą, wierzą, że nigdy nie będą cię potrzebować. Ale pewnego dnia. Szybciej niż myśla.

Tak, wszyscy oni. Nawet dziewczyny bugenwille.

Dziewczyny bugenwille wchodzą gromadą jak ważki w południe. Ich nagły śmiech rozbrzmiewa wokół mnie. Ciepłe słone fale, które zapierają ci oddech i zatapiają cię. Unoszą się w spleśniałej ciemności sklepu, lśniąca drobinka kurzu w promieniu światła. I po raz pierwszy jestem zawstydzona, i chciałabym, by wszystko było lśniąca i nowe.

Dziewczyny bugenwille mają włosy lśniąca jak heban, zwinęte w ruchliwe warkocze. Albo falujące jak górską wodą wokół uniesionych twarzy tak pewnych siebie, że wiesz, że nic złego nigdy się im nie przytrafiło.

Noszą dźwięczące bransoletki w kolorach tęczy i kolczyki, które kołyszą się przy gładkich szyjach. Ich stopy wysoko sklepione na cienkich błyszczących obcasach, ich długie kołyszące się nogi. Ich pomalowane paznokcie jak purpurowe kwiaty bugenwilli. Ich usta także.

Nie dla nich nuda ryżu-mąki-grochu-kminu-kolendry. One chcą pistacji na *pulao* i ziaren maku na *roganjosh*, który ugotują, spoglądając do książki.

Dziewczyny bugenwille mnie nie widzą, nawet gdy podnoszą głosy, by spytać:

— Gdzie jest *amchurl*

— Czy *rasmalai* jest świeże, jest pani pewna?

Śpiewy kosa, głosem podniesionym jak dla głuchych albo słabych na umyśle.

Przez chwilę jestem zła. Głupie, myślę. Ślepe, trzepoczące, pociągnięte tuszem oczy. Moja dłoń zaciska się w pięść na liściach bobkowych, które tak beztrząsco rzuciły na ladę.

Mogłabym z nich uczynić cesarzowe. Oceany oleju i miodu do kąpieli, lśniąca pałace z krystalicznego cukru. Liść wodnego hiacynta położony na dłoni, by zmienić ich dotyk w złoto. Maść z korzenia lotosu na sutki, by mężczyźni leżeli w niewoli u ich stóp. Gdybym chciała.

Albo mogłabym...

Myślę, że są tak wspaniałe. Córki Fortuny, która niesie je wysoko ponad zasięgiem krzywd. Ale jedna kropla orzechowego soku na mandragorę, gdy będę nad nią szeptać ich imiona.

Pył zgniecionych liści bobkowych frunie z mojej pięści jak dym. Pragnienie z pazurami ostrymi jak tygrys skacze z ukrytego miejsca we mnie.

Zagotuję płatek róży z kamforą, utłukę do tego w móździe-rzu pióra pawia. Powiem słowa tworzenia i pozbędę się tego przebrania, które włożyłam, opuszczając wyspę. To przebranie padnie jak wyliniała skóra węża wokół moich stóp, a ja powstanę czerwona i nowa, i lśniąca wilgocią. Przybrana w zasłonę z diamentów. Tilottama najpiękniejsza, przy której te dziewczyny będą jak błoto zdrapywane ze stóp przed przekroczeniem progu.

Moje paznokcie wbijają się w dłonie. Z krwią przychodzi ból. I wstyd.

— Będiesz kuszona — mówiła Najstarsza, zanim ode-szłam. — Zwłaszcza ty z twoimi rękami z lawy, które chcą tak wiele od świata. Twoje serce z lawy zbyt łatwo frunie do nienawiści, do zawiści, do miłosnej żądz. Pamiętaj, na co ci dano twoją moc.

Wybacz, Pierwsza Matko.

Wycieram skruszone dłonie o sari. Moje stare sari, połatane i poplamione, by mnie broniło od mej własnej próżności, która wciska żar w ściany czaszki, wzbierając jak gorąca para. Wydycham ją, czerwoną mgłę. A gdy nabieram powietrza, zatrzymuję się na zapachu przypraw. Czystym, ostrym, zrównoważonym. On pozwala mi znów widzieć.

A więc błogosławię je, moje dziewczyny bugenwille. Błogosławię okrągłe kości ich łokci, ślizg bioder pod ich jedwabistymi *salwaarami*, pod dżinsami od Calvina Kleina. W żarliwej pokucie błogosławię łuk ich wilgotnych dłoni na butelkach marynaty z limony, którą trzymają pod światło, na puszkach liści *patra*, które dziś usmażają dla młodych mężów albo dla kochanków, bo one zawsze są zamężne od niedawna albo wcale.

Przysmykam oczy i widzę ich wieczorem: światła przygaszone, jedwabne poduszki w kolorze nocy wyszyte malutkimi lusterkami. Może trochę muzyki w tle, sitar albo saksofon.

Podają swoim mężczyznom *biriyani* pachnące *ghee*, chłodne miseczki *raity*, *patrę* przyprawioną kozieradką. A na deser — ociekające złotym miodem *gulab-jamuny* w kolorze ciemnych róż.

Oczy mężczyzn także ciemnieją, jak róże pod burzowym niebem.

Potem usta kobiet, wilgotne czerwone „O” otwierające się jak dla *jamunów*, oddech mężczyzn gorący i nierówny unosi się i opada, i unosi się znów w krzyk.

Widzę to wszystko. Tak piękne, tak krótkie i przez to smutne.

Pozwalam wypłynąć zawiści. One tylko postępują zgodnie ze swoją naturą, te dziewczyny bugenwille. Tak jak ja postępowałam zgodnie z moją, wbrew wszelkim radom.

Zawiść jak zielona ropa już odpłynęła. Cała. Prawie.

Wydycham dobrą myśl nad każdym zakupem, gdy podliczam ceny. Liście bobkowe, nową paczkę, ich brązowe brzegi chrupiące i całe, dokładam za darmo.

Dla moich dziewczyn bugenwilli, których ciała w łóżku lśnią szafranem, których usta pachną moją kozieradką, moim *elach*, moim *paan paraag*. Które stworzyłam. Woniejące piżmem. Płodne. Nieodparte.

Śpię z nożem pod materacem. Robię to od tak dawna, że mały wzgórek, który jego rączka tworzy dokładnie pod moją lewą łopatką, stał się znajomy jak uścisk ręki kochanka.

Tilo, dobra jesteś — ty i mówienie o kochankach.

Kocham ten nóż (nie mogę go nazwać moim), bo dała mi go Najstarsza.

Pamiętam ten dzień, przytłumiony pomarańczowy kolor motyli skrzydeł i smutek wiszący już w powietrzu. Najstarsza wręczała każdej Mistrzynie pożegnalny prezent. Niektóre otrzymały flety, niektóre kadzielniczki, niektóre krosna. Kilka dostało wieczne pióra.

Tylko ja dostałam nóż.

„By utrzymać cię w czystości” — wyszeptała tylko do moich uszu, gdy mi go wkładała w dłoń. Nóż zimny jak woda oceanu, o ostrzu giętkim jak liść juki, która rośnie wysoko na zboczach wulkanu. Nóż mruczący swoją metalową nożową pieśń do moich ust, gdy schyliłam się, by ucałować ostrze. „By powstrzymać cię od marzeń”.

Nóż, aby odciąć moje cumy od przeszłości, przyszłości. Bym zawsze kołysała się na morzu.

Każdej nocy wsuwam go pod spód, gdy rozwijam moje posłanie, każdego ranka podnoszę go i zawijam z wdzięczną myślą. Wkładam go do woreczka, który noszę przy talii, bo ten nóż ma także inne zastosowania.

Wszystkie są niebezpieczne.

Zastanawiasz się, jak on wygląda, taki nóż.

Całkiem zwyczajnie, bo taka jest natura najpotężniejszej magii. Najpotężniejszej magii, która mieszka w sercu naszych codziennych żywotów, migoczącego płomienia, gdybyśmy tylko mieli oczy, by go zobaczyć.

A zatem. Mój nóż mógłby być nożem kupionym w jakimkolwiek sklepie, Thirfty albo Pay Less, albo w Safewayu, drewniana rączka gładko wypłowiwała od potu, płaskie ciemne ostrze już bez blasku. Ale, jak on tnie.

Jeśli pytasz mnie, jak długo żyłam na wyspie, nie umiem ci odpowiedzieć, bo czas miał inne znaczenie w tamtym miejscu. Przeżywałyśmy nasze dni bez pośpiechu, a jednak każdy moment był nagły, wirujący płatek niesiony do morza przez wartką rzekę. Jeśli go nie pochwytyłyśmy, nie nauczyłyśmy się jego lekcji, na zawsze zniknął poza naszym zasięgiem.

Lekcje, których się uczyłyśmy na wyspie, mogą cię zaskoczyć, bo myślisz, że nasze życie Mistrzyń było pełne egzotyki, tajemnicy i dramatów, i niebezpieczeństwa. One tam były, tak, bo moc przypraw, którą uczyłyśmy się naginać do naszych celów, mogła nas zniszczyć w jednej chwili, gdyby była źle przywołana. Ale wiele czasu upływało na zwykłych sprawach, zamiataniu i szyciu, i skręcaniu knotów do lamp, zbieraniu dziękiego szpinaku i pieczeniu *czapati*, i zaplataniu sobie nawzajem włosów. Nauczyłyśmy się być schludne i pracowite i działać razem, chronić się wzajemnie, jeśli mogłyśmy, przed gniewem Najstarszej, jej językiem, który potrafił biczować jak błyskawica. (Ale wspominając, tracę pewność. Czy był prawdziwy ten gniew, czy też było to przebranie, nałożone, by nas nauczyć solidarności?) Przynajmniej nauczyłyśmy się czuć smutki naszych sióstr bez słów i bez słów pocieszać. Pod tym względem to życie nie różniło się tak bardzo od życia dziewcząt, które pozostały w naszych rodzinnych wioskach. I chociaż ja wówczas się złościłam i uważałam taką pracę za stratę mojego czasu (ja, która potępiałam wszystkie zwyczajne rzeczy i czułam, że urodziłam się do czegoś lepszego), to teraz się zastanawiam, czy to nie były najbardziej wartościowe z umiejętności, jakie poznałam na wyspie.

j

Pewnego dnia — a byłyśmy już na wyspie od długiego czasu — Najstarsza zabrała nas w górę, do jądra uspiętego wulkanu, i powiedziała:

— Mistrzynie, nauczyłam was wszystkiego, czego mogłam. Niektóre z was nauczyły się dużo, a inne mało. A niektóre nauczyły się mało, ale myślą, że nauczyły się dużo.

Wtedy jej oczy spoczęły na mnie. Ale ja się tylko uśmiechnęłam, myśląc, że to kolejny z jej kolczastych żartów. Bo czyż nie byłam najzręczniejsza wśród Mistrzyń?

— Nic więcej nie mogę dla was zrobić — powiedziała, patrząc na mój uśmiech. — Teraz musicie zdecydować, dokąd pójść.

Nocny wiatr owionął nas swoimi ciemnymi, tajemnymi zapachami.

Czarny pył z lawy przesypywał się miękko jak proszek między palcami naszych stóp. Krawędzie wulkanu uniosły się spiralnie wokół nas. Siedziałyśmy w ciszy, zastanawiając się, co nadejdzie.

Najstarsza wzięła gałęzie, które wcześniej dała nam do niesienia, i splotła je w kratę na wachlarz. Co to były za gałęzie, nie wiedziałyśmy. Wciąż było wiele rzeczy, które zatrzymała dla siebie. Machała wachlarzem w powietrzu, aż z jego wirowania powstała wokół nas mgła.

— Patrzcie — powiedziała.

Rozcinając gęstą jak mleko mgłę, obrazy układały się jedne na drugich, ich obrzeża ostre i lśniące.

Drapacze chmur ze srebrnego szkła nad jeziorem szerokim jak ocean, mężczyźni i kobiety okutani w futra, biali jak śnieg pokrywający chodniki przechodzą na drugą stronę ulicy, by uniknąć ciemnej skóry. Dziewczyny z brązowego cukru, w lichych jaskrawych sukienkach, z wymalowanymi ustami, oparte na gankach baraków, czekające na klientów. Marmurowe mury wokół pałacyku, nabijane szklanymi odłamkami, by rozdrzeć ręce człowieka na strzępy. Wyboiste drogi obsadzone żebakami, których skóra nie może utrzymać wystających kości. Kobieta patrzy przez swoje zakratowane okno na świat poza jej zasięgiem, a jej czoło uciska małżeński *sindur* jak moneta

z krwi. Wąskie wybrukowane ulice, domy z żaluzjami, mężczyźni w fezach jedzą daktyle *medjool* i wypluwają: „Niewierny pies”, gdy przechodzi Hindus.

Wszędzie wokół nas — przytłaczający jak swąd spalonego mięsa — odór nienawiści, który jest zarazem odorem strachu.

— Toronto — powiedziała Najstarsza. — Kalkuta, Rawalpindi, Kuala Lumpur, Dar es Salaam.

Przepalone latarnie, zakratowane okna, wyłożone ceglami ściany w zaułkach pocięte literami, z których kapie czerń. Ślubny baldachim, lament *szehnai*, dziecko-panna młoda w *szararze* widzi po raz pierwszy przygarbionego, pomarszczonego mężczyznę, któremu sprzedał ją ojciec. Prości robotnicy w turbalach piją *daru* i grają w karty nad otwartymi ściekami. Fabryki ubrań śmierdzące krochmalem i potem, i obławami urzędu imigracyjnego, kobiety skute kajdankami, z płaczem wpychane do ciężarówek. Dzieci kaszlące, ośleple, walczące, by się obudzić ze snu w pałacy płuca gaz. „Cholerne indyjskie pedały. Pierdolone przyglupy. Pakistańcy do domu”. Czarni mężczyźni skradają się w zakurzonych *dasziki* po gorących ulicach, wpatrzeni przez okienne płyty we wnętrza klimatyzowanych indyjskich sklepów. Przepychający się tłum ze śpiewem niesie słoniogłowego boga do oceanu, śliskiego od trucizn.

— Londyn, Dhaka, Hasnapur, Bhopal, Bombaj, Lagos.

Zagubione brązowe twarze spoglądały na nas, nie widząc, nie wiedząc, wołając. My patrzyliśmy na nie, milczałyśmy wstrząśnięte.

Wiedziałyśmy, że trudno będzie opuścić tę wyspę kobiet, gdzie ciepły deszcz jak ziarna granatu padał na naszą skórę, gdzie budziłyśmy się do ptasich okrzyków i zasypiałyśmy przy śpiewie Pierwszej Matki, gdzie nagie bez wstydu pływałyśmy w jeziorach niebieskich lotosów. Zmienić to na ludzki świat, którego szorstkość pamiętałyśmy. Ale to?

— Los Angeles, New Jersey, Hongkong.

— Kolombo, Singapur, Johannesburg.

Obrazy przeplatały się dymem na obrzeżach, wypalając się w gałkach naszych oczu.

W końcu Mistrzynie zaczęły cichymi i pełnymi obaw głosami wskazywać na obrazy, które tańczyły w gryzącym powietrzu. Bo cóż innego mogły zrobić?

— Może ja tam pójde, Pierwsza Matko.

— A ja tutaj.

— Pierwsza Matko, jestem zbyt przerażona, ty wybierz za mnie.

A ona skłaniała głowę i wyznaczała każdej Mistrzynie to, czego ta pragnęła, czego powinna była pragnąć: miejsce, gdzie spędzi resztę życia, miejsce, do którego skłania ją jej natura.

Dubaj, Asansol, Vancouver, Islamabad.

Patna, Detroit, Port of Spain.

Teraz zostało tylko kilka widoków migoczących w powietrzu kończącej się nocy.

A ja wciąż nic nie mówiłam. Czekałam, nie wiedząc na co.

Potem dostrzegłam to. Fale eukaliptusa i sosny ponderosa, sucha trawa w kolorze lwiej sierści, połysk szkła i wypolerowanej sekwoi, wille kalifornijskich bogaczy balansujące niepewnie na niespokojnych wzgórzach. Gdy się przyglądałam, obraz zmienił się na okopcone czynszówki stłoczone jak pogniecione pudełka po płatkach śniadaniowych, usmolone dzieci goniące się między bryłami z betonu i drutu kolczastego. Teraz noc zapadała jak sieć, a mężczyźni w podartych płaszczach kulili się wokół ognisk w kubłach na śmieci. Za tym wszystkim woda pofalowana i cofająca się, ciemna jak szyderstwo, a na czubkach mostów płoną piękne, niedostępne światła.

A pod tym wszystkim ziemia z żyłami pełnymi ołowiu czeka niecierpliwie, by się otrząsnąć i oczyścić.

Jeszcze zanim przemówiła, znałam jego imię, Oakland, to drugie miasto nad zatoką. Moje.

— O Tilo — powiedziała — muszę ci dać to, o co prosisz, ale zastanów się, zastanów. Lepiej, żebyś wybrała jakieś in-

dyjskie osiedle, targowe miasto w Afryce. Każde inne miejsce na świecie, Katar, Paryż, Sidney, Kingston, Town, Chaguanas.

— Dlaczego, Pierwsza Matko?

Westchnęła i popatrzyła w bok, pierwszy raz unikając moich oczu.

Ale ja czekałam, aż powiedziała:

— Mam przecucie.

Najstarsza, która widzi więcej, niż mówi, jej kręgosłup zgięty i zmęczony pod tym ciężarem. A ja z uporem młodości chciałam przejść po skraju klifu przypominającym ząb lwa. Mówiłam jej:

— To jedyne miejsce dla mnie, Pierwsza Matko — przytrzymując jej wzrok, aż powiedziała:

— Idź więc, nie mogę cię zatrzymać.

Ja, Tilo, myślałam ogarnięta dziką falą radości: wygrałam, wygrałam.

W ostatnich godzinach nocy ułożyliśmy stos drewna w sercu wulkanu, w gotowości. Tańczyliśmy wokół niego, śpiewając o Shampati, ptaku mitu i pamięci, który zanurzył się w pożogę i odrodzony uniósł się z pyłów, tak jak my miałyśmy uczynić. Byłam ostatnia w szeregu i gdy okrążyliśmy stos, wpatrywałam się w twarze moich siostr-Mistrzyń. Nie wzdrygnęły się za mocno, gdy na słowo Najstarszej drewno zajęło się płomieniem.

Ogień Shampati. Odkąd tylko przybyliśmy na wyspę, słyszaliśmy szepty, widziałyśmy odciski na nadprożach i wokół drzwi domu Matki znaki wzlatającego ptaka z płomiennym dziobem skierowanym w niebo. Tylko na jednym znaku, na drzwiach do komnaty, gdzie sypiała Najstarsza, znak był odwrócony, ptak na zawsze padał w żarliwe serce płomieni. Nie odważyłyśmy się spytać, co to oznacza.

Ona jednak pewnego dnia sama nam powiedziała.

— Patrzcie dobrze, Mistrzyni. Raz na długi czas Mistrzyni,

która stała się buntownicza i dogadza sobie, zaniedbuje obowiązki i musi zostać odwołana. Wysłała się jej ostrzeżenie i pozostają jej tylko trzy dni na uporządkowanie swoich spraw. Potem ogień Shampati rozpala się dla niej ponownie. Ale tym razem wkraczając weń, czuje go w pełni, parzenie i przypiekanie, ostrza płomieni tnące jej ciało na strzępy. Krzycząc, czuje zapach pękających kości, skóry wybrzuszonej się i wybuchającej.

— A potem?

Najstarsza wzruszyła ramionami, rozłożyła dłonie, na których roztopiły się linie, a ja widząc je, raz jeszcze zaczęłam się zastanawiać: jak?

— Przyprawy decydują. Niektórym Mistrzynie wolno powrócić na wyspę, znów się uczyć i pracować. Dla niektórych to jest koniec, pokruszony węgiel, ostatni krzyk wiszący w powietrzu jak rozdarta pajęczyna.

Pamiętałam to wszystko, gdy obserwowałam moje siostry-Mistrzynie. Jedna po drugiej wkraczały w ogień, a gdy doszły do środka, znikwały. Gdy patrzyłam na puste powietrze, drżące w miejscu, gdzie były chwilę wcześniej, uderzył mnie smutek głębszy, niż kiedykolwiek spodziewałam się czuć. Zawsze zachowywałam dystans, przez wszystkie te lata na wyspie, wiedząc, że ten dzień musi nadejść. A więc kiedy się wślizgnęły do mojego serca, te dziewczyny-kobiety lśniące przezroczyścią, czyste jak alabaster, ostatnie na świecie, które wiedziały, kim jestem i jak to jest być tym?

Gdy nadeszła moja kolej, zamknęłam oczy. Czy się bałam? Wierzyłam w to, co mówiła nam Najstarsza:

— Nie będziecie płonąć, nie będziecie czuć bólu. Obudzicie się w swoim nowym ciele, jakby zawsze do was należało.

Nie było cierpienia na twarzach moich sióstr, nim zniknęły. A jednak było to trudne po raz trzeci w mojej krótkiej egzystencji stanąć twarzą w twarz z unicestwieniem wszystkiego, czym było dla mnie życie.

I tak daleko. Tak daleko. Wcześniej o tym nie myślałam. Galaktyka nocy między wyspą i Ameryką.

Na moim łokciu dotknięcie delikatne niczym płatek kwiatu.
— Poczekaj, Tilo.

Za zasłoną dymu to lśnienie w jej oczach. Czy to były łzy? I to klucie w moim sercu — co to było?

Prawie to powiedziałam. „Matko, odbierz tę moc. Pozwól mi zostać tu z tobą. Jaka satysfakcja może być większa od tej, że służy się temu, kogo się kocha?”

Ale nie pozwoliły mi dni i lata, chwile, które popychały mnie do tego miejsca nieugiętą i uczyniły mnie tym, kim byłam.

— Tilo, córko moja — powiedziała Najstarsza i z jej twarzy wyczytałam, że moje zmagania czuje we własnym sercu — najbardziej uzdolniona, najbardziej kłopotliwa, najbardziej kochana. Tilo podróżująca do Ameryki żarliwie jak strzała, mam tu coś dla ciebie.

I z fałd swojej szaty wyjęła to i ułożyła mi na języku — plasterek korzenia imbiru, dzika wyspa *ada*, by dać mojemu sercu nieugiętość, bym miała siłę do wypełniania ślubów.

Ostre szczyknięcie imbiru, ty byłeś ostatnim smakiem na moim języku, gdy wstępowałam w serce ognia Shampati. Języki płomieni jak sen lizały moją topniejącą skórę, palce płomieni opuszczały moje powieki.

I gdy się obudziłam w Ameryce na posłaniu z popiołów, wiek później czy tylko oddech, sklep już utwardzał wokół mnie swoją ochronną skorupę, przyprawy na półkach drobiazgowo i oczekujące, ty byłeś pierwszym smakiem, imbirze, piaskowy i złoty w moim gardle.

Gdy niebo staje się ogniście czerwone od zachodu słońca i smogu, gdy chuda palma obok przystanku autobusowego rzuca długi postrzępiony cień na wejście, wiem, że czas zamykać.

Rozwijam drewniane żaluzje i ześlizguję je w poprzek ospowatego łuku bladego księżycy. W szarym oknie, które jest jedynym lustrem sklepu, cień mojej twarzy faluje przez chwilę. Zamykam oczy, odsuwam się. Skoro Mistrzynie przybrała swoje magiczne ciało, ma nigdy nie widzieć swojego odbicia. Ten nakaz mnie nie zasmuca, bo bez patrzenia wiem, jaka jestem stara i jak daleka od piękności. To także zaakceptowałam.

Zastanawiasz się, czy zawsze tak było.

Nie.

Ach, to pierwsze przebudzenie w cichym sklepie, zapach wilgotnego cementu spływającego ze ścian, z mojego ciała. Gdy podniosłam rękę, tak ciężką w luźnej skórze, poczułam krzyk przybierający kształt jak ciemna dziura w mojej piersi. „Nie to, nie to”. To drzenie kolan, gdy wypchnęłam się w górę, ten ból, który kłuł pokręcone kości moich rąk.

Moich pięknych rąk.

Gniew, którego innym imieniem jest żal, przepłynął przeze mnie jak dziki ogień. Ale kogo mogłam winić? Najstarsza ostrzegła nas po stokroć.

O głupia Tilo, zawsze zbyt prędko myślisz, że wiesz lepiej.

Po chwili ustąpił ten gniew, ten ból. Może się do niego przyzwyczaiłam? A może to sprawiła pieśń przypraw? Bo gdy je trzymałam w swoich zniekształconych rękach, przyprawy śpiewały czystiej niż kiedykolwiek, ich nuty trafne i wysokie jak w ekstazie, jakby wiedziały, że teraz cała jestem ich.

I byłam. Jestem. Szczęśliwa.

Zatrząskuję drzwi wejściowe do sklepu. Przekręcę klamkę. Haczyk. Podnoszę na miejsce ciężką metalową sztabę. Przy każdym wejściu klaszczę i wymawiam słowa, które mają odstraszyć szczury i myszy, chochliki, które pokrywają soczewicę zielonym futrem pleśni i sprawiają, że chutneye psują się w zapieczętowanych szklanych słoikach.

Mają odstraszyć chłopców, którzy poszukują zdobyczy na nocnych ulicach. Chłopców o miękkich podbródkach z morelowym puszkciem, o ciałach twardych od gniewu nieposiadania. Chcących i nie posiadających, i krzyczących wewnątrz swoich głów: Dlaczego? Dlaczego, jeśli ty masz?

Ściany sklepu stają się niewyraźne, coraz bardziej niewyraźne, wreszcie niewidzialne dla obcych oczu. Nawet ty, stojąc na zewnątrz, pomyślisz, że widzisz tylko cienie migoczące na pustym placu.

Teraz czas na rozłożenie posłania w środku, gdzie podłoga zapada się trochę. Nade mną naga żarówka rzuca głębokie zaokrąglone cienie, sufit znika w kolorze dymu. Wokół mnie wiadra mąki *bajra*, pękate beczułki oleju rzepakowego, pokrzejające, solidne. Worki błyszczącej soli morskiej dotrzymują mi towarzystwa. Przyprawy szepczą swoje tajemnice, wzdychają do swoich przyjemności.

Ja też wzdycham do swojej przyjemności. Gdy się kładę, miasto ze wszystkich kierunków wciska we mnie swój ból i strach, i niecierpliwą miłość. Całą noc chcę tym żyć, zwyczajnym życiem, z którego zrezygnowałam dla przypraw, przez te myśli, które się we mnie przetaczają.

Tilo, której życie jest tak spokojne, tak uporządkowane, tak zawsze jednakowe, czyż nie jest wspaniałą jak wino ten smak śmiertelnego smutku i śmiertelnej nadziei?

Każda myśl jest wzorem gorąca, który przybiera kształt słów, twarzy i pokoju wokół niej, jeśli się dość postaram.

Najpierw przychodzą myśli nocnych chłopców, wysoki pomruk jak linie elektryczne tuż przed burzą.

„O potęgo, o radości, która nas unosi, gdy kroczymy przez późne ulice, gwizdząc, kręcąc łańcuchami, a ludzie zmykają do swoich dziur, wieją i wieją jak karaluchy. My jesteśmy króle. I pomarańczowy wytrysk płomienia z ust naszych kochanek, naszych metalowych kochanek, które dadzą nam śmierć, śmierć o wiele lepszą od miłości, kiedy tylko poprosimy”.

Nocni chłopcy z albinotycznymi oczyma bezbarwnymi jak kwas. Ścinają krew w moim sercu. Spycham ich myśli z powrotem w ciemność, która ich zrodziła, ale wiem, że niewidzialne nie znaczy nie istniejące.

Ale oto inny obraz. Kobieta w kuchni gotuje mój ryż. Jest aromatyczna jak ziarna, które obraca w palcach, by sprawdzić, czy są gotowe. Ryżowa para zmiękczyła jej skórę, rozluźniła włosy przez cały dzień ściągnięte do tyłu. Złagodziła linie pod oczami. Dziś dzień wypłaty, więc może zacząć smażenie, ziarenka gorczycy pryskają na patelni, *brinjal* i gorzka dynia robią się żółtoczerwone. Do curry z kalafiora jak białe pięści dodaje *garam masala* na cierpliwość i nadzieję. Czy jest jedna, czy jest ich wiele, czyż nie jest kobietą w setkach hinduskich domów posypującą słodki *kheer*, który dusił się przez całe popołudnie, ziarnami kardamonu z mojego sklepu na marzenia, które powstrzymują nas od szaleństwa?

Wewnątrz mojej głowy jej myśli uderzają o siebie, padając.

„Cały wieczór biegam tam i z powrotem z kuchni do okna od frontu jak dzikuska, aż dzieci nie przyjdą do domu. Taka jestem od czasu tego, co się stało z dziewczyną Guptów w ubiegłym tygodniu, i to w biały dzień, niech nas bogowie bronią. O ich ojca też się martwię, zwolnienia w pracy, walczy z kierownikiem, z dłużnikami. A może jest znowu w Bailey z innymi mężczyznami i zapomniał, która godzina. Kiedy wkładałam mu na szyję ślubną girlandę, czyja wiedziałam, że tak to jest być żoną i matką, że przypomina to chodzenie po ostrzu noża ze strachem jak wilk czekającym po obu stronach. A najgorsze ze wszystkiego te usta, usta przychodzą do mnie nawet jak wreszcie zasnę, usta wygięte głodem przez tyle dni w tym miesiącu, płaczące: »Takie dobre, Amma, daj nam jeszcze pół łyżki więcej, proszę, Amma, proszę«, a ja się odwracam z oczami jak udręczone kamienie”.

Mężczyźni, gdzie oni są? Ich myśli wydają zapach spękanej ziemi w roku, gdy nie przyszły monsuny, prowadzą mnie do pokojów obwieszonych zdjęciami ze starych kalendarzy. Plaża

Jehu, Złota Świątynia, Zeenat w usianej słońcem sukni. Teraz ich widzę, buty zżute kopnięciem, opuchłe stopy uwolnione i uniesione ciężko na rozklekotane stoły. Wdychają stare pocieszające zapachy. Mielona kolendra, prażony *saunf*, lekkie podzwanianie kobiecych bransolet. Zaciskają ręce na spoconych brązowych butelkach piwa Taj Mahal, które kupili w moim sklepie, żują wnętrze warg. Czuję w moich ustach słony smak krwi, gdy ich myśli wbiegają pospiesznie.

„Ach, to piwo spływa tak pieniście słodko i gładko, ale potem w gardle zostaje gorycz, jak dawny nie dokończony sen. Nikt nam nie powiedział, że tak ciężko będzie w tej Amreekah, cały dzień szorowanie tłustych podłóg, leżenie pod silnikami, z których kapie czarny olej, prowadzenie bekających potwornych ciężarówek, które pokrywają nam płuca smołą. Stanie za ladą podejrzanych moteli, gdzie musimy się uśmiechać, kiedy podajemy kurwom klucze. Tak, zawsze się uśmiechać, nawet kiedy ludzie mówią: »Skurwiele cudzoziemcy przejmują nasz kraj, kradną nam pracę«. Nawet kiedy gliny nas łapią, bo jesteśmy w złej części — w bogatej części miasta. Myśleliśmy, że już będziemy z powrotem w domu, w Trichy, w Kharagpurze, w Bareilly. Pod słodkim pomrukiem wentylatora na suficie w mozaikowym pokoju z podłogą zieloną jak morze mieliśmy się opierać na jedwabnych poduszkach, a służący miał przynosić lodowate *lassi* z pływającymi w nim płatkami róż. Ale właściciel stale podnosi czynsz, w ubiegłym tygodniu samochód nie chciał zapalić, a dzieci tak szybko wyrastają z ubrań. *Phir bhi*, nie szkodzi. W tym tygodniu pojedziemy autobusem do Tahoe, Dilip *bhaiya* i ja, zagramy w paru kasynach, może nam się poszczęści jak Arjunowi Singhowi, który wygrał na loterii i następnego dnia wszedł do 7-Eleven i powiedział do swojego szefa: »Pluję na ciebie i na twoją robotę, twoją robotę, twoją robotę«".

Ale już czas na kolację. Matki wołają *i dzieci biegną od swych zadań domowych*, przystawia się krzesła, wnosi parujące półmiski. Ryż. *Rajma. Karela sabji. Kheer.*

Dziewczynka. Włosy splecione w bliźniacze ciasne warkocze, natłuszczone i posłuszne, nogi złożone razem — jej matka mówiła, że tak siedzą porządne dziewczyny. Podnosi miszkę *kheeru*, a jej myśli, fruujące jak zakurzone wróble w brązowym zaułku na tyłach, rozbłyskują nagle błękitem zimorodka.

„Dzisiaj *kheer*, tak dawno go nie było, i jak ojciec i starszy brat sobie nałożyli, zostało jeszcze dosyć, dosyć nawet dla matki, która zawsze je ostatnia. *Kheer* z migdałami i rodzynkami, i chrupiącymi strączkami *elaichi*, bo ta stara kobieta w sklepie powiedziała, że są w promocji, kiedy zobaczyła, że patrzemy. Zanurzam usta w jego słodczy, moje wargi jak mleczne białe kreski, i to jest jak Nowy Rok, i jak w Nowy Rok mogę pomyśleć życzenie. Więc życzę sobie domu, dużego piętrowego domu z kwiatami od frontu i bez ubrań zwieszających się z okien, i dość miejsca, żebyśmy nie spali w łóżkach po dwoje, dość łazienek na długie, długie kąpiele, i żeby była gorąca woda. Życzę sobie lśniącego nowego samochodu ze złotymi felgami i białymi siedzeniami przypominającymi kocie futerko, i może jeszcze motocykla, czerwonego motocykla, na którym zapiera ci dech, kiedy starszy brat rusza z tobą z tyłu. Dla matki nowej pary butów zamiast tych, które wyklada gazetą, i błyszczących kolczyków jak u kobiet z telewizji. A dla mnie, dla mnie dużo, dużo lalek Barbie, Barbie w nocnej koszuli i Barbie w sukni na bal maturalny, i Barbie w kostiumie kąpielowym, srebrne wysokie obcasy i szminka, i prawdziwe piersi. Barbie z talią tak wąską i włosami tak złotymi, a przede wszystkim ze skórą tak białą, i tak, chociaż wiem, że nie powinnam, że muszę być dumna, że jestem Hinduską, jak matka mówi, ale życzę sobie tej amerykańskiej skóry, tych amerykańskich włosów, tych niebieskich, niebieskich amerykańskich oczu, żeby nikt się na mnie nie gapił, no chyba tylko po to, żeby powiedzieć WOW”.

Si

SAFETYDA



W sklepie każdy dzień ma jakiś kolor, jakiś zapach. A jeśli umiesz słuchać, ma też melodię. A piątek, piątek, gdy jestem najbliższa niepokoju, mruczy jak odpalający samochód. Mruczy i wibruje, cały sprężony, by zniknąć na tej neonowej autostradzie, za którą na pewno leżą otwarte pola w kolorze indygo. Wdychasz ten zapach głęboko, bo kto wie, kiedy znowu weźmiesz oddech. A potem orientujesz się, że hamulec jest zablokowany.

Więc może to nawet odpowiednie, że ten samotny Amerykanin wchodzi do sklepu w piątkowy wieczór, księżyc w pełni już szybuje nad ramieniem kobiety na billboardzie przy autostradzie, która w czarnej wieczorowej sukni podnosi szklanę chivas. Światła nadjeżdżających samochodów padają na cyrkonie na ramiączkach jej sukni tak, że kamyki zaczynają lśnić jak oczekiwanie. Jej oczy są jak dym, jej usta jak owoc granatu. Ranią mnie. A gdy się przysłuchuję, pędzące samochody brzmią żalobnie jak wiatr w bambusach wyspy.

Zaczynam mówić, że właśnie zamykam, ale potem spoglądam na niego i nie mogę.

To nie to, żebym nie widziała wcześniej Amerykanów. Przychożą tu cały czas, ci przypominający profesorków w tweedowych marynarkach z łatami na łokciach albo w długich spódnicach o uczciwych barwach ziemi, krisznowcy w pomarszczonych białych kurtkach z ogolonymi głowami, studenci z plecakami w rzadko pranych džinsach, niedobitki hipisów, brodaci i z przerezedzonymi włosami. Chcą świeżych ziaren kolendry, oczywi-

ście uprawianych bez sztucznych nawozów, albo czystego *ghee* do diety uwalniającej od karmy, albo wczorajszych *burfi* za pół ceny. Zniżają szorstkie głosy: „Hej, proszę pani, ma pani haszysz?”

Daję im, czego chcą. Zapominam o nich.

Czasem czuję pokusę. Przykład. Gdy wchodzi Kwesi o skórze ciemnej jak wino, z włosami gęsto skręconymi jak pędy nocnych chmur. Kwesi, który stąpa jak wojownik, bezgłośnie, który niesie ciało z wdziękiem i bez strachu, więc pragnę zapytać, co robi.

I ta blizna jak błyskawica na jego czole, ten wzniośleść kostki, złamanej i wyleczonej, na jego lewej ręce.

Ale nie pytam. To nie jest dozwolone.

„Pamiętajcie, po co idziecie” — mówiła Najstarsza. „Żeby pomagać takim jak wy, i tylko im. Inni muszą iść ze swoimi potrzebami gdzie indziej”.

Więc pozwalam, by szum sklepu zagłuszył serce Kwesiego bijące jego historię. Odwracam się od jego pragnień, prostych i kolorowych jak dziecięce łąki. Ważę i pakuję to, co kupił, mąkę z ciecierzycy, mielony kmin, dwa pęczki cilantro.

— To miło — mówię, gdy opowiada mi, że chce przyrzucić *pakory* dla kogoś szczególnego i bez dłuższego gadania macham mu na pożegnanie. Przez cały ten czas drzwi mojego umysłu są szczelnie zamknięte.

Ale z samotnym Amerykaninem czuję się inaczej, jakbym mogła mieć trudności, by zrobić z nim to samo. To nie z powodu jego ubrania. Czarne spodnie zaprasowane w kant, czarne buty, prosta czarna skórzana kurtka — nawet ja, tak mało pod tym względem doświadczona, mogę powiedzieć, że to kosztowne. Powodem nie jest też sposób, w jaki stoi, szczupły i o wdzięcznych biodrach, z dłonią swobodnie wsuniętą do kieszeni, kołysząc się lekko na piętach. Ani jego twarz, choć przykuwa wzrok ostrą linią szczęki, wysoko uniesionymi kośćmi policzkowymi, które mówią o uporze, gęstymi czarnoniebieskimi włosami,

spadającymi na czoło w niedbalej elegancji. Ani oczy, bardzo ciemne, z małymi punkcikami światła lśniącymi wewnątrz. Nie ma w nim nic, co by pokazywało samotność, prócz pajęczyny myśli w kącie mojego umysłu, nic, by wytłumaczyć, co mnie tak przyciąga.

Potem to sobie uświadamiam. Z innymi zawsze wiedziałam, czego chcę. Od razu.

— O, tylko się rozglądam — odpowiada, gdy pytam głosem starej kobiety, który mógłby nie być teraz taki drżący.

„Tylko się rozglądam”, i uśmiecha się zaskakująco przekrzywionym uśmiechem, i wpatruje się we mnie spod prostych brwi, jak gdyby widział mnie naprawdę, mnie pod tym ciałem, i jakby mu się podobało to, co widzi. Chociaż jak to możliwe?

Wciąż wpatruje się prosto w moje oczy, jak nikt nigdy oprócz Najstarszej.

Wewnątrz czuję chybotanie, jakby coś zszytego się rozrywało.

0 niebezpieczeństwo.

I teraz w ogóle nie mogę go odczytać. Wchodzę w niego i szukam, i jestem otoczona jedwabną chmurą. Więc cała moja wiedza to drgnięcie jego brwi, jakby uważał, że zabawne jest to wszystko, ale to na pewno głupie z mojej strony myśleć, że wie, co robię.

A jednak chcę tego. Chcę, żeby wiedział. Chcę, żeby wiedział i by go to bawiło. Tak dawno już nikt nie spojrział na mnie inaczej niż z ignorancją. Albo z respektem. Gdy o tym myślę, samotność wypełnia moje piersi, nowy, bolesny, przyniatający ciężar, jak zatapiająca woda. To niespodzianka. Nie wiedziałam, że Mistrzynie może się czuć tak bardzo samotna.

Amerykaninie, ja też szukam. Myślałam, że moje szukanie się skończyło, gdy znalazłam przyprawę, ale potem zobaczyłam ciebie i teraz już nie wiem.

Chcę mu to powiedzieć. Chcę wierzyć, że zrozumie.

W mojej głowie echo jak pieśń kamienia. Mistrzynie musi

wyrwać własne pragnienia ze swojej piersi, musi wypełnić pustkę po nich potrzebami tych, którym służy.

To mój własny głos, z miejsca i czasu tak odległego, że chcę go nazwać nieprawdziwym. Odwracam się od niego plecami. Ale.

— Proszę się rozglądać — mówię Amerykaninowi całkiem oficjalnym tonem. — Muszę się przygotować do zamknięcia sklepu. — I żeby się czymś zająć, przestawiam paczki *papadów*, sypię *rawa* do papierowych torebek i uważnie je opisuję, przesuwam puszkę *atty* na drugą stronę wejścia.

— Proszę pozwolić, pomogę pani.

I zanim przestałam myśleć, że jego głos jest jak uprażony na złoto *besan* wymieszany z cukrem, jego ręka na brzegu puszeki dotyka mojej.

Jakie słowa mam wybrać, by to opisać, to dotknięcie, które przenika mnie jak ostrze ognia, ale jest tak słodkie, że chcę, by ból nigdy nie zniknął. Wyrwam rękę posłuszna prawom Mistrzyń, ale to wrażenie pozostaje.

I ta myśl: nikt nigdy przedtem nie chciał mi pomagać.

— Wspaniałe miejsce ma pani tutaj. Fantastyczny klimat — mówi mój Amerykanin.

Wiem, że pozwalam sobie na zbyt dużo, nazywając go moim. Uśmiechając się w odpowiedzi, gdy powinnam mówić: „Proszę iść, jest już o wiele za późno, do widzenia, dobranoc”.

Zamiast tego podnoszę paczuszkę.

— To *dhania* — mówię. — Nasiona kolendry, okrągłe jak ziemia, na oczyszczenie wzroku. Kiedy je zalejesz wodą, a potem ją wypijesz, woda zmyje twoje stare winy.

Dlaczego ja mu to mówię? Tilo, przestań.

Ale ta jedwabna chmura wyciąga ze mnie słowa. Do niego.

Przytakuje i dotyka malutkich planet przez plastikowe opakowanie, uprzejmy i nie zaskoczony, jakby to, co mówię, było całkowicie naturalne.

— A to — unoszę pokrywkę i przesypuję delikatny proszek

przez palce — jest *amchur*. Przyrządzony z czarnej soli i wysuszonych, utartych mango, by przywrócić miłość do życia. Tilo, nie papłaj jak dziewczyna.

— Ach — pochyla głowę, żeby powąchać, podnosi wzrok, uśmiechając się z aprobatą. — Niczego takiego wcześniej nie wahałem, ale podoba mi się.

Potem się odsuwa.

I nagle mówi oficjalnym tonem:

— Zbyt długo panią zatrzymałem. Powinna pani zamykać. Tilotama. Głupia, powinna wiedzieć lepiej. Myśleć, że mógłby być zainteresowany!

W drzwiach podnosi rękę, w geście pozdrowienia lub pożegnania, lub może tylko po to, żeby odgonić krążące ćmy. Czuję wielki smutek, bo odchodzi z pustymi rękami, bo nie potrafiłam odkryć, czego szukał. Bo coś skręca się wewnątrz, mówi mi, że go tracę, jedynego mężczyznę, którego serca nie umiałam odczytać.

I potem.

— Jeszcze się zobaczymy — mówi samotny Amerykanin i uśmiecha się. Jakby naprawdę tak myślał. Jakby on też miał czekać.

Gdy samotny Amerykanin odchodzi, przemierzam sklep ze smutkiem, bez celu. Niezadowolenie, ta stara trucizna, o której myślałam, że mnie opuściła, gotuje się we mnie gęsta i lepka. Nie mogę się zdobyć na zamknięcie. Zaryglować drzwi, znałyby przyznać, że naprawdę odszedł. Na zewnątrz mrugają latarnie. Mężczyźni i kobiety podnoszą kołnierze płaszczy i znikają pod ziemią w przyćmionym szczęku i łoscocie metra. Żółta mgła wypełnia opustoszałe ulice, a gdzieś w dali syreny zaczynają wyć, przypominając nam, jak ulotne jest szczęście. Ale oczywiście nikt nie słucha.

Szukam dla niego przyprawy.

— Rozmaite przyprawy mogą nam pomagać na rozmaite problemy — powiedziała Najstarsza, gdy nauczyła nas podstawowych sposobów leczenia. — Dla każdego istnieje jego specjalna przyprawa. Nie, nie dla was — Mistrzynie nigdy nie mogą używać przypraw dla własnych potrzeb — ale dla każdego, kto do was przychodzi, ona istnieje. Jest zwana *mahamul*, korzeń przypraw, i dla każdej osoby jest inna. *Mahamul*, by powiększyć fortunę, by przynieść sukces lub rozkosz, by odwrócić pecha. Jeśli nie wiecie, jak inaczej komuś pomóc, musicie wejść głęboko w siebie i poszukać *mahamulu*.

Samotny Amerykaninie, od czego powinnam zacząć, ja, która zawsze szczyliłam się, że szybko znajduję lek?

Wędruję między półkami. *Kało jirel Ajwainł* Proszek z mango i korzenia imbiru? *Choon*, pałaca biała limonka owinięta w liście betelu? Nic nie wydaje się odpowiednie. Nic nie pasuje. Może wina jest we mnie, w mojej rozproszonej duszy. Ja, Tilo, nie mogę przestać myśleć o tych oczach jak tropikalna noc, tak samo głębokich, tak samo pełnych zagrożenia.

I dlaczego się upieram, by go nazywać samotnym? Może właśnie teraz, właśnie gdy ja niezadowolona przechodzę obok półek soczewicy, gdy ja zanurzam niespokojne ręce po łokcie w pojemniku z *rajmą* i pozwalam, by chłodne czerwone strączki toczyły się po mojej skórze, on przekręca klucz. Drzwi się otwierają, kobieta z włosami jak złota mgła unosi się z kanapy, by wziąć go w siebie...

Nie. Nie jest tak. Ja na to nie pozwolę.

Wchodzi i zapala światło, naciska kontakt i dźwięk *sarodu* wypełnia pusty pokój. Wyciąga się na poduszce z Jaipuru — bo kocha wszystko, co indyjskie — i myśli o tym, co dziś widział, o sklepie pachnącym całym światem, o kobiecie, której oczy bez wieku przyciągają go jak...

Daremne marzenia. Daremne, ryzykowne marzenia.

„Gdy zaczniecie wplatać własne pragnienia do wizji — mówiła nam Najstarsza — prawdziwe widzenie zostanie wam odebrane. Wszystko się wam pomiesza, a przyprawy przestaną was słuchać”.

Wycofaj się, Tilo, zanim będzie za późno.

Zmuszam swój umysł, żeby się opróżnił. Będę ufać tylko moim rękóm, moim rękóm ze śpiewającymi kośćmi, by się dowiedzieć, czego potrzebuje samotny Amerykanin.

Sklep stoi nie zakratowany, świecąca kryształowa fiolka pod obcasem buta nocy. Wejście roi się szarością skrzydeł ciem. Ale nie mogę teraz się tym zająć.

Wchodzę do wewnętrznego pokoju i zamykam oczy. W ciemności moje dłonie świecą jak latarnie. Przesuwam palce wzdłuż zakurzonych półek.

Fosforyczne palce, koralowe palce, czekam, aż mi powiecie, co muszę zrobić.

W swojej sypialni samotny Amerykanin skopuje buty, odsuwa jedwabne przykrycie łóżka. Zrzuca koszulę i pozwala, by upadła na podłogę. Światło świecy płynnie gra na jego ramionach, plecach, twardym, muskularnym wzniesieniu pośladków, gdy pozwala opaść spodniom i stoi prosty, gibki, stworzony z kości słoniowej. Za chwilę się odwróci...

Płyn wypełnia moje usta gorącą słodką falą. Dotąd w żadnym z moich żywotów: przepowiedzki przyszłości ani królowej piratów, ani adeptki przypraw, nigdy nie widziałam nagiego mężczyzny, nigdy nie pragnęłam tego zobaczyć.

Wtem moje dłonie zatrzymują się ze wzdrygnięciem.

Nie teraz, ręce, nie teraz. Dajcie mi jeszcze chwilę.

Ale one są nieruchome, nieugięte. Moje i nie moje. Zaciśnięte wokół czegoś twardego i ziarnistego, pulsującej bryłki, której gryzący zapach wcina się w moją wizję.

Obrazy kruszą się, pył czy marzenie, i odchodzą.

Wzdychając, otwieram niechętne oczy.

W mojej dłoni — bryłka asafetydy.

Trzask w drugim pokoju, jakby coś się łamało. A może to noc rzuca się na szyby sklepu.

Iskrząco twarda skała z Marsa, przynaglająca tego, kto ją dostanie, do sławy i chwały, z dala od uwodzicielskiej Wenus. Zgubna żółta asafetyda, by wylugować miękkość i zostawić męczyznę z samych ścięgien i kości.

Poryw wiatru wnosi zapach mokrych płaszczy. Podłoga pod moim utykaniem jest lodową krą. Zmuszam się, by podejść do drzwi. Sztaba w moich rękach zdaje się straszliwie ciężka. Prawie nie mogę jej podnieść. Muszę użyć całej siły, by z drzeniem wepchnąć ją na miejsce, nim będzie za późno.

Asafetyda *hing*, która jest lekarstwem na miłość.

Wyczerpana opieram się na drzwiach, wiedząc, czego się oczekuje ode mnie, Mistrzynie Przypraw, ale zarazem ich słuźebnicy.

Czuję ich wzrok jak wstrzymany oddech.

Nawet powietrze przypomina żelazo.

Gdy mogę się znów ruszyć, podchodzę do skrzynki z rękodzielami. Odsuwam batikowe apaszki i powłoczki na poduszki ozdobione lusterkami, i noże do papieru z brązu, i terakotowe boginie, pozwalam temu wszystkiemu spadać na podłogę, aż je /najdę — małe gładkie hebanowe pudełko wyłożone aksamitem jak skrzydło kosa. Otwieram je, wrzucam do środka asafetydę i precyzyjnym, pochylonym wyspowym pismem, którego nauczyła nas Najstarsza, piszę: „Dla samotnego Amerykanina”.

Wokół mnie podnosi się miękki pomruk ulgi. Wietrzyk pieści moją szyję, łagodny wydech, wilgotny od aprobaty. A może to łzy — choć nigdy przedtem nie płakałam?

Odwracam twarz od sklepu, od miliona oczu przypraw, małych, lśniących, wszechobecnych. Stalowe punkciki jak gwoździe, po których mam stąpać. Po raz pierwszy odkąd zostałam Mistrznią, naciągam przykrycie na moje najgłębsze myśli.

Nie jestem pewna, czy to podziała, ten mój podstęp.

Ale zdaje się, że tak. Czy to tylko przyprawy chcą mi poprawić humor?

Wsuwam pudełeczko z tyłu szafki pod kasą, by czekało w kurzu na jego nadejście. Kładę się. Dookoła mnie łagodne przyprawy uspokajają się w rytmie nocy. Ich miłość tchnie wokół mnie ciężka jak siedem złotych zasłon, które kobiety muszą nosić w dniu swego ślubu.

Tyle miłości, jak ja mam oddychać?

A więc gdy sklep jest ukołysany do snu, odkrywam tajemną komnatę mojego ja i zaglądam do niej. I nie jestem zaskoczona tym, co tam znalazłam.

Nie dam jej, utwardzającej serce asafetydy, mojemu samotnemu Amerykaninowi.

Nieważne, czego chcą przyprawy.

Jeszcze nie teraz, czy nigdy?

Na to nie znam odpowiedzi.

Ale głęboko w środku czuję pierwsze drzenie, ostrzeżenie przed trzęsieniem ziemi, które ma nadejść.

Bogaci Hindusi zstępują ze wzgórz migoczących jaśniej niż gwiazdy, tak jasnych, że łatwo zapomnieć, że to tylko elektryczność. Ich samochody lśnią jak nawoskowane jabłka, suną jak łabędzie po dziurach przed moim sklepem.

Wóz zatrzymuje się, umundurowany szofer wyskakuje, by przytrzymać drzwi ze złotą klamką, i stopa w złocistym sandale staje na ziemi. Miękka i wysklepiona, i prawie biała. Palce jak płatki róż zwijają się w pogardzie, byle dalej od tego, co się wala po ulicy: podartych papierów, gnijących obierzyn, psiego gówna, ściągniętych prezerwatyw wyrzuconych przez tylne szyby samochodów.

Bogaci Hindusi rzadko przemawiają, jakby tak wiele pieniędzy zatkało im gardła. Wewnątrz sklepu, do którego wstąpili

jedynie dlatego, że znajomi mówili: „Och, jest taki osobliwy, m u s i s z iść przynajmniej raz”, tylko pokazują. A szofer skacze, by to wziąć. Ryż basmati, bardzo długie ziarna, dojrzewające w jutowych workach, które dodają im słodczy. Najdelikatniejsza mąka, prawdziwa marka Elephant. Olej gorzycowy w kosztownej szklanej butelce, choć tuż obok stoją ekonomiczne puszki. Szofer ślania się pod tym ładunkiem. Ale będzie więcej. Świeże *lauki* przywożone samolotem z Filipin i *methi saag* o szmaragdowych liściach, którą wyhodowałam w skrzynce na oknie z tyłu. Całe pudełko szafranu jak wióry płomienia i, na funty, małe łuskane pistacje — najdroższy gatunek — zielone jak pączki mango.

— Proszę zaczekać tydzień — mówię — będą w promocji.

Bogaci Hindusi patrzą na mnie ciężkimi oczami, które prawie w ogóle nie mają koloru. Kiwają na szofera, który podnosi jeszcze dwa funty.

Ukrywam uśmiech.

Bogaci Hindusi wyciągają szyje i unoszą wysoko podbródki, bo zawsze muszą być bardziej niż inni ludzie — wyżsi, przystojniejsi, lepiej ubrani. A przynajmniej bogatsi. Przenoszą swoje ciała jak worki pieniędzy przez drzwi i wsadzają do swoich aksamitnych samochodów, pozostawiając za sobą rozpadający się odór starych banknotów.

Inni bogaci przysyłają zamiast tego listy zakupów, bo bycie bogatą osobą to czasochłonne zajęcie. Pola golfowe, lunche charytatywne w Sali Korneliańskiej, kupowanie nowych lam-borghini i pudełek na cygara wykładanych lapis lazuli.

Jeszcze inni zapomnieli, że są Hindusami, i jedzą tylko kawior.

Dla nich wszystkich wieczorem spalą *tulsi*, bazylię, która jest rośliną pokory, naginającą ego. Znam smak słodkiego dymu bazylii na języku, bo i dla mnie wiele razy paliła ją Najstarsza. Bazylia poświęcona Sri Ramowi, która gasi pragnienie władzy, która odwraca myśli do wewnątrz, z dala od spraw tego świata.

Bo wewnątrz nawet bogaci ludzie są tylko ludźmi.

Muszę to sobie raz po raz powtarzać. A także to, czego uczyła nas Najstarsza:

„Nie waszą jest rzeczą wybierać i przebierać we współczuciu. Do tych, którzy was najbardziej gniewają, musicie się najmocniej pochylić z pomocą”.

Jest jeszcze coś, co muszę ci powiedzieć.

Gdy wpatruję się głęboko w życie bogatych ludzi, czasem jestem zmuszona do pokory, do powiedzenia: „Kto by pomyślał”. Przykład. Anant Soni, który po dniu na konferencji w korporacji wideo siada przy łóżku swojej matki, by pomasaować jej artretyczne dłonie. I żona doktora Lalchandaniego, która wpatruje się niewidzącym wzrokiem w okno sypialni swego zaprojektowanego przez architekta domu, bo po drugiej stronie miasta jej mąż jest w łóżku z inną kobietą. I Prameela Vihh, która sprzedaje domy za milion dolarów, a wysyła pieniądze siostrze do schroniska dla maltretowanych kobiet. I Rajesh, którego firma weszła na giełdę tego samego dnia, gdy doktor przesunął do niego po stole wyniki biopsji i oznajmił: „Chemoterapia”.

A właśnie teraz stoi przede mną kobieta w zbyt dużych dżinsach od Billa Blassa i w butach od Gucciego. Kupuje stopy i stopy *naanów* na przyjęcie dziś wieczór, bębni rubinowo błyskającymi palcami w ladę, gdy podliczam płaski brązowy chleb, i mówi ostrym jak blacha ocynkowa głosem:

— Doprawdy, ja się spieszę.

Ale tak naprawdę pogrążona jest w myślach o swoim nastoletnim synu. Zachowywał się ostatnio tak dziwnie, włóczy się z chłopakami, którzy przerażają ją kolczykami z żyłek i motocyklowymi kurtkami, i buciarami ciężkimi jak na wojnę. Ich zimne, zimne oczy i szczeliny ust, które stają się jego oczami, jego ustami. Czy on może bierze... Jej umysł otrząsa się ze słowa, którego nie może wymówić nawet we wnętrzu zacisniętych ust, a pod wszystkimi warstwami, podkładem i ko-

rektorem, i różem, i gęstym fuksjowym cieniem do powiek, jej twarz staje się posiniaczona przez miłość.

Bogata kobieto, dziękuję, że mi przypomniałaś. Pod najbardziej lśniącą zbroją, złoconą czy diamentową, bicie wrażliwego na zranienie ciała.

W rogu jej dobrze dobranej torebki od Gucciego umieszczam *hartuki*, wysuszone ziarno w kształcie macicy, które nie ma amerykańskiego imienia. *Hartuki*, by pomóc matkom znieść ten ból, który zaczyna się wraz z porodem i trwa na zawsze, ból i zarazem rozkosz, splecione ciemne i niebieskie jak pępowina wokół szyi noworodka.

Sobota przychodzi do mnie jak nieoczekiwany błysk tęczy pod czarnym skrzydłem ptaka, jak rozszerzająca się w piruecie spódnica tancerki *kathak*, szybka i jeszcze szybsza. Sobota to bębny dudniące z odtwarzaczy w autach młodych mężczyzn, którzy przejeżdżają obok niebezpiecznie wolno. I czego oni szukają? Sobota zapiera mi oddech. W sobotę umieszczam wywieszki: ŚWIEŻA, ŚWIEŻA METHIZ WŁASNEJ UPRAWY. WYPRZEDAŻ DIWALI NAJNIŻSZE CENY. NAJNOWSZE FILMY NAJLEPSI AKTORZY, JUHI CHAWLA I AMIR KHAN, DWA DNI WYPOŻYCZENIA ZA CENĘ JEDNEGO. A nawet, odważnie: SPYTAJ, JEŚLI NIE MOŻESZ ZNALEŹĆ.

Tak wiele ludzi w sobotę, wydaje się, że ściany muszą wziąć głęboki oddech tylko po to, by ich utrzymać. Wszystkie te głosy: hindi, orijski, assamski, urdu, tamilski, angielski, warstwa na warstwie jak nuty *tanpury*, wszystkie te głosy proszące o więcej, niż mówią słowa, proszące o szczęście, tylko że nikt nie wie gdzie. Więc muszę wsłuchiwać się w przerwy pomiędzy, muszę ważyć je w swoich dłoniach z koralowymi kośćmi. Muszę szeptać zaklęcia nad paczkami i workami nawet wtedy, gdy

ważę i mierzę, i podliczam, nawet kiedy wołam udającym surowość głosem:

— Proszę nie dotykać *mithai* — a także — jeśli butelka się stłukła, musi pani zapłacić.

Kocham wszystkich tych, którzy przychodzą do mojego sklepu w sobotę.

Nie powinnaś myśleć, że tylko nieszczęśliwi odwiedzają mój sklep. Inni też przychodzą i jest ich wielu. Ojciec niosący córkę na ramionach wstępuje po *laddu* w drodze do zoo. Para emerytów, ona trzyma go za łokieć, on opiera się na lasce. Dwie żony na popołudniowych zakupach i pogaduszkach. Młody naukowiec od komputerów, planujący zaskoczyć swoich rodziców, którzy zjawili się z wizytą, nową umiejętnością gotowania. Przechodzą przez moje drzwi lekko, a gdy poruszają się między półkami, wybierając, lśni wokół nich najdelikatniejszy blask.

„Popatrz, pęczki liści *podina* zielonych jak las naszego dzieciństwa. Podnieś je i powąchaj, jakże świeże i ostre. Czy to nie wystarczający powód do radości? Rozedrzyj opakowanie orzeszków *cashew* w chilli i upchnij garść w ustach. Żuj. Ten pikantny smak, to chrupanie i rozdrabnianie w policzkach, te pyszne łyż, które napływają ci do oczu. Tu jest proszek *kumkum* czerwony jak serce kwiatu hibiskusa do posmarowania czoła na szczęście w małżeństwie. I popatrz, popatrz, mydło sandałowe Mysore ze swoim łagodnym błyszczącym zapachem, ta sama marka, którą zwykleś mi kupować w Indiach tyle lat temu, gdy byliśmy nowożeńcami. Ach, życie, jakie ono jest wspaniałe”.

Posyłam za nimi błogosławieństwo, gdy wychodzą, szepta podziękowania, że pozwolili mi dzielić swoją radość. Ale już znikają z mojego umysłu, już odwracam się od nich do innych. Innych, których potrzebuję, bo oni potrzebują mnie.

Manu, który ma siedemnaście lat, w błyszczącej kurtce, czerwonej jak wrzask, wpada niecierpliwie po worek *bajra atta*

dla matki, zanim pójdzie do szkoły strzelić parę bramek. Rozzłoszczony Manu, który jest w maturalnej klasie szkoły Ridgefield, myśli: „To nie fair, to nie fair”. Bo gdy powiedział: — Bal maturalny — jego ojciec wrzasnął:

— Całe to picie whisky, piwa i tańczenie, przyciskanie tanych amerykańskich dziewczuch w minispódniczkach, o czym ty myślisz? — Manu stojący na palcach we wściekle fosforyzujących butach Nike, które kupił za pieniądze zaoszczędzone z czyszczenia łazienek w motelu wuja, gotowy odlecieć, gdyby tylko wiedział, gdzie wylądaje.

Manu, daję ci kawałek sezamowego cukierka zrobionego ze słodkiej melasy *gur*, żebyś zwolnił i usłyszał przerażoną miłość w głosie ojca, który się boi, że straci cię dla Ameryki.

I Daksha, która wchodzi w białym fartuchu pielęgniarki, wykrochmalonym i lśniącym jak jej buty, jak jej uśmiech.

— Daksho, czego dzisiaj potrzebujesz?

— Ciociu, dziś jest *ekadasi*, wiesz, jedenasty dzień miesiąca księżycowego, więc moja teściowa, będąc wdową, nie może jeść ryżu. Pomyślałam sobie, może trochę kaszy pszenicznej, żeby zrobić dla niej budyń *dalia*, a skoro już tu jestem, to mogę od razu wziąć trochę tego twojego *methi*, mój mąż tak lubi *parathy z methi*.

Obserwuję jej twarz, gdy przebiera w gorzkozielonych listkach. Twarz obwisającą na brzegach, gdzie wytarł się blask. Cowieczorny rytuał: przychodzenie do domu ze szpitala i gotowanie, wałkowanie *chapati* gorących, gorących z *ghee*, bo jej teściowa mówi, że stare jedzenie z lodówki jest dobre tylko dla służby i psów. Gotowanie, smażenie, przyprawianie, nalewanie, podawanie, wycieranie, gdy wszyscy siedzą, mówią: „Dobre”, mówią: „Jeszcze”, nawet jej mąż, bo czyż w końcu kuchnia nie jest miejscem kobiety?

W odpowiedzi na moje pytanie mówi:

— Tak, ciociu, ciężko jest, ale co robić. W końcu musimy się troszczyć o naszych starszych. Za dużo problemów powstaje

w domu, kiedy mówię, że nie dam rady z całą robotą. Ale czasem chciałabym...

Przerywa. Daksha, której nikt nie słucha, co sprawiło, że zapomniała, jak mówić. A wewnątrz niej, naciskający na podniebienie, ogromny i cichy horror tego, co widzi przez cały dzień. Na oddziale AIDS ci młodzi, młodzi mężczyźni, którzy stali się tak lescy jak dzieci, o wyżartych kościach. Ich krucha, posiniaczona skóra, ich ogromne, czekające oczy.

Daksho, tu jest nasienie czarnego pieprzu do ugotowania w całości i wypicia, by rozluźnić twoje gardło, byś nauczyła się mówić: „Nie”, to słowo tak trudne dla hinduskiej kobiety. „Nie” i „Posłuchajcie mnie teraz”.

I Daksho, zanim pójdziesz, tu jest *amla* na inny opór. *Amla*, sama bym chciała ją brać w niektóre dni, by pomóc sobie znieść ból tego, czego nie można zmienić, ból rosnący powoli i ogromny jak monsunowa chmura, która ukryje słońce, jeśli jej pozwolisz.

Teraz wsuwa się Vinod, właściciel Indyjskiego Rynku po drugiej stronie zatoki, który czasem przychodzi sprawdzić konkurencję, który podnosi pięcioletnie opakowanie *dal*, żeby sprawdzić, czy jest tam trochę mniej niż u niego sklepie. Który myśli: „Głupia”, jeśli nie jest mniej. Vinod, który podskakuje, kiedy zagaduję:

— Jak interesy, *Wmod-bhail* — bo zawsze myślał, że nie wiem, kim jest. Daję mu paczkę pełną zielonobrazowocznego i mówię: — Z ukłonami od kierownictwa. — A potem kryję śmiech za dłoń, gdy wacha podejrzliwie.

— Ach, *kari patti* — mówi wreszcie. A myśli: „Szalona kobieta”, myśli: „2,49 dolara zysku”, wsuwając je do kieszeni, te ściągające liście ususzone na ciemno na pędzie, by złagodzić nieufność i skapstwo.

W sobotę, gdy sklep pulsuje rytmem krwi i pożądaniem, czasem przychodzi do mnie jasnowidzenie. Nie panuję nad nim. Nie ufam mu do końca. Pokazuje mi ludzi, którzy odwiedzają

sklep, ale nie mówi, czy to będzie za dzień, za rok czy za całe życie. Twarze są niewyraźne i bezkształtne, wykrecone, jakby oglądane przez butelkę coli. Mało na nie zważam. Zbyt jestem zajęta i z radością pozwalam, by czas przyniósł to, co przyniesie.

Dzisiaj jednak światło ma różowy odcień jak rozkwitłe właśnie kwiaty *karabi*, a indyjska stacja radiowa nadaje piosenkę o dziewczynie cienkiej w talii, która nosi srebrne bransolety na kostkach, i jestem głodna tego widoku. W powietrzu można wyczuć zapach zbliżony do zapachu morskich ptaków. Budzi we mnie tęsknotę, by otworzyć okna. Chodzę wzdłuż półek z frontu i patrzę na zewnątrz, choć tam nie ma nikogo prócz bezdomnej kobiety sunącej za sklepowym wózkiem i grupki chłopców leniwie podpierających pokryte graffiti ściany Salonu Fryzjerskiego Myshy Zaplatamy Warkocze. Niecierpliwy głos przywołuje mnie z powrotem do kasy. Długi, niski szmaragdowy cadillac z rekinimi płetwami przejeżdża obok. Klient narzeka, bo dwa razy naliczyłam to samo. Przepraszam. Ale w myślach próbuję odtworzyć, czy samotny Amerykanin przyjechał samochodem.

Tak, przyznaję, on jest przyczyną. I tak, chcę go znów zobaczyć. I tak, jestem rozczarowana, gdy wizja spada na mnie jak gorączka, i z drzeniem przyglądam się twarzom tych, którzy wchodzi, ale nie widzę jego. Obiecał, mówię sobie, i czuję większą złość, bo tak naprawdę nie obiecał. Nagle chcę wyrzucić *mithai* z pudełka na podłogę, potoczyć *laddu* i *rasogollah* w kurz, żeby syrop i potłuczone szkło lepiły się do podeszew butów. I szok w oczach klientów, których pragnienia mnie zmęczyły. ;

Bo raz chcę wypełnić moje pragnienie.

Byłoby tak łatwo. *Tola* korzenia lotosu spalona wieczorem z *prishnipami*, kilka wypowiedzianych słów i nie potrafiłby

się trzymać z daleka. To on stałby naprzeciwko mnie, a nie ten tłusty mężczyzna w okrągłych okularach, który mówi, że skończył mi się *chana besan*. Gdybym chciała, widziałby nie to stare ciało, ale to, co zechcę, łuk piersi jak mango do ujęcia w dłoń, długą, szczupłą linię eukaliptusowego uda. Wezwałabym na pomoc inne, *abhrak* i *amlaki*, by usunęły zmarszczki i przyczeruiły włosy, i wzmocniły obwisłe ciało. I króla wszystkich, *makaradwaj*, odmłodziciela, którego Ashwini Kumar, bliźniaczy lekarze bogów, dali swemu uczniowi Dhanwantariemu, by uczynić go największym z uzdrowicieli. *Makaradwaj*, który musi być używany z największą ostrożnością, bo nawet jedna miarka więcej może przynieść śmierć, ale ja się nie boję, ja, Tilo, która byłam najbardziej błyskotliwa ze wszystkich wychowanek Najstarszej.

Tłusty mężczyzna coś mówi, jego język rusza się gruby i różowy w otwartych ustach. Ale ja go nie słyszę.

Najstarsza, Najstarsza. Co ona by powiedziała na to pragnienie? Zamykam oczy z domyślną winą.

— O ciebie martwię się najbardziej — powiedziała mi tego dnia, gdy odeszłam.

Staliśmy na najwyższej krawędzi wulkanu, nad nami tylko niebo. Ogień Shampati jeszcze nie został rozpalony. Wokół ciemnego zarysu stosu wieczór był fioletowoszary i miękki jak śnie. Daleko pod nami rozbijały się fale białe i ciche jak we śnie.

Jak pasma mgły, jej strapienie krążyło wokół mnie.

Chciałam przyciągnąć ją do siebie i złożyć pocieszający pocałunek na aksamitnym zmarszczeniu jej policzka. Jakbym to ja była starsza, a nie ona. Ale nie odważyłam się na taką bliskość.

Zamiast tego oskarżyłam.

— Nigdy nie masz wiary we mnie, Pierwsza Matko.

— Bo widzę twoją naturę, Tilo lśniącą, ale ze skazą, diamentem, przez który biegnie rysa, który wrzucony do kotła Ameryki może się rozpaść.

— Jaka rysa?

— Żądza życia, ten apetyt, by skosztować każdej rzeczy, i słodkiej, i gorzkiej, własnym językiem.

— Matko, martwisz się bez potrzeby. Zanim księżyc przejdzie niebo, czyż nie wstąpię w ogień Shampati, który spala każde pożądanie?

Westchnęła.

— Modłę się, by z tobą tak uczynił. — I pobłogosławiła mnie w ciemnym powietrzu.

— *Chana besan* — mówi teraz tłusty mężczyzna, cuchnący marynowanym czosnkiem i zbyt obfitymi obiadami. — Nie słyszała pani, jak mówię, że chcę trochę *chana besan*¹.

Moja czaszka jest sucha i gorąca. Wewnątrz wysokie brzęczenie, jak pszczoły.

Tłusty mężczyzno, mogłabym wziąć garść nasion gorczycy i powiedzieć słowo, a przez miesiąc gorączka paliłaby się w twoim żołądku, zmuszając do wymiotowania wszystkiego, cokolwiek byś zjadł.

Tilo, czy tak nisko upadłaś?

Wewnątrz mojej głowy odgłos jak deszcz. A może to są łzy przypraw?

Gryzę wargę, aż wypływa krew. Ból mnie oczyszcza, zaczyna uwalniać truciznę z mojego ściśniętego ciała.

— Bardzo mi przykro — mówię mężczyźnie. — Mam duży worek *besan* na zapleczu.

Odmierzam paczkę i zaznaczam na niej palcem runy samokontroli. Dla mnie i dla niego.

O przyprawę, wciąż jestem wasza. Tilottama, rdzeń natury *til*, dawcy życia i miłości, i nadziei. Pomóżcie mi nie odpaść od siebie samej.

Samotny Amerykaninie — chociaż moje ciało jest nagłym szybowaniem, kiedykolwiek myślę o tobie — jeśli masz do mnie przyjść, to musi się to stać z powodu twojego własnego pragnienia.

Wczesnym rankiem wkracza dziarsko do sklepu, by zrobić tygodniowe zakupy dla rodziny, chociaż jego syn wiele razy mówił: „*Baba*, dlaczego w twoim wieku?” Dziadek Geety wciąż chodzi jak major, choć minęło już dwadzieścia lat. Jego koszula sztywno odprasowana ze sterczącymi rogami kołnierzyka, jego stalowoszare spodnie z idealnymi kantami z przodu. I jego buty, czarne jak północ buty z firmy Bata, wypucowane tak, by pasowały do onyksu, który nosi na lewej ręce dla zachowania spokoju umysłu.

— Ale spokoju umysłu nie mam, nawet na jotę, odkąd przekroczyłem *kalapani* i przyjechałem do tej Ameryki — powtarza mi. — Ten Ramu, on mówił: „Przyjedź, przyjedź, *baba*, wszyscy tu jesteśmy, po co chcesz się starzeć tak daleko od twojej krwi, od twojej wnuczki?” Ale mówię pani, lepiej nie mieć wnuczki, niż mieć taką jak Geeta.

— Wiem, co pan ma na myśli, *dada* — mówię, by go uspokoić. — Ale na pewno się pan myli, wasza Geeta to taka miła dziewczyna, taka ładna i tak grzecznie się odzywa. Tyle razy była u mnie w sklepie i zawsze specjalnie kupuje moje pikantne marynowane mango, i mówi mi bardzo uprzejmie, jakie są smaczne. I taka bystra, skończyła college z najwyższymi ocenami, prawda, jej matka mi mówiła, a teraz pracuje w jakiejś dużej firmie inżynierskiej?

Zbыва moje komplementy machnięciem rzeźbionej mahoniowej laski.

— Może to dobre dla tych wszystkich kobiet *firingi* w tym kraju, ale *didi*, niech pani sama powie, czy młoda dziewczyna powinna pracować późno, późno w biurze z mężczyznami i wracać do domu dopiero po zmroku, w dodatku czasami w ich samochodach? *Chee, chee*, w Jamshedpurze posmarowałiby nam za to twarze gnojem. I kto by się z nią ożenił? Ale jak

to tłumaczę Ramu, to mi mówi: „*Jaba*, nie martw się, oni są tylko przyjaciółmi. Moja dziewczyna jest za mądra, żeby się zadawać z jakimś obcokrajowcem”.

— Ależ, *dada*, to w końcu jest Ameryka, a nawet w Indiach kobiety teraz pracują, nawet w Jamshedpurze.

— *Hai*, mówi pani teraz jak Ramu i jego żona, ta Sheela wychowywała swoją dziewczynę zbyt swobodnie, nigdy nawet klapsa, i niech pani patrzy, co się dzieje. *Arre baap*, co z tego, że to Ameryka? Ciągłe jesteśmy Bengalczykami, no nie? A dziewczyny i chłopcy to nadal dziewczyny i chłopcy, *ghee* i zapalona zapalka, położyć ich razem, a ogień wybuchnie prędzej czy później.

Daję mu butelkę oleju *brahmi* na ostudzenie gniewu.

— *Dada* — mówię — pan i ja jesteśmy teraz starzy, powinniśmy spędzać czas z modlitewnymi koralami i pozwolić, by młodzi wiedli takie życie, jakie uważają za najlepsze.

A jednak co tydzień dziadek Geety zjawia się z nowymi oburzającymi opowieściami.

— Co za dziewczyna, w tę niedzielę obcięła włosy krótko, krótko, tak że widać jej nawet kark. Mówię jej: „Geeta, coś ty zrobiła, twoje włosy to esencja twojej kobiecości”. I wie pani, co ona na to?

Mogę odczytać odpowiedź w jego pooranej zmarszczkami twarzy. Ale pytam, by złagodzić jego gniew.

— Zaśmiała się, odsunęła z twarzy te wszystkie nieporządne kosmyki i mówi: „Och, dziadku, musiałam jakoś zmienić wygląd”.

Albo:

— Ta Geeta, ile ona makijażu kładzie na twarz. Uff, za moich czasów robiły to tylko Angielki i prostytutki. Porządne i hinduskie dziewczyny nie wstydzą się twarzy, którą Bóg im* dał. Nie ma pani pojęcia, co ona ze sobą zabiera nawet do pracy..

Jego ton jest pełen oburzenia. Mam ochotę się uśmiechnąć. Ale mówię tylko:

— Może pan tylko tak sobie wyobraża. Może...

Powstrzymuje mnie, z triumfem unosi rękę.

— Wyobrażam sobie, mówi pani. Ha! Na własne oczy widziałem, kiedy zajrzałem do jej torebki. Tusz, róż, podkład, cień do powiek i więcej, nawet nie pamiętam, jak się nazywają, i szminka tak bezwstydnie jaskrawa, że wszyscy mężczyźni muszą się gapić na jej usta.

Albo:

— *Didi*, niech pani posłucha, co ona zrobiła w ostatni weekend. Kupiła sobie nowy samochód, kosztował tysiące i tysiące dolarów, taki błyszcząco niebieski, że bołą oczy. Powiedziałem Ramu: „Co to za nonsens, zupełnie dobrze mogła jeździć twoim starym samochodem, te pieniądze powinieneś jej zaoszczędzić na posag”. Ale ten ślepy głupek tylko się uśmiecha i mówi: „To jej pieniądze za jej pracę, a poza tym dla mojej Geety znajdziemy miłego hinduskiego chłopca stąd, który nie wierzy w posag”.

— Geeto — wołam cicho po jego wyjściu. — Geeto, której imię oznacza słodką pieśń, utrzymaj cierpliwość, humor, radość życia. Palę tu kadzidło z kwiatu *champak* za harmonię w twoim domu. Geeto, która jesteś Indianami i Ameryką wymieszanymi w nową melodię, bądź wielkoduszna dla starego człowieka, który trzyma się swojej przeszłości całą siłą słabnących rąk.

Dziś dziadek Geety wchodzi bez swojej pasiastej plastikowej torby na zakupy, jego ręce kołyszą się bez celu, palce sztywno wykręcone i niezgrabne, gdy nie mają nic, czego mogłyby się chwycić. Stoi przez chwilę przy ladzie, wpatrując się w *mathai*, ale ich nie widzi, a gdy pytam, czego dziś potrzebuje, wybucha:

— *Didi*, nie uwierzy pani!

Jego głos jest donośny od niedoli i poczucia cnoty, ale w głębi słyszę surowy zgrzyt strachu.

— Sto razy mówiłem Ramu: „To nie jest metoda na wychowywanie dzieci, a zwłaszcza dziewcząt, godzić się za każdym razem, gdy czegoś chcą. Pamiętasz, jak w Indiach wszyscy twoi bracia i siostry dostali raz czy dwa dobre lanie i potem nigdy nie miałem z wami kłopotów. Czy ja was mniej kochałem, nie, ale znałem swoje ojcowskie obowiązki”. Sto razy mu mówiłem: „Wydaj ją teraz za męża, skoro skończyła college. Dlaczego czekasz, aż nieszczęście zapuka do twoich drzwi?” A teraz niech pani patrzy, co się stało.

— Co? — Niecierpliwie się, moje serce ścisną zło przecucie. Próbuję zajrzeć do środka, ale tunele jego umysłu są zasłane starymi liśćmi i kurzem.

— Wczoraj dostałem list od Jadu Bhatchaja, mojego starego przyjaciela z wojska. Szukają żony dla jego ciotecznego wnuka, wspaniały chłopak, bardzo bystry, zaledwie dwadzieścia osiem lat i już zastępca sędziego okręgowego. Dlaczego nie posłać informacji o Geecie i zdjęcia, napisał, może rodzice się zgodzą? Jakie to wspaniałe wiadomości, myślę i składam podziękowanie bogini Durdze. Kiedy Ramu wraca do domu, natychmiast mu mówię. Wcale nie jest specjalnie zadowolony: „Wychowała się tutaj, czy ona może żyć razem z wielką rodziną w Indiach?” A Sheela oczywiście dodaje: „O, nie chcę wysłać mojej jedynej córki tak daleko”. „Kobieto — mówię jej — ty po prostu nie masz rozsądku. Czy twoja własna matka także nie musiała cię wysłać daleko? Musicie zrobić to, co dla niej najlepsze. Już od urodzenia prawdziwy dom dziewczynki jest u rodziny jej przysłego męża. A jaką lepszą rodzinę znajdziemy dla Geety niż krewni Jadubabu, tacy starzy, szanowani bramini, których wszyscy w Kalkucie znają?” „OK” — mówi wreszcie Ramu. „Zapytamy Geetę”.

Robi przerwę, by złapać oddech.

Mam ochotę wytrząsnąć z niego tę powolną opowieść, ale wciskam paznokcie w ladę i czekam.

— Cóż, madame wraca jak zwykle późno, o dziewiątej wieczorem, mówiąc: „Ja już jadłam, pamiętacie, mówiłam wam, paru chłopaków szło na pizzę”. Chcę powiedzieć: „Odkąd to jesteś jednym z chłopaków”, ale ćwiczę opanowanie. Jej ojciec mówi o liście. „Tato — odpowiada — powiedz mi, że żartujesz”. I śmieje się, i śmieje. „Czy wyobrażasz mnie sobie z zasłoną na twarzy, jak przez cały dzień siedzę w parującej kuchni z pęczkiem domowych kluczy przywiązanych do rąbka sari?” Ramu mówi: „Daj spokój, Geeto, to nie będzie tak”. Ale ja mówię: „A co w tym złego, Panno Zadarty Nosie? Twoja babka, niech Bóg zachowa jej duszę u swych lotosowych stóp, robiła to przez całe życie”. Ona na to: „Bez obrazy, dziadziu, ale to po prostu nie jest dla mnie. A skoro poruszyliśmy ten temat, to zaaranżowane małżeństwa też nie są dla mnie. Gdy będę wychodzić za męża, sama sobie wybiorę męża”.

Ramu ma niezbyt szczęśliwą minę, a brwi Sheeli zaczynają się marszczyć. Zaczynam im mówić: „Czy wy to słyszycie? Właśnie dlatego dawno wam mówiłem, wyślijcie ją do misyjnej szkoły z internatem Ramkrishna w Chuchurze”, a ona mi przerywa, słowa pędzą wszystkie razem: „Myślę, że to równie dobry moment jak każdy inny, byście się dowiedzieli, że już znalazłam kogoś, kogo kocham”.

Chee, chee, ani trochę wstydu, opowiadać o miłości przed własnymi rodzicami, przede mną, swoim dziadkiem.

Gdy się otrząsnęli z pierwszego szoku, Ramu pyta: „Co to znówu?”, a Sheela pyta: „Kto to jest?” Potem razem pytają: „Kim on jest?” i „Czy my go znamy?”

„Nie znacie go” — odpowiada. Twarz ma czerwoną i wstrzymuje oddech tak mocno, jakby była pod wodą, i od razu wiem, że nadchodzi coś jeszcze bardziej niepomysłnego.

„Pracuje w firmie, jest kierownikiem projektowania”. Po-

tem Geeta się nie odzywa przez całą minutę. Wreszcie mówi: „Nazywa się Juan, Juan Cordero”.

„*Jiai bhagaban*” — mówię. „Ona wychodzi za mąż za białego”.

„Tato, mam, proszę, nie gniewajcie się. To bardzo miły człowiek, naprawdę, zobaczycie, jak go przyprowadzę w odwiedziny do domu. Tak się cieszę, że wreszcie to z siebie wyrzuciłam. Od dawna chciałam wam powiedzieć”. Do mnie mówi: „Dziadku, on nie jest biały, to Latynos”.

„Co to znaczy?” — pytam. Ale już wiem, że to nic dobrego.

Kiedy wyjaśnia, mówię do niej: „Tracisz swoją kastę i nakładasz najczarniejsze *kali* na twarze naszych przodków — żeby wydawać się za mężczyznę, który nie jest nawet sahibem, którego krewni to kryminaliści ze slumsów i nielegalni imigranci, nie mów: »Och, dziadku, ty nic nie rozumiesz«, myślisz, że nie oglądam wiadomości w telewizji?”

Sheela płacze i załamuje ręce, mówiąc: „Nigdy bym nie pomyślała, że nam zrobisz coś takiego. Czy tak nam odpłacasz za to, że daliśmy ci tyle wolności, chociaż wszyscy krewni przestrzegali nas, żeby tego nie robić?” Ale Ramu siedzi zupełnie cicho. Chcę mu powiedzieć: „Jak raz wypuścisz krowę z obory, to jej nie powstrzymasz od wejścia w szkodę”. Ale kiedy widzę jego twarz, to nie mam serca. Mówię tylko: „Ramu, proszę, wsadź mnie jutro do samolotu do Indii”.

„Tato” — mówi Geeta. „Tato”. Potrząsa jego ramię. „Powiedz coś”.

On odskakuje, jakby go poraził prąd elektryczny. Mały, ściśnięty mięsień drga mu w policzku. Pamiętam to z czasów, gdy był chłopcem, kiedy był bardzo zły, tuż nim rozbił garnek albo pobił innego chłopaka, albo coś podobnego. Jego ręce są zacisnięte w pięści. On ją uderzy, myślę, i wszystko robi mi się przed oczami czarne, czarne, a potem widzę żółte szpileczki jak kwiaty gorczyicy.

Myślę, że jestem na to za stary. Moja głowa tak mi ciąży na karku. Żałuję, że indyjska poczta nie zagubiła tego listu.

Ale on opuszcza pięści. „Ufałem ci” — mówi. Jego głos jest gorszy niż uderzenie.

Po tym muszę zamknąć oczy. To jest jak silny wiatr wokół mnie, fruują w nim słowa, matka i córka.

„Idź do swojego pokoju. Nie chcę więcej widzieć” twojej twarzy”.

„Nie musisz. Odchodzę. I nigdy nie wrócę”.

„Rób, jak chcesz. Twój ojciec i ja będziemy się uważać za bezdzietnych, i zadowolonych z tego”.

„Tato, czy tego chcesz? Tato”.

Cisza.

„Bardzo dobrze. W takim razie wprowadzę się do Juana. Prosił mnie już od dawna. Odmawiałam, cały czas myśląc o was, ale teraz to zrobię”.

A Sheela wrzeszczy, szlochając: „Wszystko nam jedno, gdzie pójdziesz, ty bezwstydna, przynosząca nieszczęście dziewczyno!”

Drzwi trzaskają z hukiem, jakby się łamały. Odgłosy płaczu zbliżają się i oddalają. Może warkocze silnik samochodu, może piszcza hamulce. Gdy otwieram oczy, jestem sam w salonie i tylko mężczyzna w telewizorze opisuje nadchodzący wielki sztorm na oceanie. Idę do mojego pokoju, ale przez całą noc nie mogę zamknąć oczu do snu.

Na dowód pokazuje żyłki jak pokruszone czerwone kable w oczach.

— A dziś rano? — pytam. — Co się działo dziś rano?

Bezradnie unosi ramiona.

— Opuściłem dom, zanim ktokolwiek się obudził. Chodziłem wte i wewte przed pani sklepem, aż pani otworzyła.

— Ale co ja mogę zrobić?

— Wiem, że pani może pomóc. Słyszę, co się szepcze na

Bengalskim Pikniku Noworocznym i kiedy starzy ludzie spotykają się, by grać w brydża. Proszę.

Dziadek Geety nisko opuszcza dumną białą głowę, proszące słowa, niezdarne w jego ustach jak obcy przybysze.

Ucieram dla niego proszek z migdałów i *kesaru* do gotowania w mleku.

— Cała rodzina musi to pić przed pójściem spać — mówię.
— By osłodzić wasze myśli i słowa, byście pamiętali o miłości zagrzebanej pod gniewem. A pan, *dada*, narobił sporo z tego powodu zamieszania, niech pan szczególnie uważa na to, co pan mówi. Żadnego gadania o powrocie do Indii. Gdy gorycz zagotuje się panu w ustach i będzie się chciała wydostać, trzeba ją połknąć z łyżką tego syropu *draksha*.

Bierze i potulnie mi dziękuje.

— Jednak nie jestem pewna, czy to wystarczy. Żeby lekarstwo naprawdę zadziałało, Geeta sama musi do mnie przyjść.

— Ale ona nigdy nie przyjdzie. — Jego słowa to suchy, beznadziejny dźwięk. Dziadek Geety pochylony w ramionach i skurczony. Po jednej nocy ubranie wisi na nim jak trzepoczący garnitur stracha na wróble.

Cisza oblewa nas gęsto jak olej. Wreszcie on próbuje ją odkaszlnąć.

— Może pani mogłaby pójść do niej? — Jego głos nauczył się nowych tonów. Wahania, przepraszania. — Mogę pani objaśnić drogę.

— Niemożliwe. To nie jest dozwolone.

Nic już nie mówi. Tylko patrzy na mnie oczami rannego zwierzęcia.

I nagle, zupełnie bez powodu, myślę o moim Amerykaninie.

Geeto, ja także — jak ty — uczę się, jak miłość potrafi owinać się wokół serca niby lina z tłuczonego szkła i pociągnąć cię, krwawiącą, daleko od wszystkiego, co powinnaś. Mówię więc do twojego dziadka:

— O, bardzo dobrze, tylko ten raz, ileż to może zaszkodzić.

Tej nocy śnię o wyspie.

Często śniłam o wyspie już przedtem, ale tym razem jest inaczej.

Niebo jest czarne i zadymione. Nie ma nieba ani morza. Wyspa unosi się w ciemnej pustce, pozbawionej życia.

Jednak przyglądam się bliżej i oto siedzimy pod banianem, a Najstarsza przepytuje nas z lekcji, których się nauczyłyśmy.

— Jaki jest najważniejszy obowiązek Mistrzynie?

Podnoszę rękę, ale ona kiwa na kogo innego.

— Pomagać wszystkim, którzy przyjdą do niej w potrzebie i zagubieniu.

— Co powinna czuć wobec tych, którzy do niej przychodzą?

Znów unoszę rękę i znów zostaję zignorowana.

Inna no wiej uszka udziela odpowiedzi:

— Równą miłość dla wszystkich, szczególnej dla nikogo.

— A jaki dystans powinna zachować?

Macham ręką.

Ktoś inny mówi:

— Niezbyt daleko, niezbyt blisko, powinna trwać w łagodnej łaskawości.

Rozzłoszczona podnoszę się na kolana. Czy ona nie widzi, czy też ignorowanie mnie jest rozmyślną karą?

— Ach, Tilo — mówi. — Tilo, zawsze zbyt pewna siebie, ty się dobrze nadajesz, by odpowiedzieć na następne pytanie. Co się dzieje, gdy Mistrzynie staje się nieposłuszna, gdy poszukuje własnej przyjemności?

— Ogień Shampati — zaczynam mówić, ale ona mi przerywa:

— Nie z nią. Z ludźmi wokół.

Pierwsza Matko, tego nas nigdy nie uczyłaś.

Otwieram usta, by to powiedzieć, ale nie wydobywa się z nich żaden dźwięk.

— Tak, bo miałam nadzieję, że nie będziecie musiały wiedzieć. Ale ty dowiodłaś, że się myliłam. Słuchajcie dobrze, bo teraz was tego nauczę.

Jej twarz jak przez teleskop odwraca się ku mnie, rozrasta się ogromna i niepokojąca. Wokół niej wszystko blaknie. A potem widzę.

Jest pusta. Pozbawiona nosa i oczu, ust i policzków. Tylko tam, gdzie powinny być usta, otwiera się ciemność.

— Gdy Mistrzynie używa swej mocy dla siebie, gdy łamie odwieczne zasady...

Jej głos staje się ostry i tubalny, echo łańcuchów dźwięczących o kamienie więzienia.

— ...rozdiera delikatną tkaninę zrównoważonego świata i...

— I co, Matko?

Nie odpowiada. Czarne usta rozciągają się — wyraz smutku czy grymas? Wyspa zaczyna się kołysać, gleba staje się gorąca. A potem słyszę ryk. To wulkan wymiotujący popiołem i lawą.

Najstarsza zniknęła. Inne nowicjuszeki także. Tylko ja. Samotna na wyspie pochylającej się jak talerz, który ktoś chce zdrapać do czysta. Śrut przypalonej skały uderza mnie jak wystrzał. Próbuje się utrzymać, ale ziemia jest gładka jak płonące szkło. Zsuwam się z jej brzegu w szczęki nicości.

To bardziej przerażające niż wszystko, czego doświadczyłam. Potem się budzę.

I słyszę siebie kończącą to, co Najstarsza pozostawiła nie wypowiedziane:

— A do wszystkich, których kochała inaczej, niż powinna, przychodzi chaos.

ENKUŁ



Zona Ahuji nie była w sklepie od miesięcy. Wcześniej poświęciłabym temu co najwyższej wzruszenie ramion.

— Co będzie, to będzie — mówiła nam Najstarsza. — Waznym obowiązkiem jest tylko dawanie przypraw, nie zadreczanie się konsekwencjami.

Ale coś we mnie zaczęło się zmieniać, gdy Amerykanin przyszedł do sklepu. Zniknęła twarda osłona ziarna, nasienie zwilgotniało, stało się miękkie. Ludzkie nadzieje i smutki wślizgują się pod moją skórę jak brzytwa.

Nie jestem pewna, czy to dobrze.

Teraz okazuje się, że martwię się po nocach. Może ona nie użyła tego turmeriku, może nie gotowała indyjskich potraw, może nadal używa zapasu starych przypraw kupionych gdzieś indziej. Wyobrażam sobie paczkę wyslizgującą się z jej dłoni, *idy* idzie przesypać, rozproszona żółtość unosi się w kuchni lelikatna jak złoty pył, stracona, stracona. Inną możliwość odsuwam całą siłą, bo przecież niepodobna, jeśli przyprawy zawiodą, to zawiedzie także moje życie.

Zamiast tego wspominam, jak przy drzwiach, gdy wychodziła, snop słonecznego światła padł na jej twarz, którą z wyiłkiem udało się jej pozbawić wyrazu — prócz tego zdradzieckiego siniaka.

— Niech Bóg będzie z tobą — pozdrowiłam ją. A ona nie odpowiedziała, skłoniła tylko głowę w podziękowaniu, ale pod iemnymi okularami było spojrzenie, które mówiło: „Po mie-

siącach i miesiącach modlitw bez odpowiedzi, jak mogłabym jeszcze wierzyć?"

Ostatnio łapię się na tym, że próbuję użyć jasnowidzenia, jeździć nim jak latarką po ciemnej sypialni, gdzie odsuwa się tyłem od grubego śpiącego oddechu swojego męża i pozwala, by lzy zimne jak perły padały na jej poduszkę. A może one są gorące i palą słono, strumyki kwasu, który ją wyžera, aż wkrótce nic nie zostanie?

To, co robię, jest zakazane.

— Otwórzcie się na jasnowidzenie — mówiła nam Najstarsza — a ono pokaże wam to, co powinnyście wiedzieć. Nigdy jednak nie próbujcie go naginać do swojej woli. Nigdy nie podpatrujcie konkretnego życia, które dano wam pod opiekę. To jest nadużycie zaufania.

Czy to na mnie patrzyła, mówiąc to? Jej oczy nakrapiane smutną wiedzą.

— Najważniejsze, żebyście nie zbijały się za bardzo. Będziecie chciały. Mimo że złożyłyście przysięgę, że wszystkich będziecie traktować jednakowo, pojawią się tacy szczególnie, których zechcecie ogrzać żarem swego serca, dla których będziecie chciały się stać czymkolwiek, czego brakuje im w życiu. Matką, przyjaciółką, kochanką. Ale nie możecie. Gdy wybrałyście przyprawy, zrezygnowałyście z tego prawa. O jeden krok za blisko i sznury światła, łączące Mistrzynie z tymi, którym pomaga, mogą się zmienić w usidlające pajęczyny, smołę i stal, w których ugrzęźnicie, które pociągną was razem ku destrukcji.

Wierzę w to. Czy już nie zbliżyłam się do tej krawędzi, nie poczułam, jak się kruszy pod stopami?

Więc powtarzam sobie słowa Najstarszej nocą, gdy wyszarpuję uwagę z tego mieszkania po drugiej stronie miasta, gdzie głos mężczyzny trzaska przez pokój nagle jak uderzenie, tego mieszkania, które przypomina czarną dziurę czekającą, by się zapaść, w której ja, szalejąc, tak łatwo mogłabym zniknąć.

Przyprawy, wiem, że nie pozwolicie, by jej stała się krzywda.

Czy to, co słyszę pod słowami, to zwątpienie? Najlżejszy ślad, jak podmuch czegoś palącego się, od razu porwany przez silniejszy wiatr? Czy przyprawy też to słyszą?

Gdy wchodzi do sklepu tego ranka, trochę szczuplejsza i z głębszymi cieniami pod oczami, ale całkiem zdrowa, a nawet z nieśmiałym, gotowym do ucieczki uśmiechem unoszącym kącik ust, gdy mówi: „*Namaste*”, wzbiera we mnie ulga. Ulga i powolna jak miód przyjemność, że aż muszę wyjść z za lady. Muszę powiedzieć:

— Jak się masz, *beti*, martwiłam się, nie przychodziłaś tak długo. — Muszę położyć dłoń — nie, Tilo — na jej ramieniu.

Tak, przyprawy, muszę przyznać, to nie jest przypadek jak inne dotknięcia. Ja, Tilo, zainicjowałam to zetknięcie skóry i krwi, i kości.

Gdzie moja dłoń dotyka jej, pulsowanie. Zimny ogień, gorący lód, wszystkie jej prerażenia wciskają się w moje żyły. Światło przyćmione, jakby gigantyczna pięść wyciskała słońce. Gęsta mleczna szarość jak katarakta przykrywa mi oczy.

Ten wibrujący ból, czy to oznacza być śmiertelną istotą ludzką, nie wspomaganą magią?

Ażona Ahuji. Co ona czuje?

Słyszę krzyczące do mnie przyprawy, dźwięk jak gorące Honie przyciśnięte do uszu. *Odsuń się, odsuń się, Tilo, nim cię z tym stopisz.*

Napinam mięśnie, by porwały mnie z powrotem do bezliczeństwa.

A wtedy ona mówi złamanym głosem:

— *O mataji*, jestem tak nieszczęśliwa, że nie wiem, co robić.

Jej usta są blade jak zgniecione płatki róż, a oczy przypominają potłuczone szkło. Trochę się kołysze i wyciąga drugą łyżkę. I cóż mogę zrobić innego, jak tylko wziąć ją na przekór smu zapachowi, który unosi się złowieszczo przez deski pod-

łogi, przypalony i popielaty, wziąć ją i uścisnąć mocno, i powiedzieć, jak matki robiły to od praczasów:

— Cicho, dziecko, cicho. Wszystko będzie w porządku.

— *Mataji*, może część z tego to moja wina.

Te słowa żona Ahuji wypowiada w mojej małej kuchni na tyłach sklepu, gdzie nigdy nie powinnam była jej zabrać.

„Moja wina, moja wina”. Refren, który nauczono śpiewać tyle kobiet na całym świecie.

— Dlaczego tak mówisz, *betil*

— Właściwie nie chciałam wyjść za mąż. Moje życie było dobre, szyłam, miałam przyjaciółki, z którymi chodziłam do kina, a potem zjeść *pani-puri*, miałam nawet własny rachunek bankowy, żeby nie musiała prosić ojca o pieniądze na wydatki. A jednak, gdy rodzice spytali, odpowiedziałam: „W porządku, jeśli wy chcecie”. Bo w naszej społeczności to wstyd, jeśli dorosła niezamężna córka siedzi w domu, a ja nie chciałam im robić wstydu. Ale do ostatniej chwili miałam nadzieję. Może coś się stanie, może plany małżeństwa się załamią. Ach, gdybym tylko miała tyle szczęścia.

— Ale kiedy spotkałaś swojego męża — pytam, podając jej kubek z nierdzewnej stali pełen herbaty, bardzo gorącej i słodkiej, z plasterkiem imbiru zaparzoną na odwagę — co wtedy myślałaś?

Pije łyk.

— Przybył z Ameryki dopiero na trzy dni przed weselem. Wtedy go poznałam. Oczywiście, widziałam zdjęcie...

Robi przerwę, a ja się zastanawiam, czy nie przysłał cudzej fotografii. Wiem, że to się zdarza.

— Ale kiedy go zobaczyłam, zdałam sobie sprawę, że to zdjęcie zrobiono wiele lat wcześniej. — Przez chwilę jej głos rozbrzyskuje starym gniewem. Potem jej ramiona opadają pod

własnym ciężarem, jak musiały opaść przy tym pierwszym spotkaniu. — Było już za późno, żeby odwołać wesele. Wszystkie zaproszenia rozesłane, już przybywają krewni spoza miasta, jest już nawet ogłoszenie w gazecie. Ach, jak dużo pieniędzy wydał mój biedny ojciec, bo byłam jego najstarszą córką. A gdybym się sprzeciwiła, moje siostry też miałyby złą opinię. Każdy by mówił: „O, te uparte dziewczyny Chowdharych, z nimi lepiej nie aranżować związku”. Tak więc wyszłam za niego, ale w środku byłam wściekła. W środku obrzucałam go wszelkimi możliwymi wyzwiskami — kłamca, oszust, świński syn. Tej pierwszej nocy leżąc w łóżku, nie chciałam się do niego odezwać. Gdy mówił słodkie słówka, odwracałam głowę. Próbował mnie objąć ramieniem, odepchnęłam je.

Wzdycha.

Ja też wzdycham, czując przez chwilę litość dla Ahuji, łysiejącego i brzuchatego, i wiedzącego o tym, z poczuciem winy przystępującego do tej dziewczyny delikatnej jak zielony bambus — a jednak w jej rdzeniu twardość. Ahuji, który tak bardzo pragnie (i czyż my wszyscy też tego nie pragniemy), by zjawiła się miłość.

— Jedna noc, dwie noce — mówi żona Ahuji. — Jest cierpliwy. Potem on też zaczyna się złościć.

Myszę, jak to musiało być. Może jego przyjaciele żartowali dogadywali, jak to mężczyźni. „Arre yaar, powiedz nam, czy o jest słodkie jak palmowy cukier?” Albo: „Patrzcie, patrzcie, iemne kręgi pod oczami bhai Ahuji, jego żona przez całą noc agania go do roboty”.

— I następnym razem, gdy go odpycham, chwyta mnie i...

MilkniaS&łóże ze wstydu, że opowiada obcej — bo w końcu ie jestem nikim więcej — to, czego dobre żony nigdy nie porinny mówić. Może z zaskoczenia, że odważyła się na tak wiele. O prawie Lalito, której usta turmerik otwiera jak poranny wiat, jak mogę ci powiedzieć, że nie ma żadnego wstydu ' ujawnieniu? Jak mogę powiedzieć, że podziwiam?

Wewnątrz jej głowy obrazy, kotłujące się pod wpływem żaru i wyschnięte jak ubrania zostawione zbyt długo w suszarce. Twardy męski łokieć przygważdża ją do materaca, kolano rozpycha jej uda. A gdy próbuje drapać, gryźć (bezgłośnie, bo nikt na zewnątrz nie może się dowiedzieć o tym *sharam*), uderzenie w głowę. Nie mocne, ale sam szok czyni ją bezwładną, więc on może zrobić, co chce. Najgorsze są te pocałunki po wszystkim, pocałunki, które zostawiają wilgoć na jej ustach, i jego zaspokojony, skruszony głos w jej uchu, nie mogący się odebrać:

„*JPyari, meri jaan*, moja słodka królowa miłości”.

I na nowo, na nowo, na nowo. Każdej nocy, dopóki on nie wyjechał do Ameryki.

— Myślałam, żeby uciec, ale gdzie mogłam pójść? Wiem, co się przytrafiało dziewczynom, które odeszły z domu. Kończyły na ulicy albo jako utrzymanki mężczyzn znacznie gorszych od niego. Z nim przynajmniej cieszyłam się szacunkiem — jej usta wykrzywiają się lekko przy tym słowie — bo byłam żoną.

Pytanie wrywa się ze mnie, ale wiem, że jest głupie, jeszcze zanim skończę wypowiadać słowa.

— Nie mogłaś komuś powiedzieć, może twojej matce? Nie mogłaś ich poprosić, żeby cię tu do niego nie przysyłali?

Teraz ona schyla głowę, żona Ahuji, która wcześniej była córką Chowdhary'ego, a jej łzy wpadają do kubka herbaty, czyniąc ją słoną. Aż muszę przekroczyć zakazany dystans, by je wytrzeć. Córka Chowdhary'ego, którą rodzice wychowali najlepiej jak umieli, w miłości i surowości, by przygotować ją na jej przeznaczenie, którym było małżeństwo. Wyczuwali jej smutek, ale bali się zapytać: „Córko, co złego się dzieje?”, bo co by zrobili, gdyby odpowiedziała. A ona widząc ten strach, powstrzymywała łzy, zachowywała milczenie, bo także ich kochała, i czyż oni nie zrobili już dla niej wszystkiego, co mogli?

Cisza i łzy, cisza i łzy, przez całą drogę do Ameryki. Nadęty

worek bólu puchnący wewnątrz jej gardła, aż wreszcie turmerik rozwiązał ten węzeł i wypuścił go.

Godzinę później żona Ahuji wciąż mówi, słowa wylewają się jak przez pękniętą krawędź grobli.

— Wiedziałam dobrze, ale jak to kobieta, miałam nadzieję. Bo jakie inne wyjście mamy? Może tu, w Ameryce, będziemy mogli zacząć od nowa, z dala od tych oczu, tych ust zawsze mówiących nam, jak się powinien zachowywać mężczyzna, co jest obowiązkiem kobiety. Ale ach, te głosy, całą drogę wzięliśmy je we własnych głowach.

Widzę ją w tych wczesnych dniach, żonę Ahuji, która próbuje zadowolić męża, szyje nowe zasłony, żeby zmienić mieszkanie w dom, wałkuje *parathy*, by podać gorące, kiedy on wróci z pracy. I jego też, gdy kupuje jej nowe sari, butelkę perfum Intimate albo Chantilly, ładną koronkową koszulę nocną do noszenia w łóżku.

— *Hai mataji*, kiedy mleko już się zwarzy, czy cały cukier świata może sprawić, by znowu było słodkie? Zwłaszcza w łóżku nie potrafiłam zapomnieć tych nocy w Indiach. Nawet gdy próbował być delikatny, ja byłam sztywna i niechętna. Wtedy on tracił cierpliwość i wyrzaskiwał te amerykańskie słowa, których się nauczył: „Suka. Pieprzyć cię, to jak pieprzyć trupa”. A potem: „Musisz to dostawać gdzieś indziej”. Ostatnio, zasady. Nie wolno wychodzić. Nie wolno rozmawiać przez telefon. Muszę się rozliczyć z każdego grosza, jaki wydałam. On będzie czytał moje listy, zanim je wyśle. I telefony. Cały dzień. Czasem co dwadzieścia minut. Żeby sprawdzić, co robię. Żeby się upewnić, że tam jestem. Podnoszę słuchawkę i mówię halo, a poi drugiej stronie słyszę jego oddech.

Teraz żona Ahuji mówi mi przerażająco spokojnym głosem, w którym zabrakło łez:

— *Mataji*, ja się bałam śmierci. Słyszałam o kobietach, które się zabiły, i myślałam, jak one mogły. Teraz wiem.

O prawie Lalito, to nie jest wyjście. Ale co ja mogę powiedzieć, żeby ci pomóc, ja, która w duszy płacząc tak samo, jak ty płakałaś?

— Po co ja mam żyć? Kiedyś chciałam dziecka bardziej niż czegokolwiek na świecie. Ale czy to jest dom, do którego można sprowadzić nowe życie?

Oślepiąca przez łzy, nie widzę lekarstwa wśród przypraw. Jest tak, jak ostrzegęła Najstarsza.

„Tilo, zbyt blisko, zbyt blisko”.

Oddycham głęboko, zatrzymując powietrze w płucach tak, jak ona uczyła nas na wyspie, aż jego warczenie wygna z mojego umysłu wszystkie inne dźwięki. Aż przez czerwoną parę przyjdzie do mnie imię.

Fenkuł, który jest przyprawą na srodę, dzień przeciętności, ludzi w średnim wieku. Talie, które zrezygnowały, usta opadające od ciężaru przeciętnego życia, o którym kiedyś marzyli, że będzie tak odmienne. Fenkuł, brązowy jak muł i kora, i liście tańczące w jesiennej bryzie, pachnący zmianami, które mają nadejść.

— Fenkuł — mówię do żony Ahuji, która skubie swoją *dupatę* niespokojnymi palcami — jest cudowną przyprawą. Bierz szczyptę całych surowych ziaren po każdym posiłku. Odświeżą oddech i pomogą w trawieniu, a twojemu umysłowi dadzą siłę na to, co musi zostać dokonane.

Patrzy na mnie zrozpaczona. Jej oczy jak gnieciony welwet mówią: „Czy to cała pomoc, jaką możesz dać?”

— Dawaj też trochę mężowi.

Żona Ahuji wygładza rękaw swojej *kurty*, który podciągnęła, by mi pokazać inny siniak, i wstaje.

— Muszę wracać do domu. Na pewno dzwonił z tuzin razy. Jak dziś wieczorem wróci...

Strach unosi się z niej migoczący, jak żar z popękanego

chodnika latem. Strach i nienawiść, i rozczarowanie, że nie robię czegoś więcej.

— Fenkuł także chłodzi temperament — mówię. Chciałabym móc powiedzieć jej więcej, ale to by wypłukało moc przypraw.

Śmieje się gorzkim, pełnym niewiary śmiechem. Żałuje, że zaufała mi, bezrozumnej starej kobiecie, która gada, jakby garść suchych nasion mogła pomóc na łamiące się życie.

— To by mu się na pewno przydało — mówi, biorąc torebkę. Żal jak krew pulsuje wewnątrz jej czaszki.

Wrzuci paczuszkę, którą położyłam między nami na stole, do tylnej części szuflady, a może nawet do kosza na śmieci, gdy pomyśli ze wstydem o wszystkim, co mi powiedziała.

Następnym razem pójdzie do innego sklepu, choćby musiała się przesiadać z jednego autobusu w drugi.

Próbuję zatrzymać jej wzrok, ale ona nie patrzy. Odwróciła się, by wyjść, już jest przy drzwiach. Muszę więc dogonić ją moim potykaniem się starej kobiety i dotknąć jej ramienia raz jeszcze, chociaż wiem, że nie powinnam.

Obcegi płomienia przebijają czubki moich palców. Teraz stoi bez ruchu, jej oczy zmieniają kolor, stają się jasne jak podgrzany olej gorczycowy, przejęte, jakby widziała coś ukrytego przed codziennym wzrokiem.

Sięgam po małą torebkę fenkułu, by wcisnąć jej w dłoń, ale moja ręka trafia w próżnię.

Przyprawy, co...

W desperacji rozglądam się, czuję, jak żona Ahuji spieszy się wewnątrz swojej głowy. Przez moment boję się, że przyprawa mi się nie odda, mnie, Tilo, która przekroczyłam granice.

Ale tu jest ta paczuska, na górze stosu magazynów „India Currents”, gdzie na pewno jej nie umieściłam.

Przyprawy, czy to gra, czy coś mi mówicie?

Nie ma czasu do stracenia. Podnoszę paczuszkę i egzemplarz magazynu. *Daję jej jedno i drugie.*

— Zaufaj mi. Zrób, jak ci mówię. Każdego dnia, po każdym posiłku, trochę dla ciebie i trochę dla niego, a gdy zużyjesz wszystko, przyjdź i powiedz, czy pomogło. A tu, przeczytaj to. To odwróci twoją uwagę od kłopotów.

Wzdycha i kiwa głową. To łatwiejsze niż sprzeczenie się.

— Cóрко, pamiętaj o jednym, cokolwiek się stanie. Nie zrobiłaś nic złego, mówiąc mi. Żaden mężczyzna, mąż czy nie, nie ma prawa cię bić, zmuszać do łóżka, które cię brzydzi.

Nie mówi tak ani nie.

— Teraz idź. I nie bój się. Dziś rano był zbyt zajęty, by dzwonić do domu.

— Skąd pani wie?

— My, stare kobiety, czujemy różne rzeczy.

Od drzwi szepcze:

— Niech się pani za mnie modli. Niech się pani modli, bym szybko umarła.

— Nie — mówię. — Zaslugujesz na szczęście. Zaslugujesz na godność. O to się będę modlić.

Fenkule, wołam po jej wyjściu, fenkule w kształcie półprzy-
mkniętego oka podkreślonego *surmą*, zadziałaj dla mnie. Się-
gam do kosza i podnoszę pięść. Fenkule, którego mędrzec
Vashistha zjadł po połknięciu demona Illwala, by ten nie wrócił
już do życia.

Czekam na dzwonienie, na początek pieśni.

Tylko cisza, a zaostrome koniuszki przyprawy gryzą moją
dłoń jak kolce.

Przemów do mnie, fenkule, *mouri*, zabarwiony jak nakra-
piany domowy wróbel, który przynosi zgodę tam, gdzie zakłada
gniazdo, przyprawo na przetrwanie smutków i na to, by ich
przetrawienie uczyniło nas silniejszymi.

Gdy nadchodzi, głos nie jest pieśnią, lecz łoskotem, falą roz-
bijającą mi czaszkę.

Dlaczego mamy to zrobić, gdy uczyniłaś to, czego nie powinnaś? Gdy przekroczyłaś linie, które z własnej woli wokół siebie wyrysowałaś?

Fenkule zrównujący, który potrafisz zabrać siłę jednemu i dać ją drugiemu, gdy dwoje ludzi spożywa cię w jednym czasie, błagam cię, pomóż żonie Ahuji.

Czy wyznajesz swój występki, swoją chciwość w chwytaniu tego, z czego na zawsze przyrzekłaś zrezygnować? Czy żałujesz?

Wracam myślą do jej palców, lekkich jak chwyt ptaka na moim ramieniu i równie ufnych. Myślę o tym, jak stałam łyzy, o dotknięciu jej wilgotnych rzęs, o jej twarzy w moich rękach. O tej żywej, oddychającej skórze. Jak ta stalowa taśma, która zaciska moją pierś od tak dawna, trochę ustąpiła.

Żono Ahuji, ty, która prawie stajesz się Lalitą, ja także wiem, co znaczy strach. Skłamałabym teraz, gdyby to pomogło którejś z nas. Za twoje życie oddałabym własne, gdyby przyjęły taką ofiarę.

Wokół mnie przyprawy, odległe i chłodno uprzejme, czekają, jak gdyby już nie znały odpowiedzi.

Nie żałuję, mówię w końcu, i czuję odpływające powietrze. Mój język to kawałek drewna w ustach. Muszę przepychać wokół niego słowa.

Zapłacę tak, jak zostanie postanowione.

Jest tak cicho, że mogłabym być sama, wirując w czarnej galaktyce. Wirując i płonąc, i nikogo, kto by usłyszał, gdy w końcu wybuchnę w nicość.

Bardzo dobrze, mówi wreszcie głos.

Co to będzie?

Dowiesz się. Głos jest teraz cienki i daleki. Uciszony. *Dowiesz się we właściwym czasie*.

W półświecie wieczoru siedzę za ladą, tnąc końcem mojego magicznego noża nasiona *kalo jire*, nie większe niż jaja wołka zbożowego.

To zadanie wymaga koncentracji. Należy wypowiedzieć określone słowa, gdy czubek noża ostro wcina się w łamliwą twardość *kalo jire*, należy wziąć oddech i wstrzymać go, aż będzie bezpiecznie go wypuścić. Musiałam więc czekać do zamknięcia sklepu.

Pracuję bez przerywania. Do czasu gdy Haroun dziś tu przyjdzie, jak w każdy wtorek po drodze na wieczorne nabożeństwo w *masjidzie*, muszę mieć dla niego gotową paczkę.

Nie potrafię powiedzieć dlaczego, tyle że ostatnimi dniami, gdy tylko pomyślę „Haroun”, lodowa dłoń chwyta mnie za płuca.

Nóż unosi się i opada, unosi się i opada. Nasiona *kalo jire* brzęczą wesoło jak pszczoły.

Muszę przyciskać dokładnie jak należy, rozcinać każde nasionko dokładnie na połowy przez środek. Muszę utrzymać właściwy rytm.

Za szybko, a nasiona zostaną rozgniecione. Za wolno, a niewidzialny łańcuch łączący każde rozcięte ziarno zerwie się i rozpuści ich ciemną energię w powietrzu świata.

Może to dlatego nie słyszę, kiedy wchodzi, dlatego obracam się zaskoczona, gdy się odzywa. I czuję na palcu ostrze jak cienkie ugryzienie ognia.

— Pani krwawi — mówi samotny Amerykanin. — Strasznie mi przykro. Powinienem zapukać czy coś.

— W porządku. Nie, naprawdę, to nic, tylko zadrapanie.

W duszy myślę: Jestem pewna, że zamknęłam drzwi na klucz, jestem pewna, że... oraz: Kim jest ten mężczyzna, który potrafi wejść, mimo że...

A potem słowa zostają zmiecione przez falę radości jak iskry złota.

Krew kapie z mojego palca na stos *kalo jire*, teraz czer-

wonoczarnych i zniweczonych. Ale pełna złotej radości nie mogę w sobie znaleźć miejsca na żal.

— O, niech mi pani pozwoli — mówi i zanim zdołam zaproponować, podnosi mój palec do ust. I ssie.

Perłowa gładkość zębów, gorący wilgotny atlas wnętrza wargi, język poruszający się powoli po przecięciu, po mojej skórze. Jego ciało, moje ciało stają się jednym.

O Tilo, czy kiedykolwiek myślałaś...

Chcę, by ta chwila trwała na zawsze, ale mówię:

— Proszę, muszę coś na to przyłożyć. — I odsuwam się, choć potrzeba do tego mojej całej woli.

W kuchni znajduję torbę suszonych liści *neem*. Zamoczone w miodzie i przyciśnięte do skóry są najlepsze na gojenie.

Ale gdy spoglądam, palec już nie krwawi, i tylko błada czerwona zmarszczka pokazuje, że to się w ogóle stało.

Może to ciało zbudowane z ognia i cienia zakłęć nie krwawi już jak istoty ludzkie.

Ale w duszy mówię: Czy to on, czy to on?

Gdy pojawiając się znów z przodu sklepu, klęczy przed skrzynką z rękodzielami, patrząc przez zadrapane szkło na miniaturowe słonie z drewna sandałowego.

— Podobają się panu?

— Podoba mi się wszystko, co pani tu ma. — Jego uśmiech otwiera się głęboko płatek po płatku, a w rdzeniu coś więcej niż słowa.

Tilo, ty sobie tylko wyobrażasz, że on widzi na wskroś przez to ciało starej kobiety.

Muskam słonie palcami, póki nie znajduję jednego, który jest doskonale wyrzeźbiony — oczy, uszy, linia ogona, malutkie kły z kości słoniowej jak końcówki wykałaczek. Wyciągam go.

— Chcę, żeby pan to wziął.

Kto inny by protestował, ale nie on.

Wkładam słońca w jego rękę i widzę, jak palce zamykają się na nim. Jego paznokcie połyskują przejrzyście w półmroku sklepu.

— Słońca są na obietnice zapamiętane i spełnione — mówię.

— A czy pani zawsze spełnia swoje?

Ach. Skąd mu przyszło do głowy, by o to zapytać?

Mówię:

— Drewno sandałowe łagodzi zranienia, kość słoniowa jest na wytrzymałość.

Uśmiecha się, mój samotny Amerykanin, którego ten unik nie zmylił. Patrzę na kącik jego ust wyginający się, podnoszący w górę, a potem na dołeczek, napięte zagłębienie słodkiego ciała, do którego dotknięcia tęsknię.

By się powstrzymać, pytam:

— Dlaczego pan przyszedł?

Tilo, a co, jeśli powie: „Przyszedłem dla ciebie?”

— A czy zawsze jest powód? — Wciąż się uśmiecha, srebrnobrzedzi uwodzicielski obłok uśmiechu, na którym mogłabym unieść się tak łatwo i nigdy nie powrócić.

Zmuszam swój głos do surowości:

— Zawsze, ale tylko mądrzy go znają.

— A więc może pani mi powie, jaki on jest. — Teraz jego twarz stała się poważna. — Może mogłaby to pani wyczytać z mojego tętna, słyszałem, że wasi hinduscy lekarze umieją to robić. — I wyciąga do mnie szczupłe ramię z żyłkami lapis lazuli biegnącymi pod skórą.

— A cóż to za lekarze? — Nie mogę się powstrzymać, by tego nie powiedzieć. — Nasi lekarze chodzą do szkół medycznych, tak jak i wasi.

Ale wybaczcie mi, przyprawy, i tak biorę jego rękę.

Kładę palce na przegubie, lekko jak niewypowiedziane życzenie. Jego skóra pachnie cytryną i solą, i słońcem padającym na biały piasek. Czy mi się tylko wydaje, że razem kołyszymy się jak morze?

— Proszę pani! Proszę pani, co się, do diabła, dzieje?!

Haroun głośny jak błyskawica u drzwi, zamykający je kopnięciem buta. Jego czoło jest pomarszczone z niezadowolenia i podejrzeń.

Zabieram swoją rękę zawstydzona jak wiejska dziewczyna. Moje słowa potykają się o siebie.

— Haroun, nie miałam pojęcia, że już jest tak późno.

— Proszę sobie nie przeszkadzać i obsłużyć go, mnie się nie spieszy — mówi mój Amerykanin głosem chłodnym i bez zmieszania. Powoli odchodzi w cienie odległych pól, między stopy worków *mung* i *urid*, i teksańskiego długoziarnistego ryżu.

Haroun odwraca głowę, by go obserwować, usta ma zaciśnięte w wąską linię.

— Proszę pani, musi pani bardziej uważać, kogo pani wpuszcza do sklepu po zmroku. Różni źli ludzie kręcą się w tej okolicy...

— Cicho, Haroun.

Ale on ciągnie dalej, przechodząc na angielski, głosem tak podniesionym, że odbija się od ścian. Jego język porusza się ciężko i niezdarnie między słowami, do których wciąż nie jest przyzwyczajony. Nagle wstydzę się za jego szorstki akcent, za gramatykę, której jeszcze nie opanował. Potem głębszy wstyd, jak policzek, od którego pali twarz, że tak się poczułam.

— Jak to się stało, że dzisiaj pani drzwi nie były zamknięte na klucz? Czytała pani czy nie w „India Post”, jak właśnie w ubiegłym tygodniu jakiś mężczyzna włamał się do 7-Eleven? Strzelił właścicielowi — chyba mu było Reddy na imię — trzy razy w pierś. Nawet nie tak daleko stąd. Lepiej niech pani poprosi tego faceta, żeby poszedł, póki jeszcze ja jestem w sklepie.

Jestem upokorzona, bo na pewno mój Amerykanin słyszy.

— Tylko dlatego, że jest ubrany tak ekstra-ekstra, nie znaczy, że może mu pani zaufać. Właściwie to na odwrót. Słyszałem o takich ludziach, wystroją się i udają, że są bogaci, tylko po to, żeby cię oszukać. A jeżeli jest bogaty, to czego

on w ogóle od nas chce, taki sahib? Najlepiej trzymać się od takich z daleka. Niech pani słucha, niech mi to pani po prostu zostawi, ja się go pozbędę.

Próbuję sobie przypomnieć, co Amerykanin ma na sobie, i złoścę się, bo nie mogę, ja, Tilo, zawsze tak dumna z głębi mojego wzroku. Złoścę się też, bo jest racja w tym, co radzi Haroun, Najstarsza też by tak mówiła.

Taki sahib. Nie jeden z nas. Trzymaj się z daleka, Tilo.

— Harounie, nie jestem dzieckiem. Potrafię zadbać o siebie. Będę ci wdzięczna za nieobrażanie moich klientów.

Mój głos jest ostry i tnący jak zardzewiałe noże. To dźwięk odmowy.

Haroun wzdraga się, słysząc go. Czerwień maluje mu się wysoko na policzkach. Jego głos jest oficjalny od urazy.

— Wyraziłem tylko swoją troskę. Ale widzę, że posunąłem się za daleko.

Zirytowana potrząsam głową.

— Harounie, źle mnie zrozumiałeś.

— Nie, nie, jakież ja mam prawo, biedny człowiek, kierowca taksówki, by doradzać pani.

— Nie odchodź. W parę minut przygotuję twoją paczkę.

Z długim skrzypieniem otwiera drzwi.

— Proszę sobie nie zadawać kłopotu w mojej sprawie. Ostatecznie jestem tylko *kala admi*, nie białym jak on...

Wiem, że nie powinnam. Ale.

— Haroun, zachowujesz się jak dziecko — wybucham.

Kłania się z godnością, ciemna sylwetka na tle nocy, która otwiera się wokół niego jak szczęki.

— *Khuda hafiz*. Żegnam panią. Mułła rozpoczął już obrządek i nie powinienem bardziej się spóźnić.

Drzwi zamykają się za nim ze stuknięciem, taki cichy, ostateczny dźwięk, zanim mogę mu odpowiedzieć: „*Khuda hafiz*, opieka Allacha na twoją głowę”.

Gdy znów odwracam się do lady, widzę cię, czerwono-czarne

kalo jire przeznaczone dla Harouna, teraz splamione moją krwią, rozsypane na ladzie jak ciemna plama. Cisza, która oskarża dotkliwiej niż słowa.

Wpatruję się w ciebie przez chwilę, potem zmiotam cię w faldę mojego *palloo*. Niosę cię do kosza na śmieci.

Strata. Bezmyślna, grzeszna strata. Oto, co by powiedziała Najstarsza.

Smutek nadyma się w moim wnętrzu swym gorącym siarczanym zapachem. Smutek i inne uczucie, któremu nie mam odwagi przyjrzeć się z bliska — poczucie winy czy może rozpacz.

Później, mówię sobie, zajmę się tym później.

Ale kiedy idę na tyły sklepu, gdzie czeka mój Amerykanin, wiem, że później jest jak przykrywka położona na kipiącym garnku, wewnątrz którego para gęstnieje i gęstnieje.

— Czasem czuję ból — mówi Amerykanin. — Tutaj. —

•Bierze moją rękę i kładzie ją sobie na piersi.

Tilo, czy on wie, co robi?

W samym centrum dłoni czuję bicie jego serca. Jest dziwnie regularne, jak kapanie wody na stary kamień. Zupełnie niepodobne do tego dzikiego chybotania w mojej piersi, koni gorączkowo rzucających się na ściany jaskini. Tak, Haroun ma rację, jedwab jego koszuli pod moimi palcami jest miękki i delikatny, spodnie są ciemne, eleganckie, marynarka świetnie na nim leży, doskonale dopasowana. Przyćmiony błysk skóry na jego stopach i w pasie. A na palcu pierścień z diamentem jak biały ogień. Ale już pozwalam im wyfrunąć z mojego umysłu, bo widzę, że jego ubrania nie mają nic wspólnego z tym, kim naprawdę jest. Zatrzymuję tylko sposób, w jaki jego ciało pulsuje ciepłem i lśnieniem na szyi, sposób, w jaki jego oczy miękną, gdy w nie patrzę.

Jesteśmy przy ladzie, ja wewnątrz, on długonogi i oparty o szkło, a między nami, tak, przyprawy jak ściana, obserwujące.

— Pana serce jest chyba w świetnym stanie. — Zmuszam się, by to powiedzieć. Pod koszulą jego skóra musi być złota jak światło lampy, drobne włoski na piersi kędzierzawe jak trawa.

Nie. Przychodzi do mnie inny obraz, o brzegach wyrytych tak ostro, że wiem, iż musi być prawdziwy. Jego pierś nie zna włosów, gładka jak wyrzucone przez morze ciepłe od słońca drewno, z którego na wyspie rzeźbiłyśmy amulety.

— Taaak, to właśnie mówią lekarze.

Samotny Amerykaninie, chcę wiedzieć wszystko o tobie. Dlaczego odwiedzasz lekarzy, od jak dawna ten ból? Ale gdy próbuję podejrzeć, jest tam tylko moja twarz, wyglądająca z jej ziora ręki.

— Chcą mi pewnie powiedzieć: „Może ten ból jest w pańskiej głowie”. Tylko że byłoby źle dla interesu mówić to głośno.

Jego oczy śmieją się do mnie, mówią OK, dam ci to, czego chcesz, trochę. Jego włosy lśnią, czarne skrzydło ptaka odbijające słońce.

Grasz ze mną, mój Amerykaninie, a ja jestem oczarowana. Ja, która nigdy nie grałam. Ja, nagle lekka jak dziewczyna w tych starych kościach.

— Może pan potrzebuje miłości, by wyleczyć serce — mówię, także się uśmiechając. Zdziwiałam, jak łatwo uczę się zasad tej gry we flirt. — Może to stąd ten ból.

O bezwstydna Tilo, co teraz?

— Naprawdę pani w to wierzy? — pyta, tym razem poważnie. — Wierzy pani, że miłość może wyleczyć bolące serce?

Co ja powinnam powiedzieć, ja, która w kochaniu nie mam żadnego doświadczenia?

Ale zanim spróbuję dać odpowiedź, on wyśmiewa moje pytanie.

— Brzmi dobrze — mówi. — Ma pani coś dla mnie?

Przez chwilę jestem rozczarowana. Ale nie, tak jest lepiej.

— Oczywiście — odpowiadam, mój głos już się wycofuje. — Zawsze, dla każdego. Chwileczkę.

Słyszę, jak mówi za mną:

— Niech pani zaczeka, nie chcę tego, co ma pani dla wszystkich. Chcę... — Ja jednak nie zatrzymuję się.

W pokoju na zapleczu podchodzę do korzenia lotosu, ważę jego drobną giętkość w dłoni przez jedną chwilę wstrzymanego oddechu.

Czemu nie, Tilo, skoro już zaczęłaś łamać wszystkie zasady?

Odkładam go z westchnieniem. Korzeniu lotosu, *padmamul* afrodyzjaku, który wyrwałam ze środka wyspowego jeziora, to nie jest właściwy moment na ciebie.

Gdy wracam, patrzy na moje puste dłonie. Unosi brwi.

Powinłam dać mu to, co czeka w hebanowym pudełku pod ladą, twardy samorodek *hing*, asafetydę na przywrócenie równowagi w moim życiu i odsunięcie go od tego życia na zawsze.

Wola tysiąca przypraw naciska na mnie. Gnę się, sięgam, już czuję palcami ciemność pudełka, ziarnista skała asafetydy o gorzkim zapachu dymu.

O przyprawę, dajcie mi trochę czasu, tylko trochę czasu.

Prostuję się, podnoszę małą brązową buteleczkę z tylnej półki. Stawiam ją na ladzie.

— Oto *churan* — mówię mu.

— Na miłość? — pyta, żartując, ale i nie żartując.

— Na zgagę — odpowiadam tak surowo, jak tylko potrafię.

— Na zbyt wiele folgowania sobie. Tego pan naprawdę potrzebuje. — Nabijam cenę, wkładam butelkę do torebki i znacząco spoglądam na drzwi. — Jest bardzo późno — dodaję.

— Okropnie mi przykro, że panią kłopotalem — mówi, ale wcale nie jest mu przykro. W kolorze czarnej wody w świetle księżyca jego oczy błyskają rozbawieniem. Wyciągają ze mnie słowa, których nie planowałam.

— Może następnym razem będę mieć coś jeszcze dla pana.

— Następnym razem — mówi mój Amerykanin takim głosem, jakby ofiarowywał podarunek.

*

Jest ranek, gdy przypominam sobie o nożu.

Odrzucam poplątaną kołdrę, pajęczynowe pozostałości snu, który nie całkiem potrafię sobie odtworzyć. Potykając się, spieszę do lady, gdzie go zostawiłam, chociaż boję się, że jest już za późno.

— Nożu, przemów do mnie.

Ostrze w mojej dłoni to matowa niewybaczająca szarość, kolor rzeczy martwej. Brzeg pordzewiały krwią. Gdy pocieram, metaliczne płatki padają na podłogę.

W zatłoczonej wnęce kuchni trzymam nóż pod bieżącą wodą. Przygotowuję pastę z limonki i tamaryndy i wcieram ją, powtarzając oczyszczające mantry.

Gdy daję za wygraną, moje palce są pomarszczone od kwasu.

Plama jest teraz jaśniejsza, w kształcie gruszki albo może łązy. W kształcie rzeczy, które mają nadzieję.

Przyciskam czoło do zimnej cementowej ściany. Obrazy nie przestają się wciskać pod powieki. Garść *kalo jire* o zapachu kobiecej krwi wrzucona bezużytecznie do kosza na śmieci. Twarz Harouna tak młoda, tak bezbronna, i noc rozpościerająca się za nią jak czerwono-czarny kleks. Najstarsza, jej smutne oczy, które widzą wszystko.

Wybacz mi, Pierwsza Matko.

„Tylko słowa, dziewczyno. Jak mogę ci wybaczyć, jeśli nie jesteś gotowa wyrzec się tego, co spowodowało twoje wykroczenie? A nie jesteś”.

Tak by powiedziała, jej głos jak gałęzie łamiące się w rękach burzy.

Nie odpowiadam na jej oskarżenia. Zamiast tego mówię:

— Nożu, nie zapomnę cię więcej. Jeśli chcesz nowej krwi, by zmyć starą, jestem gotowa.

Unoszę nóż i zamykam oczy, spuszczam go gwałtownie na palce, czekam na ból jak fajerwerki w czaszce.

Nic.

Gdy znów spoglądam, cal od mojej dłoni nóż drży wbity w drewno lady. Wygięty. Przez jakieś moje ukryte pragnienie czy jego własną wolę?

O głupia Tilo, myśleć, że powetowanie będzie tak łatwe.

— Chcę panią o coś zapytać — mówi Kwesi, wchodząc z kartonową tubą wsuniętą pod ramię. — Nie przeszkadzałoby pani, gdybym coś umieścił w oknie pani sklepu?

Jestem zaskoczona. Czy to dozwolone? Nie mam pewności.

Hindusi oczywiście robią to przez cały czas. Tylko spojrz. Na całym oknie lśniące ogłoszenia o zbliżających się wieczorach z gwiazdą kina: MADHUPJ DIXIT WE WŁASNEJ OSO-BIE, ulotki w neonowych odcieniach zapraszające na IMPRE-ZĘ DISCO-BHANGRA, TYLKO PIĘĆ DOLARÓW, MAN-NY JEST WASZYM DJ. ŚWIEŻE CHAPATI I DHOKLA U BHAVNABENA. BARDZO UMIARKOWANE CENY. KRAWIECTWO TAJ MAHAL. ZADZWOŃ POD TEN NU-MER — SZYJEMY BLUZKI NA NASTĘPNY DZIEŃ.

Ale Kwesi, ktoś z zewnątrz?

— Co to jest? — pytam, grając na zwłokę.

— Proszę, niech pani spojrzy. — Wyciąga z tuby i ostrożnie rozkłada na ladzie wpadający w oko plakat w złocie i czerni. Mężczyzna w przewiązanym pasem stroju i z bosymi stopami, ilonie zwinięte w pięści, noga uniesiona na bok w potężnym copniaku. A pod tym napis prostymi literami: DOJO KWESI. fEDEN ŚWIAT, potem adres.

— Wiedziałaś, że jesteś wojownikiem — mówię, uśmie:hając się.

On także się uśmiecha.

— Wojownik. Zdaje się, że można tak to nazwać.

— Od dawna to robisz?

Kiwa głową.

— Piętnaście Jat, lekko. — Dostrzega zaciekawienie w moich oczach. — Chce pani posłuchać, jak to się zaczęło?

I jeszcze zanim skończę przytakiwać, zaczyna, wygodnie opierając łokcie na ladzie, Kwesi, który kocha dobrą opowieść, który ma snucie opowieści w kościach.

— Byłem wtedy w marnej formie, mocno brałem, trawa, hera, koka. Żyłem od jednego kopa do drugiego, robiłem dużo zwariowanych rzeczy, żeby zbierać pieniądze na nałóg. W ten sposób starłem się z człowiekiem, który miał zostać moim *sensei*. Wyzwałem go na walkę — myślałem wtedy, że jestem w tym dobry — ale on mnie znokautował w niecałą minutę. Następnego dnia trochę powypytywałem, poszedłem z pistoletem do jego dojo po zajęciach, postanowiłem, że mi za to zapłaci. Otworzył drzwi, a ja przytknąłem mu pistolet do głowy. On jednak się nie przestraszył. Powiedział: „Czemu nie wejdziesz? Właśnie zaparzyłem japońską herbatę, zawsze możesz mnie potem zabić”. To nie było udawanie, żadne robienie macho, jakie ja bym odstawiał na jego miejscu. On naprawdę się nie bał. Byłem tak zdziwiony, że odsunąłem pistolet i ruszyłem za nim. I tak poszło, w końcu zostałem tam sześć lat. Uwierzy pani? Ale nigdy mi nie zasmakowało to coś zielonego. Dajcie mi lepiej kubek mocnego darjeelingu.

Śmiejemy się, ale z ostrym kantem, ten śmiech wie, jak łatwo mógł się zamienić w płacz. Taki śmiech, gdy go dzielisz, rozluźnia węzły w sercu. Więc wycieram oczy i mówię do Kwesiego:

— Proszę bardzo, możesz ten plakat tu powiesić. Chociaż prawdę mówiąc, nie jestem pewna, ile osób się zainteresuje.

Rozglądamy się po sklepie. Dwie pulchne kobiety w średnim wieku ubrane w sari sprzeczą się o przymioty pikli „Patak” i „Bedekar”. Stary *sardarji* w białym turbanie niesie do lady butelkę, na której napis głosi: „Oryginalny olej eukaliptusowy Nilgiris doskonały na kaszel”, by sprawdzić cenę. Czyż dzieci bawią się w berka wokół pojemnika z *attą*. Wchodzi

długowłosa młody mężczyzna w okularach Ray Ban i ciasnych džinsach, ale robi podejrzliwą minę w stronę Kwesiego i znika przy półce z soczewicą.

— Rozumiem, o co pani chodzi — oschle mówi Kwesi. Zaczyna zwiijać swój plakat. — Znajdę na to inne miejsce.

Przykro mi, że go rozczarowałam. Wyszukuję duże pudełko czarnego darjeelingu w całych liściach, najlepszego gatunku, i pakuję je dla niego.

— Z ukłonami — mówię. — Nie, nie, ta historia była warta więcej. — Idę z nim do drzwi. — Przyjdź znowu, kiedy zechcesz. Powodzenia w twoim dojo i w twoim życiu — dodaję i robię to szczerze.

Pewnego ranka wchodzi do sklepu z listą swojej matki i z włosami, które sterczą proste i sztywne jak włosie szczotki, dodając mu wzrostu, ten nastolatek, którego prawie nie rozpoznaję. Ale przyglądam się jeszcze chwilę i to jest Jagjit.

— Jagjit, jak się masz?

Okręca się wokół, ręce już zaciśnięte w pięści. Widzi mnie i rozluźnia dłonie.

— Skąd pani zna moje imię?

Jagjit posępny w podkoszulku i workowatych džinsach Girbaud, i z nie zawiązanymi sznurówkami, w mundurze młodej Ameryki, już mówiący jej skandowanym rytmem.

— Przyszedłeś trzy, cztery razy do mojego sklepu z matką, może dwa i pół roku, trzy lata temu.

Wzrusza ramionami, odwracając się, nie pamięta.

— Nie mogło być tak dawno. Jestem tu dopiero dwa lata.

— Tak krótko? — Staram się, by w moim głosie dało się słyszeć podziw. — Kto by pomyślał, patrząc na ciebie.

Jagjit nie zwraca sobie głowy odpowiedzią. Zna stare kobiety, babcie, ciotki, matki, zawsze mówiące: „Nie, nie, nie.

Nie spędzaj tyle czasu z kolegami. Nie opuszczaj szkoły, już dostaliśmy dwa ostrzeżenia. Nie wychodź tak późno wieczorem, to niebezpieczne. *Hai Jaggi*, czy po to przywieźliśmy cię do Amreekah?"

Obserwuję, jak zbyt szybko napelnia koszyk i stuka nim o ładę, chód ma tylko połowę z listy. Obserwuję, jak przytupuje nogą, bo powinien już iść w różne miejsca.

— Czy teraz w szkole jest lepiej?

Spogląda na mnie wrogo.

— Kto pani powiedział?

Nic nie mówię. Jaggicie, zawsze tak zajęty, zawsze walczący, zawsze nakładający twardość jak drugą skórę, spójrz mi w oczy. Ze mną nie musisz się zmagać.

Dawny wyraz twarzy, coś w rodzaju nieśmiałości, waha się na jego ustach, potem znika.

— No, szkoła jest w porządku.

— Lubisz się uczyć?

Wzrusza ramionami.

— Radzę sobie.

— A inni chłopcy, nie masz z nimi kłopotów?

Błysk uśmiechu, pokazujący zęby ostre jak dłuta.

— Już nikt ze mną nie zadziera. Mam przyjaciół.

— Przyjaciół?

Ale jeszcze zanim przytaknie, widzę ich w jego oczach, tych chłopców w niebieskich satynowych kurtkach jak noc, wyszywanych specjalnym znakiem, w czarnych beretach, w buciorach Karl Kani za sto dolarów. Grube, lśniące złotem łańcuchy, bransolety z wygrawerowanymi imionami, pierścionek z diamentem na mały palec.

No, dorosłe chłopaki, mówi Jaggit w duszy. Szesnaście lat, i a już jeżdżą beemwicą z odsuwającym dachem, lotusem turbo.) W głębokich kieszeniach noszą, zwitki martwych prezydentów l — czego potrzebujesz, łobuzie — wyciągają studolarówki, na- \ wet parę tysięcy — nie ma kurde problemu, tam, skąd to biorę, j

jest ich więcej. / *zarzucają ramiona na dziewczyny, tyle dziewczyn z szerokimi lakierowanymi oczami.*

Chłopaki robiące skręty i zaciągające się głęboko, i z zabawieniem podające dzieciakowi, który stoi obok. A jego usta otwierają się ze zdziwienia.

Dla mnie?

Moi przyjaciele.

Dorośle chłopaki, które stały na drugim końcu szkolnego boiska i patrzyły, i patrzyły, aż pewnego dnia podeszły i odepchnęły tamtych, i powiedziały: „Spierdalać”. Otrzeptały mnie z brudu i kupiły mi zmrożoną colę w to popołudnie jaskrawe jak ogień, i powiedziały: „My się tobą zajmujemy”. I od tego czasu nie miałem żadnych problemów. Są jak moi bracia, lepsi niż bracia.

Widzę, jak wdzięcznością błyskają jego oczy, Jagjita całym samotnego, którego rodzice byli zbyt wycieńczeni pracą i zmartwieniem w obcym kraju, by go wysłuchać, Jagjita, który każdego dnia szedł ze szkoły w Ameryce do domu tak tkwiącego w Pendżabie, że jak mogliby mu pomóc. Który powstrzymywał płacz, aż czerwień napływała mu do oczu jak krwawiące gwiazdy.

Jagjit pamięta: *Zabierali mnie ze sobą w różne miejsca. Kupowali mi rzeczy, ubrania, buty, jedzenie, zegarki, gry nintendo, wieże z kolumnami, od których ściany się trzęsą, nawet rzeczy, o których jeszcze nie wiedziałem, że ich chcę. Słuchali, kiedy mówiłem, i nie śmiali się.*

Nauczyli mnie, jak walczyć. Wskazali mi te miękkie mięsiste kawałki, gdzie najbardziej boli. Pokazali mi, jak używać łokcia, kolana, pięści, buta i, tak, noża.

A w zamian tak niewiele. „Zanieś tę paczkę tam, podrzuć to pudełko tu. Potrzymaj to do jutra w swojej szafce. Stań na tym rogu i uważaj”.

Kto potrzebuje matki, ojca, szkoły? Kiedy będę starszy, może jak będę miał czternaście lat, będę z nimi cały czas. Będę cho-

dzieć w takiej samej kurtce, nosić głęboko w kieszeni takie samo sprężynowe ostrze ze śmigającym węzowym językiem, zobaczę to samo szarpnięcie strachu w oczach dziewczyn i uciekających chłopaków.

Myśli wirują we mnie jak demony kurzu. Nie mogę oddychać.

O cynamonie, dawco siły, cynamonie zjednujący przyjaciół, co myśmy zrobili?

A pewnego dnia dadzą mi go, zimnego i lśniącego czernią, i ciężkiego w dłoni od mocy, pulsującego naładowaniem jak Życie, mój paszport do prawdziwej Ameryki.

Splątam palce, by się nie trzęsły. Goździku i kardamonie, które rozsypałam na wiatr dla współczucia, jak to się stało?

— Jagjit — mówię przez splekane wargi, głosem, z którego wyciekła pewność siebie.

Jego oczy rozmarzone, niewidzące nawet wtedy, gdy się ku mnie obraca.

— Jesteś takim przystojnym chłopcem, rośniesz tak dobrze, dla starej kobiety to radość patrzeć. Mam dla ciebie tonik na wzmocnienie, żebyś był jeszcze silniejszy i bystrzejszy, za darmo, tylko zaczekaj minutkę, aż go przyniosę.

Wybucho krótkim, drwiącym śmiechem, dźwiękiem, który tak próbuje być dorosły, że czuję ucisk w sercu.

— Cholera, nie potrzebuję żadnego śmierdzącego indyjskiego toniku.

Jagjit wymyka mi się, rusza do drzwi w ten prąd morski, by nigdy nie wrócić, więc muszę szybko zejść do jego przeszłości i użyć tego, co znajdę.

— Jaggi, *mera raja beta*.

Skurcz przebiega przez niego na to dziecięce imię, zapach włosów matki w prostszych czasach, jej dłoń masująca mu plecy, wyrzucająca koszmary w ciepłą noc Jullunderu, i przez chwilę chciałby...

— OK, ale niech pani zrobi to szybko. Już jestem spóźniony.

W pokoju na zapleczu napełniam butelkę eliksirem *manjistha*, by ochłodzić krew i oczyścić ją. Pospiesznie odmawiam nad nią modlitwę, połykając słowa, bo on już jest przy drzwiach i wrzeszczy: „Chwila, koleś” do kogoś na zewnątrz. Podaję mu butelkę i patrzę, jak wrzuca ją do torby i niedbale macha na pożegnanie.

Motocykl z warkotem budzi się do życia i już go nie ma.

A ja zostaję sama, by sztywno dojść do lady, by opuścić obolałą głowę w dłonie, by zastanawiać się z przerażeniem, co się właściwie stało. Pytam siebie raz po raz, czy to on, czy to jego rodzice, czy to Ameryka? I zadaję to inne pytanie tak niszczące, że mogę je ułożyć tylko fraza po złamanej frazie.

Przyprawy, czy to jest. Sposób. Który wybrałyście. By. Mnie ukarać.

MBIR



Tego ranka, gdy dziadek Geety wszedł do sklepu, już bez sprężystości w krokach, nie mówił o Geecie. Ale cała jego twarz wyrażała pytanie: „Czy pani już...?” i „Kiedy pani to zrobi?”

Dlatego dziś wieczór przygotowuję się imbirem do mojej pierwszej wyprawy w Amerykę.

Bo jak wiesz, gdy obudziłam się na tej ziemi, sklep już mnie otaczał, jego twarda, ochronna skorupa. Przyprawy także otaczały mnie skorupą zapachów i głosów. I ta inna skorupa, moje postarzałe ciało wciskające we mnie swoje zmarszczki. Skorupa w skorupie, w skorupie, a w samym wnętrzu ich wszystkich — moje serce bijące jak ptak.

Dziś zamierzam rozprostować skrzydła, może stłuc te skorupy i wykluć się w nieskończoną przestrzeń zewnętrznego świata. To mnie trochę przeraża. Muszę przyznać.

Więc przyzywam imbir.

Korzeniu gruzłowatej mądrości, *ada* w ukryciu opasującego brązu, pomóż mi w moich poszukiwaniach. Ważę w zagłębieniu dłoni twoją cętkowaną solidność. Obmywam cię trzykrotnie w wodzie z limoną. Kroję na plasterki przezroczyście cienkie jak zasłona między przebudzeniem i snem.

Adraku imbirze, bądź ze mną.

Upuszczam plasterki do garnka wrzącej wody, patrzę, jak się unoszą i opadają, unoszą i opadają w powolnym wirowaniu. Jak żywoty schwywane w koło karmy. Para wypełnia moją kuchnię, czepia się rzęs ciężką mgłą, tak że trudno widzieć. Para

i ten dziki zapach jakby bambusowej trawki, rozdartej i przeżuwanej, który na długo zostanie w moim sari.

Złoty imbirze używany przez uzdrowiciela Charaka, by znów rozpalić ogień pełgający w brzuchu, oby twoje jasne płomienie popłynęły moimi ospałymi żyłami. Na zewnątrz Ameryka ciska się na ściany mojego sklepu, wołając swym wielojęzycznym głosem. Daj mi siłę, bym mogła udzielić odpowiedzi.

Długo czekam na pieśń przypraw, ale nie nadchodzi.

Ach, Tilo, naginająca reguły i przeciskająca się między nimi, czego oczekiwałaś?

Wlewam płyn w kolorze najbledszego miodu do kubka. Unoszę go do ust. Ostrość jest jak cios w gardło. Chwytam od niej powietrze i kaszlę. Gdy zmuszam się do przełknięcia, zbuntowany napój kipi w moich wnętrznościach. Zatrzymuję go jednak całą siłą woli.

Nigdy wcześniej nie przeciwstawiłam mojej siły przyprawom. Nigdy nie spełniłam mojego pragnienia zamiast obowiązku.

Powoli opór zmniejsza się, znika.

Tilo, gdy już postawiłaś na swoim, skąd ten smutek, to głupie życzenie, byś nie wygrała?

W moim gardle zaczyna się klucie, język porusza się w gorącym odrętwieniu, odsuwając na bok żal.

Później, Tilo. Później będzie czas.

Podnoszę z garnka wybielone od gorąca plasterki. Rozgryzam je jeden po drugim, czuję, jak włókna wciskają mi się między zęby. Moja czaszka dymi.

Gdy klucie zanika, zaczynają do mnie przychodzić nowe słowa, nowe gesty, które poprowadzą mnie nie dostrzeżoną przez ulice, labirynt okręcający się dookoła sklepu. W mojej głowie tłuką się plany i obietnice.

Geeto, czekaj na mnie. Jestem gotowa, nadchodzę.

Najpierw jednak pojawia się problem odzieży.

Gdy przybyłam do Ameryki, nie dano mi rzeczy do użytku poza sklepem, tylko te wytarte sari w kolorze zabrudzonej kości słoniowej, w których witam klientów.

Nie mogę winić za to Najstarszej. Chciała jedynie zmniejszyć pokusę. Otoczyć mnie bezpieczeństwem.

Ale teraz muszę się przystroić dla Ameryki.

A więc dziś w *brahma muhurta*, tej świętej chwili Brahmana, gdy noc objawia się jako dzień, biorę ziarna maku, *khus khus*, które przylepiają się do moich palców niechętnie jak mokry piasek, miażdżę je i ucieram z cukrem palmowym, by powstał *afim*. Opium, przyprawa widzenia.

Potem go podpalam.

Wiem, że przyprawy nie są ze mną. Po trzykroć kulka *khus khus* trzeszczy i gaśnie, po trzykroć muszę wyczarować płomień do ponownego istnienia. A potem pali się nierówno, z kwaśnym i ciężkim odorem, opornie. Unoszący się dym zatyka mi gardło, tak że muszę kaszleć do łez.

Ale coraz lepiej mi to idzie, naginanie woli przypraw do mojej. Tym razem ból w sercu jest mniejszy. I poczucie winy, któremu nie chcę spojrzeć w oczy.

Czy tak jest zawsze, gdy wpychamy się w zakazane, w to, co niektórzy zważają grzeszeniem? Pierwszy krok rozszarpuje kość i krew, wrywa oddech. Drugi także torturuje, ale już nie tak silnie. Z trzecim zranienie przechodzi nad naszymi ciałami jak deszczowa chmura. Wkrótce ani nas nie zatrzyma, ani nie zaboli.

Taką masz nadzieję, Tilo.

Dym owiewa mnie, formuje się w sieć na mojej skórze. Okrycie przyjmuje kształt.

Wszystko, co wiem o amerykańskich ubraniach, to to, w czym widziałam klientów. I zerknięcia na przechodniów. Z nich razem przędę płaszcz szary jak niebo na zewnątrz. Rąbek bluzki ukazującej szyję. Ciemne nogawki spodni. I para-

solkę, bo przez półmrok przed nadejściem porannego światła widzę za oknem matowe srebrne sznurki padającego deszczu.

Ale już wiem, że w tym stroju nie mogę pójść do Geety.

Trudno odprawiać ludzące czary, nawet gdy wszystko jest dobrze. A dziś, kiedy przyprawy są przeciw mnie, czuję, jak siła wypływa, aż mój mózg staje się suchy. A z tyłu przyprawy czekają, aż odwrócę uwagę. By przerwać czar i uwolnić się.

Afim, czemu ze mną walczysz, gdy nie dla siebie to robię?

Cisza przyprawy jest jak kamień w moim sercu, jak popiół na języku.

Słyszę przez nią dawne dźwięki, śmiech Najstarszej gorzki jak żółć. Wiem, co by powiedziała, gdyby tu była.

„Czy to nie był zawsze twój problem, Tilo, która myślisz, że wiesz najlepiej, która postanowiłaś zapomnieć, że najczystsze pobudki najprędzej wiodą do zguby? I czy twoje pobudki są tak czyste, czy też pomagasz Geecie, bo widzisz w jej zakazanej miłości obraz twojej własnej?”

Odzienie cienkie jak mgła rozdziera się, gdy tylko unoszę ręce do twarzy. Wiem, że one, przyprawy, już mi nie pomogą.

A więc jestem zmuszona zrealizować następny plan.

Deszcz na zewnątrz jest zimny i dotkliwy. Kłuje jak igły, gdy się odwracam, by zamknąć drzwi sklepu. Gałka pod moją dłońią jest śliska i krnąbrna. Zawiasy zacinają się buntowniczo. Mięśnie sklepu pasują się z moimi. Muszę położyć pakunek, prezent, który niosę dla Geety, by szarpać i przekręcać, i kopać, aż w końcu udaje mi się zatrzaskać drzwi. Odgłos jest ostry jak wystrzał, ostateczny. Drząc, zostałam na stopniu. Po niewłaściwej stronie, mówi głos w moim mózgu. Wilgoć wciska się w moje kości, osiada jak szlam. Przesuwam dłońią po drzwiach, które wyglądają tak obco w zewnętrznym świetle, i uderza mnie nagły zawrót głowy bezdomności.

Wrócę najszybciej, jak będę mogła.

Pożłobione zielone oblicze drzwi jest nieme jak tarcza i równie nieczułe. Nie ugłaskała ich moja obietnica.

Może mnie nie wpuszczą, gdy wrócę?

Przestań, Tilo, nie rób węży ze sznurków. Masz dosyć powodów do martwienia się.

Powietrze pachnie mokrą zwierzęcą skórą. Wdycham je, głębiej wsuwam się w płaszcz. Nie będę się bać, mówię sobie. Otwieram nad głową parasolkę w kształcie gigantycznej purchawki.

Rezolutnie kroczę opustoszałą ulicą, przepycham się przez deszcz jak przez tafle zmrożonego szkła, aż dostrzegam znak SEARS, aż drzwi same otwierają się jak usta magicznej jaskini, zapraszając mnie do wnętrza.

Ty, która leniwie przechadzasz się po Saksie i Nordstromie, która ze znużeniem wybierasz codzienną drogę przez Neimana Marcusa, czy możesz zrozumieć, jak kocham anonimowość mojego pierwszego amerykańskiego supermarketu, tak różnego od własnego sklepu z przyprawami? Te neonowe światła bez wyrazu, padające równo bez cieni na pokryte wykładziną podłogi, na lśniące wózki, które toczą się, ciągnąc za sobą oszołomionych klientów. Jak kocham te regały i regały rzeczy ustawionych w stosy, poukładanych, powieszonych wysoko, i nikogo kto by mówił: „Nie dotykać” albo: „Tak, czego pani szuka?” Balsamy aloesowe na młodość i tace z fałszywego srebra lśnące bardziej od prawdziwych; wędki i szyfonowe koszulki przezroczyste jak pożądanie; naczynia do zapiekania i gry wideo z Japonii; nowe udoskonalone przybory kuchenne i tubki depilatora Veet; cała ściana odbiorników telewizyjnych mówiących do ciebie różnymi twarzami. Podchmielająca świadomość, że możesz wyciągnąć rękę i brać, i brać, mimo że nie potrzebujesz.

Jestem tym pijana. Ja, która przez chwilę mogę się stać zwykłą starą kobietą, obmacującą materiał, zerkającą na

naszywkę, przymierzającą kolor tkaniny do swojej pokrytej plamami i pręgami skóry.

Zanim się spostrzegam, mój wózek jest pełen.

Lustro. Kolorowy telewizor, bym mogła zajrzeć do serca Ameryki, mam nadzieję, że i do serca mojego samotnego Amerykanina. Kompletny zestaw do makijażu. Perfumy różane i lawendowe. Buty, kilka par, w różnych kolorach, ostatnie czerwone jak przypalone chilli, wysokie obcasy niby dłuta. Ubrania i jeszcze więcej ubrań — sukienki, kostiumy ze spodniami, swetry, zawile wiotkie tajemnice amerykańskiej damskiej bielizny. A na koniec nocna szata z białej koronki jak krople deszczu schwymane w sieć pajęczą.

Tilo, czyś ty oszalała? Czy to dlatego zламаłaś zasadę ograniczenia i wstąpiłaś w Amerykę? Po to?

Ten głos, kostyczny jak chłapięcie kwasu. Pierwsza Matko, myślę pełna winy, a potem zdaję sobie sprawę, że to mój własny głos. I tym bardziej się wstydzę swojej lekkomyślności.

Porzucam wózek przy półkach farb do włosów, zabieram tylko to, co muszę mieć. Stroje, by włożyć je dziś do Geety. I lustro, chociaż nie potrafię jeszcze powiedzieć, po co go potrzebuję.

Nie, Tilo, nie ta najbardziej niebezpieczna z zabronionych rzeczy.

Ale tym razem nie słucham.

Zamiast tego patrzę na kasjerki, ich smutne, obwisłe ramiona, ich pofarbowane włosy z widocznymi odrostami. I zupełnie pozbawione zainteresowania spojrzenie, które skanuje twoją twarz jak czerwone elektryczne oko kasy, skanujące przeciągane przez nie rzeczy.

Kasjerki, które w duszy marzą o norkach kupionych u Macy'ego, o ukochanych ze średniej szkoły wracających tym razem już na zawsze, o rejsach do Acapulco wycieczkowym statkiem. Gdy ich usta pytają: „Gotówką czy kartą kredytową?”, mówią: „Jeśli chce pani, żeby to dostarczyć, kosztuje dodatkowo dwadzieścia dolców”, mówią: „Życzę miłego dnia”, już

mnie zapomniały. Bo w duszy kręcą kołem fortuny, piękne jak Vanna w gwiazdzistej mini i nawet szczuplejsze. O, jakaż to wolność. Prawie im zazdrozczę.

W publicznej toalecie cuchnącej amoniakiem naciągam proste spodnie i poliestrowy top, zapinam nie wyróżniający się niczym brązowy płaszcz aż do łydek. Sznuruję solidne brązowe buty, unoszę w pogotowiu brązowy parasol. Ta na nowo ubrana osoba, ja i nie ja, jest uprzedzona z pasm brązu, tylko niespodziewanie młode oczy i włosy jak wybielona juta zaskakują. Próbuje niepewnego uśmiechu, który na nowo układa jej zmarszczki. Rozluźnia mięśnie, wypuszcza, a złudne odzienie jczynione z *afimu* i siły umysłu spływa z jej skóry jak dym, wysnuwa się z nowych rękawów, by wisieć w hieroglifach, których ona nie potrafi odczytać.

Przez chwilę zastanawia się, czy nie wypowiedają ostrzeżenia.

— Dziękuję — mówi kobieta do przyprawy i nie jest zaskoczona, że nie ma odpowiedzi. Rachunek za lustro, które ktoś >rzyniesie później do sklepu, wkłada w kieszeń płaszcz. Przez iłwilę wizja unosi się w kącikach jej oczu: zamrożony zimny >rzeg lustrzanej rtęci na jej dłoni, ślepo-srebrny błysk chwili, ;dy ona będzie... Ale strząsa to. Geeta czeka, jej dziadek także. Jważnie podnosi pakunek, który niosła przez całą drogę ze sklepu. Tak uporczywie myśli o tym, co musi zrobić, że nawet iie zauważa, kiedy automatyczne drzwi otwierają swoje szklane zczęki, by ją wypuścić.

Na zewnątrz stanie w kolejce na przystanku autobusowym atłoczonym innymi pasmami brązu i bieli, i czerni, będzie się ziwieć, że nikt nawet nie podnosi oczu, nie podejrzewa niczego i jej niezgrabnie nowym poruszaniu się po Ameryce. W zaowolonym zaskoczeniu będzie przebierać palcami po kołnietu płaszczu, który jest skuteczniejszy nawet niż czapka nie-

widka. A gdy nadjedzie autobus, będzie się w nim kołysać wraz z innymi, jej wtopienie się będzie tak udane, że ty, stojąc po drugiej stronie ulicy, nie rozpoznasz już, kto jest kim.

Z wielkim beknięciem dymu autobus wypuszcza mnie przed biurem Geety i z łoskotem odjeżdża. Stoję przez chwilę, wyciągając szyję ze zdumienia na widok tej lśniącej wieży czarnego szkła. W niższych prostokątach dostrzegam migoczącą twarz.

Swoją?

Zbliżam się, by popatrzeć, ale ona fałuje w dal, ta twarz, której nigdy się nie przyjrzałam. Nigdy do tej pory nie czułam tej miażdżącej serce potrzeby, by to zrobić. Gdy się cofam, pojawia się znowu, dryfująca, rysy odległe i nierealne, wydłużona w tajemnicę.

Znachorko, szamanko, zielarko, przyjdź, by wszystko naprawić.

Recepcjonistka myśli inaczej.

— Kto? — Jej karmazynowe usta ściągają się wokół kulki tego słowa. — Czy była pani umówiona? Nie? — Jej oczy w pancerzu tuszu szacują mój tani płaszcz i buty, pakunek, który niosłam całą drogę ze sklepu z przyprawami owinięty w starą gazetę. Moją parasolkę z wyciekającą ciemną wilgocią jak siki na jej dywanie. Jej kręgosłup jest z dezaprobaty prosty jak kij. — W takim razie obawiam się, że nie mogę pani pomóc. — Wyglądza sobie spódniczkę na zadbanych udach swymi karmazynowymi paznokciami i stanowczo odwraca się do swojej klawiatury.

Ale ja, Tilo, nie po to przekroczyłam próg zakazanej Ameryki, nie po to zaryzykowałam zemstę przypraw, by wrócić tak łatwo z pustymi rękoma.

Postępuję do przodu, aż stanę dokładnie przed jej biurkiem, aż jej stukanie w klawisze zatrzyma się, a ona spojrzy ze zniecierpliwieniem i tak, przebłyskiem strachu spod kolczastych rzęs.

— Musi pani powiedzieć Geecie, że tu jestem. To ważne.

Jej oczy mówią: „Obląkana bezdomna”, mówią: „Może powinienam zadzwonić po ochronę”, wreszcie mówią: „Kurczę, po co mam się w to mieszać”. Szturcha klawisze maszyny na biurku i mówi przesadnie grzecznym głosem:

— Panno Bannerjee, jest tu jakaś osoba do pani. Kobieta. Tak, myślę, że jest Hinduską. Nie, jestem zupełnie pewna, że nikogo nie reprezentuje. Ona jest... no... inna. Nie, nie podała nazwiska. OK, jeśli pani jest pewna. — Potem obraca się do mnie. — Czwarte piętro, proszę kogoś spytać, kiedy pani wysiądzie, winda jest po lewej stronie. — Jej oczy mówią: „Idź stąd”.

— Nie pytała pani — mówię do niej łagodnie, gdy zbieram swoje rzeczy.

— Co? — Słowa wypłoszyły się z niej.

— O moje nazwisko. I reprezentuję kogoś. Jak pani myśli, po cóż innego bym tu przyszła?

Biuro Geety to mały kwadrat bez okien, taki, jakie daje się nowym pracownikom, którzy i tak powinni być zbyt zajęci, by przez nie wyglądać. Metalowy stół ze stosami segregatorów i projektów zajmuje całą przestrzeń.

Siedząc za stołem, pisze oficjalny raport, ale właściwie nie, bo notes jest pełen gryzmołów. Z miejsca, gdzie stoję, przypominają róże z wielkimi kolcami. Wygląda na szczuplejszą. A może to tylko surowość ciemnego kostiumu ze spodniami, który dziś ma na sobie, kłap przecinających jej pierś twardo i skośnie, atramentowoniebieskiego materiału wysysającego kolor z jej twarzy. Dorosłość stroju tylko ją odmładza.

Ostatnim razem, gdy przyszła do mojego sklepu, miała na sobie niebieskie džinsy. Czerwony T-shirt z napisem „jUxmal!” Włosy związane w gruby warkocz na plecach, falujące jak woda, gdy śmiała się z czegoś, co powiedziała jej matka. Razem wybierały rodzynki i migdały, i słodkie białe *elachdana* do deserów na bengalski Nowy Rok.

Dziś jej oczy są lekko zakłopotane, jakby próbowała sobie przypomnieć, skąd mnie zna. I ciemne od rozczarowania. Oczekiwała kogoś innego, być może swojej matki, by zjawiała się jak cud i powiedziała: „Wybaczam”. Zaciska wargi, próbując je zmusić, by nie drżały. Na jej brodzie jest mały pieprzyk i on także drży. Chciałabym móc jej powiedzieć, jak jest piękny, jak ona jest piękna.

— Proszę usiąść — mówi w końcu, siłąc się na grzeczność. — To niespodzianka. Wygląda pani inaczej. — A potem, ponieważ już dłużej nie może się powstrzymać: — Skąd pani wiedziała, gdzie pracuję? Czy ktoś panią poprosił, żeby się ze mną spotkać?

Przytakuję.

— Moja matka.

Gdy potrząsam głową, pyta:

— Nie tata? — Jej głos jest podniesiony przez nadzieję.

O Geeto, moja pieśni ptaka, tak bym chciała móc powiedzieć tak, chciałabym móc wyciągnąć kolec krwawiący w twoim różanym sercu. Ale znów muszę potrząsnąć głową. Jej ramiona załamują się.

— Tak myślałam.

— Właściwie to był twój dziadek.

— Och, on. — Jej głos jest teraz kwasem. Słyszę myśli, nękające i toczące jej mózg. *To on obrócił ich przeciwko mnie tymi bredniami o porządnym kobietach i utracie honoru rodziny. Inaczej nigdy by się tak prehistorycznie nie zachowywali. Zwłaszcza tata. Gdyby tylko został w Indiach, nic z tego by się nie...*

— Twój dziadek bardzo cię kocha — mówię, by zatrzymać truciznę wyzerającą jej serce.

— Miłość, rzeczywiście. — Wypluwa ten dźwięk jak wymioty. — On nie wie, co znaczy to słowo. Dla niego to tylko władza. Władza nad moimi rodzicami, władza nade mną. A gdy nie jest tak, jak chce, to zaraz: „O Ramu, odeślij mnie z powrotem, lepiej, żeby umarł sam w Indiach”.

Jej naśladowanie ciężkiego akcentu starego człowieka jest dokładne, zjadliwe. Wstrząsa mną. Jednak lepsza nienawiść wypowiedziana niż nienawiść milcząca.

— Gdyby nie jego średniowieczne poglądy na zaaranżowane małżeństwa, nie musiałabym mówić mamie i tacie o Julianie w taki sposób. Zapoznałabym ich z nim powoli, mieliby okazję zobaczyć go jako człowieka, nie jako...

W jej głosie słyszę wahanie.

Wiem, co powinnam powiedzieć. Najstarsza uczyła nas tego po wielokroć. „Wasze przeznaczenie rodzi się z wami, wplecione między gwiazdy waszego narodzenia. Kogo możecie za nie winić?”

Ale to nie to ona musi usłyszeć, Geeta, dla której stare słowa już nie pasują do jej pieśni.

Przyprawy, wiem, że nie mam prawa, ale przyprawy, poprowadźcie mnie.

Gorący piaszczysty wiatr trze moje słowa, wyzera je. Minuty padają wokół nas jak krople ołowiu.

Co mam teraz robić?

Wtem ona mówi:

— Co on, do cholery, w ogóle myślał, że pani może zrobić? — Wpatruje się we mnie, tak marszcząc brwi, jakby próbowała sobie coś przypomnieć. Ale jej oczy nie są już pokryte skorupą nienawiści.

— Właściwie to nic — mówię pospiesznie. — Tylko powiedzieć ci, że gniewne słowa jak brzęczące pszczoły kryją

pod sobą miód. Tylko zobaczyć cię, żebym mogła wrócić do nich i powiedzieć: „Nie martwcie się tak, ona czuje się dobrze”.

— No nie wiem. — Westchnienie wstrząsa całym jej ciałem. — Co noc biorę tabletki, a i tak nie mogę spać. Diana zaczęła się naprawdę martwić. Uważa, że powinnam poszukać pomocy, może porozmawiać z psychologiem.

— Diana?

— Och, nie wprowadziłam się do Juana. Nie mogłam tego zrobić mamie i tacie. Poza tym wiem, że to wcale nie byłoby dobre dla naszego związku, ja taka zestresowana i w ogóle. Więc zadzwoniłam do Diany, to moja najlepsza przyjaciółka z college'u, a ona powiedziała: „Jasne, możesz u mnie zostać tak długo, jak będzie trzeba”.

Wdzięczność rozluźnia moje zaciśnięte płuca, tak że znów mogę oddychać.

— Geeta — mówię — jesteś bardzo inteligentną dziewczyną. Próbuje ukryć uśmiech, ale widzę, że jest zadowolona.

— Chciałaby pani zobaczyć jego zdjęcie? — pyta i niebieskim rękawem dokładnie przeciera mosiężną ramkę stojącą na biurku. Podaje mi ją.

Uczciwe oczy, ciemne skrzydła gładko zaczesanych włosów, usta, które nauczyły się dobroci, mając zbyt mało, gdy dorastały. Jego ramię wokół niej trochę niezdarne, jakby jeszcze nie przywykł do takiego szczęścia.

— On także wygląda bardzo inteligentnie — mówię.

Teraz już otwarcie się uśmiecha.

— Jest dużo bystrzejszy niż ja. Czy pani uwierzy? Pochodzi ze slumsów, zdobył stypendium, aby chodzić do college'u, i skończył z najwyższą średnią. I taki skromny, że od niego nikt się tego nie dowie. Wiem, że jak tylko tato z nim rozmawia, zobaczy, jaki to wspaniały facet.

— Może kiedyś przyprowadzisz go do sklepu, żebym mogła go poznać?

— Jasne. Podobałoby mu się. Jest naprawdę zainteresowa-

ny indyjską kulturą, a zwłaszcza naszymi potrawami. Czasem gotuję w jego mieszkaniu. Wie pani, że Meksykanie używają wielu takich samych przypraw jak my...

Nagle przerywa. Geeta nie jest głupia. Patrzy wprost na mnie, oczy ma czarne jak jeziora, w których pływa moja twarz.

— Teraz sobie przypominam. Dziadek kiedyś powiedział, że pani zna zaklęcia.

— Takie gadanie staruszków — mówię szybko.

— O, nie wiem — zaprzecza. — Dziadek w niektórych sprawach jest całkiem bystry. — Przygląda mi się jeszcze trochę. — W porządku, mnie to nie przeszkadza. Pani robi na mnie dobre wrażenie. Wkrótce przyprowadzę do pani Juana, może nawet w przyszłym tygodniu. W ich kulturze też to mają, nazywa się to chyba *curanderas*.

— W takim razie w przyszłym tygodniu — mówię, podnosząc się, moje zadanie tymczasem prawie zakończone, chociaż przed nami z pewnością skały i potknięcia. — Proszę, coś ci przyniosłam.

Wyciągam z zawiniątka butelkę mango zamarynowanego w oleju gorczycowym, do którego dodałam *methi* na leczenie złamań i *adą* na większą odwagę, która wie, kiedy powiedzieć nie, i jeszcze *amchur* na właściwe decyzje.

Unosi ją do światła, gęsty czerwonozłoty blask.

— Dzięki! To mój ulubiony rodzaj. Ale oczywiście pani o tym wie. — Jej oczy błyskają figlarnie. — Wymówiła pani nad nimi jakieś magiczne zaklęcia?

— Magia jest w twoim sercu — odpowiadam.

— Ale poważnie, dziękuję, że pani przyszła. Czuję się dużo lepiej. Odprowadzę panią do wyjścia.

W holu ściska mnie. Geeta, która zeszła ze swojej lśniąco czarnej wieży, jej ramiona lekkie jak skrzydła wokół mnie. Wsuwa mi coś do ręki.

— Może mogłaby pani im to pokazać, wie pani, gdyby przyszli do sklepu czy coś i może by im pani powiedziała, że

nie mieszkamy razem? — Jej usta to gorąca róża, przez chwilę kwitnąca na moim policzku. — A tu jest mój numer, na wypadek... no tak, na wszelki wypadek.

Plan podnieca mnie, łopocze jak skrzydła. Dam to jej dziadkowi, gdy przyjdzie następnym razem, zdjęcie i numer telefonu, powiem mu, co zrobić.

Całą drogę powrotną do autobusu moje ramiona lśnią i palą w miejscach, gdzie ich dotknęła. Skóra mojej twarzy, przypalona tam, gdzie wydychała niewypowiedziane słowa swojego życzenia: *Spraw, by ludzie, których kocham najbardziej, pokochali się nawzajem*. Moje oczy także osmalone, gdy wpatruję się w tę fotografię, dwoje kochanków tak młodych, uśmiechających się z raniącą wiarą, jakbym ja mogła to wszystko naprawić, ja, Tilo, która sama jestem w większych tarapatkach, niż oni kiedykolwiek mogliby być.

Siedzi przy mojej głowie, gdy się budzę, w sklepie ciemnym prócz radowozielonego poblasku płynącego nie wiem skąd i zapachu olejku hibiskusowego, który czasem pozwalała nam wcierać w swoje włosy. Najstarsza siedzi ze skrzyżowanymi nogami, jej kręgosłup wygina się do przodu, jakby coś było dla niego za ciężkie do uniesienia, moje życie albo jej własne, nie wiem które. Blizny na jej dłoniach błyszczą jak świetliki na tle osmalonej na biało skóry. Zaczynam się cofać, ale przystaję, bo na jej twarzy maluje się nie gniew, którego oczekiwałam, lecz smutek. Smutek tak głęboki, że przypomina monsunową chmurę, morskie dno. A we mnie ktoś wykręca i wykręca mokrą tkaninę, aż wycisnie z niej ostatnie krople.

— Pierwsza Matko — mówię i wyciągam rękę, ale nie ma niczego, co mogłabym chwycić. Podróżuje poza ciałem, powinnam to była wiedzieć. Znów mi przykro, bo pamiętam, jak po takich wyprawach leżała na sienniku w chacie leczenia za

każdym razem trochę dłużej. Jej oddech płytki, skóra pod oczami obwisła i purpurowa, jakby miała siniaki.

— Pierwsza Matko, czy bardzo jest złe to, co ja zrobiłam?

— Tilo. — Jej głos jest słaby i odbija się echem, jakby został schwytyany w podwodnej grocie. — Tilo, córko, nie powinnaś była.

— Ale, Matko, jak inaczej mogłam pomóc Geecie, jak inaczej pomóc jej dziadkowi, który przyszedł do mnie prosić po raz pierwszy w życiu?

— Córko, pomoc, którą dajesz poza tymi ochronnymi ścianami, obraca się przeciwko sobie. Czy tego nie wiesz? Nawet tu widziałas, jak wszystko idzie inaczej, niż pragnęłaś.

— Jagjit — szepczę. Mój głos zgięty porażką.

— Tak. I będą inni. Nie pamiętasz ostatniej lekcji?

Próbuję myśleć, ale wewnątrz mojej czaszki panuje rozgardiasz zepsutych części, myślowe skorupy, których brzegi nie pasują do siebie.

— Ostatecznie Mistrzynie nie mają żadnej mocy, są tylko pustymi trzcinami, w których śpiewa wiatr. To przyprawa decyduje i osoba, której ją dajemy. Ty musisz zaakceptować to, co razem wybiorą, i nawet porażkę przyjąć w spokoju.

— Pierwsza Matko, ja...

— Ale gdy wychylasz się poza to, co jest dozwolone, i dotykasz tego, co nie jest, gdy występujesz poza stare reguły, stokrotnie zwiększasz ryzyko niepowodzenia. Stare zasady, które utrzymują świat w kruchej równowadze, które były tu zawsze, przede mną, przed innymi Najstarszymi, nawet przed Babką.

Jej głos zanika i pojawia się, jakby przez uderzenia morskigo sztormu.

O tyle spraw chcę spytać. Ja, która w swojej naiwności myślałam, że to zawsze od zarania była ona. „Kim były inne Najstarsze, kim była Babka?” I to pytanie uformowane z ciemnej ciekawości i może ciemniejszego pragnienia, na którego wypowiedzenie nie mogę się zdobyć.

„Kto, gdy ty odejdziesz?”

Potem zapominam, bo ona mówi:

— Nie pozwól Ameryce uwieść się do klęsk, których nawet sobie nie możesz wyobrazić. Marząc o miłości, nie wywołaj nienawiści przypraw.

Mój głos jest zadziwionym szeptem:

— Ty wiesz?

Nie odpowiada. Jej obraz już staje się niewyraźny, fosforyczny blask znika ze ścian sklepu.

— Zaczekaj, Pierwsza Matko...

— Dziecko, musiałam walczyć całą siłą mojego serca, by przynieść ci to ostrzeżenie — mówi słabo wargami błękitnymi jak powietrze. — Następnym razem nie będę już potrafiła.

— Matko, skoro znasz moje serce, odpowiedz na to pytanie, zanim odejdziesz. Co, jeśli Mistrzynie chce z powrotem swojego życia? Co zrobią przyprawy?

Ale ona już znikła. Ściany znów są zimne i przyćmione pajęczynami, nie ma nawet krótkiego kołysania wiatru na dowód, że tu była. Ani westchnienia dźwięku, ani zapachu jej hibiskusowych włosów snującego się jak dym kadzidła. Tylko obserwujące przyprawy, przyprawy silniejsze niż kiedykolwiek myślałam, ciemna moc zaciśnięta w ich rdzeniu. Przyprawy wssające w siebie całe powietrze sklepu, aż nic nie zostaje dla mnie, dające mi do zrozumienia, że to nie był sen.

Dające mi do zrozumienia, że słyszały wszystko.

Czas przemija, czas przemija. Słońce wstaje w kolorze turmeriku, opada w rozproszonym cynobrze *sinduru*. Na nagim drzewie na zewnątrz ptaki z fenkułowymi dziobami wypłakują swój smutek. Niebo naciska w dół, tak że chmury czarne jak *kalo jire* drapią szczyt śródmiejskiej wieży, do której kiedyś podróżowałam. Myślę o Harounie, myślę o żonie Ahuji, myślę

) Geecie i jej Juanie. Odkurzam półki sklepu, układam paczki *N* równe stopy i zastanawiam się, czemu nie przychodzą. Silniki samochodów strzelają. Słysząc strzały, słysząc krzyki, potem gorliwość karettek pogotowia, a na koniec plamy splukiwane węzłem z chodnika. *Jagjit, Jagjit*, płaczę w sercu. Ale pamiętam warz Najstarszej, pamiętam jej ostrzeżenie i nie podchodzę nawet do okna, by wyjrzeć.

Ale może to wszystko tylko wymarzyłam, kołysząc się przez IOC między życzeniem i nie-życzeniem. Może teraz jest dopiero lastępny ranek, bo ciężarówka dudni pod drzwiami, a dwaj mężczyźni w granatowych kombinezonach z wyszytymi czerwienią na kieszeniach imionami REY i JOSE wałą w drzwi, wrzeszcząc: „Dostawa!” A może to karma, to wielkie koło czar-le jak śmierć, które — gdy raz zacznie się kręcić — nie może zostać zatrzymane?

Mężczyźni mówią:

— Gdzie pani to postawić?

Mówią:

— Proszę podpisać w tej rubryce, zna pani angielski, tak?

Mówią, pocierając brwi:

— Hej, proszę pani, to była robota w upale. Nie ma pani Tochę coli albo lepiej trochę zimnej *cervezy*!

Daję im sok z mango z lodem i pływającymi listkami mięty ła orzeźwienia, na siłę, która trwa przez cały dzień. Zagryzam wargę, czekając, aż pomachają mi, żegnając się: „*Gracias*” i „Na razie”, i odjadą swoją ciężarówką, która podskakuje i ja-ta się na dziurach. Wreszcie światła mrugają na nich zielonym ikiem i zostaję sama z moim kartonem z Searsa.

Próbuję przeciąć taśmę, głos we mnie woła: „Szybko, szybko”, ale mój nóż jest niechętny. Mój nóż z plamami jak łyż askarżenia. Wykręca mi rękę, chce odskoczyć. Dwa, trzy razy nieomal się zacinam. Aż w końcu odkładam go i rozdieram Icarton palcami. Grzebię między kulkami jak gąbczasty śnieg, unoszę i odkładam płyty styropianu kruche jak morska sól. Jak

długo to trwa, moje serce szarpie pręty jak zwierzę w klatce, aż wreszcie chwytam śliską twardość w dłonie i wyciągam tak, że ukazuje się lśniące.

Moje lustro.

Wszystkie przyprawy wpatrzone we mnie, ich oczy jednym okiem, ich oddechy jednym oddechem połączone w dezapro-
bacie, w milczeniu pytające: *Dlaczego?*

Ach, gdybym tylko wiedziała. Czuję się jak ktoś, kto spaceruje po najcięższym lodzie, mając świadomość, że on w każdej chwili może się załamać, ale nie potrafi się zatrzymać.

Oto pytanie, które nigdy nie przyszło mi do głowy na wyspie: Pierwsza Matko, dlaczego to nie jest dozwolone, co złego może być w widzeniu siebie?

Popołudniowe słońce jest błyskiem w moim lustrze, oświetla sklep tak osłepiająco jasno, że nawet przyprawy muszą zmrudzić oczy.

Zanim je znów otworzyły, zdjęłam obrazek Kriszny i jego *gopi* i powiesiłam na czekającym gwoździu, dokładnie przesłaniając go *dupatą*.

Lustro, zakazane szkło, które wyjawia mi, mam nadzieję, moją tajemnicę.

Ale nie dziś. Czas nie jest właściwy.

Czemu nie, Tilo, nasza głupia Mistrzynie, po co je w takim razie kupiłaś?

Z ciszy ich głos, zaskakujący. Pytanie rozbłyska we mnie jak oko: Dlaczego one przemawiają? Potem zamyka swoje ciemne, podejrzliwe ja.

Już zapomniałam tę radość, która zalewa całą moją istotę. Tak, karcące, tak, podenerwowane, ale znów do mnie przemawiają moje przyprawy.

Ach, kochane, już od tak dawna...

Kto wie, kiedy i jak może się przydać lustro, mówię im, mój głos lekki jak pocałunek wiatru na unoszącym się oście.

Czuję ich uwagę, zaciekawioną i poważną, jak światło słoń-

ca na skórze. Powściągają swoją moc spopielania. Wstrzymują się od osądu.

Może Najstarsza się myliła? Może nie jest jeszcze dla nas za późno?

W swoim dzikim, schwytanym w klatkę sercu powtarzam raz po raz: Przyprawy, zaufajcie mi, dajcie mi szansę. Wbrew Ameryce, wbrew miłości, wasza Tilo was nie zawiedzie.

Z. *IARNO PIEPRZU*



- To — mówi Amerykanin. — Chcę to.
— Jest pan pewien? — pytam pełna wątpliwości.
— Absolutnie.

Uśmiecham się na myśl o tej ironii. Tilo, on jest tak samo niewien, jak ty byłaś na wyspie, i tak samo niewiele wie. Więc teraz ty, jak Najstarsza, musisz się podjąć ostrzeżenia.

Stoimy przy półkach z przekąskami. Amerykanin trzyma paczkę *chanachuru* z napisem MIESZANKA PRZEKAŃSKO-IVA LIJJAT. BARDZO PIKANTNA!!!

— Naprawdę taka jest — mówię. — Czemu nie spróbować akiegoś łagodniejszego rodzaju? Co pan próbuje udowodnić?

Śmieje się.

— Oczywiście, że moją męskość.

Jest poniedziałek. Oficjalnie sklep jest zamknięty. Albowiem poniedziałek jest dniem ciszy, dniem całego białego ziarna fasolki mung, które jest poświęcone księżycowi. W poniedziałki idę do pokoju na zapleczu i siadam w asanie lotosu. Gdy zamykam oczy, przychodzi do mnie wyspa, kołyszą się łalmy kokosowe, ostatnie promienie słońca unoszą się na wieżowym niebie, zapach dzikiego wiciokrzewu w słodkim ciężkim powietrzu — wszystko to tak realne, że mogłabym się rozłakać. Słyszę cienkie wołanie rybołówów, gdy nurkują po słone ryby. Brzmi jak skrzypce.

Najstarsza także do mnie przychodzi, a wokół niej nowe Iziewczyny, których nie znam. Ale blask na ich twarzach jest

tak znajomy, że łamie serce. Blask, który mówi: „My zmienimy świat”.

W poniedziałki rozmawiam z Najstarszą. Albowiem poniedziałek jest dniem dla matek, dniem, gdy powinny poznać wszelkie poczynania córek. Ale ja ostatnio nie mówię wszystkiego.

Tak jak dziś nie powiem.

Oto, co się dziś stało. Samotny Amerykanin przyszedł do sklepu. W świetle dnia. Po raz pierwszy.

Dlaczego to takie znaczące?, pytasz.

Noc otulona w wytworny szal gwiazd często zwodzi — zwłaszcza gdy czegoś pragniemy. Dopiero w bezstronnym świetle dnia jesteśmy zmuszeni poznać dzienną realność ludzi.

Wyczułam jego nadejście na długo przedtem, nim stanął u zaryglowanych drzwi sklepu, spoglądając na pozaginaną wywieszkę ZAMKNIĘTE. Jego ciało było kolumną gorąca, przesuwającą się przez ruchliwe ulice, jego krok zdecydowany, ale delikatny, jakby nie stąpał po betonie, lecz po skórze Ziemi.

Ach, mój Amerykanin, mówiłam sobie, czekając, przejęta i lękiem, i pragnieniem. Może teraz zobaczę, że jednak jest tylko zwyczajny.

Czy on także mnie czuł, stojąc na zewnątrz w bezruchu? Kolumnę lodu zamrożoną po drugiej stronie drzwi, a wewnątrz mnie wszystkie stare głosy protestujące: Nie odpowiadaj. Podnoszące wrzawę: Czy zapomniałaś, że dziś jest dzień poświęcony Pierwszej Matce, gdy z nikim innym nie wolno ci rozmawiać?

Myślę, że je usłyszał, bo nie zapukał. Odwrócił się, mój Amerykanin, dając mi szansę. Ale z pierwszym krokiem, jaki zrobił w tył, ja otworzyłam drzwi.

Tylko żeby popatrzeć. Oto, co sobie mówiłam.

Nie przemówił. Nie słowami. Tylko rozradowanie w jego

oczach powiedziało mi, że zobaczył coś ważniejszego niż moje zmarszczki.

Co ty naprawdę widzisz?

Amerykaninie, zbieram się na odwagę, by o to cię zapytać. Pewnego dnia, wkrótce.

I po raz pierwszy schwytałam kołysanie się wewnątrz jego umysłu, jak wodorosty w morskiej głębi, prawie niewidzialne w solnych cieniach.

Pragnienie. Jeszcze nie umiałam go odczytać. Wiem tylko, że miało coś wspólnego ze mną.

Ja, Tilo, która zawsze spełniałam życzenia, ale nigdy nikt nie życzył sobie mnie.

Rozradowanie pociągnęło także za kąciki moich ust, chociaż my, Mistrzynie, nie jesteśmy zbyt skore do uśmiechu.

Samotny Amerykaninie, przeszedłeś próbę dnia. Nie skurczyłeś się w pospolitość. Ale jak mam spocząć, zanim odkryję to twoje pragnienie?

Pchnęłam drzwi, by otworzyć je szerzej, oczekując oporu. Ale one rozwarły się łatwo i szeroko jak zapraszające ramiona.

— Proszę wejść. — Słowa też nie utkwily mi w gardle surowe i postrzępione, jak się obawiałam.

— Nie chciałem przeszkadzać — wyjaśnił.

Za nami drzwi zamknęły się ślizgiem. W uciszonym, wsłuchującym się powietrzu sklepu popłynął mój głos, dzwonek ze szkła.

— Jak może nam przeszkodzić ktoś, kogo widzimy z radością?

Ale wewnątrz mnie pytanie, drażniące jak oko pełne piasku: Przyprawę, czy jesteście prawdziwie ze mną, czy to jest nowa gra, w którą gracie?

— Jest coś, przed czym muszę pana ostrzec — mówię, podając mojemu Amerykaninowi *chanachur*.

W mojej głowie: Nie, Tilo, nie rób tego, daj spokój. W końcu on sam wybrał.

Pokusa miękka jak jedwabne łoże. Tak łatwo byłoby pozwolić mojemu ciału się w nim zapaść.

Nie, samotny Amerykaninie, żebyś później nie mógł powiedzieć, że wykorzystałam twoją niewiedzę.

Ciągnę więc dalej:

— Główna przyprawa w tym to *kalo marich*, ziarno pieprzu.

— Tak? — Ale jego uwaga koncentruje się na paczuszcze, którą wącha. Kicha od przypraw. Śmieje się, potrząsając głową, wargi zwinięte do bezgłośnego gwizdu.

— Ziarno pieprzu, które ma zdolność wymuszania z ciebie twoich tajemnic.

— Więc pani myśli, że mam tajemnice. — Nie wydaje się zaniepokojony. Bierze niezgrabnie szczyptę przekąski, kawałki wypadają spomiędzy palców. Wkłada do ust.

— Wiem, że pan ma — mówię. — Bo ja także je mam. Każde z nas.

Obserwuję go, nie wiedząc, czy przyprawy zadziałają, skoro ujawniłam ich moc. Idę nową drogą, a przede mną wszystko pokryte jest zaroślami jeżyn i ciemną mgłą.

— Nie robię tego jak należy, prawda? — pyta, gdy więcej *chana* skapuje z jego palców, zdobiąc przód jego koszuli na żółto i brązowo.

Muszę się rozeźmiać.

— Zrobię panu rożek, jakich używamy w Indiach. — Wytrząsam arkusz spod lady, gdzie trzymam stare indyjskie gazety. Zwijam go i napelniam. — Niech pan sobie trochę nasypie na dłoń. Kiedy naprawdę nabierze pan wprawy, będzie pan mógł je podrzucać i chwytac w usta, ale na razie proszę podnosić rękę do warg.

— Tak, pszepani — mówi z udawaną pokorą.

Więc teraz mój Amerykanin siedzi na ladzie, machając nogami, i je pikantną mieszankę przekąskową ze swojego papie-

rowego różka, jakby to robił od zawsze. Jego stopy są bose. Zdjął buty w drzwiach. (Buty, ręcznie uszyte z najbardziej miękkiej skóry, których blask nie pochodzi z powierzchni, lecz skądś głębiej. Buty, które Haroun by uwielbiał i których by nienawidził).

— Z szacunku — rzekł. — Tak jak robią Hindusi.

— Nie kiedy są w sklepie.

— Ale pani też nie nosi butów.

Tyle miesięcy, tylu ludzi przychodzących i odchodzących, a tylko on zauważył. Czy to głupie czuć przyjemność podobną do elektrycznego szczypania na własnych zakurzonych podszwach?

— Ja jestem inna — mówię mu.

— A czemu pani uważa, że ja nie? — Uśmiecha się tym uśmiechem, którego uczyć się wypatrywać.

Dochodzę do wniosku, że stopy mojego Amerykanina są piękne. (A jego twarz? Ach, straciłam już dystans potrzebny, by to rozróżnić). Ale jego stopy, jego palce smukłe i wolne od włosów, łuk wygięty w sam raz, podeszwy z bladej kości słoniowej, ale nie nazbyt miękkie: mogę sobie wyobrazić, jak trzymam je w dłoniach, pocieram ich zagłębienia czubkiem palca...

Przestań, Tilo.

Je z apetytem. Silne białe zęby bez zmieszania rozgniatają smażoną ciecierzycę, żółte patyczki *sev*, pikantne fistaszki w czerwonej skórce.

— Mmmm, pycha. — Ale ssie powietrze małymi chłodnymi łyżkami, by zmniejszyć palenie na języku.

— To za ostre na usta białego człowieka. Dlatego mówiłam, żeby pan spróbował czegoś innego. Może powinnam przynieść kubek wody.

— I zabić smak — mówi. — Żartuje pani?

I łyka jeszcze trochę powietrza, ale nieuważnie. Coś go rozprasza. Po chwili mówi:

— Więc pani myśli, że jestem biały.

— Tak mi pan wygląda, bez obrazy.

Na wpół się na to uśmiecha, ale widzę, że jeszcze nad czymś się głowi. Nie próbuję odczytać jego myśli. Choćbym nawet mogła. Raczej chcę, by sam mi je dał.

— Jeżeli mi pan powie swoje imię — mówię — będę wiedzieć, kim pan jest.

— Więc to takie łatwe wiedzieć, kim ktoś jest?

— Nigdy nie twierdziłam, że to łatwe.

Je w ciszy, aż nie ma już *chany*, potrząsa głową, gdy proponuję więcej. Rozwija rożek i wygładza na ladzie papier, jakby planował użyć go do czegoś ważnego. Między jego brwiami rysuje się ostra zmarszczka, niezadowolenie albo ból. Oczy z powiekami jak u jastrzębia patrzą przeze mnie na to, co tylko on może dostrzec w powietrzu.

Czy moje pytanie było zbyt osobiste, za wcześnie zadane?

Wstaje, szybko otrzepuje spodnie, jakby był gdzieś spóźniony.

— Bardzo dziękuję za poczęstunek. Lepiej już pójdę. Ile jestem pani winien?

— To był prezent. — Mam nadzieję, że mój głos nie ujawni, jak czuję się dotknięta.

— Nie mogę pani pozwolić tego robić — mówi, słowa sztywne jak ściana między nami. Kładzie na ladę banknot dwudziestodolarowy i podchodzi do drzwi.

Tilo, powinnaś była zaczekać. Teraz go straciłaś.

Jego ręka na gałce. Czuję się tak, jakby była zaciśnięta wokół mojego serca.

Ziarno pieprzu, gdzie jesteś w mojej godzinie potrzeby?

Przekręca gałkę. Drzwi stają otworem, zdradziecko gładko, nawet bez żadnego dźwięku.

Myślę: Proszę, nie idź. Nie musisz nic mówić, jeśli nie chcesz. Tylko zostań ze mną na chwilę.

Ale nie mogę wymówić tych proszących słów, które by obnażyły moje wypełnione potrzebą serce. Ja, która dotąd byłam rozdawczynią darów, Mistrzynią Pragnień.

Stoi przez chwilę na progu. Nie wiem, o czym decyduje. Mój wstrzymany oddech drapie mi pierś, ostry jak pazury.

Jednym gniewnym ruchem zatrzaskuje drzwi. Wstrząsam się jak od uderzenia grzmotu.

Mój Amerykaninie, co cię tak rozgniewało?

— Jakie imię mam pani podać? Miałem ich tak wiele. Jego głos jest szorstki i raniący, jak skała na skale. Nie patrzy na mnie.

Mimo to ulga biegnie przeze mnie jak rzeka. Gdy biorę wdech, powietrze w moim gardle jest słodkie jak miód. Nie wyszedł, nie wyszedł.

— Ja także miałam więcej niż jedno — mówię. — Ale tylko jedno z nich jest moim prawdziwym imieniem.

— Prawdziwe imię. — Przez chwilę zagryza wargę. Odzuca pasmo czarnych jedwabistych włosów. — Nie jestem całkiem pewien, które z nich to jest. Może pani będzie wiedziała.

I tak właśnie zaczyna.

— Nie dziwię się, że pani uznała mnie za białego — mówi Amerykanin. — Przez długi czas, w okresie dorastania, sam tak myślałem. A właściwie nie myślałem o tym w ogóle, jak większość dzieci. Po prostu akceptowałem.

Mój ojciec był cichym mężczyzną, dużym i powolnym. Gdy jesteś z ludźmi tego rodzaju, sam zwalniasz, spokój przykrywa cię jak chłodny koc, nawet bicie twojego serca. Potem zastanawiałem się, czy to dlatego moja matka wyszła za niego, mając nadzieję.

Ze wszystkich rzeczy, które go dotyczyły, najlepiej pamiętam jego ręce. Duże i stwardniałe od roboty, którą wykonywał w rafinerii w Richmond, kostki obdarte ze skóry. Półksiężycy oleistego brudu pod paznokciami, choćby nie wiem jak często szorował je szczotką, którą matka dla niego kupiła. Myślę, że

się ich wstydził. Jak one wyglądały obok szybkich, wymanikiurowanych palców mojej matki, z idealnie lśniącym lakierem, cokolwiek by robiła w domu czy w ogrodzie? W czasie tych rzadkich okazji, gdy przychodzili goście — zwykle ludzie, których matka poznała w kościele — wypychał sobie ręce do kieszeni, gdzie siedziały węzłowate, aż wizyta się skończyła.

Ale przy mnie jego dłonie były zręczne. Kładł mi jedną na głowie, gdy opowiadałem mu o szkole albo o nowej zabawie, którą wymyśliłem, i była to najbardziej pełna spokoju rzecz, jaką znam. Czuję w tym słuchanie. Gdy byłem chory albo nieszczęśliwy, albo czasami późnym wieczorem bez żadnego powodu przychodził usiąść na moim łóżku i masował mi plecy, jego zrogowaciały kciuk robił małe kółka na moich łopatkach, aż zasnąłem. Uwielbiałem zapach, który zostawiała jego ręce na moim ciele, w moich włosach. Stary, dziki, cierpliwy zapach przypominający leśne moczary.

Głos mojego Amerykanina jest szklisty i ciężki jak leczniczy miód, słowa chwytają jego gorzką słodycz, wspomnienie rzeczy minionych. Forsują we mnie drzwi do komnat, o których myślałam, że zamknęłam je na zawsze.

— Chyba go idealizowałam — mówi — jak to dzieci rodziców, wie pani.

Nie, Amerykaninie, nie wiem. Gdy mówisz, powraca wspomnienie z mojego dzieciństwa, moi rodzice karcący mnie — a raczej próbujący mnie skarcić — za coś, co zrobiłam. Może danie, które zrzuciłam na ziemię, bo nie odpowiadał mi jego smak, może bójka, w którą się wdałam z siostrą, drapiąc jej twarz, wyrywając włosy. Widzę oskarżająco wyciągnięty palec mojego ojca, moją matkę potrząsającą głową, że jestem niepoprawna. I ja — jakże rozgniewana, że ośmielili się krytykować mnie, mnie, której zawdzięczali swoje bogactwo i lęk, z jakim ludzie spoglądali na nich na targowisku. Wbijałam w nich pogardliwe spojrzenie, aż opuścili oczy i wycofali się.

Jednak dziś, gdy słucham głosu mojego Amerykanina, widzę ich na nowo. Widzę zmieszanie i lęk w opadającej linii ich ramion. W ich spuszczonej oczach — pragnienie bycia łobrymi rodzicami, nawet pragnienie kochania. Nie wiedzieli jednak jak. Teraz widzę, że to są oczy zagubionych dzieci, a widząc to, mam ochotę płakać.

Być może, Amerykaninie, pewnego dnia będę mogła ci o tym powiedzieć. Ja, Tilo, która do teraz byłam cierpliwą słuchaczką, rozwiązującą problemy wszystkich wokół.

Ale on mówi, a ja muszę odsunąć własne smutki, by poświęcić uwagę jego słowom, które szorują skórę wieczoru niespodziewaną szorstkością. I stąd wiem, że dotknęłam bolącego miejsca.

— Moja matka, ona była... inna.

Wstrzymuję ciało cicho jak drewno, ziemia, kamień, nawet oddech, aż znowu zacznę. Słyszę, że jego głos stał się teraz jładki, a zdania pełne i oficjalne, jakby to była opowieść o historii kogoś innego. Może to jedyny sposób, w jaki potrafi się zdobyć na jej opowiedzenie.

— To, co najbardziej pamiętam, to, że zawsze czyściła z taką gniewną energią. Brud na czymkolwiek — włącznie ze mną i tatą — uważała za osobistą obrazę. Spędzała godziny przy arze, walcząc z poplamionymi kombinezonami taty, a każdego wieczoru, gdy się kąpał, szorowała mu plecy, aż czerwieniały. Mieszkaliśmy w małym domku na obrzeżach podupadłej dzielnicy, w sąsiedztwie żyli głównie robotnicy z fabryki albo ze stoczni, wieczorami mężczyźni w podkoszulkach siadali na ganku, kołyszając butelki piwa. Ale kiedy się było w naszym domu, nie można się było tego nawet domyślić. Wszystko błyszczało, :ytrynowe linoleum na kuchennej podłodze, telewizor w obudowie udającej drewno orzecha, zasłony czyste i pachnące słodko od czegoś, co matka dodawała do wody podczas prania. Dopasowane srebra na stole i ona przyglądająca się, by mieć pewność, że właściwie ich używam.

Nie lubiła dzieci z sąsiedztwa, ich głośnego śmiechu i przekleństw, i koszul z przykrótkimi rękawami, w które wycierały nosy. Ale była dobrą matką, wiedziała, że chłopiec potrzebuje kolegów. Pozwalała mi się z nimi bawić, a czasem nawet przyprowadzać ich do domu. Podawała im sok i ciasteczka, które jedli z zakłopotaniem, siedząc na brzegach krzesel lśniących od polityury. Po ich wyjściu kazała mi jednak myć — twarz, ręce, nogi, wszystko — raz po raz, jakby chciała się upewnić, że wszelkie ślady po nich zostaną usunięte. Siadała ze mną przy stole w jadalni, kiedy odrabiałem lekcje, a gdy podnosiłem wzrok, widziałem taki wyraz jej twarzy, taką pełną przejęcia, bolesną miłość, z którą nie bardzo wiedziałem, co robić.

Każdego wieczoru przed pójściem do łóżka odprawiała rytuał. Gdy się przebrałem w piżamę, zwilżała mi włosy wodą i starannie czesała. Żebym mógł dobrze wyglądać, gdy pójdę na spotkanie ze snami, mówiła, na zakończenie składając pocałunek na środku mojego czoła. Inni chłopcy może by się niecierpliwiłi takimi gestami, ale nie ja. Uwielbiałem silny, zręczny sposób, w jaki przesuwała grzebieniem po moich włosach, sposób, w jaki nuciła półgłosem. Czasem, gdy mnie czesała, mówiła, że wolałaby, żeby moje włosy były bardziej podobne do włosów taty, a nie takie proste i czarne jak węgiel, opadające mi na czoło, jakkolwiek by je układała. Ja jednak w sekrecie cieszyłem się. Kochałem tatę, ale jego włosy były cienkie, ceglanorude, z już prześwitującymi łysymi plackami. Cieszyłem się, że odziedziczyłem włosy po matce, tyle że moje były proste jak sznurki, a jej się kręciły wokół twarzy w prześliczny sposób.

Kształty przybierają formę w nieprzejrzystym powietrzu sklepu. Stare pragnienia. Kobieta z całym ciałem naprężonym, by unieść się wyżej ze swojego życia, chłopiec patrzący na swoją matkę i widzący cały świat.

Czy on nadal mówi, mój Amerykanin, czy też śnię jego sen we wnętrzu mojego serca?

Zrozum to, mówi kształt chłopca. Nie lekceważ tego jako

fantazji dorastania. Myślałem, że moja matka jest najpiękniejszą kobietą pośród wszelkiego stworzenia. Bo była.

Widzę przez chwilę inne kobiety, które zawadzają o obrzeża jego życia, wieszając ubrania na sąsiednich podwórkach. Usta pełne klamerek, nabrzmiałe brzuchy, obwisłe ciało na ramionach i szyjach, ich piersi. Pot, który przykleja im koszule do pleców. A w szkole nauczycielki z wąskimi ustami, ich zmęczone, obrzeżone czerwienią oczy, palce mocno zaciśnięte na wskaźnikach, kredzie, gąbkach. Suche, martwe rzeczy.

Ale ona. Koronkowe mankiety jej koszuli nocnej, sposób, w jaki rano wykonywała przysiady, czyste wygięcie jej kręgosłupa, zapach wody kolońskiej, którą hojnie spryskiwała szyję. Strojów miała niewiele, ale zawsze z dobrych sklepów. Jej buty, wysokie na zaostzonych obcasach, które sprawiały, że spódnice owijały się wokół jej nóg, gdy kręciła się po domu, jakby występowała w filmie. Nawet jej imię, nie Sue czy Molly, czy Edith, jak kobiety z sąsiedztwa, ale Celestina, które wymawiała rytmicznie i nigdy nikomu nie pozwalała go skracać.

Jej włosy były zawsze świeżo wymyte, aureola falującej czerni, która nadawała jej blask, dla chłopca podobny do tego, który mieli święci na obrazkach wręczanych przez zakonnice w szkółce niedzielnej. Czasem mocowała loki z tyłu spinkami. Złotymi, srebrnymi, perłowymi. Trzymała je w małym rzeźbionym drewnianym pudełku, pozwalała mu się nimi bawić i wybierać parę, którą miała włożyć.

— Tak o nie dbała, że dopiero po latach dowiedziałem się, że to imitacje — mówi Amerykanin. To słowo w jego ustach jest twardym odgłosem uderzenia. — I że jej włosy nie kręciły się naturalnie. Tego dnia, gdy znalazłem butelkę płynu do trwałej ondulacji w garażu za stosem starych gazet, byłem zbyt wściekły, żeby się do niej w ogóle odzywać. — Jego głos znów drży na to wspomnienie, potem zmienia się w szorstki śmiech. — Tylko że to nie miało znaczenia, bo wtedy już i tak niewiele rozmawialiśmy.

— Niech pan zaczeka — mówię zbita z tropu jego gwałtownością. — Co pana tak rozgniewało? W Ameryce to zwykła rzecz, że kobiety kręcą sobie włosy. Nawet ja to wiem.

— Bo wtedy już wiedziałem, dlaczego ona to robi. Dlaczego robi wszystko, co podziwiałem. Że to wszystko kłamstwo.

— Dorastając — mówi Amerykanin — myślałem o moim ojcu jak o skale. A o matce jak o rzece spadającej na nią z wielkiej wysokości. A może to dopiero później tak ich wspominałem? Jego cicha moc, jej niespokojna piękność. A ja, ja byłem dźwiękiem wody na kamieniu, niepodobnym do żadnego innego, którego z niczym nie trzeba porównywać. Więc nigdy nie zastanawiałem się, kim byli moi najbliżsi ani skąd się wzięłem.

Mój ojciec był sierotą, wychowanym w surowych domach krewnych, którzy go tam nie chcieli. Może to dlatego tak łatwo uwierzył mojej matce, kelnerce w przydrożnej jadłodajni, gdzie zamówił śniadanie, gdy powiedziała mu, że jej bliscy nie żyją. Osierocenie wydawało mu się stanem naturalnym i okropnym. Może to mu dało odwagę, by się oświadczyć tej zadziwiającej młodej kobiecie z włosami jak dzikie konie i spojrzeniem dzikiego konia w oczach. A po jakimś czasie od poślubienia go ona sama zaczęła w to wierzyć.

A może wierzyła nawet wcześniej. Może kiedy ich opuściła, uciekła, nawet bez listu „Nie szukajcie mnie”, gdy ścięła i ułożyła włosy, gdy zmieniła pęsetką kształt brwi i namalowała nowe usta, gdy nadała sobie sama imię ładne i odpowiednie, jakie zawsze chciała mieć, to było to samo co śmierć.

W sklepie jest teraz ciemno. Zupełnie ciemno. To bezksiężycowa noc, a ktoś roztrzaskał latarnię na zewnątrz, więc przez zamknięte żaluzje nie sączą się zakurzone linie światła. Słucham mojego Amerykanina i myślę, jak ciemność zmienia

tembr głosów, pogłębia je, wycina z ograniczeń ciała, by unosiły się swobodnie.

Amerykaninie, w jaki wzór mam wpleść twoje szybujące słowa, jakim kolorem przypraw je zabarwić?

— Któregoś dnia, gdy miałem około dziesięciu lat, może mniej — mówi — jakiś mężczyzna przyszedł do naszego domu. To był powszedni dzień, tato był w pracy. Ten mężczyzna miał na sobie stary płaszcz, rozerwany pod rękawem i dzinsy prześląknięte zapachem zwierząt. Włosy, proste i czarne, opadały mu na ramiona i wyglądały jakby znajomo.

Gdy matka otworzyła drzwi i zobaczyła go, jej twarz zrobiła się szara jak stara guma. Potem pojawiło się w niej coś twardego jak betonowy stopień, na którym on stał w butach oblepionych błotem i gnojem. Zaczęła zamykać drzwi, ale on powiedział: „Evvie, Ewie”, i gdy spojrzałem jej w oczy, zrozumiałem, że lazał ją jej prawdziwym imieniem.

Głos Amerykanina przybiera wysokie, zdziwione tony kogoś, kto znów śni dziecięcy sen.

— Byłem w innym pokoju, ale słyszałem jej głos, jak zęby widelca drapiące cynowy półmisek: „Dlaczego tu przyszłeś rujnować mi życie?” Moja matka, która zawsze mówiła poprawnie jramatycznie, która myła mi usta mydłem, gdy kiedykolwiek zwiedziałem „szłem”. Jego głos dudniący głośniejsze i głośniejsze. JByś się wstydziła, Ewie, wypinać się na własną rodzinę. Po- >atrż się na siebie, udawana biała, myślisz, że jesteś taka wielka

wspaniała, a twój chłopak nawet nie wie, kim jest”. I jej wściekłe syczenie: „Bądź cicho, ty beznadziejny skurwielu”. Potem słyszałem już tylko urywki. „On umiera”. „To co, te umiera, ja mu nic nie jestem winna”. Słowa w języku, którego nie rozumiem. I wreszcie: „Cholera, Ewie, obiecałem im, że cię znajdę i powiem. Swoje zrobiłem. Teraz rób, jak chcesz”, frzasnęły frontowe drzwi i wszystko ucichło. Znacznie później słyszałem, jak poruszała się wolno i z drzeniem, przygotowywała obiad, potykała się na wysokich obcasach jak stara ko-

bieta. Poszedłem do kuchni, pozwoliła mi obrać ziemniaki. Od czasu do czasu ukradkiem spoglądałem na nią, próbując odczytać wyraz jej twarzy, chcąc, by coś powiedziała o mężczyźnie, który przyszedł do naszych drzwi. Ale ona tego nie zrobiła. A zanim tata wrócił do domu, poszła umyć twarz, pomalowała usta i przywołała świeży uśmiech.

To był pierwszy raz, gdy zdałem sobie sprawę, że w mojej matce jest miejsce, które ukrywała przed nami, nawet przede mną, którego kochała bardziej niż kogokolwiek innego.

Wcześniej rano następnego dnia, gdy tata wyszedł, poszła do sypialni, a gdy ją opuściła, miała na sobie najlepszą sukienkę, granatową z żakietem do kompletu i małymi perłowymi guziczkami wzdłuż całego przodu, i perłowy naszyjnik, który trzymała w małym aksamitnym pudełeczku i nie lubiła, gdy go dotykałem. „Chodź — powiedziała — pojedziemy gdzieś”. „A co ze szkołą?”, spytałem, na co moja matka, która nigdy wcześniej nie pozwoliła mi opuścić lekcji, odpowiedziała: „W porządku, chodźmy”. Przez całą drogę w samochodzie milczała, nie karciła mnie za kręcenie radiem i nastawianie muzyki za głośno. Raz czy dwa już zaczynałem ją pytać, dokąd jedziemy, ale miała taką małą, wyrażającą zaabsorbowanie zmarszczkę na czole, jakby słuchała czegoś z głębi swojej głowy, więc nie spytałem. Tak jechaliśmy przez parę godzin. A gdy zjechaliśmy w wąską ulicę z oblażącymi z farby domami i wrakami samochodów na podwórkach, i kępami przerośniętej młeczem trawy, i śmieciami wysypującymi się ze śmietników, wydała cichy dźwięk, jakby coś utkwilo jej w piersi, może hak, który przyciągnął ją z powrotem do tego miejsca.

Zatrzymała samochód z szarpnięciem i wyszła bardzo prosta i wysoka, trzymając mnie za rękę tak mocno, że bolało potem przez kilka dni. Weszła do małego, obitego deskami domu, w którym unosił się zapach stęchlizny jak mokre ubrania zostawione zbyt długo w praniu, prosto do kuchni, jakby wiedziała, dokąd iść. Kuchnia była pełna mężczyzn i kobiet, niektórzy pili z brą-

zowych butelek, a kiedy zobaczyłem ich ospałe, płaskie twarze, włosy wiszące miękko i czarno na ich czołach, to było jak patrzenie w krzywe lustro. Moja matka minęła wszystkich, jakby ich tam nie było. Stukanie jej obcasów na pokierszowanym linoleum było precyzyjnym, pewnym siebie dźwiękiem. Ale jej palce, zaciskające się na moich, były mokre od potu, i wiedziałem, że czuła te oczy na lśniących perłowych guziczkach sukienki, słyszała ten szept, który okrążył pokój jak mroźny wiatr zabijający wczesne owoce.

Amerikanin przerywa, jakby doszedł do ściany i nie wiedział, w którą stronę się zwrócić.

Spoglądam na niego na nowo, na włosy i kolor skóry, i kształt kości, próbując w nim dostrzec ludzi, których opisuje. Ale on wciąż jest moim Amerykaninem i tylko sobą, niepodobnym do nikogo innego.

— W końcu znaleźliśmy się w wąskim pokoju, w którym tłuło za dużo ludzi i za mało światła. Na łóżku w kącie leżała sukienka, patykowały kształt przykryty kocem. Gdy wzrok przytwyczał się do półmroku, zobaczyłem, że to mężczyzna. SV moich oczach zdawał się ogromnie, niesłychanie stary. Ktoś jotrząsał grzechotką i śpiewał. Nie rozumiałem słów, ale czułem, jak falują wokół nas cienkie i podobne do węża, związując Jas wszystkich razem.

Gdy dostrzegli moją matkę, wszystko się zatrzymało. Cisza >yła tak nagła, jak niespodziewane uderzenie w ucho. Usadowili starego mężczyznę w łóżku, podtrzymując go, by się nie wyrócił.

Stary człowiek podniósł głowę z takim wysiłkiem, że niemal izułem, jak powolne mięśnie jego szyi skrzypią i ciągną. Otworzył oczy, które w tym ciemnym pokoju rozbłysły jak płatki hiki na ścianie jaskini. „Ewie”, powiedział. Słowo zadźwięczało ostro i jasno, jak strzała. Nie takiego głosu się po nim ipodziewałem. Potem powiedział: „Syn Ewie”. Wołanie w jego głosie było jak otulające mnie ramiona. Od razu zapragnąłem

do niego podejść, chociaż zawsze byłem nieśmiały przy obcych. Ale na moich ramionach spoczywały dłonie mojej matki, palce zaciśnięte i bezradne jak chwyt małego, przerażonego ptaka. Amerykanin wzdygając się, bierze głęboki oddech, jakby przeciskał się przez długi, pozbawiony powietrza tunel. Potem potrząsa głową.

— Nie mogę uwierzyć, że opowiedziałem pani całe to gówno — mówi, kryjąc się za tym małym twardym słowem, tak jak to robią mężczyźni. — Fiu. Ten pieprz jest mocny.

Mój Amerykaninie, mów, co chcesz. To nie tylko przyprawa, ale i to, że chciałeś, bym usłyszała. Taka jest moja wiara i moja nadzieja.

Głośno mówię:

— To nie jest — jakie to było słowo — gówno. Pan dobrze o tym wie.

Widzę jednak, że będę musiała czekać długo, może zawsze, by usłyszeć, co się stało u łoża tego konającego.

Tylko trochę mi przykro, że przerwał. Jego słowa już wypełniły sklep, dzika woda wybuchająca z brzegów. Naciskająca na mnie nieprzezroczystą wagą. Potrzebuję czasu, by ją przepłynąć, dowiedzieć się, jakie kanty rozpuściła między nami ta powódź.

A na razie chcę mu powiedzieć: „Będę niosła tę chwilę z twojego życia jak iskrę w sercu”. Ale nagle robię się nieśmiała, ja, Tilo, kiedyś zuchwała i bezczelna. O, jakże by się z tego śmiała Najstarsza.

Wszystko, co mogę powiedzieć, to:

— Kiedy tylko będzie pan chciał porozmawiać, moje drzwi są dla pana otwarte.

Śmieje się swoim dawnym śmiechem, znów łatwym i drwiącym. Jego ręka omiata półki.

— Wszystko to i w dodatku darmowa terapia. Co za interes. — Ale jego oczy zatrzymują moje i głębokie światło w ich wnętrzu mówi: Jestem rad.

Pewnego dnia będziesz musiał mi powiedzieć, co widzisz, gdy patrzysz na ten kształt owinięty w warstwy starej kobiecej skóry. Czy to jakaś prawda o mnie, której sama nie znam, czy jedynie twoja fantazja?

Spod drzwi pyta:

— Czy nadal chce pani poznać moje imię?

Prawie się śmieję na to pytanie. Samotny Amerykaninie, czy nie słyszysz, jak moje serce śpiewa w swoim czerwonym rytmie tak-tak-tak.

Ale zmuszam się, by powiedzieć to, co jako ostrzeżenie mówiła mi Najstarsza, gdy opuszczałam wyspę.

— Tylko jeśli pan chce. Bo prawdziwe imię ma moc i kiedy je wypowiadasz, przekazujesz tę moc w ręce twojego słuchacza.

Dlaczego ja ci to mówię, skoro nie zrozumiesz?

— Moje prawdziwe imię, tego pani chce? Cóż. Może po-Tafię dojść do tego, które to jest.

— Jak? — pytam. A w duszy: Na pewno nie wie.

— Wszystkie inne mi dano, ale to jedno ja wybrałam.

Amerykaninie, jeszcze raz mnie zadziwiłeś. Myślałam, że y, który pochodzisz z Zachodu i jesteś przyzwyczajony, by sawsze wybierać swoją drogę, uznasz taki wybór za coś oczywistego.

Waha się, potem mówi:

— Moje imię to Kruk. — I stopą przeciąga po wzorze na Kidłodze. Nie patrzy na mnie. W czułym rozbawieniu widzę, że mój Amerykanin jest trochę zawstydzony tym swoim nieimerykańskim imieniem.

— Ależ ono jest piękne — mówię, smakując w ustach ten Bugi, smagany wiatrem dźwięk, zapach gorącego nieba, unosiącego się i opadającego, ciemne drewno wieczorem, lśniące >ko, pióra w ogniu uformowane z węgla i dymu. — I pasuje do ciebie.

— Tak pani myśli? — Szybki błysk przyjemności w jego oku, równie szybko ukryty. Kruk, który czuje, że jak na jeden

dzień dość się odsłonił. — Jak je przybrałem — mówi. — Ach. Pewnego dnia opowiem pani tę historię. Może.

Kiwam głową na znak zgody, ja, Tilo, tak niegdyś niecierpliwa, by wiedzieć. Wierzę im, tym nie opowiedzianym historiom, które rozciągają się między nami jak włókna ubitego złota. Jego historiom i moim. Nie będą stracone, nawet jeśli nie zostaną wypowiedziane.

— Kruku, teraz ja muszę ci wyznać moje imię. Czy uwierzysz, jeśli powiem, że jesteś jedynym mężczyzną w Ameryce, na całym świecie, który będzie je znał?

Gdzieś tam ziemia wierzga pod nogami, rozwiera się z drżeniem. Gdzieś nagle budzi się wulkan i kaszle dymem. Wiatr zmienia się w popiół.

Tak, mówią jego oczy, oczy mojego Amerykanina pozwalającego opaść szacie samotności. Wyciąga swą lśniąca złocistobrazową dłoń (gdzieś tam kobieta płacze) i w niej umieszczam moje imię.

% *ALO JIRE*



Kruk wyszedł i sklep wydaje się zbyt duży. Jego cisza z od-
dali dzwoni mi w uszach. Jak stare świetlówki, myślę, i ta myśl
mnie zaskakuje. Widuję to już od jakiegoś czasu, mój umysł
przywołuje wrażenia, które nie wiążą się z żadnymi moimi do-
świadczeniami. Może zostawiają je ci, którzy przeszli przez tę
przestrzeń? A może to jego wspomnienia stają się moimi?

Wędruję wśród półek, czyszczę, choć już wszystko jest upo-
rządkowane, daję rękom jakieś zajęcie. A tak naprawdę chcę
dotknąć wszystkiego, czego on dotykał. Jestem głodna tej odro-
biny, którą mogę dostać. Lekkiego mydlanego zapachu jego
skóry. Ociągającej się resztki ciepła z czubków jego palców.

I tak dochodzę do gazety, którą zostawił wygładzoną na la-
dzie. Kładę na niej dłoń i zamykam oczy, czekam na obraz,
który mi powie, gdzie on teraz jest, może jedzie przez auto-
stradowa noc z otwartymi oknami, bębnami w radiu i ostrym
czystym zapachem niedostrzegalnego oceanu, z przyprawami
we włosach. Co myśli? Ale nic nie przychodzi. Więc po chwili
nie pozostaje mi nic innego, jak otworzyć oczy i zabrać arkusz,
by go ostrożnie ułożyć na dnie kosza, w którym trzymam stare
gazety.

I wtedy zauważam ten tytuł. SKINHEADZI UNIEWIN-
NIENI. A pod nim fotografia dwóch białych nastolatków, zęby
odslonięte w triumfalnym uśmiechu. Nawet zamazane zdjęcie
nie może ukryć pewnego siebie przechylenia ich głów.

Przez chwilę pcha mnie pilna potrzeba, instynkt ciężący
w głębi mnie, tam, gdzie tkwią lęki. Tilo, dowiedz się, co ich

tak ucieszyło. Tilo, musisz. Zamiast tego składam gazetę palcami, które lekko drżą.

Nigdy nie czytałam gazety, nawet żadnej z tych hinduskich, które co tydzień są dostarczane do sklepu.

Pytasz, czy nie chcę.

Oczywiście, że chcę. Ja, Tilo, której ciekawość wyciągała mnie tak często poza granice wytyczone przez mądrość. Czasem przykładam twarz do druku. Zapach płonącego metalu unosi się z malutkich czarnych liter.

Potem się odsuwam. Czy nie dość zasad już złamałam?

Oto, co powiedziała nam Najstarsza:

— Wydarzenia w zewnętrznym świecie dla Mistrzyń są niczym. Gdy wypełniacie sobie głowę niepotrzebnymi rzeczami, prawdziwa wiedza gubi się jak ziarna złota w piasku. Skupcie umysł tylko na tym, co się do was przynosi, szukajcie tylko na to rozwiązania.

— Ale, Pierwsza Matko, czy nie pomoże mi wiedza o tym, co się dzieje gdzie indziej, bym wiedziała, jak życie powierzone mojej opiece pasuje do tego gobelinu?

Jej westchnienie, niecierpliwe, ale nie pozbawione łagodności.

— Dziecko, gobelin jest znacznie większy, niż obejmuje twoje widzenie czy też moje. Po to, czego musisz się dowiedzieć, zwróć się do wewnątrz. Nasłuchuj, aż właściwa przyprawa wypowie swoje imię.

— Tak, Matko.

Ale dziś chcę zapytać: „Czy ty, Pierwsza Matko, kiedykolwiek czułaś, jak twoje myśli zalewają wszystko wokół jak słone fale oceanu, a jeden głos, jego, nawołuje jak rybitwa, tak że wszystko inne staje się niewyraźne i odległe, jak dźwięki spod powierzchni morza? Matko, co powinnam zrobić? Wszystko, co pewne w moim życiu, kruszy się jak klify wśród morskiej burzy, piaszczysty kurz szczypie w oczy”.

Moja głowa tak ciężka, że muszę ją oprzeć na ladzie, gdzie gazeta wciąż...

Wizja smaga mnie, bat na moich powiekach. Młody mężczyzna w łóżku z rurkami wychodzącymi z nosa, z zagięcia łokci. Biel bandażu wtapia się w biel szpitalnych poduszek. Tylko jego skóra odbija się plamami, brązowa jak moja. Jak moja, hinduska skóra. Radowe punkciki szarpią się na ekranie. W całym pokoju nie ma innego ruchu.

Z wyjątkiem wnętrza jego głowy.

Tilo, co...

Nagle zostaję wciągnięta. Gdy uderza we mnie piorun bólu, wiem, że jestem na początku historii, której zakończenie przeczytałam w tytule.

Wewnątrz jego głowy zapada wieczór, blade słońce połknięte przez drzewa, park w centrum pociemniały, prawie opustoszały, tylko paru ostatnich urzędników zbitych ciasno na przystanku myśli: „dom” i „kolacja”. Zdejmuje czerwony daszek, jaskrawo-żółte litery głoszące: MOHAN DANIA INDYJSKIE padają na siebie. Trochę się spóźnił, ale to był dobry dzień, prawie-wszystko, co Veena ugotowała, sprzedane i tylu ludzi mówi: „Smaczne to”, przychodzą z powrotem z przyjaciółmi. Może już czas, by wynająć pomocnika, ustawić inny wózek po drugiej stronie miasta, blisko nowych biurowców. Na pewno Veena mogłaby znaleźć koleżankę do pomocy przy gotowaniu.

Wtedy słyszy kroki, jesienne liście kruszą się pod butami, dźwięk gnieczonego szkła. Dlaczego wydaje się tak głośny?

Gdy się odwraca, dwaj młodzi mężczyźni są bardzo blisko. Czuje ich brud, jakby odór nieświeżego czosnku. Myśli o tym, że Amerykanie zawsze pachną inaczej niż Hindusi, nawet ci biurowi *babu* pod wodą kolońską i dezodorantem. I wtedy zdaje sobie sprawę, że czuje swój własny pot, swój nagły kłujący strach.

Włosy młodych mężczyzn są obcięte naprawdę krótko. Ich szczeniaste czaszki błyszczą białą jak kość, białą jak połysk w ich oczach. Domyśla się, że to jeszcze nastolatki, tacy trochę starsi chłopcy. Niepokoją go ich ciasne maskujące kurtki.

— Przepraszam, już zamknięte — mówi, stanowczo wycierając wierzch wózka papierowym ręcznikiem, odkopując kamienie, które podłożył pod koła. Czy to będzie niegrzeczne ruszyć, gdy oni wciąż tu stoją? Niezdecydowanie popycha wózek.

Młodzi mężczyźni przemieszczają się zwinnie, zastawiają mu drogę.

— A czemu myślisz, że chcemy coś z tego gówna? — pyta jeden. Drugi pochyla się do przodu. Niedbale, nawet elegancko, przewraca zgrabny stos papierowych talerzy. Hindus automatycznie wyciąga ręce, by je złapać, i dwie myśli jednocześnie przebiegają mu przez głowę:

„Jakie oni mają bezduszne oczy, jak błotniste kałuże”.
I: „Już powinienem zacząć biec”.

Tępy czubek buta uderza go w pachę pod wyciągniętą ręką, gorący wstrząs bólu tryska wzdłuż boku jak rozpalone żelazo i przez ten ból słyszy, jak jeden z nich wypluwa:

— Skurwysynu Hindusie, powinieneś być zostać w swoim własnym pierdolonym kraju.

Ale ból nie jest tak straszny, jak się obawiał, nie tak straszny, żeby nie mógł podnieść kamienia i cisnąć nim w młodego mężczyznę, który kopie wózek, aż przewróci go z łoskotem, i kebaby oraz *samosy*, które Veena tak starannie zwijała i nadziewała, rozsypują się dookoła w brudzie. Słyszy radujące stuknięcie uderzenia, widzi, jak jego siła odrzuca młodego mężczyznę do tyłu. Na twarzy maluje się takie zaskoczenie, że jest prawie śmieszna. Hindus jest zadowolony, chociaż oddychanie boli, a mała postrzępiona myśl — żebra? — wkręca się przez chwilę do rozświetlonej części jego mózgu. (Nie wie, że później adwokat pokaże siniak od kamienia na młodym mężczyźnie siedziemu i powie, że to Hindus zaczął, jego klienci tylko się bronili). Przez chwilę wierzy, że może uda mu się uciec, może dobiegnie do przystanku autobusowego, małej, bezpiecznej aureoli z latarni ulicznej, do garstki czekających. (Czy oni nie widzą, co się dzieje?) I wtedy dopada go drugi młody mężczyzna.

Nawet teraz, gdy Hindus niewiele może sobie przypomnieć (głowa szarpnięta do góry, miażdżące pięści oprawione w metal), wspomnienie bólu jest świeże. Nieprzerwany ból przez cały ten czas, cokolwiek działa się później. (Kopniak w pachwinę, twarz ciągnięta po żwirze). Tyle rodzajów bólu — jak ogień, jak kłujące igły, jak kruszące młoty. Ale właściwie nie. Ból ostatecznie jest podobny tylko do siebie. (Pierdolone gówno, skurwysyn, kawał gówna, dostaniesz nauczkę). Myśli, że krzyczał o pomoc, ale krzyk wypłynął w starym języku, *bachao, bachao*. Myśli, że widział czerwony tatuaż na przedramieniu, ten sam znak swastyki, który się malowało na ścianach wiejskich domów na szczęście. Ale to z pewnością niemożliwe (cios w głowę tak silny, że jego myśli rozpryskują się w żółte gwiazdy), to musiała być tylko krew w jego oczach, rozerwane nerwy zrobiły mu taką sztuczkę.

W pokoju szpitalnym jest tak spokojnie, ból przychodzi i odchodzi regularnie jak fale. Już prawie się do tego przyzwyczaił. Chciałby tylko, żeby Veena tu była, miło byłoby mieć czyjaś rękę do chwycenia, gdy na zewnątrz niebo staje się atramentowo-fioletowe jak tamtego wieczoru, ale zabrali ją do domu, żeby trochę odpoczęła.

— Nie martw się — mówili mi. — Jak będziesz się martwił, to ci się nie poprawi. Zajmiemy się wszystkim. Postaraj się odpocząć. — Ale co mam zrobić z pytaniami grzechoczącymi w pudle mojej czaszki: „Czy będę mógł chodzić? Z czego teraz żyć? Prawe oko, czy już zupełnie stracone? Veena taka młoda i ładna została z okaleczonym oszpeconym mężem”. I ciągle od nowa: „Ci dwaj *harami*, czy policja ich złapała? Oby zgnili w więzieniu”.

Miesiące później w mieszkaniu, gdy usłyszysz o niewinnieniu, będzie wrzeszczał wysokim, jęczącym, nie kończącym się zwierzęcym głosem, będzie tłukł kulami cokolwiek dosięgnie, gruchocząc wszystko. Zastawę, meble, oprawione zdjęcia wesele na ścianie. Raz i raz, i raz, nie słysząc, jak Yeena błaga,

by przestał, strząsając ją. Słodki huk okiennego szkła, wieża, na której kupno oszczędzał przez tyle miesięcy, załamująca się pod jego ciosami łatwo jak czaszka. Aż Veena, łkając, pobiegnie do mieszkania obok zawołać Ramcharana i jego brata. „Uspokój się, *bhaiya*, uspokój się”. Ale on rzuci się na dwóch mężczyzn, drapiąc i wrzeszcząc tym nieludzkim głosem, który płynie z miejsca za oczami, lewym wyłupiastym i czerwono żyłkowanym, prawym, które teraz jest ciemnym, zapadniętym otworem. Aż wreszcie chwycą go od tyłu i popchną na łóżko, i zwiążą kilkoma sari Veeny. Wtedy przestanie krzyczeć. Nie przemówi ani słowa. Ani potem, ani w następnych tygodniach, ani w samolocie Air India, gdy sąsiedzi wreszcie uzbierają pieniądze, by odesłać jego i Veenę z powrotem do domu, bo co im zostało w tym kraju.

O Mohanie, złamany na ciele, złamany na umyśle przez Amerykę, wracam z twojej historii w strzępach, w końcu znajduję siebie rozsypaną w chłodzie podłogi sklepu. Moje członki bolą jak po długiej chorobie, moje sari jest mokre od potu, a moje serce nie umie rozróżnić, gdzie twój ból się kończy, a mój zaczyna. Bo twoja historia jest historią wszystkich, których nauczyłam się kochać w tym kraju i o których nauczyłam się bać.

Gdy znów mogę stać, niepewnie podchodzę do kosza na gazety.

Muszę wiedzieć.

Tak, te historie tu są. Obracając stronę po stronie, cofając się w miesiącach i latach, powoli je odkrywam. Mężczyzna, który widzi okno swojego sklepiku potłuczone przez kamienie, podnosi jeden z nich i czyta przywiązaną do niego, pełną nienawiści kartkę. Dzieci łkające przed bezpiecznym podmiejskim domem nad swoim otrutym psem. Kobieta z *dupattą* ściągniętą z ramion, gdy idzie chodnikiem w śródmieściu, nastolatkwie pędzą dalej samochodem, trąbiąc śmiechem. Mężczyzna, który

patrzy na swój zwęglony motel, stracone oszczędności życia, a dym układa się w hieroglif — „podpalenie”.

Wiem, że są inne historie, zbyt wiele, by je policzyć, nie przekazane, nie opisane, wiszące gorzko i brązowo jak smog w powietrzu Ameryki.

Jeszcze raz potnę dziś w nocy *kalojire* za tych wszystkich, którzy cierpieli przez Amerykę. Za nich wszystkich, a zwłaszcza Harouna, który jest bólem wewnątrz mnie, którego imię, gdy tylko je wymawiam, rozciąga mi pierś na dwie połowy. Zamknę drzwi i nie położę się przez całą noc, by to zrobić, w półmroku nóż unoszący się i opadający pewnie, srebrny jak święty oddech. A gdy przyjdzie jutro wieczorem (bo jutro jest wtorek), będę mu mogła wręczyć paczuszkę i powiedzieć: „Allah ho Akbar, obyś był bezpieczny, w tym życiu i zawsze”. Za pokutę przy tej pracy ani razu nie pomyślę o Kruku, ja, Tilo, która tak sobie ostatnio pobłażałam. Zamiast tego przez całą noc będę szeptać w powietrze oczyszczające modlitwy za okaleczonych, za każdą straconą kończynę, każdy roztrzaskany język. Każde uciszone serce.

Ten dzień mija tak powoli, że jest jak przebywanie pod wodą, każdy ruch staje się wielkim wysiłkiem. Światło wydaje się przefiltrowane, przyćmione i zielonkawe. Nieliczni klienci płyną w nim leniwie do półek, później z powrotem, by oprzeć ociężałe łokcie na ladzie. Ich pytania to małe bąbelki rozpryskujące się na moich uszach. Moje członki także się poddają, robią się śliskie jak wodorosty, kołyszą się w rytmie jakiegoś podmorskiego adagio, które tylko one słyszą.

Tylko mój umysł bije, bardziej wściekły, bardziej bezradny niż kiedykolwiek.

Tak wiele z życia Mistrzyni jest czekaniem, jest biernością. Kto by pomyślał. Nie ja, która od razu chciałam wszystkich

odpowiedzi, która pragnęłam dominacji błyskawicznej jak narkotyk wstrzelający się w moje żyły.

Dawno, dawno temu Najstarsza powiedziała:

— Siła jest słabością. Pomyślcie o tym, Mistrzynio.

Często mówiła takie rzeczy.

— Największe szczęście przynosi największą stratę. Patrzysz w słońce, będziesz widzieć ciemność.

I inne, które zapomniałam. Dawała nam czas poranka, żeby się nad tym zastanowić.

Moje siostry Mistrzynio wdrapywały się na granitowe klify, by znaleźć spokojne miejsce. Niektóre siadywały pod banianami albo znajdowały wlot do jaskini. Milcząc, próbowały obrócić uwagę do wewnątrz, próbowały dostrzec.

Ale ja, nie zainteresowana zagadkami, spędzałam ten czas na zabawie w morzu, goniąc tęczowe ryby. Jeśli na moment ucichłam, jeśli przerwałam, by wpatrzeć się w lśniący horyzont, to tylko wypatrywałam z nadzieją moich węży.

Po południu Najstarsza pytała:

— Mistrzynio, czy rozumiałyście?

Zawsze ja pierwsza potrząsałam przecząco głową.

— Tilo, ty nawet nie próbowałaś.

— Ależ, Matko — mówiłam nie zmieszana — inne próbowały i spójrz, one także nie rozumieją.

— Ach, dziecko.

Ale zbyt gorliwa, by nauczyć się następnego zaklęcia przypraw, mało uwagi zwracałam na rozczarowanie w jej głosie.

Dzisiaj, Matko, zaczynam to dostrzegać. Mgliście, przez to powietrze, które pachnie smołą i sadzą. Siła jest słabością.

Nagle wchodzi Kwesi i wybawia mnie od myśli.

To naprawdę przyjemność patrzeć, jak Kwesi robi zakupy.

Jego ruchy są precyzyjne, bez jednego zbędnego gestu. Wygięcie ramienia, kiedy sięga po paczkę, po pudełko. Muskuły na

plecach rozluźniają się, a potem napinają, gdy schyla się, by podnieść worek. Palce przesypują ziarna soczewicy, wiedzą, czego szukają, kości połamane i nastawione, zrosnięte twardo i czysto.

Nie spieszy się, nie traci czasu, to ciało swobodne we własnej przestrzeni.

Widzę, że byłby dobrym nauczycielem, bo wie, co to znaczy zostać zranionym.

Pomysł rozwija się we mnie jak liść.

Kwesi kładzie swoje zakupy na ladę. Dziś kupuje całe ziarna fasolki mung, zielone jak mech. Kawałek suszonej tamaryndy. Kokos — wyobrażam sobie, jak go rozłupuje na dwoje, uderzając dłonią, jego ręka zatacza brązowy łuk w powietrzu kuchni.

— Robisz *dal* z kokosu i mung — mówię. — Stajesz się ambitny, co?

Przytakuje. Jego uśmiech przychodzi powoli, on nie uśmiecha się, jeśli nie chce, a gdy się uśmiechnie, to już tak trwa.

To — jak ostatnio każda piękna rzecz — sprawia, że zaczynam myśleć o Kruku. Pod szczęściem, które we mnie rozbłyska, czai się lęk, kiedy i czy znowu go zobaczę. Nigdy nie mam pewności. Zakotwiczona w tym sklepie, mogę tylko czekać i mieć nadzieję.

— Dla mojej pani — mówi Kwesi. — Lubię dla niej robić co jakiś czas coś nowego i nieoczekiwanego. Myśli pani, że to będzie trudne?

— Nie, nie — odpowiadam. — Tylko nie zapomnij, aby wystarczająco długo moczyć mung, a pastę z tamaryndy dodaj dopiero na końcu.

Jaki to wspaniały pomysł, „coś nowego i nieoczekiwanego”. Chciałabym go wziąć do mojego życia.

Gdy podliczam cenę, szepczę słowo sukcesu nad fasolką, mówię mu, by nie zapomniał wsypać trochę cukru.

— Żeby było słodkie i słone, kwaśne i pikantne, wszystkie smaki kochania, co? — Mruży oczy, uśmiechając się porozumiewawczo.

Gdybym tylko umiała tak łatwo uszczęśliwiać wszystkich, którzy do mnie przychodzą.

Tilo, bądź uczciwa. Był już szczęśliwy, gdy przyszedł. Nie radzisz sobie najlepiej z tymi, którzy naprawdę potrzebują szczęścia, prawda?

Mówię:

— Pamiętasz, jak chciałeś powiesić w sklepie plakat twojej szkoły karate? Myślałam o tym.

— Tak?

— To nie jest zły pomysł. Nigdy nie wiadomo, kto może przyjść i go zobaczyć, kto może chcieć się uczyć. Masz może jakiś w samochodzie?

Pomagam mu nalepić go tuż obok drzwi, ten plakat oszczędny i elegancki w czerni i złocie, tak że każdy z wchodzących musi go zauważyć.

W jego włosach jest trochę szarości, jak początki srebrnych strumieni.

— Niech im pani powie, że jestem dobry, ale twardy. Nie ma żartów w Dojo Kwesi...

— Twardość to to, czego im potrzeba — mówię. A oto, czego nie mówię: „Jesteś także łagodny. Znasz ciemne ulice, wiesz, jak pociągają. Ty też słyszałeś syreny śpiewające pieśń śmierci, tę, którą śpiewają zwłaszcza dla młodych. Może będziesz miał siłę, by ich odciągnąć z powrotem, sprawić, by zobaczyli, jak piękne jest światło słońca, zarys skrzydła w locie, kropla deszczu na włosach tego, kogo kochasz”.

Machając mu na pożegnanie, wysyłam przywołującą myśl, by przeszukiwała obdrapane dziurawe zaułki, porzucone magazyny, nadbrzeżne dyskoteki, które już zaczynają drżeć w zabarwionym jak ogień wieczorze. By przeszukała i przywiodła.

Ale zamiast niego przybywa dziadek Geety, pcha drzwi i pokonanymi rękami kładzie na ladę oprawione w mosiądz zdjęcie, które mu dałam.

— *Didi*.

— Tak? — Jego głos sprawia, że boję się pytać o więcej.

— Nie mam szczęścia z tym, co pani kazała zrobić. Tak jak pani powiedziała, ostrożnie przygotowuję grunt, przy obiedzie wspominam, jaki cichy jest dom tylko z nami, starszymi, ale Ramu milczy. Potem mu mówię, że może za bardzo się pospieszyliśmy, w końcu ona to nasze jedyne ciało i krew. Ciągłe milczy. Dlaczego do niej chociaż raz nie zadzwonisz, mówię, a może nawet Sheela mogłaby to zrobić? Zobacz, tu jest jej numer, dostałem go od przyjaciół. „Nie” — mówi, jego głos brzmi, jakby miał kamień w piersi. A gdy mówię: „Czemu nie, słuchaj, to jest zadanie starszych, przebaczać młodszym”, on tylko odsuwa talerz i wstaje od stołu.

— Powiedział mu pan, że zamieszkała u przyjaciółki, a nie a Juana?

— Tak. Następnego dnia włożyłem mu ten numer telefonu do ręki i powiedziałem: „Zrób to dla mnie, Ramu, zakończ tę walkę. Dziewczyna starała się, żeby nie zrobić niczego niemoralnego, żeby was nie zranić. Dlaczego jej nie powiesz, żeby wróciła do domu?” Spogląda na mnie spojrzeniem zimnym jak okruszyny lodu. Mówi: „Daliśmy jej wszystko, czego chciała. Prosilimy tylko, by nie zrobiła tej jednej rzeczy, ale ona to zrobiła”.

Mówię: „Zastanawiałem się, no i co, jeśli wyjdzie za tego neksykańskiego chłopaka, to nie takie złe, czasy się zmieniają, Izieci innych ludzi podobnie robiły. Popatrz na Jayantę, ożenił się z tą białą pielęgniarzką, popatrz na córkę Mitry, jakie ona na ładne jasnoskóre dzieci”.

On na to: „Baba, co to za nowa piosenka w twoich ustach, wtedy cały czas wzdychałeś i biłeś się w czoło, i Hai, ona kładzie *lali* na twarze przodków. Kto ci daje takie złe rady?” Mówię nu: „Co, uważasz, że sam nie umiem myśleć? Oznaką mądrego

człowieka jest to, że zmienia zdanie, gdy dostrzeże swój błąd".
Ale jego twarz jest twarda jak ściana z cegieł. Mówi: „Dosyć cię już słuchałem. Gdy wymaszerowała z tego domu, tak dumnie trzaskając za sobą drzwiami, to zatrzasnęła też drzwi do mojego życia”.

Po tej rozmowie nie mogę spać przez całą noc. Widzę, że łatwo wrazić w serce cierń, ale nie tak łatwo go wyciągnąć. Żałuję, że otwierałem usta w sprawach między ojcem i córką.

O północy wstaję i idę na dół. Zostawiam zdjęcie na stoliczku, gdzie każdego ranka siada, żeby wypić swoją *cha* i przeczytać gazetę. Myślę, że może jeśli spojrzy na nie, gdy siedzi całkiem sam, wspomni czasy, gdy była mała, może przypomni sobie, ile rzeczy dla niej zrobił. Może łatwiej będzie zdjąć tę dumną męską twarz i być ojcem.

Ale kiedy schodzę później, gdy już wyszedł do pracy, widzę wywróconą ramkę leżącą na płytkach. I niech pani spojrzy.

Wskazuje drżącym palcem.

Dygocząc, patrzę na pęknięcie, srebrno-ostre jak rzucona włócznia, rozcinające zdjęcie na dwoje, oddzielające Geetę od jej Juana.

Przemierzam pokój na zapleczu, przebiegam dłonią po półkach, na których stoją przyprawy mocy, czekam na radę. Ale przyprawy milczą i mogę się oprzeć tylko na zamieszaniu mojego kobiecego umysłu.

Tilo, co robić?

Chwile zbierają się u moich stóp, zużyte i chłodne. Odpowiedzi nie przychodzą. Przez ściany słyszę dziadka Geety, którego zostawiłam, by pilnował sklepu, jak doradza klientom. Do jego głosu wróciło trochę straconej pewności siebie.

— Mówię pani, od *chana dal ma* się gazy, lepiej zamiast tego kupić *tur*. Co to znaczy, że pani mąż nie chce go jeść?

Niech go pani ugotuje do miękkości i doda dużo smażonej cebuli, i liścia *dhania*, nawet nie pozna, co to.

Przebranie, myślę. Podstęp. Może on ma rację. Rozpaczliwe oszustwo na rozpaczliwą sytuację.

Przeszukuję półki, aż znajdę pakunek ciasno owinięty w korę, a obok niego szczypczyki ze srebrnymi czubkami. Rozwijam ostrożnie, uważam, by nie dotknąć. I patrzę, jak się jeży do życia, kolczaste zioło *kantak* z cienkimi jak włos, czarnymi igielkami, których żądło może otruć.

Szczypcami odłamuję trzy włoski i rzuca je na kamień do ucierania. Odmierzam *ghee* i miód, by obciąć to żądło, ucieram wszystko razem, napełniam małą buteleczkę.

Gdy wracam, dziadek Geety wyprostowany po żołniersku stoi przy ladzie, bębniąc palcami o szkło.

— Ach, *didi*, dużo czasu to pani zajęło. Nie, nie, mnie to nie przeszkadza, ani trochę się nie niecierpliwie, właściwie to na odwrót. Myślę, że to dobry znak, że pani znajdzie coś w sam raz, by nam pomóc.

— Powiedział pan, że zrobiłby pan wszystko dla Geety, żeby sprowadzić ją znów do rodziny. Jest pan pewien?

Przytakuje.

— W takim razie proszę, niech pan to wymiesza z ryżem przy obiedzie i powoli zje. Przy polykaniu będzie pana palić gardło, a potem dostanie pan od tego skurczy, może na kilka dni. Ale przez jedną godzinę będzie pan miał złoty język.

— Co to znaczy? — pyta dziadek Geety, ale widzę już w jego oczach, w pomieszanej ze strachem nadziei, że słyszał stare historie.

— We wszystko, co pan powie w tej godzinie, ludzie muszą uwierzyć. O cokolwiek pan poprosi, muszą być posłuszni. *k* teraz niech pan słucha.

I tłumaczę mu, co ma zrobić.

Przy drzwiach dodaje:

— Niech pan ostrożnie używa tego daru. Tylko raz go pan dostanie. I proszę pamiętać, skurcze będą ciężkie.

Dziadek Geety prostuje ramiona, unosi głowę i widzę, że to drobny mężczyzna, zawsze taki był za chętlivymi słowami. Ale dziś w jego oku jest wielkość.

— Najgorszy skurcz przecierpię z radością — mówi bardzo prosto i z łagodnością zamyka za sobą drzwi.

Czekam, aż wyjdą wszyscy klienci, aż émy zaczną się unosić wokół światła nad drzwiami i usłyszę miękkie uderzenia ich ciał o gorącą kopułę szkła. Aż kukielka księżycza zawisnie w środku mojego okna na niewidzialnym sznurku, a okropna nocna cisza połknie odgłosy godziny szczytu i będzie długo po porze zamknięcia. I wtedy nie mogę dłużej tego ukrywać, lęku, który — zimny i zwinięty — tkwił przez cały czas w środku mojej piersi: Haroun nie przyjdzie. Nie teraz. Może nawet nigdy.

Więc jak mu wynagrodzić? Jak mu pomóc uciec przed ciemnością, która wysuwa po niego swoją głodną dłoń?

Odpowiedź przychodzi tak szybko i z taką pewnością, że mnie zaskakuje, pokazuje mi, że nie jestem już tą Tilo, która opuściła wyspę.

Musisz iść do niego. Tak, jeszcze raz w Amerykę.

A Najstarsza?

Ten głos zna moje słabe miejsca. Będziesz tu siedzieć, z rękami założonymi na podolku, i pozwolisz, by został zniszczony? — pyta. Czy to zrobiłaby Najstarsza na twoim miejscu, czy tego by chciała?

Widzę jej twarz, głębokie linie marszczą jej czoło, kącik ust, zarazem śmiech i grymas. Oczy czasami ciemne i spokojne, czasem błyskające ironią. Jest zarazem łagodna i surowa. „Oczy, które w gniewie mogą wypalić ci skórę”, mawiały starsze Mistrzynie, gdy snuły dla nas opowieści.

Nie wiem, czego by chciała, ale wiem, co by zrobiła. I ja także powinnam.

Dość długo myślę, nim wybiorę inną drogę, która sprawia mojemu ciału ból, jakby kości były wykręcane ze stawów.

Gdybyś mnie zapytała, dlaczego to robię, nie umiałabym odpowiedzieć. Tylko to: Ja, która trzymałam dłonie Harouna w swoich i czułam, jak dziko pulsuje w nich nadzieja, nie mogę pozwolić nocy zarzucić na niego atramentowej sieci bez walki. Czy to bunt, czy współczucie? Być może ty wiesz lepiej niż ja, bo dla mnie one stoją obok siebie, ich brzegi rozmywają się, aż wszystko staje się jednym kolorem.

Ale teraz stoi przede mną pilniejszy problem: muszę znaleźć Harouna. Nie mam adresu, a gdy wysyłam przywołującą myśl, moja czaszka zatrząskuje ją z powrotem, jakbym była otoczona studnią z kamieni nie do przebycia. Moja głowa dygocze od tego uderzenia, od pytania, którego nie potrafię odepchnąć.

Tilo, czy twoja moc cię opuszcza?

Ale powoli z pulsowania wyłania się słowo „telefon”. Obraz tworzy się pod moimi powiekami i choć nigdy go nie widziałam, wiem, co to jest: automat zamknięty w malutkim kryształowym sześcianie, prostokątne pudełko lekko błyszczące w nierównym świetle ulicznym, stalowy sznur, zakręcony i iskrzący się jak cienkie prążkowane ciało jakiegoś prehistorycznego gada, twarda, czarna, bulwiasta głowa. Czyja to pamięć? Nie mam pojęcia. Ale wiem, jak wybrać właściwe monety, by nakarmić rozciętą paszczę maszyny.

Znajduję moją plastikową torbę z Searsa i wyciągam z niej kartkę z numerem telefonu (bo do Geety też muszę zadzwonić). Uzbrajam się przed wzrokiem przypraw i zamykam za sobą drzwi. (Ale dlaczego nie ma strofujących spojrzeń, dlaczego drzwi nie cofają się uparcie od moich rąk?) Nie jestem zaskoczona, że moje stopy bez zachwiania przemierzają wszystkie

zakręty i zwroty ulic, które doprowadzą mnie do rozmowy telefonicznej.

Najpierw łatwy telefon. Do Geety, na numer, który tamtego dnia dała mi z nadzieją, wysoko w swojej lśniąco czarnej wieży. I gdy słyszę kopię jej głosu, odwijającą się cienko i metalicznie z maszyny, wiem, co to jest. Wiem, że trzeba zaczekać na sygnał i potem powiedzieć jej wyraźnie, powoli, żeby przyszła do sklepu, sama, pojutrze o siódmej, w wieczornej godzinie, gdy pomieszane światło słońca i księżycy pada na nasze tęsknoty i prawdopodobnie wszystko jest możliwe.

Teraz kolej na Harouna. Ale nie mam jego numeru ani pojęcia, gdzie mieszka. Kiedyś z łatwością bym to odgadła. Ale dziś, gdy zaczynam śpiewać odnajdujące zaklęcie, jąkam się, przerywam. Ja, Tilo, o której Najstarsza kiedyś powiedziała, że papuga, ptak pamięci, musi mieszkać w moim gardle. Za późno zaczynam widzieć cenę, jaką nieświadomie zapłaciłam za każdy krok stawiany w Amerykę. Wewnątrz mnie głos Ika: Co jeszcze zostało stracone?

Nie ma czasu, by roztrząsać tę myśl, nie ma czasu na żalobę. Muszę chwycić grubą, oprawioną w metal księgę, która zwisa ze ściany, i przrzucić jej kartki, modląc się.

Nie ma go tam.

Budka jest pełna kruszących się pragnień, niezliczonych rozpacz wszystkich tych, którzy podnosili tę słuchawkę, próbując się połączyć poprzez mile mrujących kabli. Opieram głowę o ścianę. Płakałabym, gdybym wierzyła, że płacz może pomóc.

Tilo, osłabiona w magii przez własną samowolę, kogo prócz siebie możesz winić?

Na obwinianie także nie ma czasu. Wewnątrz mnie minuty spadają dziko, zderzają się ze ścianami mojej klatki piersiowej, odpadają ogłuszone.

Musisz użyć tego, co masz, twojego słabego śmiertelnego rozumu, twojej niedoskonałej pamięci. Bólu twego serca.

Skupiam się na tym pierwszym wieczorze w sklepie, na Harounie wygłaszającym opowieści o przyjaciółach, którym pomogłam. Przyciskam zamknięte oczy, aż wyraźnie to czuję, zapach sandałowego pyłu na jego ręce. Czuję ucisk jego dojrzałych właśnie warg w zagłębieniu mojej dłoni. Ach, to rani, patrzeć w jego twarz, widzieć, jak płonie wiarą — Haroun, który stoi na scenie zbudowanej z marzeń, pod reflektorem, który zaraz zgaśnie.

Z bólu wylania się wreszcie nazwisko: Najib Mokhtar. Chwytam się go jak tonący tratwy, choć może to tylko ostrze trzciny. Mam nadzieję, że nie wyczarowałam go z mojego rozpaczliwego pragnienia.

Ale proszę, jest tu, w książce telefonicznej, małe czarne literki jak szkielety wciśniętych w stronę mrówek, lecz całkiem wyraźne. Połykam pytania kłębiące się w moich ustach: „A co jeśli to nie ten Najib, co jeśli nie wie, gdzie mieszka Haroun, co jeśli nie powie, co jeśli, co jeśli, co jeśli?“, i wciskam cyfry.

Dzwonek, fale dzwonek odbijających się echem ze mną w środku, a gdy już prawie straciłam nadzieję, głos kobiety.

— Halo. — Wymówione na sposób hinduski, słowa wiszą w powietrzu, wahają się, pytają.

— Szukam Harouna. Czy pani wie, gdzie mogę go znaleźć?

Ledwo wymówiłam te zdania, wiem, że są niewłaściwe. Czuję jej podejrzenia biegnące po kablach jak elektryczność. Jej strach. Urząd imigracyjny? Wierzyście? Wrogowie ze starożytności podążający jego śladem przez ocean? Jej palce zaciskają się na słuchawce, gotowe, by ją rzucić.

— Jestem przyjaciółką — mówię szybko.

Słyszę w jej urywanych zdaniach, że jej nie przekonałam.

— Nie znam żadnego Harouna-marouna. Tu nikt taki nie mieszka.

— Niech pani zaczeka, niech pani nie odkłada słuchawki. Jestem z indyjskiego sklepu, wie pani, Bazar Przypraw, koło spalonego hotelu na ulicy Esperanza. Kiedyś, dawno temu, pomogłam pani mężowi.

Tylko dźwięk jej nasłuchiwania, jej wstrzymanego, na wpół wierzącego oddechu.

— Teraz pani musi pomóc mnie. Mam coś, co muszę dać Harounowi, coś, co go ochroni przed... — szukam określenia, które ona zrozumie, opowieści, której słuchała jako dziewczynka — ...oddechem dżina.

— Oddech dżina — szepcze. Zna to, czarny lód, który może wysssać twoje imię, twoje życie.

— Tak. Dlatego musi mi pani powiedzieć, gdzie on jest.

Zastanawia się. W jej głowie ostrzeżenie męża:

„Kobieto, jeśli otworzysz usta i powiesz o tym chociaż jedno słowo, to ja się postaram, żebyś pożałowała, że się urodziłaś”.

— Proszę. Żadna krzywda go z mojej strony nie spotka. Obie czekamy. Między nami ten moment rozciąga się naprężony jak stal.

Wtem ona mówi:

— Powiem pani. On nie ma telefonu, ale powiem pani, jak dotrzeć do jego domu i kiedy go tam znaleźć.

Podaje mi nazwy ulic i parków, które notuję z tyłu małego kwadratowego arkusza, ostemplowanego nazwiskiem pracodawcy Geety. Okoliczne szkoły, stacje benzynowe, sklepy, posterunki policji. Niech pani jedzie tym autobusem, a później tamtym, tu trzeba skręcić w prawo, potem w lewo dwa razy, minąć salon masażu i plac pełen wraków samochodów, wdrapać się po rozchwianych schodach na najwyższe piętro. Niech pani idzie wcześniej, najpóźniej o ósmej rano. Wychodzi z domu od razu po porannym *namaaz* i wraca do domu tylko na dziesięć minut o zachodzie słońca, by się pomodlić. Później z powrotem do taksówki, czasem na całą noc, bo wtedy są najwyższe napiwki.

— *Shukriyah* — mówię. — Jestem niezmiernie wdzięczna. Jutro pójdę z samego rana, wcześniej, wcześniej, zanim otworzę sklep.

Idąc do domu przez zadymione powietrze, omijam cienie i to, co gorsze od cieni, wpatruję się w księżyc biały jak wypolerowana kość. Powtarzam wszystko, co powiem Harounowi, przeprosiny i ciepłe uczucia, i ostrzeżenie przed koszmarem, który jest zadkiem imigranckiego snu. Ach, będziemy się sprzeczać, wiem o tym. Będzie chodził w tę i we w tę i machał dłonią w gniewnych spiralach, ale w końcu powie: „OK. Ladyjaan, robię, co pani każe, tylko po to, żeby pani była zadowolona”.

Już się uśmiecham na tę myśl, gdy pochylam się, by otworzyć drzwi sklepu.

Nagle zauważam mały prostokąt biały jak sari wdowy czy ascety, schwytny w szparze, jakby ktoś zbyt szybko zamknął drzwi.

Gardło mam tak ściśnięte, że nie mogę oddychać. Zaczynam wykrzykiwać:

— Pierwsza Matko?!

I widzę, że to tylko liścik.

Otwieram go i gdy ręce przestają mi się trząść, czytam duże, pochylone litery.

Przyszedłem z nadzieją, że Cię zobaczą, ale wyszłaś.

Nie wiedziałem, czy w ogóle opuszczasz sklep, a skoro

wiem, łatwiej mi o coś poprosić. Pojedziesz ze mną jutro

do miasta, żeby dzielić ze mną miejsca, które kocham?

Przyjadą wcześniej i odwiozą Cię z powrotem wieczorem.

Proszę, powiedz tak.

Mój Kruk, myślę, i jak każda zakochana kobieta przykładam policzek tam, gdzie jego dłoń opierała się na papierze. Tak, szepczę, tak. Jutro będzie nasz dzień przyjemności. Już czuję wzmocnione solą powietrze nabrzeża, które od dawna sobie wyobrażałam, czuję pod stopami falowanie jego wzgórz.

Ale potem przychodzą myśli. Co z ciekawymi cenzurującymi oczami, gdy zobaczą mojego przystojnego Amerykanina z kobietą o obwisłej brązowej skórze?

I (o głupia kobieca myśli) nie mam co na siebie włożyć.

A co z Harounem? — pyta kolczasty głos.

Dla pewności wkładam wskazówki na drogę do małej skórzanej torebki, którą pożyczyłam z regału z podarkami.

— Nie zaniedbam go — odpowiadam. Jeśli gdzieś wewnątrz czają się wątpliwości, postanawiam ich nie zaszczycać uwagą. — Czy nie znam swoich obowiązków równie dobrze jak swoich przyjemności? Pierwsze, co jutro zrobię, to poproszę Kruka, żeby mnie do niego zabrał.

EEM

%



Przez cały wieczór nie mogę usiedzieć spokojnie. Muszę przemierzać sklep, front i zaplecze, front i zaplecze, zastanawiając się, co może sprawić, bym lepiej wyglądała. Nie pięknie, :ego nie oczekuję, ale może chociaż trochę młodziej, żeby te spojrzenia nie były takie straszne.

Tilo, odkąd ty dbasz o to, co szepczą ludzie?

Nie chodzi o mnie. Ale jego chcę ochronić przed ośmieszeniem w oczach świata.

Mieszam w miseczce gotowane mleko i proszek z liści *neem*, które zabijają choroby. Wyglądam „tę pastę” na szyi i kościach policzkowych, w zagłębieniu pod okiem. We włosy wcieram lamoczoną papkę *ritha*, układam szarość w masę na głowie. Szoruję mój jedyny amerykański strój kawałkiem pachnącego ;hemią mydła Sunlight. Noc mija, każda minuta kapie jak woda l powieszonych ubrań. Proszek *neem* wysycha i naciąga mi skórę. Swędzi mnie głowa. Ostrza włosów usztywnionych *ritha* dują mnie w twarz.

Jednak po kąpieli, kiedy już się osuszyłam, czuję na twarzy się samą pomarszczoną skórę, wokół ramion te same loki, szorstkie i szare jak juta *shon*, z której kobiety tkają worki.

O Mistrzynie, czego się spodziewałaś? Głos przypraw jest iak podskakująca woda, chłodny śmiech, który tańczy ponad moim zmartwieniem. *Jeśli chcesz prawdziwej przemiany, musisz nas użyć inaczej, musisz wezwać nasze moce. Znasz słowa.*

Przyprawy, cóż wy mówicie? Moje zaklęcia nie po to zostały mi dane, bym ich używała dla siebie.

Dla ciebie, dla niego, gdzie rozdzielił pragnienia. Ich głos jest wzruszeniem ramion, jakby chodziło o błahostkę.

Ja, która wiem, że tak nie jest, myślę w zdumieniu: Dlaczego one to mówią, one, które odróżniają dobro od zła dużo lepiej niż ja?

Z pokoju na zapleczu dobiega teraz śpiew. Przybądź, Tilo, czerp z nas, z radością oddamy się tobie, tak wiernie nas pielęgnującej. Korzeń lotosu i abhrak, amlaki, a nade wszystko makaradwaj, król przypraw, wszystkie jesteśmy na twoje usługi. Użyj nas dla miłości, dla piękna, dla radości, bo na to nas stworzono.

Ta pieśń jest jak małe haczyki w moim ciele, przyciągające. *Przyjdź, Tilo, przyjdź.* Moja głowa wypełnia się różnymi obrazami: Tilo, jaką mogłabym być, twarzy Kruka, gdy zobaczy. Naszych ciał razem, giętkich i splecionych w ekstazie.

Ruszam na zaplecze. Pieśń jest ochrypla, sylaby wkraczają w moje ciało, budząc wielką chęć.

Teraz moja ręka na drzwiach, drżenie dłoni na drewnie, które wydaje się miękkie jak woda. Wszystkie cząsteczki wszechświata rozpraszają się i skupiają w nowe kształty.

Wtem, widzę to nagle, niczym w świetle błyskawicy, jak one mnie kuszą. By złamać najświętszą obietnicę, by skazać się na nieodwołalną zagładę.

O przyprawy, które przez tak wiele lat byłyście moim jedynym celem życia, nie wiedźcie mnie na pokuszenie. Ja, Tilo, wciąż noszę was głęboko w sercu. Nie walczcie ze mną, nie spychajcie mnie w dół, z którego później będę nienawidziła siebie i was.

Cisza.

Potem: *Tymczasem niech tak będzie. Jesteśmy cierpliwe. Wiemy, że wkrótce do nas przyjdiesz. Skoro raz usłyszałaś naszą pieśń, skoro kroczyłaś rytmem pożądania, które ma źródło głęboko w rdzeniu ciała, nie możesz się oprzeć.*

O przyprawy, mówię, kładąc sztywne ciało na twardą pod-

łogę, gdzie bezsennie będę się obracać przez całą noc. Mój głos jest zmęczony przekonywaniem, zabarwiony zwątpieniem. Czy nie mogę kochać i jego, i was? Dlaczego muszę wybierać? Przyprawy nie odpowiadają.

Ranek za oknem jest jak rozcięta pomarańcza, miękki i słodki od soku. Ale na mojej skórze głębiej rysuje zmarszczki, podświetla węzłowe żyły. Stoję w brązowym stroju, smutnym jak stare liście, i prawie wolałabym, żeby Kruk nie przyszedł.

Ale już jest tutaj, znów ma w oczach ten zadowolony blask, jakby unióś płaszcz mojej skóry i widział, co jest pod spodem. Bierze w dłonie moją rękę i na moim zaskoczonym policzku znów są jego usta zarazem twarde i miękkie.

— Pójdiesz? Nie byłem pewien. Nie spałem prawie całą noc, zastanawiając się.

— Ja też. — Uśmiecham się. Moje serce opanowało całe ciało, które teraz jest zgodnym uderzaniem radości. Kruku, który nie wiesz, któremu nie pozwolę się nigdy dowiedzieć, jak drogo zapłacę za tę wycieczkę, z jaką radością pokryję koszty.

Czy to jest miłość?

— Spójrz. — Otwiera pakunek. — Coś ci przyniosłem.

Rozlewa się na ladzie, cienkie jak pajęczyna i nitki babiego lata, usiane ozdobami jak kroplami rosy. Gdy to unoszę, jest długie, białe jak pierwszy świt i splywa mi do stóp. Najpiękniejsza suknia, jaką widziałam.

Odkładam ją.

Pierwsza Matko, która nas ostrzegałaś, która patrzyłaś smutnymi oczami, jak nasze ciała skręcają się w starość w ogniu Shampati, czy przewidziałaś tę chwilę? Ten żal, przewracający mnie na nice.

— Nie mogę tego włożyć — mówię.

— Dlaczego nie?

— Jest zbyt wyszukana. Suknia młodej kobiety.

— Nie — odpowiada. — Suknia pięknej kobiety. I ty jesteś tą kobietą. — Przesuwa po mojej kości policzkowej palec jak czubek skrzydła.

Przyprawy przyglądają się uważnie, ich myśli przesłania woal. Dostrojone do każdego mojego drżącego oddechu.

— Jak możesz tak mówić, Kruku? — Mój głos wypływa jak lzy. Ścieram gniew z oczu, ciągnę go do okna, w okrutne światło.

Wewnątrz mnie głos błaga: Niech tak będzie.

Nie. Jeśli mam go stracić, to niech to się stanie teraz. Nim podstępny pajak miłości wczepi się głębiej w moje serce.

— Nie widzisz — płaczę. — Jestem brzydka. Brzydka i stara. Ta suknia na mnie byłaby drwiną. A ty i ja razem to także jest drwina.

— Cicho — mówi. — Cicho.

Nagle otaczają mnie jego ramiona, jego rozpraszające wątpliwości usta toną w moich włosach. Moja twarz wciska się w jego pierś, w miękkość białej koszuli, pachnącej czysto jak wiatr. Pod nią jest skóra ciepła jak drewno jamajskiej wiśni.

Jak mam ci powiedzieć, co czuję, tobie, którą tak wielu mężczyzn otaczało przypadkowo ramieniem, że nawet nie pamiętasz, kiedy to się zaczęło?

Ale mnie nikt nie obejmował. Ani ojciec, ani matka. Ani moje siostry Mistrzynie. Ani nawet Najstarsza, nie tak, serce przy walącym sercu. Ja, Tilo, dziecko, które nie umiało płakać, kobieta, która nigdy nie zapłaczę. Uśmiecham się — choć rzęsy są mokre — gdy wypełnia mnie zapach jego skóry, ciepły nurt jego oddechu na moich rzęsach. Moje kości topią się od pragnienia, bym zawsze była tak obejmowana — nigdy nie myślałam, że będę pragnąć opiekuńczego męskiego ramienia.

Łagodnie pociera zarys kości mojej ręki.

— Tilo. Droga Tilo.

Nawet moje imię w jego ustach jest utkane inaczej, samo-

głoski krótsze i ostrzejsze, spółgłoski bardziej wyraźne. Mój Amerykaninie, przekształcasz mnie na wszystkie sposoby.

— Włóż tę suknię — mówi. Przykłada mi do ust łagodną dłoń, by zatrzymać protest. — To ciało, wiem, że to nie jesteś prawdziwa ty.

Moje wargi pragną cicho spocząć na mocnych zaokrągleniach jego palców, na chłodnej platynowej wstążce sygnetu, na liniach dłoni, które przepowiadają jego i moją przyszłość, gdybym tylko umiała je odczytać.

Ale odsuwam się. Muszę zapytać.

— Skąd wiesz? Ty sam wcześniej mówiłeś, że nie jest łatwo rozpoznać czyjeś prawdziwe ja.

Uśmiecha się.

— Może siebie nawzajem widzimy lepiej niż siebie samych. — Wkłada mi suknię w ramiona, poszturchując z lekka w kierunku zaplecza.

— Ale...

— Ty droga, podejrzliwa, uparta. Powiem ci. Dziś ci wszystko powiem. Ale muszę to zrobić we właściwym miejscu, gdzie mgła i powietrze łączą się w ocean. Gdzie jest łatwiej wyznawać i może łatwiej wybaczać. Gdzie pojedziemy, gdy tylko będziesz gotowa.

Mój Amerykanin jeździ samochodem, który jest długi i niski i ma barwę rubinów, a powierzchnię tak gładką i lśniącą, że nawet wiatr nie może go powstrzymać. W środku pachnie gardenią i jaśminem, kosztownie i uwodzicielsko, i tak kobieco, że z zazdrością zastanawiam się: kto to. Siedzenie dopasowuje się do mojego ciała miękko jak zwinięta dłoń (ile innych kobiet tak trzymało?) i gdy się odchyłam do tyłu, widzę przez szybę w dachu mknące nad nami chmury w kształcie uśmiechów pożalowania.

Tilo, zapomniałaś, że nie masz prawa do tego mężczyzny, jego przeszłości czy terażniejszości?

Ale nie mogę się na nich zatrzymywać, ani na wątpliwościach, ani na złości czy smutku. Suknia ułożyła się wokół mnie jak płatki białego lotosu, a dłoń słońca wślizguje się przez okno na moją twarz, ciepła jak pozwolenie. Samochód porusza się płynnie jak zwierzę z dżungli, z taką samą szybkością i ciszą. Zegar na wieży banku wskazuje siódmą trzydzieści. Mamy czas, by dotrzeć do Harouna.

— OK — mówi. — Gdzie jest to miejsce, w które chcesz najpierw zajrzeć?

Pamiętam większość nazw ulic i wymieniam mu je z pamięci. Ellis i Ventura i jedna o nazwie Droga Malcolm'a X. Samochód sunie przez zaułki, gdzie śmieci wypadają na chodnik, a kobiety i mężczyźni o splecionych włosach gapią się na nas z bram, w których spędzili tę noc. Wokół ich stóp stoją, poustawiane jak ochrona, plastikowe torby, do których upchali swoje życie.

— Jesteś pewna, że to właściwe miejsce?

— Tak. — Ale nagle ogarniają mnie wątpliwości. — Czeka, mam tu w torbie wskazówki.

Jednak kawałek papieru, na którym to wszystko zapisałam, zniknął. Wyciągam paczuszkę *kalo jire*, wytrząsam torebkę na drugą stronę. Wyfruwa tylko nitka bandaża, jak zarzut.

— Wiem, że tu to miałam. — Słowa padają z moich ust w popękanych kawałkach.

— Popatrz jeszcze raz. Gdzie mogło się schować?

Myśl dźga mnie ostro jak strzykawka, tak że muszę się schylić i przycisnąć ręce do oczu.

Przyprawy, czy wy jakoś...

— Może zostawiłaś to w sklepie — mówi Kruk. — Chcesz wrócić i poszukać?

Kręcę głową. Przyprawy oszustki, to dlatego zachowywałyście się tak uprzejmie, żeby uspić moją czujność i tak mnie ukarać, gdy najmniej się tego spodziewałam.

— Hej, ty naprawdę jesteś zmartwiona. Czy to takie ważne?

— Chodzi o życie człowieka powierzone mojej pieczy.

— Pozwól, że ja popatrzę. — Zatrzymuje samochód, pochyla się nad moimi stopami, unosi matę. Dokładnie się rozgląda. Wydaje się, że mija wiele czasu. Chcę mu powiedzieć, że to się na nic nie zda, ale nie mam serca.

— Czekaj, czy to to?

Moja kartka, skręcona w rulon z postrzępionymi brzegami. \le wciąż czytelna.

Przyprawy, jaka to okrutna gra, bawicie się ze mną w kotka : myszkę.

— Ciekawe, jak to się tam dostało? — zastanawia się Kruk.

Zatrzymuję dla siebie moją wiedzę i czytam mu, gdzie ma echać. Wciskam czubki palców w tablicę rozdzielczą, jakby xl tego samochód mógł się poruszać szybciej.

Kruk zerka na mnie, potem wciska gaz jednym płynnym ruchem. Samochód wskakuje w zaułek, bierze zakręty z łagodnym liskim warczeniem, jakby on też mógł czuć pośpiech pulsujący N moich dłoniach i stopach. Jesteśmy tam szybciej, niż odważyłam się mieć nadzieję. Wyskakuję, kołyszące się drzwiczki sostają za mną, i wspinam się ciemnymi, poplamionymi schodami na górę. Stukam w drzwi mieszkania, wołając jego imię, itukać i stukam, aż ręce robią się obolałe, głos zdarty i drżący, lawet moje kości.

Dźwięk za mną. Obracam się tak szybko, że głowa mi podskakuje. Skrzypienie drzwi mieszkania naprzeciw, dwoje oczu ak czarne świece, głos kobiety z miękkim akcentem.

— *Woh admi* — wyszedł pięć, sześć minut temu.

Tilo, gdybyś tylko nie traciła czasu na gadanie, na wkładanie jej głupiej sukienki.

Zapadam się w wyżłobiony stopień, chwytam poręcz, by lodać sobie sił.

Kobieta wychodzi naprzód, przejęta.

— Dobrze się pani czuje? Chce pani wody?

— Proszę iść, muszę tylko posiedzieć sama przez parę minut — mówię, odwracając się od niej do krwi, która zawodzi pieśń żalu w bębenu mojego ucha, w moich zamkniętych powiekach. Ach, Haroun, Haroun, Haroun.

Czas przeciąga przeze mnie swoją powolną długość. Siedzę tam — nie wiem jak długo. Potem jego ręce są na moich, ciągną mnie w górę.

— Tilo, teraz nic nie możesz zrobić. Słuchaj, zatrzymamy się tu znowu, kiedy będziemy wracać, o której godzinie zechcesz.

Patrzę w jego twarz. Ma między brwiami małą, szczerą zmarszczkę. Jego oczy wydają się ciemniejsze, jakby uczyły się tego, czego dotąd unikał: jak czuć ból innych, jak pragnąć przez czas jednego oddechu (ach, ale to wystarczy, by nas odmienić na zawsze), każdym mięśniem, każdą kością, każdym uderzeniem bijącego mózgu tylko tego, by odsunąć ten ból.

Wiem, że to jest twarz, której można zaufać.

Jednak muszę spytać:

— Przed zachodem słońca?

— Obiecuję. A teraz, czy zrobisz coś dla mnie?

Moje „tak” wymyka się odruchowo, ja, Tilo, jestem tak wyćwiczona w spełnianiu życzeń. Potem z nową ostrożnością dodaję:

— Jeśli będę mogła.

— Bądź szczęśliwa, OK? Przynajmniej zanim wrócimy.

Nic nie mówię. Patrzę na drzwi Harouna, wspominam, jaki wyraz widziałam ostatnio na jego zatrzaśniętej twarzy.

— Proszę, potrzebuję tego, byś była szczęśliwa — mówi Kruk, zaciskając ręce na moich dłoniach.

Ach, Amerykaninie, ty dobrze wiesz, jak pociągać za sznurki mojego umysłu. Wiesz, że tobie dam to, czego nie dam sobie, bo czułabym się zbyt winna. Czy wszystkie kobiety są takie?

— OK — mówię mu i czuję, jak unosi się ciężar, który noszę w sobie.

Schodzimy po schodach. Za nami na ciemnym półpiętrze cawisa ciężar z mojego serca — do wieczora, do mojego powrotu.

Napełnia kieliszek, najbledsza żółtość jak niebo w górze, podaje mi go. Przez chwilę wystarcza mi samo patrzenie. Jak to jest, że niektórych ludzi otacza elegancja przy najprostszych, najbardziej bezmyślnych działaniach. Dla mnie to cud, ja nigdy nie byłam elegancka, nawet w czasach mojego młodego ciała.

Gdy piję (jeszcze jedna reguła Mistrzyń, którą łamię), wino podróżuje przeze mnie, zimne, a potem gorące, punkciki światła, które gromadzą się w małej przestrzeni pod moimi powiekami, zaczynają migotać. Bierze kieliszek, obraca go i pije tak, że jego usta dotykają miejsca, gdzie przed chwilą były moje. Patrzy mi w oczy. Moje usta wypełniają się cierpką słodyczą, strachem i oczekiwaniem. Głowę mam lekką, dryfuję swobodnie. Czy to wino, czy on?

Postanawiam być dziś na wakacjach, nie mniej niż ci turyści, którzy przefruwali wokół nas weseli jak motyle, gdziekolwiek się zatrzymaliśmy. Nabrzeże Rybaka, Twin Peaks, most Golden Gate. Na wakacjach od siebie samej. Dziś, gdy ocean jak złota cynfolia rozwija się aż po horyzont, przynosząc łzy.

Czy nie zgodzisz się z tym, że nawet ja mam prawo mieć taki dzień, raz w życiu?

I to miejsce, gdzie Kruk klęknął na ziemi, nie zważając na swoje spodnie od Billa Blassa, i wyciągnął na nasz lunch bochenek chleba długi jak jego ręka, kawałki sera w grubej białej skórce, drewnianą miskę czubato napełnioną truskawkami w kształcie pocałunków. Wszystko dla mnie egzotyczne, chociaż gdy mu to mówię, śmieje się i odpowiada, że nie, to naprawdę całkiem zwykłe. Wiem, że mówi prawdę. Jednak gdy unoszę truskawkę, widzę w niej tylko idealny czerwony klejnot o świe-

cących zaokrągleniach, a gdy się w nią wgryzam, ogarnia mnie jej niewinny, rajski zapach. I nagle dociera do mnie, że Kruk tak musi widzieć codzienne rzeczy z mojego życia — kmin, kolendrę, goździk, *chana dal* — i serce moje przenika krótki smutek, delikatny i niewytłumaczalny jak mgła.

Przestań, Tilo, bo dziś jesteś na wakacjach także od swoich myśli.

A więc skupiam uwagę na otoczeniu, z falami Pacyfiku rozbijającymi się gdzieś pod nami w miejscu, którego nie widzimy, z krzykami mew kołujących w górze, na tym miejscu, które będę pamiętać jak żadne inne. Gdzie opieram się o cyprys wygięty przez stulecie obcowania z wiatrem i przez chwilę jestem wytworna jak cesarzowa (tak, ja), i spoglądam na poplamione solą ruiny domu kąpielowego, które lśnią na tle wody jak miraż.

— Wzniesiony — mówi mi Kruk — przez głupiego marzyciela.

— Jak ja — uśmiecham się.

— I ja — on też się uśmiecha.

— O czym ty marzysz, Kruku?

Waha się przez czas jednego oddechu. Nieśmiałość przesuwana się po jego twarzy jak cień skrzydła, ten wyraz tak rzadki u mężczyzny. A potem tę twarz obejmuje coś innego i gdy to odczytuję, coś we mnie drży. Bo to mówi: „Nie będę już miał przed tobą tajemnic”.

Oto, na co czekałam, odkąd spotkałam go w tamten wieczór diamentowego pyłu. A jednak.

Kruku, czy to nie głupie, że się obawiam, ja, która zachowywałam sekrety tylu mężczyzn i kobiet? Ale boję się, że gdy poznam twoje pragnienie, przestaniesz się różnić od innych, którzy przychodzą do mojego sklepu. Dam ci to, za czym tęsknisz, a dając, wyrwę cię z mojego serca.

Może tak będzie najlepiej. Moje serce znów w pełni będzie należeć do przypraw.

Nawet gdy tak myślę, mój umysł gna, gorączkowo poszukując planu, który zatrzymałby twoje słowa. Ale ty już mówisz, dźwięki zmieniają się w pyłki złota w nasyconym solą powietrzu.

— Marzę o ziemskim raju.

„Ziemski raj”. Te słowa wciągają mnie z powrotem na moją wulkaniczną wyspę z owijającym się wokół niej zielonym morzem i zginającymi się liśćmi palm. Między moimi palcami ciemny pył piasku, jego ostre srebrne refleksy w moich oczach, wyciskające łzy, gdybym tylko na to pozwoliła.

Kruku, skąd ty możesz wiedzieć o...

Ale on mówi:

— Wysoko w górach sosna i eukaliptus, wilgotny zapach sekwoi, kora i szyszka, strumień tak chłodny i świeży, że czujesz, jakbyś nigdy przedtem nie próbowała wody.

Mój Amerykaninie, jeszcze raz muszę dostrzec, że dzielą nas całe światy, nawet w naszych marzeniach.

On ciągnie:

— Natura nie rozcieńczona, i w pięknie, i w surowości. Gdzie możesz znowu żyć prostym życiem, u boku niedźwiedzia unoszącego pysk do jagód jarzębiny, wyprężonej kozicy nasłuchującej dźwięków. Na białym niebie krążyłyby czarne ptaki. I żadnego mężczyzny ani kobiety. Z wyjątkiem...

Wypowiadam swoje pytanie.

— Powiem ci — mówi Kruk, odrzucając do tyłu opalizującą zasłonę swych włosów. — Ale muszę zacząć w miejscu, z którego wszystko się zaczęło, moje marzenie i moja wojna.

Ty na wojnie, Kruku, z twoimi pewnymi, łagodnymi dłońmi, twymi ustami tak pełnymi dawania? Nie potrafię sobie tego wyobrazić.

Gdy o tym myślę, ciemność cętkuje słońce. Stado wron, trzepoczące skrzydła w kolorze liści *neem*, przelatuje nad naszymi głowami. Ich żalosne okrzyki padają na nas jak ostrzeżenie.

W kąciку napiętych ust Kruka jest rozlewisko cieni. Jego

twarz to same kąty i zagłębienia, znikła z niej miękkość. Przez chwilę jest to twarz zdolna do wszystkiego.

Tilo, jak mało znasz tego mężczyznę. A jednak ryzykujesz dla niego wszystko. Czy to nie jest szczyt głupoty?

W mojej głowie narasta wysokie buczenie jak odgłos bombowców. Zagłusza słowa Kruka. Ale już wiem, jak nazywa się miejsce, o którym on mówi.

Pokój umierającego.

— Czy możesz sobie nas wyobrazić w tym ciemnym miejscu? — pyta Kruk. — Ręce matki na moim ramieniu, pilnujące mnie, stary człowiek o słabnącym ciele, żarliwym sercu? I ja, chłopiec w odświętnym ubraniu, schwytany w złość, która między nimi iskrzy jak nagi przewód.

Stary człowiek powiedział: „Ewie, zostaw chłopca ze mną”, a gdy całe ciało mojej matki zeszywniało w „nie”, dodał: „Proszę, mam mało czasu”. W tym błagalnym głosie była moc, tak wiele mocy, że nie wiem, jak się jej oparła. I bezradność, która chwyciła mnie za serce, złamany ton mężczyzny nie przyzwyczajonego do proszenia o łaskę.

Moja matka jednak wpatrywała się w ciemność, jakby tego nie usłyszała. Nie. Jakby to już słyszała zbyt wiele razy. I po raz pierwszy jej twarz wyglądała twardo i nieufnie, brzydko.

Myślę, że stary człowiek także to dostrzegł. Jego głos się zmienił, też stał się twardy i oficjalny. I chociaż nie był głośny, odbijał się od ścian pokoju jak wodospad. „Wnuczko, miałem nadzieję tego nie mówić, ale teraz muszę. Proszę o to jako o spłatę długu za wszystkie te lata, gdy żyłaś ze mną, za wszystko, co ci dałem, a ty odrzuciłaś, odchodząc”.

W ten sposób dowiedziałem się, kim był dla niej i dla mnie.

„Wszystko, czego chcę — ciągnął — to, by chłopiec miał wybór życiowej drogi. Tak jak ty”.

„Jest za młody, by go zmuszać do wyboru” — powiedziała

moja matka zdławionym głosem. Czułem, jak strach ściska ją za gardło. „Moja matka się boi”, pomyślałem zadziwiony, bo nigdy sobie nie wyobrażałem, że to możliwe.

„Gdy postanowiłaś nie iść starą drogą, czy ja ciebie zmuszałem?” — zapytał stary człowiek, robiąc przerwy między słowami, jakby każde było wzgórzem, na które musiał się wspiąć. „Nie. Pozwoliłem ci odejść, chociaż to było jak rozdarcie mojej własnej piersi. Wiesz, że nigdy bym nie skrzywdził twojego chłopca”.

W ciszy dookoła czułem zasłuchany oddech ludzi. Pokój napelniał się nim i opróżniał jak płuca.

„Dobrze” — powiedziała w końcu, zdejmując ręce z moich ramion. „Możesz z nim porozmawiać. Ale ja zostaję w tym pokoju”.

— Gdy moja matka zdjęła ze mnie dłonie i odsunęła się do tyłu — mówi Kruk — to było tak, jakby zabrała ze sobą całe światło.

Nie. Pozwól mi to jeszcze raz powiedzieć. To, co z nią odeszło, to było codzienne światło, przy którym wykonywaliśmy nasze codzienne zadania i w którym widzieliśmy swoje codzienne ja. Ale pozostała nie ciemność, tylko inny rodzaj światła, błyskająca czerwień, przez którą można widzieć, jeśli tylko ma się inne oczy. I słowa. Pokój był pełen słów, tylko że aby je usłyszeć, potrzeba było innego ucha niż to, które ja miałem.

Stary człowiek nie poruszył się ani nie przemówił. Ale czułem, jak mnie ciągnie za ręce i nogi, i za środek mojej piersi. Ciepłe przyciąganie, jakbyśmy — on i ja — byli zbudowani z tej samej substancji, ziemi, wody czy magnetycznej skały, która teraz, gdy byliśmy blisko, chciała się połączyć.

Ruszyłem ku niemu, przez cały czas czując inną wolę, odciągającą mnie w tył. Mojej matki. Tak bardzo chciała, bym się odwrócił od tej części jej życia, którą zastąpiła lśnjącymi

meblami i ładnymi zasłonami w kwiaty, chociaż już wtedy odgadłem, że wcale nie chciała tych rzeczy, ale po prostu szansy, by być zwyczajną i amerykańską.

Czy możesz to zrozumieć?

Kruku, w którego oczach widzę rozpaczliwe wspomnienie pragnień twojej matki, rozumiem więcej, niż mógłbyś odgadnąć. Ja, Tilo, która jako dziecko tak bardzo chciałam być inna, która jako dorosła teraz tak tęsknię za zwyczajnym życiem kuchni i sypialni, świeżo upieczonego chleba, papugi w klatce, która będzie wołać moje imię, kłótni kochanków i małych radości z pojednań pocałunkami.

O, ironio pragnienia, zawsze nasłuchującego płynnego płomyka za najodleglejszą wydumą. Czasem tylko po to, by odkryć, że niczym nie różni się od spieczonego piasku, na którym staliśmy dni, miesiące, lata temu, w tęsknocie.

Tilo, oto pytanie dla ciebie do rozważania, nawet gdy opowieść Kruka wciąga cię do środka, zaczarowana studnia, w której zapadają się nieostrożni podróżnicy: czy kiedykolwiek człowiek naprawdę wie, czego chce? Czy matka Kruka wiedziała? A ty? Ty, która kiedyś błagałaś, by zostać Mistrzynią, czy kiedykolwiek będziesz szczęśliwa, będąc jedynie kobietą?

— Krok po kroku poruszałem się bezwiednie — mówi Kruk — i z każdym krokiem jego przyciąganie rosło, a jej malało. Aż w końcu stałem na wprost niego i mogłem je wreszcie dosłyszeć, te słowa wyszyte razem w pieśń, która otulała się wokół mojego ciała ciepła jak skóra żywego zwierzęcia. Nie rozumiałem języka, ale znaczenie było całkiem jasne. „Witaj, witaj wreszcie. Tak długo czekaliśmy”.

Stary człowiek wyciągał do mnie ręce, a kiedy włożyłem w nie swoje dłonie, poczułem miękkość pod stwardnieniami. Przypominały mi ręce mojego ojca. Tylko że te były stare, kościste, z fałdami cętkowanej skóry marszczącymi się wokół

przegubów, w ogóle nie było w nich nic pięknego, nic, co by wyjaśniało, dlaczego poczułem się nagle tak szczęśliwy.

Pochwyciły mnie z siłą, której nie oczekiwałem, i nagle pokój rozjaśnił się obrazami: tłum kobiet i mężczyzn na brzegu rzeki, wykopujących korzenie w prażącym słońcu, obcinających gałęzie, by z nich upleść kosze. Pochylonych nad chorymi ciałami, kreślących dłońmi wzory, które zostawiały w powietrzu drobne linie światła. Siedzących przed nocnymi ogniskami i intonujących uzdrawiające pieśni, sypiących na ogień mąkę kukurydzianą, która płonąca, rzucała iskry.

Powoli zaczynałem rozumieć, że pokazywał mi, jakie było jego życie i życie innych, którzy przyszli wcześniej i przekazali dalej swoją moc. Czulem ból w ich grzbietach, uniesienie tętniące jak końskie kopyta w ich piersiach, gdy człowiek, który miał umrzeć, otwierał oczy. Zrozumiałem, że jeśli chcę tego życia, to stanie się ono moim.

Gdy słucham, mój oddech przyspiesza. To straszne i ożywcze dostrzegać podobieństwa naszego życia, różnice. Pomyśleć, że także Krukowi przekazano dziedzictwo mocy. Zastanawiać się, dlaczego w takim razie przyszedł do mnie.

I mieć nadzieję,

Ach, mój Amerykaninie, może wreszcie znalazłam kogoś, z kim mogę się podzielić życiem Mistrzynie, tym pięknym, okropnym ciężarem.

— Stałem tam przerażony, nie wiedząc, co robić — mówi Kruk. — Ale powoli dostrzegałem, jak brązowa i pomarszczona, i dobra była skóra wokół jego oczu, niczym kora drzewa, jak jego oczy lśniły i jakie ogniki paliły się w ich głębi. „Mój pradziadek”, myślałem, a słowa te były jak chłodny balsam nałożony na rozgorączkowaną skórę.

Potem zobaczyłem je za jego głową, te inne twarze rozciągające się aż w ścianę, jak wtedy, gdy stoisz między dwoma lustrami. Twarze przesunęły się, ich rysy zmieszały się tak, że były i nie były twarzą mojego pradziadka, były i nie były moja

twarzą. Teraz sięgał do piersi i coś z niej unosił. „Jego serce”, pomyślałem i w chwili pełnej przerażenia wyobraziłem sobie, jak mi je podaje, purpurowe i krwawiące, wciąż bijące szaleńczo.

Ale to był ptak, duży i piękny, czarny jak węgiel, lśniący jak olej. Siedział spokojnie w jego prastarych dłoniach i przyglądał mi się czerwonymi koralami oczu.

Przytakuje na moje nie zadane pytanie.

— Tak, kruk.

Otaczały mnie uderzenia bębnow i cienkie, pełne powietrza tony piszczałki. Mój pradziadek wyciągnął kruka, bym go wziął, i ja także wyciągnąłem ręce. A potem zobaczyłem ramy innych obrazów przesuwających się obok: gram w baseball z kolegami na boisku na rogu, siedzę przy stole i odrabiam z tatą lekcje, z matką w sklepie — pcham jej wózek, tak że podchodzi do kasy z uśmiechem jak krople rosy w słońcu. Wiedziałem, że oglądam moje życie, z którego muszę zrezygnować, nim wezmę tamto. Znów poczułem wilgotny kwiatowy zapach oddechu mojej matki, gdy całowała mnie w czoło. Czułem strach w koniuszkach jej palców, zanim mnie wypuściła, i wiedziałem, że jeśli wstąpię na drogę ludu mojego pradziadka, między mną i nią już nigdy nie będzie jak dawniej. Moje serce zamarło pod ciężarem straszliwego smutku, jaki jej to przyniesie, i nagle nie byłem już pewien.

Na co bym się zdecydował? Nie wiem. Raz po raz odmalowywałem tę scenę w umyśle, próbując zza tego, co się zdarzyło, dostrzec to, co mogło się zdarzyć.

Przerywa, by popatrzeć na mnie z nagłą nadzieją w oczach. Ale ja nie wiem, jak zajrzeć w sferę straconych możliwości, i z żalem muszę potrząsnąć głową.

Jego oddech pada między nas, ciężki i mocny.

— Wciąż sobie mówię: to przeszłość, nie ma sensu rozpamiętywać. Ale wiesz, jak to jest. Dużo łatwiej być mądrym tutaj — stuka się w głowę — niż tu — kładzie rękę na piersi i nieuważnie pociera, jakby chciał złagodzić ból starej rany.

Kruku, dzisiejszej nocy położę na moim parapecie *amritanjan*, maść, która jest jak zimny ogień, gorący lód. Która każe ci wypocić ból i to, co czasem jest gorsze, wspomnienie bólu, którego my, ludzie, jakoś nie potrafimy przestać do siebie przyciskać.

— Oto, co nastąpiło w chwili mojej decyzji — mówi. — Z tyłu pokoju moja matka powiedziała, miękko, ale z naciskiem, tym specjalnym głosem zachowywanym na wypadek, gdy chciałem zrobić coś naprawdę niebezpiecznego: „Nie”. Być może nie zamierzała się odezwać, bo gdy się obróciłem, by na nią spojrzeć, przyciskała dłoń do ust. Ale zło już się stało.

Słyszając jej ton, instynktownie się odsunąłem. To był drobny ruch, lecz wystarczył. Ptak wydał głośny okrzyk i uniósł się w powietrze. Poczulem uderzenie wiatru, gdy bił skrzydłami. Wzniósł się wprost do góry. Byłem przerażony, że rozbije się o sufit i zrani, ale on przepłynął, jakby to była woda, i zniknął. Tylko piórko poszybowało na dół i spoczęło na moich dłoniach. Dotknąłem go — było najbardziej miękkie w świecie. Nagle wtopiło się w moją dłoń i znikło.

Kiedy podniosłem wzrok, mój pradziadek opadł do przodu. Paru mężczyzn podbiegło. Potem potrząsnęli głowami i ułożyli go na plecach. Inni, tłoczący się wokół jego łóżka, zaczęli zawodzić, ale ja byłem niemy z poczucia winy. I straty, gdy sobie przypominałem łagodność w jego twarzy, i to pióro jak jedwab, jak rzęsy w mojej dłoni.

Matka ciągnęła mnie do drzwi, mówiąc: „Chodź, idziemy, musimy jechać”. Ja się opierałem. Chociaż byłem przerażony — bo na pewno to ja go zabiłem — czułem, że muszę się znaleźć przy boku starca, położyć dłonie na jego ręce ten jedyny, ostatni raz. Ale w starciu z dorosłą siłą matki nie miałem szans.

Kruk spogląda na mnie ślepo.

— To był pierwszy raz — mówi — gdy naprawdę nienawidziłem matki.

Widzę to wspomnienie w jego oczach. To dziwne uczucie, nie dzika i burzliwa nienawiść, której można się spodziewać po dziecku, ale jakby został wepchnięty do zamrożonego jeziora i teraz, wydostawszy się, postrzegał wszystko zmienionym, wyrachowanym, lodowatym wzrokiem.

— Już nie walczyłem, wiedziałem, że to się na nic nie zda. Zamiast tego sięgnąłem do jej naszyjnika i szarpnąłem. Zerwał się z tak głośnym trzaskiem, że spodziewałem się, że ludzie odwrócą się, by spojrzeć, ale oczywiście ten rozległ się tylko w mojej głowie. Moja matka wciągnęła krótki, nerwowy oddech i podniosła dłoń do szyi. Perły popłynęły we wszystkich kierunkach, uderzając o podłogę i ściany z cichym, twardym odgłosem.

„Przez ciebie zraniłem pradiadka” — powiedziałem. „Umarł przez to, co zrobiliśmy”. A potem odwróciłem się i poszedłem ku drzwiom. Pod moimi butami były perły, gładkie, śliskie wyboje. Tupąłem ciężko, chcąc je rozgnieść, ale one odskakiwały, a gdy się obejrzałem, ciemna podłoga wyglądała tak, jakby była powyszywana łzami lodu.

Drżenie przebiegło przez twarz mojej matki na te słowa, a gdy się znów uspokoiła, dostrzegłem, że jest inna, obwisła, jakby mięśnie nagle się zmęczyły wysiłkiem. Część mnie, przerażona, chciała przestać, ale ta nowa, nienawidząca część zmusiła mnie, bym mówił dalej.

„On miał mi dać coś naprawdę niezwykłego, a ty mi to zabrałaś”.

Czasami się zastanawiam. Gdybym nie wymówił tych słów, czy moja matka powiedziałaby coś innego: „Nie chciałam tak wykrzyknąć, kochanie, to się po prostu stało”. Gniew jest zawsze łatwiejszy niż przeprosiny, prawda?

— Tak — mówię. — Tak, dla nas wszystkich.

— Oto, co powiedziała, głosem tak czystym i rozsądnym, że tylko ja, znając ją tak dobrze, mogłem dosłyszeć pod nim ostrze wściekłości: „I tak umierał. Nie mieliśmy z tym nic

wspólnego. Przykro mi tylko, że ty się tam znalazłeś, kiedy to się stało. To był mój błąd. Nigdy nie powinnam była pozwolić, żeby ten idiota namówił mnie na powrót. A jeśli chodzi o coś naprawdę niezwykłego, nie daj się ogłupić tym zakłębom w tamtym pokoju".

Tymczasem byliśmy już na ganku, gdzie zebrało się więcej ludzi. Mężczyźni z grubymi karkami w sztywnych od brudu dżinsach, niektórzy pili z butelek, paru jadło z papierowych talerzy kawałki chleba zamoczone w sosie. Jeśli coś o nas myśleli, o szczupłej kobiecie z perłowymi guziczkami i chłopcu w garniturku, jeśli słyszeli słowa, które w siebie ciskaliśmy, to ukryli to za twarzami bez wyrazu. Gdy przechodziliśmy, jedna z kobiet uniosła brzeg sukni, by wytrzeć dziecku nos.

Moja matka zatrzymała się. „Od tego, od tego cię zabieram” — powiedziała, i nie miałem pojęcia, czy chodzi jej o całą tę scenę, czy o tę nie ogoloną kobietą nogę obnażoną tak niedbale, o te brzydkie fałdy ciała i tłuszczu.

„Patrz uważnie” — powiedziała matka, z wyraźnym niesmakiem w głosie. „Nie zapomnij. Takie byłoby twoje życie, gdybyś... gdybym ja zrobiła to, czego on chciał”.

A potem byliśmy w samochodzie.

Teraz słońce wisi nisko nad Pacyfikiem, gigantyczny płonący pomarańczowo *gulab-jamun* do lizania dla fal. Kruk i ja pakujemy pozostałości naszego pikniku. Patrząc na jego plecy, gdy rzuca mewom ostatnie kromki chleba, na sztywność jego ramion i bioder, bo było mu ciężko wyłowić tę historię z miejsca, gdzie ją zakopał, przez słowa dać jej ponownie życie i moc. Tak wiele chcę mu powiedzieć: jak jego opowieść napęłała mnie smutkiem i zdumieniem, jak czuję się wyróżniona, że to mnie ją dał, jak słuchając, wzięłam do własnego serca część bólu, by zatrzymać i zrozumieć, i — mam nadzieję — uleczyć. Ale czuję, że on nie jest jeszcze gotowy, by to ode mnie usłyszeć.

Poza tym, ta historia się jeszcze nie skończyła.

Teraz Kruk obraca się do mnie ze zdecydowanym uśmiechem.

— Dość przeszłości — mówi, jakby zmusił ją do powrotu do należącego jej miejsca, z daleka od teraz. Jakby coś takiego było możliwe. — Pójdziemy na plażę? Mamy akurat tyle czasu, żeby się przejść brzegiem oceanu przed powrotem. Jeśli chcesz.

— Tak — mówię. — Chcę.

A głęboko we mnie, pod smutkiem i pragnieniem pocieszenia — bo taki jest paradoks serca — budzi się samolubna nadzieja, której nieco się wstydzę: może jeśli będę wypatrywać. Jeśli zawołam. Węże.

„Nadzieja nie zbudowana na rozsądku przynosi tylko rozczarowanie". Oto, co by powiedziała Pierwsza Matka.

Ale nie mogę się oprzeć. Coś wisi w powietrzu jak błogosławieństwo, nie zasłużone dary szybują w grubym złotym pyłe słonecznych promieni. Jeśli węże mają do mnie wrócić, to właśnie dzisiaj.

Na samym końcu. Zawołam je w ostatniej chwili, zanim zacniemy wracać.

Idziemy po zimnym, znaczonego plamkami piasku, czujemy, jak poddaje się pod naszym ciężarem, jak unosi się, by otoczyć nasze kostki.

Ach, oceanie, to już tak dawno. Każdy krok to wspomnienie, jak stąpanie po pokruszonych kościach. Jak w tej starej opowieści o dziewczynie, która pragnęła zostać najlepszą tancerką na świecie. Dobrze, powiedziała czarodziejka, ale za każdym razem, gdy postawisz stopę na ziemi, poczujesz rozcinające noże. Jeżeli zniesiesz ten ból, twoje pragnienie zostanie spełnione.

Pierwsza Matko, kto by pomyślał, że smak rozpylonej soli na moich wargach, gdy idę oboje mężczyzny, którego nie wolno mi pokochać, przyniesie tęsknotę za tymi prostszymi czasami, gdy ty podejmowałaś za mnie wszystkie decyzje.

*

— Są takie chwile w naszym życiu — mówi Kruk — któż mógłby wiedzieć o tym lepiej od ciebie. Parę rzadkich chwil, gdy dostajemy szansę na naprawienie tego, co zniszczyliśmy w bezmyślnej wściekłości. Taki moment raz przyszedł do mnie, a ja go odrzuciłem.

Wracamy plażą po swoich śladach. Morskie powietrze jest jak narkotyk, który rozpala moje zmysły. Jestem świadoma wszystkiego wokół z ostrą jak nóż precyzją: sposobu, w jaki krople wody wiszą przez chwilę w powietrzu, gdy fala wybucha na klifie; malutkich różowych kwiatków wyrastających ze szczelin w morskich skałach, gdzie nic nie powinno rosnąć; a przede wszystkim zgrzytu żalu w głosie Kruka, gdy pozwala, by porwała go fala pamięci.

— Po paru minutach naszej podróży do domu tamtego dnia samochód zatrzymał się na czerwonym świetle. Matka zdjęła rękę z kierownicy, by potrzeć zmęczone oczy. Wpatrywałem się w długą, wygiętą linię jej karku, w jej szyję, tak nagą i kruchą, i przyszła do mnie myśl: „Zarzuć na nią ramiona, zawołaj ją tym magicznym imieniem dzieciństwa, mamó, które kiedyś wszystko naprawiało. Nie trzeba już będzie słów, przeprosin ani obwiniania. Pozwól skórze przemówić do skóry, gdy wciśniesz twarz w jej szyję, w ten zapach, który znałeś zawsze”.

Ale coś zatrzymało mnie na moim siedzeniu, nieporuszonego, opornego jak kamień. Może było to poczucie, które przychodzi do nas wszystkich w jakiejś chwili dorastania, że jesteśmy oddzieleni od naszych rodziców i sami musimy przecierpieć własne życie, z naszymi własnymi smutkami. A może to było coś prostszego, dziecięca złośliwość, niech cierpi tak jak ja cierpię. Potem światło się zmieniło i znów zaczęła prowadzić.

Widzę ich w tym samochodzie, matkę i syna, związanych więzią krwi, która jest najbliższa i być może najbardziej bolesna. W gardle czuję raniący nacisk tych słów, które oni zatamowali w swoich gardłach. Wiem, że z każdą milą będzie

je trudniej wymówić. Bo z każdą milą odsuwają się dalej od siebie i od tej ofiarowanej im na krótko chwili łaski. Nawet , kiedy mieszają się ich oddechy, gdy jej łokieć muska go, kiedy sięga do gałki zmiany biegów. Aż dystans, który między nimi rośnie, stanie się zbyt rozległy do przekroczenia dla człowieka.

— Po tym dniu — mówi Kruk — stałem się inną osobą. Mój świat był jak przewrócona do góry nogami torba, z której wytrząśnięto wszystko, co do tej pory było pewne.

Robiliśmy coś zwykłego — na przykład matka wiozła mnie do dentysty albo w sklepie wybieraliśmy ubrania do szkoły. Podnosiłem wzrok, żeby zrobić jakąś uwagę, i nagle wspomnienie tego ciemnego pokoju opadało na moje oczy jak bielmo, zmieniając wszystko, na co patrzyłem. Gapiłem się głupkowato na lewisy, których chciałem od miesięcy, albo na napis na ścianie u dentysty: NIE MUSISZ MYĆ WSZYSTKICH ZĘBÓW — TYLKO TE, KTÓRE CHCESZ ZATRZYMAĆ. Wydawał mi się on tak zabawny, gdy ostatnim razem tam byłem. Ale teraz wszystko było bez znaczenia.

Strach zalewa mnie jak czarna fala, gdy przysłuchuję się Krukowi. Jeśli jedno zetknięcie z mocą mogło go tak pograżyć w rozpacz, to co się stanie ze mną? Ze mną, Tilo, która oddałam wszystko, by stać się Mistrzynią. Jak zniosłabym to, gdyby przyprawy mnie kiedyś opuściły?

Ależ, Tilo, czy robiąc to, co dziś zrobiłaś, nie popychasz ich do tego?

Chcę powstrzymać Kruka. Powiedzieć: „Dosyć, zabierz mnie z powrotem do mojego sklepu”. Ale jestem już w tej jego opowieści zbyt głęboko. A poza tym, Haroun czeka.

Jutro, mówię do przypraw, próbując wierzyć w swoją obietnicę. Od jutra będę posłuszna.

Krzyk mew nad głową jest jak ochryply śmiech.

*

— Moja matka także stała się inną osobą. Coś ją opuściło tamtego dnia w samochodzie, jakiś rdzeń zdecydowania, jakaś energia, którą być może zużyła, gdy wymawiała to fatalne „nie”. Nadal robiła te same rzeczy — nasz dom był wciąż bardzo czysty i zadbane — ale już bez dawnej wyteżonej wiary. Gdy kiedyś lubiła dźwięki — w domu zawsze grało radio — teraz po powrocie ze szkoły do domu znajdowałem ją siedzącą w ciszy przy oknie, jak wpatrywała się w pusty plac po drugiej stronie ulicy, zarośnięty wysokimi, kołyszącymi się chwastami. Być może podróż powrotna w miejsce, gdzie jej życie się zaczęło, zmusiła ją do dostrzeżenia, że w pewien sposób nigdy stamtąd nie uciekła — nie w swoim sercu, a to jedyne miejsce, które się liczy.

Ale o tym wszystkim zacząłem myśleć dużo później. W tamtych czasach patrzyłem na tę chwilową nieostrość w jej oczach, zanim pospiesznie przygotowała mi coś do zjedzenia, stając się znowu gospodynią i matką, i myślałem: „poczucie winy”. I z okrucieństwem, które być może tylko dzieci potrafią odczuwać wobec rodziców, myślałem: „Dobrze. Zasługuje na to”. Zastanawiałem się też, w jaki sposób jeszcze bardziej ją ukarać.

Jednym ze sposobów było przyglądanie się jej. Po prostu siedziałem i gapilem się na nią, gdy wykonywała swoje prace — wycierała podłogę, odkurzała meble — ale tam, gdzie w jej ruchach widziałem kiedyś naturalny wdzięk, za który tak ją kochałem, teraz dostrzegałem wyteżony wysiłek. Wysiłek, by jak najbardziej różnić się od tych kobiet, które za sobą zostawiła, kobiet z tłustymi włosami i stadem dzieci ciągnących z płaczem ich spłowiełe sukienki. Kobiet, które straciły kontrolę nad swoim ciałem i swoim życiem, gdy ona była zdecydowana nigdy sobie na coś takiego nie pozwolić. Udawałem, że odrabiam zadanie domowe, ale przyglądałem się, jak pomaga ojcu w rachunkach, jej palce zwinnie poruszały się po kalkulatorze. Siedziałem w kącie pokoju z książką i wpatrywałem się w nią, gdy lalewała swoim przyjaciółkom z kościoła herbatę do filiżanek

od kompletu, podawała domowe kruche ciasto, jakby robiła to od urodzenia. I przez cały czas czekałem, aż zsunie się jej maska, mięśnie się rozluźnią, nieostrość opanuje rysy. Ale oczywiście nigdy do tego nie doszło.

Wiedziałem jednak, że jej to przeszkadza. Gdy byliśmy sami, pytała: „Co się z tobą dzieje, nie masz nic innego do roboty?” A kiedy potrząsałem głową, jej oczy ciemniały — znów myślałem, że to poczucie winy, chociaż teraz zdaję sobie sprawę, że może to była tylko bezradność — i często wychodziła z pokoju. Jeśli obecni byli inni, posyłała mi ciche, błagalne spojrzenie: „proszę, idź”, a gdy ja patrzyłem bez wyrazu, traciła głowę i czasami źle coś dodawała albo rozlewała herbatę.

Jej przyjaciółki mawiały: „Jakiego ty masz cichego, grzecznego chłopca, Celestino, taka z ciebie szczęściara, chciałabym, żeby moi tacy byli”. A ja skromnie schylałem dla nich głowę i uśmiechałem się cichym, grzecznym uśmiechem, ale spod rzęs zerkalem na nią. Wiedziałem, że ona wie, o co ją bez słów pytam: „Co by powiedziały twoje przyjaciółki, gdyby się dowiedziały, skąd się wywodzisz, kim naprawdę jesteś? Co by powiedział tata?”

Kruk uśmiecha się do mnie smutno.

— Pochodząc z indyjskiej kultury, pewnie nawet sobie nie potrafisz wyobrazić, że można się tak zachowywać wobec rodziców.

Uśmiecham się na podwójną ironię tych słów. Mój Amerykaninie, jak ty sobie romantycznie wyobrażasz mój kraj i mój lud. A przede wszystkim mnie, która nigdy nie byłam pełną szacunku córką ani dla moich rodzonych rodziców, ani dla Najstarszej. Mnie, która sprawiałam tylko kłopoty, gdziekolwiek się pojawiłam. Czy kiedyś nadejdzie dzień, w którym będę ci to mogła powiedzieć?

— Indyjska kultura nie jest całkiem taka, jak myślisz — mówię, krzywiąc się.

— Ale powiedz mi prawdę — czy nie myślisz, jaki byłem

nieznośny, jakie to godne potępienia, nienaturalne u syna? I masz rację, taki byłem.

Chcę powiedzieć: To nie ja powinnam cię osądzać, zresztą nie pragnę tego. Jako Mistrzyni Przypraw nie mam prawa. Poza tym, ty sam już osądzałeś, rok po roku po roku.

Ale mogę tylko położyć dłoń na jego ramieniu i powiedzieć:

— Kruku, jesteś dla siebie zbyt surowy.

Otrząsa się i widzę, że sam jest przekonany o czym innym.

— Moja matka była opanowaną kobietą — ciągnie. — Nie miała skłonności do wybuchów, ale raz na jakiś czas udawało mi się doprowadzić ją do tego, że traciła nerwy. Czulem gorzką satysfakcję, gdy mnie atakowała, najpierw cicho, potem jej głos stawał się głośniejszy, gdy przybierałem minę co-mnie-to-obchodzi, wreszcie na koniec krzyczała: „Nie wiem, dlaczego się tak zachowujesz, nie wiem, co z tobą zrobić!” Zawsze zatrzymywała się na chwilę przed powiedzeniem czegoś naprawdę okrutnego — nawet wtedy czulem z tego powodu niechętny podziw. Ale potem szedłem do łazienki i z bliska wpatrywałem się w lustro. Przebiegałem palcami włosy, które każdego dnia zdawały się bardziej szorstkie. Dotykałem stępionych kości jej twarzy. Wypluwałem słowa, które na pewno przez cały czas tkwiły gdzieś w jej umyśle: „Czego innego mogę się po tobie spodziewać, ty beznadziejny Indianinie”.

Tyle lat, a wciąż słyszę w jego głosie osad tamtej goryczy, nienawiści do siebie, która z pewnością musi być najgorszą z nienawiści.

— Ale dlaczego czuleś, że tak myślała? — pytam. — Z tego, co powiedziałaś, ona nie wydaje się taka...

— No, sam się czasem zastanawiałem. W mojej głowie pojawiały się stare wspomnienia: deszczowy dzień, ja leżę zwinęty z nią pod kołdrą, a ona mi czyta, albo kiedy byłem chory, a ona nie spała całą noc, by przykładać mi do czoła zimne okłady. Mówiłem sobie, że się mylę, że przesadzam. A potem przypominałem sobie tamten dzień przed obitym deskami domem,

śmierdzącym jak nie uprane kocy i mokre pieluchy. Wspominałem niesmak w jej głosie, gdy mi mówiła, bym się uważnie przyglądał. Niesmak wobec mężczyzn jedzących smażony chleb z sosem kapiącym im na brody, kobiet z łatwością przyzwyczajenia odchylających głowy do tyłu, by pić z butelek. Ale także wobec siebie, tej części, która była z nich i zawsze będzie, nieważne, jak dobrze by ją ukryła.

A jeśli siebie tak nienawidzi, myślałem, jaką ja mam szansę?

Gdybyśmy potrafili porozmawiać o tamtym dniu chociaż raz, gdybyśmy otwarcie się o to pokłócili, wszystko mogłoby wrócić do ładu. Ale ona nie potrafiła. Jej przeszłość tkwiła w niej zbyt głęboko, jak złamany grot strzały. Żyjesz, nosząc go ostrożnie, ale nigdy go nie dotykasz, bo mógłby zacząć wędrować, tym razem prosto do twojego serca.

Teraz to widzę, ale wtedy byłem młody, a ona była dorosła i zawsze na niej polegałem. Więc czekałem, aż zrobi pierwszy ruch. Czekałem i czekałem, w bólu i pomieszaniu, i złości, a potem było już za późno.

Obserwuję go w resztkach światła, gdy zatrzymuje się, by popatrzeć na ocean, z oczami zwężonymi przez złoty blask. Długa droga dzieli płat łazienkowego lustra od tego oceanu otwartego na całe niebo. Trzyma się tak pewnie, że nikt patrząc, nie pomyślałby o nim tych starych słów. „W bólu i pomieszaniu, i złości”. Ale wciąż są wciśnięte gdzieś w głębi, a ja muszę je znaleźć i wyłuskać.

Ale nie mogę, zanim mi opowie cały swój ból. A więc, niechętnie, muszę badać.

— Co jeszcze, Kruku, co jeszcze wywołało tyle twego gniewu?

Przez chwilę milczy i myślę, że temu zaprzeczy. Potem mówi, ale tak cicho, że muszę wyteńczyć słuch:

— Ptak.

*

— Tak, ten piękny czarny ptak, od którego się odsunąłem, gdy moja matka krzyknęła: „nie”, który uleciał w niebo ze swymi smutnymi oczami jak rubiny, ze swoim więcej niż ludzkim krzykiem. Śniłem o nim od czasu do czasu, a gdy się budziłem, czułem mrowienie dłoni w miejscu, gdzie wtopiło się pióro. I znów odczuwałem dotyk rąk mojego pradziadka, gdy trzymał moje dłonie.

Wtedy byłem najbardziej zły na matkę, choć — jak to dzieci — także siebie włączałem w ten gniew. Mówiłem sobie, że przez nią straciłem tego ptaka i wszystko, co mógł mi dać. W następnej chwili miałem ochotę się kopnąć, bo nie byłem dość szybki, żeby coś zrobić. Dlaczego go nie chwyciłem, dlaczego nie krzyknąłem: „tak”, by odparować jej „nie”? A potem myślałem o mocy, którą czułem przy tym łóżku, o zadziwiającym podmuchu gorąca, jaki można poczuć, gdy nagle, bezwiednie, otworzysz drzwi pieca. Jakoś czułem — chociaż nie potrafiłem znaleźć słów, by to wyjaśnić komukolwiek, nawet sobie — że ta moc przekreślała wszystko, na co moja matka wskazywała z takim niesmakiem. To była prawda bardziej rzeczywista niż obskurność i brud, bieda i alkohol. Ona o tym wiedziała, mówiłem sobie, a jednak odepchnęła to, tak że na zawsze to straciłem.

Wtedy zachowywałem się najbardziej szaleńczo.

Zacząłem wagarować i zadawać się ze złym towarzystwem. Wdawałem się w bójki i odkryłem, że to mi sprawia przyjemność — to uczucie wkładania całej siły w pięść, ten trzask rozciętego ciała; zapach krwi niepodobny do żadnego innego; ból rąk na krótką chwilę pozwalający mi zapomnieć o tym innym bólu wewnątrz.

Moją matkę wzywano do gabinetu dyrektora. Słuchała w ciszy, a potem, w samochodzie na szkolnym parkingu, chowała twarz w dłoniach i mówiła (przestała krzyczeć, gdy odkryła, że właśnie tego chciałem): „Już nie umiem tego znieść. Będę musiała powiedzieć twojemu ojcu”. Ale nigdy tego nie zrobiła.

— Twój ojciec — mówię, przypominając sobie cichego mężczyznę z dłońmi jak las. — Co on o tym wszystkim myślał?

Jesteśmy już prawie na końcu plaży, połączana woda rozlewa się wokół wypiętrzeń czarnej skały. Żałosne wołania fok, podobne do okrętowej syreny, wypełniają powietrze. Kruk wzdycha i zaczyna znowu.

— Mój ojciec był prawdziwą ofiarą cichej wojny między mną i moją matką. Kiedy był w domu, staraliśmy się być dla siebie mili. To była nasza nie wypowiedziana umowa, to jedno, co jeszcze nas łączyło, nasza miłość do niego. Rozmawialiśmy więc normalnie, uśmiechaliśmy się, razem wykonywaliśmy domowe prace, a nawet sprzeczaliśmy się o nie jak dawniej. On jednak nie dał się oszukać. Było tak, jakby słyszał nie wypowiedziane słowa nienawiści, które w nią ciskałem, każde z nich. Wwiercały się w jego serce, aż stało się zupełnie podziurawione, nic oprócz dziur. Wykonywał codzienną pracę, człowiek sito, a cała wola życia z niego wyciekała.

Najsmutniejsze było to, jak bardzo się starał nas uszczęśliwić. Zabierał nas w weekendy w szczególne miejsca: popływać łódką po jeziorze, na rodeo do Krowiego Pałacu. Do kina. Jechaliśmy jego ciężarówką, cała trójka ściśnięta razem, matka ładnie ubrana siedziała między swoimi dwoma mężczyznami, jak nas nazywała. Ludzie, którzy nas mijali na drodze, musieli myśleć, że jesteśmy idealną rodziną. Tata opowiadał dowcip, zwykle marny — dowcipy nie były jego specjalnością — a my oboje śmialiśmy się do rozpuku, bardziej niż zasługiwał na to ten dowcip, bardziej niż byśmy to zrobili przedtem. Siedzieliśmy więc w ciężarówce, a kabina trzęsła się od naszego fałszywego śmiechu. Tata spoglądał na nas, a w jego oczach czaił się taki wiedzący smutek — czułem, że mógłbym się w nim utopić. Ale jak miałem mu powiedzieć, co mnie rozdziera, nie wydając matki? A tego nie mogłem zrobić bez względu na to, ile wściekłości wobec niej czułem.

Potem skończył się nam czas.

Pamiętam to popołudnie, jakbym je wciąż widział. Przeszedłem do domu ze szkoły, a matka upiekła ciasteczka czekoladowe. Uwielbiałem ciasteczka czekoladowe. Bez przerwy ją o nie prosiłem, kiedy byłem mały. Ale tego dnia tylko mnie to rozzłościło. Co ona sobie myśli, że może naprawić zmarowanie mi życia, piekąc blachę ciastek? Nie tknąłem żadnego, chociaż umierałem z głodu. Przygotowałem sobie zamiast tego kanapkę, nalałem szklankę mleka i poszedłem do swojego pokoju. Pożarłem kanapkę, wypilem mleko i leżałem na łóżku, litując się nad sobą. Cały dom pachniał czekoladą, w żołądku mi od tego burczało. Nie zwróciłem uwagi, gdy zadzwonił telefon. Zastanawiałem się, jak bardzo by ją to zmartwiło, gdybym chciał uciec z domu. I nagle zapukała do moich drzwi. Otworzyłem, gotów powiedzieć coś okropnego.

Stała tam już z kluczykami do samochodu w dłoni.

„Musimy jechać do szpitala” — powiedziała z twarzą jak popiół. „Coś wybuchło w rafinerii”.

Nagle się obejmowaliśmy, każde lekko drżące. Pamiętam, że chociaż strach przebiegł przez moje żyły, przyprawiając mnie o zawroty głowy, czekałem, aż to się stanie, jak w kinie. Aż połączy nas ta tragedia. Ale nie doszło do tego. Ani wtedy, ani później, gdy siedzieliśmy przy łóżku, w którym leżał poowijany i spokojny w bandażach, zupełnie oszołomiony środkami przeciwbólowymi, bo to było wszystko, co lekarze mogli dla niego zrobić. Musiał cierpieć, bo każdemu oddechowi towarzyszyły drgawki. Ale gdy po paru godzinach umarł, stało się to spokojnie, oddech po prostu ustał — tak umierają dusze błogosławione, przeczytałem później w buddyjskim tekście. Jego śmierć była jak jego życie, nawet najbliżsi nie wiedzieli, jak bardzo cierpiał.

Gdy matka zrozumiała, że jest martwy, zaczęła płakać brzydkim, powstrzymywanym szlochem, który wstrząsał całym jej ciałem. Płakała, jakby skończyło się jej życie, i w pewnym sensie tak było. Odeszła bowiem jedyna bliska jej osoba, która wierzyła w ja stworzone przez nią z taką troską.

Odsunąłem na bok własny wstrząs —jakoś nie uwierzyłem, że on naprawdę umarł — i powiedziałem sobie, że zajmę się tym później, w samotności. Teraz musiałem zająć się moją matką. Otoczyłem ją ramieniem i starałem się poczuć to, co ona czuje, żeby wiedzieć, jak najlepiej ją pocieszyć. I wiesz co?

Boję się spojrzeć w jego chmurne oczy.

— Nie czułem nic. Nic. Byłem tam, obejmując moją płaczącą, owdowiałą matkę, wiedząc, co powinienem czuć: współczucie, wyrzuty sumienia, opiekuńczość i miłość — tak, to przede wszystkim — i nic z tego nie odczuwałem. Obejmowałem ją, bo tego po mnie oczekiwano, ale wewnątrz czułem się oddzielny, całkowicie osobny, jakby ktoś wziął ogromny topór i odrąbał wszystkie więzi między mną i nią — nie, między mną i całą rasą ludzką.

— To był po prostu szok — mówię. Nawet w moich uszach te słowa nie brzmią przekonująco.

— Jeśli był, to nie minął, nie w ciągu następnych paru tygodni ani miesięcy, ani kiedy wyjechałem do college'u. Czasem nawet teraz to czuję. — I znów pociera swoją pierś, mój Amerykanin z oczami pustymi jak dziury wywiercone w nocnym niebie. — Czy wiesz, Tilo, jaka jest najsmutniejsza rzecz na świecie? Kiedy obejmujesz kogoś, kogo kochałeś tak bardzo, że sama myśl o tej osobie była wielkim błyskiem światła w twojej głowie, i czujesz — nie, nie nienawiść; to przynajmniej coś by było — czujesz ten rozległy chłód rozdymający się w tobie i wiesz, że możesz ją trzymać w ramionach albo je opuścić i odejść, i cokolwiek wybierzesz, nie robi to żadnej różnicy.

— O Kruku — mówię i pod wpływem impulsu odwracam się do chłopca, którym był, by na jego policzku umieścić pocałunek współczucia. Bo wydaje mi się, że on ma rację, to musi być najgorsze. Choć naprawdę nie wiem, ja, która tak często opuszczałam stare dla nowego, mało się troszcząc o to, co pozostało za mną. Ja, która zaczęłam wierzyć, że puste, odbijające

się echem komnaty serca tak samo są częścią ludzkiej kondycji jak nasza tęsknota, by je zapełnić.

Aż do teraz.

Tak myślę i czuję, jakby moja pierś była wykręcana w wyciśnięcie, której praczki używają, by do sucha wycisnąć ubrania. Po raz pierwszy przyznaję, że oddaję siebie miłości. Nie uwielbieniu, które ofiarowałam Najstarszej, nie respektowi, który czułam wobec przypraw. Ale ludzkiej miłości, tak zakłanej, która zarazem daje i żąda, i dąsa się, i goreje. To mnie przeraża, to ryzyko.

I widzę, że to ryzyko nie tkwi w tym, czego się zawsze obawiałam, w gniewie przypraw, w ich odejściu. Prawdziwe ryzyko polega na tym, że jakoś stracę tę miłość. A wtedy jak to zniosę, ja, Tilo, która się uczę, że nie jestem tak niewrażliwa, jak kiedyś myślałam?

Chcę się odsunąć od Kruka, by to rozważyć, ale jakimś sposobem to nie jest jego policzek, tylko usta na moich ustach, to nie chłopiec, lecz mężczyzna, jego ramiona mnie otaczają i nie jest to pocałunek współczucia, lecz wzajemnej potrzeby. Całujemy się tu, nad ostatnimi błyskami oceanu, nim zapadnie na nas noc, mój pierwszy pocałunek, niespodzianka jego przytulnego języka, słodkiego i twardego w moich ustach (czy to ludzie robią?), mój żołądek wznosi się, a potem opada, jakbym prowadząc bardzo szybko, przejechała głęboki uskok w drodze. Aż zapomnę się wstydzić za to ciało i będę pragnąć, tak jak każda kobieta, by to się nigdy nie skończyło.

Wtem słyszę śmiech. Dźwięczne i czyste salwy, szydery dzwon wybijający chwilę mojego powrotu do siebie.

I bez spoglądania wiem, kto to.

Tak, dwie z nich, jedna opiera się lekko na ramieniu swego towarzysza, druga wysuwa się z połyskującego, niskiego, lśniącego czernią samochodu ze złotymi błyskami na błotnikach; na jej długich nogach opalenizna jedwabnych pończoch. Samo srebro i diamenty, te dziewczyny bugenwille, potrząsające lokami, oddychające zapachami, których nazwy niesie do mnie ciemniejące powietrze. Obsession. Poison. Giorgio Red. Suknie bez pleców, podtrzymywane jakby czarami, długie rozcięcie z boku uda. Głęboki aksamit i śmietanka. Ich złotobrazowe ciała ciepłe i pomrukujące jak silnik samochodu, gotowe na przygodę, na dal.

Co one tu robią, te dziewczyny, które ostatnio widziałam w moim sklepie, gdy kupowały szafran i pistacje?

— Jedzenie nie jest tu najlepsze — mówi jedna z kobiet — ale jaki wspaniały widok.

Nagle zauważam restaurację wzniesioną na skale i tak samo zabarwioną, dyskretny wyrzeźbiony znak, lśniące szkło odsłania więcej lśniącego szkła, a za nim ocean, podany jak talerz złota.

— No, widok — mówi druga kobieta i przez chwilę spogląda prosto na mnie spod przydymionych rzęs. Jej usta to żurawina i połysk. Wygięte w coś w rodzaju uśmiechu.

Zdaję sobie sprawę, że wciąż jestem w ramionach Kruka, i wyrywam się.

Jej towarzysz, biały mężczyzna, coś szepcze.

Kobieta nie jest równie dyskretna.

— Niektórzy ludzie... — mówi. — Cóż, różne są gusta. — Jej spojrzenie omiata teraz Kruka.

Żar zaczyna pulsować z tyłu moich oczu, małe wybuchy czerwieni. Druga kobieta znów się śmieje, opierając się na swym mężczyźnie, jego ręka wokół jej szczupłej talii w lamie. Z wściekłością patrzę na śliczną linię jej karku, jej piersi.

— Wiesz, jak to jest, ludzi podniecają najróżniejsze pokręcone rzeczy.

— I ta sukienka — mówi jej przyjaciółka. — Widziałas tę sukienkę?

— To żalosne — odpowiada tamta — co niektóre kobiety robią, żeby wyglądać młodo.

Oczy mężczyzny prześlizgują się po nas znudzone, jakby widział gorsze rzeczy. Jakby to nie było warte straty jego czasu.

— Lepiej się pospieszmy — mówi — jeśli chcemy zdążyć do teatru.

Drzwi restauracji zamykają się za nimi z szelestem.

Czuję w sobie dudnienie zaczynające się od stóp. Falami posuwa się w górę mojego ciała. Jego kolor to wrzące błoto.

Witam je. Za chwilę zwymiotuję je w kształcie starożytnych słów (gdzie ja się ich nauczyłam?), które nie do poznania poparzą dziewczyny bugenwille.

Ale.

— Nie zwracaj na nie uwagi — mówi Kruk. — One nie są ważne. — Chwyta mnie mocno nad łokciem, jakby wiedział, co zamierzam. — Najdroższa — perswaduje. — One cię nie znają, nie wiedzą, kim naprawdę jesteś. Nie rozumieją nas. Nie możesz pozwolić, by zepsuły nasz wieczór. — Trzyma mnie, aż to dudnienie zwolni.

Ale wieczór jest zepsuty. Do samochodu idziemy w ciszy, a gdy Kruk próbuje otoczyć ręką moje ramiona, odsuwam się. Nie próbuje ponownie. Nie wraca też do swojej opowieści. W ciszy jedziemy z powrotem przez most, a gdy się oglądam, widzę, że mgła przyćmiła światła miasta tak, że mrugają jak umierające świetliki.

Kruk zatrzymuje samochód przed domem Harouna, siedzi przez chwilę, gdy silnik pracuje na wolnych obrotach. Gdy nie odzywam się prócz szorstkiego: „Dzięki”, mówi:

— Wpadnę jutro.

— Będę zajęta. — Wysiadam, sztywna i niezgrabna, i zła, bo świadoma tego, wspominając złote przesuwanie się młodych nóg w pończochach.

— W takim razie pojutrze.

— Wtedy też będę zajęta. — Niewdzięczna Tilo, mówi przez wiry powietrza głos w mojej głowie. Co on zrobił?

— I tak przyjadę — mówi. — Daj mi rękę.

Gdy nie daję, sam ją bierze i wciska pocałunek we wnętrze mojej dłoni. Zaciska mi na nim palce.

— Droga Tilo. — W jego głosie jest czułość, ale i ślad śmiechu. — A ja myślałem, że ty jesteś ta mądra.

Kiedy idę w górę schodami, trzymam w dłoni ciepły kształt jego ust. Prawie się uśmiecham.

Potem przypominam sobie, co jeszcze dziewczyny bugenwille mi zabrały, i znowu jestem zła.

Węże. Moja jedyna szansa, by je zobaczyć.

CZERWONE
CHILLI



Drzwi do mieszkania Harouna zdają się pod moją dłoń krusze jak łupinka. Puste jak porzucona muszla. Nawet zanim przestanę pukać, wiem, że nikogo tam nie ma.

Gdzie on może być? Czy znowu się z nim minęłam? Ale tym razem nie jestem spóźniona. Może odprawia *namaaz* i nie otworzy, nim skończy.

Czekam chwilę, znów próbuję. Najpierw grzecznie i z opamiętaniem, z myślą o sąsiadach. Potem walę w drzwi dłoń, czując twarde łomotanie drewna o kości mojej ręki, i wykrzykuję jego imię.

Ona staje za mną w otwartych drzwiach, z aureolą światła z tyłu, mówi miękko:

— Dziś jeszcze nie wrócił. Proszę, niech pani wejdzie i napije się *chai*, zanim on przyjdzie.

Jej oczy są duże i świetliste jak oświetlone księżycem jezioro, jej kości policzkowe wyrzeźbiono z najbardziej miękkiego steatytu. Jak mogłam wcześniej nie zauważyć?

Ale moje ciało wystukuje pytanie, którego nie można zlekceważyć. Dlaczego on się spóźnia, dlaczego on się spóźnia akurat dzisiaj?

— Proszę wejść, *khala*, tylko ja jestem w domu.

— Bardzo dziękuję — mówię wysuszonymi ustami — ale muszę czekać tutaj.

— W takim razie przepraszam na minutę — mówi.

Wraca, niosąc parujący kubek z nierdzewnej stali, owinięty

w wyszywaną ściereczkę. Fioletowe winogrona, jedwabista zieleni liści. Nawet zmartwiona dostrzegam małe porządne ścięgi,

Piję herbatę. Jest mocna i przyprawiona goździkiem. Dodaje mi sił, czyni czekanie trochę łatwiejszym.

Kobieta — na imię ma Hameeda — pyta, czy może ze mną posiedzieć. Ma trochę czasu. Shamsur zabrał Latifę, by kupić jej urodzinowy prezent. Prosił, żeby też poszła, ale miała coś do załatwienia w domu. Poza tym, to lepiej, że poszli bez niej. Zawsze uważa, że Shamsur kupuje małej zbyt drogie rzeczy i kłóć się w sklepie.

Cieszę się z jej towarzystwa, jej bezpretensjonalnego sposobu mówienia, z tego, jak ładnie porusza rękami, gdy mówi. Wodna muzyka jej bransolet. Pojutrze są szóste urodziny Latify, wydadzą małe przyjęcie, dwoje, może troje dzieci z klasą Latify, paru hinduskich sąsiadów. Haroun też, ale on jest bardzo spięty, bardzo nieśmiały, pewnie tylko wcześniej zostawi prezent. Będzie musiała kazać Latifie zanieść mu potem talerz z jeńcem.

— Jest tak nieśmiały wobec kobiet, prawie się do mnie nie odzywa. Gdy się spotykamy na schodach, mówi tylko: „Salen alejkum” i pędzi na dół, nie patrzy mi nawet w oczy, nawet nie czeka na moją odpowiedź.

Dowiaduję się o Harounie czegoś nowego.

— Myślę, że on nie zdaje sobie sprawy, jaki jest przystojny. Kto wie, może mu nie zależy. Włosy mu ciągle opadają rti czoło! Gdyby tylko trochę się postarał, mógłby...

Słyszę w głosie Hameedy coś niebezpiecznego, co nie za hamowane może doprowadzić do rozbicia domu.

— A twój mąż? — pytam twardym tonem. — Czy on te lubi Harouna?

— *Khala!* — Tak jak się spodziewałam, kolor zabarwia jej twarz, ale w jej głosie jest też śmiech. — Shamsur nie jest moim mężem, on jest moim bratem.

— W takim razie gdzie jest twój mąż?

Opuszcza wzrok. Ból opada na jej twarz jak zasłona. Żałuję tych słów, ja, Tilo, która powinnam mieć dość rozumu, by nie poszturchiwać jak wiejska plotkarka.

— Przepraszam, że spytałam — mówię szybko. — Ta *chai* jest bardzo dobra. Jakich przypraw do niej dodałaś?

— Nie, nie — mówi Hameeda. — Nic nie szkodzi. Czuję, że pani mogę powiedzieć, nie wiem dlaczego. Mężczyzna, który był moim mężem, półtora roku temu w Indiach dał mi *talaq*. Bo nie rodziłam chłopców. Poza tym zobaczył inną dziewczynę, młodszą i ładniejszą. A jej ojciec miał dużą wytwórnię butów w naszym mieście. Czy mogła być lepsza kombinacja?

Przez chwilę jej głos zanurza się w goryczy.

— Ale naprawdę mam więcej szczęścia niż wiele innych kobiet, którym to się przydarza, bo mam takiego dobrego brata. Shamsur, kiedy usłyszał, co się dzieje, wziął w pracy miesiąc urlopu, mówiąc, że ma pilne sprawy rodzinne. Był wtedy głównym kucharzem w „Mumtaj Pałace”. Zna pani „Mumtaj Pałace”? Bardzo dobra restauracja, zabrał tam mnie i Latifę na posiłek trzy, cztery razy. W każdym razie przyjechał do Indii i narobił tyle szumu, że wywalczył dla mnie dobre warunki rozwodu, wpłacił pieniądze na obligacje na moje nazwisko, potem załatwił mi czasową wizę na pobyt tutaj. A gdy przyjechałam, powiedział: „*Jiahen*, dlaczego nie zamieszkasz ze mną i nie pójdziesz do college'u? Znajdziesz dobrą pracę, staniesz na nogi. I tutaj nikt nie będzie wyzywał twojej Latify dlatego, że ojciec wyrzucił ją z domu, nikt jej nie powie: »pechowa dziewczyna«”.

Trochę się boję tego nowego kraju, ale w końcu mówię: „Tak”. A teraz chodzę na lekcje „*anglezi*” dla dorosłych za darmo, uczę się czytać i pisać w amerykańskim języku. Może potem będę się w college'u uczyć, jak obsługiwać komputer, czemu nie.

— Czemu nie — powtarzam i gdy patrzę na jej twarz jak gwiazda, moje serce staje się trochę lżejsze.

— Wie pani, *khala*, to prawda, co mówią. Allah pomaga tym, którzy czynią innym dobro. Szef Shamsura otwiera jeszcze jedną, większą restaurację, więc zrobił Shamsura kierownikiem w tamtej. Teraz mamy pieniądze, żeby się przenieść do lepszego mieszkania, ale powiedziałam mu: „*Bhaijaan*, po co nam więcej wymyślonych rzeczy, tu z takimi miłymi sąsiadami jest wystarczająco dobrze”.

Widzę, jak rumieniec wędruje po jej szyi, gdy mówi. Jej oczy przesuwały się bezwiednie na drzwi Harouna. I całym sercem mam dla nich obojga nadzieję na to, na co ona ma nadzieję.

Teraz jest późno i zimno, tak że straciłam rachubę godzin. Nogi mi zdrętwiały od siedzenia na gołym drewnie schodów. Shamsur i Lalita wrócili dawno temu i Hameeda poszła do domu podać obiad. Wróciła z jedzeniem dla mnie, ale nie mogłam nic przełknąć przez ściśnięte strachem gardło.

Harounie, gdzie jesteś?

— Proszę, *khala*, niech pani wejdzie do środka, żeby usiąść na tapczanie. Złapie tu pani *jukham*. Zostawię drzwi otwarte, żeby go pani usłyszała, jak tylko wróci.

— Nie, Hameedo, muszę to robić w ten sposób.

Nie powiedziałam jej, że mam nadzieję, że mój ból będzie pokutą, ochroną dla Harouna. Ale może ona zrozumiała, bo już więcej nie nalegała. Powiedziała tylko:

— Niech pani zapuka, jeśli będzie pani czegoś potrzebować. Mam lekki sen.

Niewidzialne dźwięki nocy nie są mi obce. Ale dziś przyoblekły się w jakąś obcość, szczególną, złowieszczą czystość. Odgłos kroków dźwięczy jak na rozpalonym kowadle, rozłupując chodnik. Syreny wwiercają się w kości mojej czaszki ruchem korkociągu. Krzyk (ludzki czy zwierzęcy) zatacza ku mnie

łuk przez powietrze, rzucony nóż. Nawet gwiazdy biją nierówno, jak rozpędzone serca.

Więc odgłosy niezręcznego wspinania się na klatce schodowej zgniatają mi uszy jak szalony słoń rzucający się na stos kamieni. Nie. To są odgłosy człowieka, którego kiedyś widziałam w mojej wsi, w tamtym dawnym życiu, zderzającego się ze ścianą, z butelką wypadającą z ręki. Roztrzaskane brązowe szkło, syk piany, jej żółty sfermentowany odór, rozprzestrzeniający się po ulicy, zabarwiający ziemię.

Haroun. On jest pijany.

Kręci mi się w głowie od gniewu ulgi, już układam słowa wyrzutów: „Czy wiesz, jak się martwiłam? Popatrz, która godzina, wstyd, na to marnowałam czas, siedząc, siedząc na zimnie? Nigdy bym nie pomyślała, że ty, dobry muzułmanin...” Jestem już w mojej głowie i przygotowuję mu gorzką kawę, w której zostawiam fusy, gotowaną z migdałami, by rozjaśnić głowę i serce.

Wtedy okrąża zakręt schodów i widzę.

Zaschnięta na jego czole, jego twarzy. Głęboka czerwień jak karbunkuły.

Jego krew.

Na moje pukanie Hameeda otwiera drzwi bardzo prędko, ona też musiała czekać. Spogląda na moją twarz, potem poza mnie, gdzie zgięty Haroun upadł na schody jak rzucony płaszcz, tłumi okrzyk: „Na Allacha, nie”, biegnie po ręcznik i gorącą wodę. Budzi brata. Bardziej skuteczna niż ja, wyciąga klucze z pięści Harouna. Otwiera drzwi, żebyśmy go mogli wnieść do schludnego kawalerskiego mieszkania, białe ściany puste, prócz dwóch obrazów wiszących tam, gdzie najpierw padają jego oczy, gdy się budzi. Fragment z Koranu w bujnym pochylonym piśmie urdu i srebrne lamborghini.

O mój Harounie.

— *Khala*, teraz nie ma czasu na płacz — mówi Hameeda,

ta szczupła dziewczyna, znacznie silniejsza, niż sobie wyobrażałam. — Niech mu pani tak przytrzyma głowę. I *bhaijaan*, idź zadzwonić po pomoc.

— Do szpitala? — pyta Shamsur, przygarbiony mężczyzna o łagodnych oczach, wciąż oszołomiony od snu i wstrząsu.

— Nie, nie, kto wie, komu oni powiedzą, policja-folicja, różne *jhamela*. On może tego nie chcieć. Lepiej zawołaj *saab* Rahmana.

Czas gubi chyba jedno uderzenie, a może to mój umysł, bo jest tu już *saab* Rahman, wytworny, wąsaty mężczyzna w kasztanowym aksamitnym szlafroku i pasujących do niego kapturkach, otwiera zdartą czarną torbę lekarską, wyjaśnia mi, że w Lahore był chirurgiem w szpitalu wojskowym, zanim tu przyjechał.

— Myślałem, że będę wielki doktor w *phoren* — mówi, zręcznie badając ranę głowy, którą oczyściła Hameeda — ale władze mówią: zdaj ten test i tamten, i ten, i jeszcze ustny egzamin. W sali egzaminacyjnej nie rozumiem ich *taan taan toon toon*, amerykańskiego akcentu, i teraz prowadzę własną stację benzynową. Kto może powiedzieć, czy mi się lepiej powiodło czy gorzej?

Robi Harounowi zastrzyk, czeka, aż zadziała środek przeciwbólowy, aż zamilkną jego jęki.

— Leczenie wciąż kocham, więc pomagam przyjaciółom na boku. Jakie ja tu rzeczy widziałem, jakie rzeczy musiałem robić! Na szczęście lekarstwa można kupić na czarnym rynku bez problemu. — Szeroko się uśmiecha, szyjąc rozcięcie, daje jeszcze parę zastrzyków, poucza Hameedę co do pastylek, które zostawił, dyskretnie wsuwa do kieszeni banknoty, które mu wręczył Shamsur. — To dobre dla nich i dobre dla mnie, no nie? Nie martwcie się za bardzo o tego wspaniałego młodzieńca. Tym razem jego kismet był dobry. Następnym razem kto wie. Wygląda na to, że użyli żelaznego pręta. Czaszka mogła pęknąć jak skorupka ślimaka. Zawołajcie mnie, jeżeli gorączka pod-

skoczy powyżej trzydziestu ośmiu stopni. — Słyszę jego głos, dający Shamsurowi rady na temat rynku akcji przez całą drogę po schodach na dół.

Teraz tylko my dwoje w pokoju. Hameeda nie chciała wyjść, ale powiedziałam jej, żeby się trochę przespała.

— Jutro, kiedy ja pójdę, będzie cię bardziej potrzebował — mówiłam.

Przytaknęła i cicho odeszła, ta inteligentna dziewczyna o oczach łani, która nie zadaje pytań, chociaż na pewno musi się zastanawiać, kim jestem, dlaczego tu przyszłam. Mam nadzieję, że Hameeda uleczy poranione życie Harouna balsamem swych tulących dłoni.

Ale jak ona mu zapewni bezpieczeństwo?

Kładę dłoń na czole Harouna, pragnąc, by ból się uniół, by przeniknął przez skórę we mnie. Jego oczy są zamknięte, śpiące lub nieprzytomne. Nie wiem. Jego pierś porusza się tak nieznacznie, że od czasu od czasu muszę przykładać mu rękę do nozdrzy, by sprawdzić, czy oddycha. Jego twarz na tle bandaży jest blada i surowa. „Zawiodłaś”, mówią jego zaciśnięte ciche wargi.

Tak, Harounie, zawiodłam cię. Ja, Tilo, powstrzymywana przez bojaźliwe zakazy, rozpraszana przez własne pragnienia.

Ściskam jego dłonie, skupiam na nich całą uwagę.

Ogniu, przybądź.

Zamiast tego, jego powieki otwierają się z mruganiem. Przez chwilę wzrok krąży po pokoju w dzikiej panice, nie rozpoznając otoczenia. Moje usta są popiołem, moje ciało jest gorące i ściśnięte w skórze. Potem: „Ladyjaan” mówi z tak zadowolonym uśmiechem, że serce mi się otwiera jak owoc granatu. Zanim mogę odpowiedzieć, on znów śpi.

Podchodzę do okna, gdzie w zarannej chwili Dhruva, gwiazda decyzji, wpatruje się we mnie jasno, bez mrugnięcia.

Gwiazdo Dhruva, na ciebie obiecuję, że już nie zawiodę. Przyniosę Harounowi to, co go uczyni bezpiecznym, nieważne jakim kosztem.

Wyciągam torebkę ziaren *kalojire*, którą nosiłam tak ostrożnie przez cały dzień. Wysypuję je na dłoń. Przez moment przyglądam się, jak połyskują w wilgotnym świetle gwiazdy, potem rozrzucam je na śpiące miasto.

Kalo jire ponownie zmarnowane, jakie mogę wam ofiarować przeprosiny? Mogę tylko powiedzieć to, co już wiecie. Jest za późno, byście okazały swoją moc. Teraz została już tylko jedna przyprawa, która może pomóc Harounowi.

Co byś zobaczyła, gdybyś tego poranka czekała przed sklepem? W pierwszym szarym świetle ujrzałabyś zgarbioną kobietę w szarym szalu, dźwigającą ciężar nowej obietnicy wraz ze wszystkimi innymi, z poczuciem winy i smutkiem. Zmęczoną. Jest tak zmęczona. Jej palce gmerają przy gałce, nie trafiają. Strach kłuje ją jak trująca pokrzywa. Czy sklep sprzeciwia się, by jeszcze kiedykolwiek do niego weszła? Jeszcze raz przekręca gałkę, opiera się na niej ciężarem ciała. Naciska. I popatrz, drzwi otwierają się na oścież, nagle, jakby to była sztuczka lub szyderstwo, tak że prawie upada.

Coś się zmieniło w tym pomieszczeniu, wie to od razu. Coś dodano lub zabrano, zakłócając równowagę. Niepokój kłuje ją w gardle.

Kto tu był i dlaczego?

Nagle widzi to u stóp — jak mogła nie dostrzec tego choćby przez moment — lśniące zimnym fosforyzującym blaskiem. Ałun.

Podnosi kształt podobny do kostki lodu i dziwi się, że spoczywa tak niewielki i niewinny w jej dłoni, oczyszczający ałun. Ale wie, że niewłaściwie użyty może przynieść śmierć. Albo

gorzej, śmierć za życia, która więzi wolę i pragnienie wewnątrz zamienionego w kamień ciała.

Ałunie *phatkiri*, jaką wiadomość dziś przynosisz?

Myśląc to, leniwie pociera palcem jego gładkość. Wtem to czuje, prążkowany obraz unosi się nad jej dłoń. Przybiera nieubłagany kształt. I nagle. Nie ma powietrza. By oddychać. Pokój zaciska się wokół niej jak zaciągnięta sieć, czerwone i niebieskie żyły gdziekolwiek się odwróci. A może to tylko w jej oczach?

Jeszcze raz przebiega kostkę dłonią. Raz, drugi. To nie pomyłka. Jest tu, jasny jak grzmot, jasny jak błyskawica, zarys ognistego ptaka, jaki widziała sto razy na wyspie, tylko tym razem odwrócony, tak że nie unosi się z płomieni. Ale spada w nie głową w dół.

— Ogień Shampati wzywa mnie na powrót — szepcze kobieta, wspominając lekcje w matczynym domu. Jej głos jest stary i pozbawiony nadziei. Wie, że z tym nie można się targować. Nie ma miejsca na odmowę. Zostały jej tylko trzy noce.

Zamykam za sobą drzwi sklepu dłońmi pewnymi, jakby mój umysł nie był obciosywaną, wirującą burzą piaskową. Zostawiam na drzwiach napis: ZAMKNIĘTE.

Myśl, Tilo, myśl.

Tylko siedemdziesiąt dwie godziny, chwile przeciekają przez wgłębienia w moich dłoniach jak srebrna woda szybciej i szybciej.

Nie tak. Myśl po kolei o tym, co musisz zakończyć, komu musisz pomóc, zanim...

Zanim zrobię to, czego miałam już w tym życiu nigdy nie robić — rozpalę ogień Shampati i wstąpię weń. Ale tym razem bez chroniących oczu Najstarszej. Ja, Tilo, która złamałam tyle zasad, że nie wiem, co przyprawy zrobią...

Przestań, Tilo. Myśl tylko o jednej rzeczy na raz, a o sobie na końcu. Pomyśl o Harounie.

Zamykam oczy, zmuszam oddech, by zwolnił, wymawiam słowa odtworzenia. I jest tam.

Haroun w okolicy, której dobrze nie zna, w odległej dzielnicy z budynkami kulącymi się w ciemności, nocna mgła niska jak głos z tylnego siedzenia, który każe mu skrócić w lewo, a potem jeszcze raz. Haroun prowadzi taksówkę żółtą jak słonecznik, taka krucha żółtość na tej ulicy magazynów, przyćmionych świateł rozlewających się brązowo na plamy i wyboje. Haroun myśli: „Ale tu nikt nie mieszka”, myśli: „Powiniennem był odmówić tego kursu, tylko że z góry dał dwadzieścia dolarów napiwku”.

— Zatrzymaj się — mówi mężczyzna, a Haroun słyszy coś jeszcze w tym głosie i widzi podniesione ramię, pręt zgięty i czarny. Zaczyna wołać:

— Nie, nie rób tego, nie rób, możesz wziąć pieniądze. — Ale spada na niego prysznic gwiazd, gorące srebro i klucie w oczach, ustach, nosie. Słyszy przez nie ręce, które obmacują jego kieszenie i przeszukują schowek na rękawiczki, głos wrzeszczy: „Jazda, bracie, czas się zmywać, człowieku!” Samochód zapala gdzieś w pobliżu, nie, to motocykl, w którego warkot on spada i spada, i spada.

Ja też spadam, w gniew, na który nie mogłam sobie pozwolić do tej chwili. Gniew, który wypala wewnątrz gardła, gniew czerwony jak powolne żarzenie się węgla, jak wybuchający żar wulkanu, jak przypiekający oczy zapach przypalonych chilli, który mówi mi, co mam robić.

W pokoju na zapleczu nie muszę włączać światła. Otwierać oczu. Moje ręce prowadzą mnie tam, gdzie powinnam iść.

Słój czerwonych chilli jest zaskakująco lekki. Trzymam go w rękach i przez moment się waham.

Tilo, wiesz, że z tego miejsca nie można już zawrócić.

Wątpliwości i jeszcze więcej wątpliwości tłoczy się w klatkę mojej piersi, drapiąc i krzycząc, by je wypuścić. Ale myślę o twarzy Harouna, a za nim jest Mohan z oślepieniem okiem, a za nim wszyscy inni, linia niesprawiedliwości, która rozciąga się poza granice wieczności.

Pieczeń łatwiej złamać, niż kiedykolwiek przypuszczałam. Sięgam do środka, czuję papierowe pocieranie strączków na skórze, niecierpliwy grzechot nasion.

O *lanko*, który czekałeś tak długo na chwilę taką jak ta, wlewam cię na kwadrat białego jedwabiu, wszystkie oprócz jednego strączka, który zostawiam na dzień słońca. Dla siebie, bo wkrótce i ja będę cię potrzebować. Wiążę końce tkaniny w węzeł ślepca, który nie może zostać rozwiązany, trzeba będzie go rozciąć. Trzymam zawiniątko w dłoni i siadam twarzą na wschód, skąd przybywają sztormy. Zaczynam zakłęcie przemiany.

Pieśń z początku powoli posuwa się nad ziemią, potem nabiera szybkości i siły. Unosi mnie wysoko, tak że słońce przesywa mi skórę swym trójzębem. W chmurach szepcze deszcz. Zrzuca mnie na dno oceanu, gdzie ślepe ryby o barwie błota pasą się w ciszy.

Zakłęcie jak tunel, którym podróżuję, a nagle na jego końcu nieoczekiwana twarz.

Najstarsza.

Pieśń skręca się jak dym, przez chwilę wisi nieruchomo, dając mi czas na pytanie.

— Pierwsza Matko, co...

— Tilo, nie powinnaś była otwierać czerwonego słońca...

— Matko, przyszedł czas.

— ...nie powinnaś była uwolnić jego mocy w to miasto, które już ma w sobie zbyt wiele gniewu.

— Ależ, Matko, gniew chilli jest czysty, bezosobowy. Jego zniszczenie jest oczyszczające jak taniec Siwy. Czyż sama nam tego nie mówiłaś?

— Są lepsze sposoby, by pomóc tym, którzy do ciebie przychodzą — mówi tylko.

— Nie było innego sposobu — odpowiadam zirytowana.
— Uwierz mi. Ta ziemia, ci ludzie, to, czym się stali, co oni im zrobili... Ach, kołysana w bezpiecznej kołysce twojej wyspy, jak możesz zrozumieć?

Nagle zauważam, że ona mnie nie słyszy. Widzę też nowe bruzdy wyrzeźbione w jej twarzy, wiek i zmartwienie. Choroba nadymająca skórę pod oczyma.

— Tilo, nie ma wiele czasu, pozwól mi powiedzieć coś, co powinnam była powiedzieć wcześniej. Kim byłam, zanim zostałam Pierwszą Matką. Jak ty Mistrzynią. Jak ty zbuntowaną...

Pieśń nie ustaje, znów się wspina, a ja związana z nią muszę iść jej śladem.

— ...jak ty odwołaną. Ja także zostałam zmuszona, by się po raz drugi rzucić w ogień Shampati. — Unosi i pokazuje mi swe spalone do białości ręce. — Ale nie umarłam.

Jestem ciągnięta coraz szybciej i szybciej, wiatr zawodzi w moich uszach.

— Zatrzymaj się! — krzyczę. Jest tyle rzeczy, o które chcę ją zapytać. Ale teraz to zakłęcie jest panem.

Z bardzo daleka słyszę jej zanikające słowa:

— Może tobie też będzie wolno się przedostać. Włożę w to resztki mojej mocy, wstawię się za tobą. Będę cię ciągnąć z powrotem na wyspę. Tilo, byś była Matką dla Mistrzyń, które przyjdą.

Otwieram oczy, przez chwilę nie wiedząc, kiedy się to dzieje i gdzie jestem. Wokół mnie wszystko jest ciche, nie ma kształtu ani koloru, pieśń zniknęła, powietrze w powietrzu. Jedyna rzecz, którą pamiętam, to głos Najstarszej, a w nim obietnica, ale także wątpliwości.

Pytania kłują mnie jak gzy. Ja, Tilo, mam być nową Naj-

starszą, czy to możliwe, czyja chce, czy mogę sobie to w ogóle wyobrazić? Taka moc, taka ostateczna moc, moja.

Wtem ciężar w moich dłoniach przywraca terażniejszość.

Zawiniątko jest teraz inne, cięższe. Lite i pękate. Trochę przebłyskuje przez materiał. W cokolwiek zmieniły się chilli, pasuje to mocno do mojej ręki, jakby było zrobione na miarę. Przez tkaninę wyczuwam gładki cylindryczny kształt, wygięcie metalu w kształcie przecinka, na którym tak łatwo mógłby się zacisnąć palec. Oddycham szybciej.

Przez chwilę czuję pokusę. Ale nie. Tylko Haroun może rozciąć ten pakunek.

Poza tym w swoim kołaczącym sercu już wiem (o podniecenie, o żalu i strachu), co przyprawy dały Harounowi jako ostateczne remedium.

Siedzę oszołomiona, słucham mojego serca, naglącego, nierównego, przerywanego dźwięku i nagle coś do mnie dociera. To nie tylko moje serce stuka, ale ktoś u drzwi. Ciągnę zdrętwiałe członki, by otworzyć, i w zdumieniu widzę, że już jest wieczór.

Tilo, jeden dzień minął.

Na zewnątrz czeka Geeta, czarne zmartwienie wtarte w kąciki jej oczu jak niedbały makijaż.

— Pukałam i pukałam, ale nie było odpowiedzi. Potem zobaczyłam wywieszkę i pomyślałam, że może pomyliłam daty. Już miałam odejść.

Biorę ją za rękę. Nic nie czuję, ani żaru piętnującego żelaza, ani klucia trującej pokrzywy. Tak daleko zaszłam od pierwszego razu, od żony Ahuji, tyle czasu minęło, odkąd ją widziałam — ach, ale o tym nie mogę jeszcze myśleć.

Ta zmiana, czy jest na dobre czy na złe? Już nie potrafię osądzić.

— Tak się cieszę, że nie poszłaś — mówię. Ciągnę ją do pokoju na zapleczu. Zanim przedstawię jej mój plan, idę do drzwi, do których ktoś stuka niecierpliwie.

— Bądź sobą — szepczę, zamykając drzwi. — To wszystko, co ty czy ja możemy zrobić.

Ale w duszy modłę się do przypraw. Do nieprzewidywalnego ludzkiego serca.

— On naprawdę jest chory — mówi ojciec Geety. Wciska się całym ciężarem w ładę, ręce zaciśnięte, jakby i w nim był ten ból, pulchny mężczyzna, który kiedy indziej miałby przyjemną twarz, z falistymi zmarszczkami humoru wokół łagodnych ust. Mężczyzna, który tylko chciał być szczęśliwy w swoim domu, ze swoim ojcem i córką. Czy to zbyt wygórowane żądanie?

— *Baba*, wie pani. Wymiotuje, skurcze zginają go w pół. A uparty jak zawsze. — Potrząsa głową. — Nie pozwoli mi zawieźć się na pogotowie. Mówi: „Ramu, na duszę twojej zmarłej matki, błagam cię, nie każ mi iść do tych lekarzy *firingi*, kto wie, jakie oni mi dadzą leki, zamieszają mi i umysł, i ciało. Idź lepiej do tej starej kobiety z Bazaru Przypraw, ona jest dobra w takich rzeczach, będzie wiedziała, co robić”. Nie wiem, dlaczego go posłuchałem. W tej chwili powinien być w szpitalu. — Przeszywa mnie wzrokiem, jakby to wszystko była moja wina.

Nie wie, że w pewnym sensie tak jest.

— Mogę panu pomóc — mówię, bardziej pewna siebie w ustach niż w głowie.

Trzyma się sztywno z powodu napięcia, jeszcze nie jest gotów uwierzyć.

— Nigdy nie myślałem, że będę tak mówić, ale życie to same problemy. Gdyby pani wiedziała o rzeczach, które się zdarzyły w ubiegłym miesiącu...

Ach, Ramu, ale ja wiem.

Wzdycha.

— Mówię pani, mam tego dosyć.

— Nie dziwię się. Sama się tak czasami czuję — mówię, bo przez własne wtrącanie nauczyłam się, czym są ludzkie problemy.

Porusza się niespokojnie. Ma już dość uprzejmości.

— Dobrze, co pani może mi dać?

— To jest na zapleczu — mówię. — Będzie mi pan musiał pomóc to wynieść.

— Och, OK. — W duszy potrząsa głową, myśląc: Co za głupota. Powinienem zamiast tego iść do apteki.

— Przepraszam, tam nie ma podłączonego światła. Niech pan idzie przodem z tą latarką — mówię. — Niech pan popatrzy w rogu.

— Jak to wygląda?

— Będzie pan wiedział, kiedy pan to zobaczy. Naprawdę.

Owal światła podskakuje w górę i opada w dół, wydłuża się i zagęszcza, porusza się po podłodze i ścianie. Zatrzymuje się.

Słyszę wciąganie oddechu ostrego jak drzazgi lodu, jego i jej.

Zamykam drzwi.

Przy ladzie zaciskam powieki. Tilo, skup się. Mam nadzieję, że w domu, w swoim łóżku stary człowiek także wyteży siłę umysłu, by wspomóc moją.

Kolcu *kantak*, którym usuwa się wcześniej wbite ciernie, co nastąpi? Koryto nienawiści, w którym tak łatwo pozostać? Maski cnoty, do której tak łatwo dopasować twarz?

Drżącymi dłońmi zapalam kadzidelko, zapach najrzadszego *kasturi*, wonność, którą dziki jelen szaleńczo tropi przez lasy, nie wiedząc, że niesie ją we własnym pępku.

Trudne do wypowiedzenia słowa: „myliłem się”. Czasami prawie tak trudne jak „miłość”.

Ojciec i córka, już tak długo zamknięci razem, co wy tam robicie, czy potraficie pochylić się nad bólem, z którego wy-

rzeźbiliście przepaść między waszymi żywotami, dotknąć nawzajem swoich oddechów?

Dźwięk pchniętych drzwi brzmi jak uderzenie. Wychodzi. Sam. Wstrzymuję oddech, próbuję dojrzeć to, co za nim.

Co on jej zrobił?

Jego oczy, czerwono obrzeżone, są szparkami. Jego usta. Jego głos cienki i ostry, ostrze noża.

— Stara kobieto, myślałaś, że taka tania sztuczka zadziała? Że tak łatwo odbudować ściany domu, które niewdzięczne dziecko zwaliło kopniakiem?

Zapach kadzidła, zbyt słodki, zatyka mi pierś. Próbuję go odepchnąć, by dostać się na zaplecze, ale on mnie chwytą.

Myśl lekka jak nasiona trawy przelatuje mi przez głowę. Czy i mnie robi krzywdę? Prawie tego chcę.

Nagle mnie obejmuje, śmiejąc się, a zza niego w drzwiach wyłania się także jej roześmiana twarz, mokra od łez.

— Wybacz mi, babko — mówi on. — Nie mogłem sobie darować, żeby ci nie odpłacić taką sztuczką, jaką oboje mi zrobiliście, ty i *baba*. Ale jestem zadowolony.

I ona: żadnych słów, ale wilgotny policzek przytulony do mojego mówi więcej niż całe zdania.

Moje dłonie wciąż drżą, mój śmiech także jest rozedrgany, gdy mówię:

— Nie róbcie tego sercu starej kobiety, jeszcze minuta i mnie musielibyście zawieźć do szpitala.

— *Baba*, nie miałem pojęcia, że to taki aktor.

— Ból jest prawdziwy — mówię, napełniając butelkę wodą koperkową. Odmierzam do niej kozieradkę i nasiona dzikiego kopru, mocno wstrząsam. — Dawajcie mu to co godzinę, aż skurcze ustaną.

Przy drzwiach mówię:

— Wiecie, on to zrobił dla was.

— Tak — mówi ojciec Geety, z ramieniem wokół zgubionej i odnalezionej córki. Spuszcza wzrok.

— Pamiętajcie o tym następnym razem, gdy rozżłości was swoim gadaniem, bo na pewno wkrótce to się stanie.

Ojciec i córka uśmiechają się.

— Będziemy pamiętać — mówi Geeta. Zatrzymuje się na chwilę, by szepnąć: — Nie rozmawialiśmy o Juanie, nie chciałam psuć tej chwili, ale w przyszłym tygodniu do tego wrócę. Przyjdę tu i powiem pani, jak idzie.

Przez zasłonę kadzidła kiwam jej na pożegnanie od drzwi. Nie mówię, że już mnie tu nie będzie.

Tego ranka, mojego przedostatniego, jestem zajęta. Trzeba przesunąć skrzynie, opróżnić półki, zaciągnąć na front worki i kanistry. Wypisać wywieszki. Ale raz po raz znajduję siebie przy oknie. Stoję i po prostu patrzę. Samotne, przyduszone kurzem drzewo, wąska szczelina wypłowiałego nieba. Budynki pokryte graffiti, rzygające dymem autobusy, zaułki cuchnące chwastami. Młodzi mężczyźni stoją na rogach albo powoli krążą w samochodach, z których bucha muzyka. Dlaczego na to wszystko nagle padł cień bolesności? Czemu tak mnie szarpie myśl, że to wszystko będzie tutaj, oprócz mnie? Czemu, skoro mogę mieć moc większą, niż marzyłam, całą wyspę, pokolenia Mistrzyń, by im wydawać rozkazy? I przyprawy, moje bardziej niż kiedykolwiek przedtem.

Czym jest ta myśl wypływająca z głębi świadomości? Gdy jej się przyglądam, zdaję sobie sprawę, że bez słów myślałam ją od dawna.

Tilo, a co, jeśli odmówisz?

„Odmówić, odmówić”. Te słowa odbijają się echem w moim umyśle, zmarszczki na odkrywczym dźwięku. Krąg za kręgiem możliwości.

Potem przypominam sobie słowa Najstarszej:

„Nie ma wyboru. Odwołana Mistrzyni, która nie przyjdzie

z własnej woli, jest sprowadzana siłą. Ogień Shampati otwiera usta i pożera wszystko, co ją otacza".

Przez zakurzone okno wpatruję się w kobietę w czerwonym *kameezie* wysiadającą ze starego chevroleta, podnoszącą z siedzenia samochodu dziecko, pokrzykującą na córki:

— Pospieszcie się, mam *hazaar* rzeczy do zrobienia.

Znad jej ramienia niemowlę patrzy na mnie bez mrugnięcia, główka z lokami w aureoli porannego słońca. Naoliwione warokcze dziewczynki błyskają, gdy przeskakuje wejście, by ofiarować mi szczerbaty uśmiech.

Jest jak pięść uderzająca mnie w środek piersi, ta miłość, którą do nich czuję, nawet do matki mruczającej na tyle głośno, bym usłyszała, że moje *dale* są zbyt drogie, dlaczego nie mogę liczyć za nie tyle samo co Sklepy Mangal?

To dziwne, ile różnych miłości możemy czuć. Dziwne, jak powstają w nas bez powodu. Wiem o tym nawet ja, nowicjuszka.

Czuję, jak przesuwiają się przeze mnie ich imiona, imiona wszystkich tych ludzi, których kochałam przeciwstawnymi miłościami. Kruk i Pierwsza Matka, Haroun i Geeta, i także jej dziadek. Kwesi. Jagjit. Żona Ahuji.

Och, przyszła Lalito, jak mogę odejść, nie widząc cię już ani razu? I Jagjicie schwytyany przez złote szczęki Ameryki, jak...

Ale muszę odejść dla ich własnego dobra.

— Niech pani słucha — mówię do kobiety w czerwonym *kameezie*. — Weźmie pani za darmo tyle *dal*, ile pani zechce.

Spogląda na mnie podejrzliwie, pewna, że to jakaś sztuczka.

— Za co?

— Tak po prostu.

— Nikt nic nie daje tak po prostu.

— Więc niech go pani weźmie, bo słońce świeci tak jasno, niech pani weźmie z powodu słodkich twarzy pani dzieci, niech pani weźmie, bo rezygnuję z interesu i zamykam jutro ten sklep.

Długo po tym, jak wyszła z torbami, wyglądam przez okno. Powietrze zdaje się zatrzymywać wrażenia, podobnie jak wte-

dy, kiedy zamyka się oczy po wpatrywaniu się w słońce. Świecą i pulsują zarysy ludzi, którzy kiedyś szli tą drogą.

Powietrze, czy przechowasz mój kształt, gdy odejdę?

— Co to jest? — pyta Kruk, wchodząc.

W oknach umieściłam wywieszki. NAJWIĘKSZA WYPRZEDAŻ W ROKU. NAJLEPSZE OKAZJE W MIEŚCIE. WYPRZEDAŻ DO OSTATNIEJ SZTUKI.

— O, to tylko indyjski zwyczaj, koniec roku.

— Nie wiedziałem, że indyjski rok kończy się teraz.

— Dla niektórych z nas tak — mówię i połykam łyżące się w moim gardle. Wsuwam pod ładę, zanim ją zdąży dostrzec, wywieszkę, którą właśnie skończyłam wypisywać, tę, którą przykleję jutro.

LIKWIDACJA SKLEPU, OSTATNI DZIEŃ.

Czy inna Mistrzini stanie tu wkrótce, wypisując nową wywieszkę, POD NOWYM KIEROWNICTWEM? Kim ona będzie? Czy Kruk także przyjdzie tu do niej i...

Przestań, niemądra Tilo. Tam, dokąd idziesz (tylko gdzie to jest?), nic z tego nie będzie miało znaczenia.

Kruk cierpliwie czeka na moją uwagę. Spostrzegam, że ma na sobie dzinsy i prostą koszulę białą jak słońce w południe. Oszalałam na jego prostotę.

— Przyszedłem, aby ci opowiedzieć resztę mojej historii. Jeśli masz czas.

— Lepszej chwili nigdy nie będzie — mówię, a on zaczyna.

— Śmierć ojca wyzwoliła mnie ze wszystkich więzi, wszelkiego przywiązania. Byłem jak łódź, która zerwała cumy, kołysząca się na oceanie pełnym skarbów, sztormów i morskich potworów, i kto wie, dokąd mogłem dopłynąć.

Czy kiedyś tak się czułaś, Tilo? W takim razie wiesz, co

to znaczy samotność i jak jest niebezpieczna. Może zmienić ludzi w morderców albo w świętych.

Nie miałem nikogo, kogo mógłbym kochać, bo na różne sposoby straciłem matkę i ojca — i pradiadka także, chociaż starałem się o nim nie myśleć. A więc prawa tego świata zdawały się już mnie nie dotyczyć. Opinie innych nic nie znaczyły. Czułem się lekki i porowaty, jakbym mógł stać się wszystkim, czym bym zechciał — jeśli znajdę coś, czym warto być — albo zapaść się w nicość.

Wiele czasu spędzałem samotnie w łóżku, wpatrując 'siew su-fit, wyobrażając sobie różną przyszłość. Moja obecna egz^ys^ icja — przepychanie się z trudem przez lekcje, wdawanie się w bójki, imprezy z kolesiami, siedzenie przy obiedzie z matką, łykanie Jjżek ciszy — napelniała mnie nip adowoleniem. Nie było w tym kierunku ani intensywności. N' yło mocy.

Kiedy tak leżałem w swoim ^koju, podczas gdy świat spie-szył się na zewnątrz, powoli do mnie dotarło, że jest tylko jedno, co warto w życiu mieć. Moc. To właśnie mój pradiadek ofia-rował mi w pokoju, w którym umierał. I chociaż nie mogłem już wrócić do tamtego momentu, tamtej mocy, na świecie były inne jej rodzaje. Musiałem znaleźć ten, który byłby dla mnie odpowiedni.

Bawiłem się krańcowo odmiennymi myślami — zostać członkiem gangu, wyjechać z Korpusem Pokoju, wstąpić do wojska. Nawet pojechać z powrotem do tego obitego deskami domku, by znaleźć kogoś, kto znał sposdby mojego pradiadka. Ale żadnej z tych rzeczy nie zrobiłem. W końcu poszedłem do szkoły biznesu.

Śmiejesz się? Wiedziałem, że będziesz się śmiać. Ale to mi przyszło do głowy, gdy leżałem i zastanawiałem się: pieniądze są centrum świata — przynajmniej tego, w którym ja żyłem. Pieniądze są mocą. Pieniędzmi mógłbym stworzyć się na nowo — nie tak, jak usiłowała moja biedna matka, ale kompletnie, bez wysiłku, od razu i na zawsze.

W zasadzie miałem rację.

Miałem środki — ojciec był ubezpieczony na życie — ale wiedziałem, że będę musiał ciężko pracować i zmienić swoje przyzwyczajenia: poprawić oceny, przestać się włóczyć z chłopakami, takie tam. Ale to było mniej trudne, niż się spodziewałem. Odkryłem w sobie nieoczekiwaną twardość, napęd, coś, co otrząsnęło się ze wszystkich hamujących mnie rzeczy, coś, co nie obawiało się przebić przez wszystko, co stało na drodze. Może miałem tę cechę po matce, ale w procesie dziedziczenia wykryła się, stała się bardziej nieugięta.

Moje dni stały się ciche, podmorskie, gdy przygotowywałem się na przyszłość. Ludzie mnie odstępowali, a ja z radością pozwalałem im odejść. Przyjaciele, którzy drwili albo próbowali mnie sprowokować do bójki, nauczyciele, którzy zdumionym szeptem dyskutowali na *mw* "temat w pokoju nauczycielskim", nawet moja matka, która pŁ "lładała mi się z wdzięczności", ale bez zrozumienia. Wszyśc^byli tylko czymś, co rozpraszało uwagę, zmarszczkami na odległej przestrzeni, która nie miała wiele wspólnego z moim życiem. Tak samo czułem się wobec moich kolegów z klasy w college'u.

Oto, co w sobie odkryłem w college'u: bez wysiłku rozumiałem pieniądze, ich dziwną logikę. Jak przychodzą, jak się mnożą, ich przyływy i odpływy. Rozkoszowałem się ich tajemnym językiem. Miałem dryg do inwestycji i nawet w tych początkowych dniach — gdy ciągle byłem studentem — kiedy zacząłem grać na giełdzie, wiedziałem dokładnie, co kupić i kiedy sprzedać.

— I przyniosło ci to moc, o której marzyłeś?

Mój Amerykanin spogląda w dół na linie swej dłoni, potem patrzy w moje oczy.

— Tak, przyniosło mi to moc. I... solidne oparcie. Rozumiałem, dlaczego w starych opowieściach olbrzymi ciągle liczyli swoje złoto. To ich upewniało, że są prawdziwi. Moc pieniędzy uderza do głowy, masz uczucie, że wszystko na ziemi

jest twoje — wystarczy podnieść i przyjrzeć się, wybrać lub odrzucić, jak mogłabyś to robić z owocami na straganie. I zdziwiłabyś się, ile rzeczy można kupić i ilu ludzi. Kłamałbym, gdybym powiedział, że mnie to nie bawiło.

Od początku postanowiłem, że będę się bawić za moje pieniądze. Zgromadziłem wokół siebie wszystkie rzeczy, o których myślałem, że sprawią mi przyjemność. Pewnie byś je uznała za infantylne, pochodząc z mniej materialistycznej kultury.

Nie reaguję. Kiedy indziej, Kruku, myślę, przedyskutujemy to. (Ależ Tilo, Mistrzynie jeszcze zaledwie paru godzin, kiedy to będzie?)

— Teraz sobie zdaję sprawę, że to były fantazje ubogiego chłopca o bogatym życiu, podpatrzone w kolorowych magazynach i programach telewizyjnych. Jachty, garsoniery, por-sche, bielizna od Gucciego, wakacje na Riwierze albo w Vegas. Wszystkie stereotypy. Ludzie, którzy zawsze byli bogaci, pewnie całkiem inaczej wydają pieniądze. Ale ja się tym nie przejmowałem, a nikomu z moich nowych przyjaciół (jeśli można ich tak nazywać), którzy zgromadzili się wokół mnie, chyba to nie przeszkadzało.

— A twoja matka?

Ostra cisza, jak ściana ze szkła między nami. Potem Kruk mówi:

— Kiedy zarobiłem pierwszy milion, posłałem matce czek na sto tysięcy dolarów. To był pierwszy raz, gdy napisałem do niej od opuszczenia domu. Och, ona do mnie pisywała, nie często, ale regularnie, opowiadając mi, co robi. Nic ekscytującego — kiermasze przy kościele, wiosenne sadzenie petunii, malowanie domu, takie tam. Po jakimś czasie listy przychodziły, a ja ich nie otwierałem. Czasem się gubiły, zanim je przeczytałem. Nie odpisywałem nigdy.

Dlaczego miałbym pisać? — mówiłem sobie. Nic już między nami nie ma. Ale myślę, że nie byłem ze sobą zupełnie szczerzy. Gdzieś w głębi duszy chciałem jej pokazać, że zrobi-

łem to, czego ona chciała, lepiej niż jej się udało. Powiodło mi się w świecie, o którym ona nawet nie mogła marzyć. To dlatego wysłałem jej czek i zdjęcie, na którym byłem z grupą przyjaciół — w tym z moją najnowszą dziewczyną — w domu na plaży, który właśnie kupiłem w Malibu. To miała być ostateczna kara.

Śmieje się ostro.

— Cóż, list wrócił z czerwonym stemplem „Adresat nieznanym”. A kiedy zacząłem się nad tym zastanawiać, nie mogłem sobie przypomnieć, kiedy przyszedł ostatni list od niej.

Parę lat później, kiedy wydarzyło się już sporo innych rzeczy, wybrałem się z powrotem w tamtą okolicę, chociaż nigdy nie myślałem, że to zrobię. W naszym domu mieszkała rodzina z Meksyku. Powiedzieli mi, że są tam już od dłuższego czasu. Nie, nie wiedzieli, dokąd przeprowadziła się kobieta, która im sprzedawała dom.

Nigdy jej nie odnalazłem, chociaż próbowałem. Wypytywałem w okolicy, pytałem panie z jej kościoła, nawet na jakiś czas wynająłem detektywa. Myślałem o tym, żeby pojechać do jej rodziny — nie, żeby być pewien, gdzie to jest, ale mogłem się dowiedzieć. Nie potrafiłem jednak się zmusić. Wiesz, jak pewne fobie z dzieciństwa mogą zapanować nad twoim życiem. Więc przekonałem siebie, że oni na pewno nie wiedzą więcej niż ja.

Ach, Kruku, zastanawiam się, czy wciąż jej szukasz we wszystkich kobietach, straconej matki? Na zawsze pięknej, na zawsze młodej.

— Powinienem jej tyle opowiedzieć — mówi Kruk. — Że mi przykro za mój wcześniejszy chłód, że zrozumiałem, przynajmniej trochę, dlaczego opuściła swój dom i wyparła się tego, czym była. — Wzdycha. — Chciałem powiedzieć: „Spróbujmy sobie wybaczyć i zacząć od nowa”. A przede wszystkim chciałem jej opowiedzieć o moim śnie. Bo ona mogła wiedzieć, co oznaczał. W końcu jej dziadek nauczył ją, a takich rzeczy nie można zapomnieć, nawet jeśli się chce.

— O jakim śnie? — pytam. Mam suche usta. Tilo, mówi moje łomoczące serce, to jest to.

Ale Kruk ciągnie, jakby nie dosłyszał.

— Wszystko się jakoś zmieniło, gdy zwrócono mi ten list. Bez matki, której mógłbym je pokazać, moje złote życie straciło trochę blasku. W niektóre poranki, gdy leżałem w łóżku obok mojej śpiącej dziewczyny, czułem nudę, takie lekkie ukłucie jak pierwsze oznaki wieku w mięśniach. To mnie przerażało.

By przeciwdziałać tej nudzie, zacząłem podejmować ryzyko. Najpierw na giełdzie — ale nie byłem w stanie stracić. Wszystko, czego dotknąłem, szło w górę i w górę, i w tym nie było nic ekscytującego. Potem zwróciłem się do fizycznych wyzwań — spływy górskimi potokami, akrobacje spadochronowe. Nawet wybrałem się w podróż w dół Amazonki. Ale to też nie dawało mi satysfakcji. Było parę chwil przyływu adrenaliny, a potem zirytowane zmęczenie, przez które przeciskało się pytanie: „Co ja tu, do cholery, robię?”

Wtedy jeden z moich znajomych przyniósł grzyby.

Nigdy wcześniej nie brałem narkotyków. Nie udaję cnoty — nie miałem nic przeciwko podawaniu ich na przyjęciach. Ale patrzyłem z góry na ludzi, którzy je brali. Myślałem o nich, że są słabi. Niesmaczne było patrzeć, jak mija im euforia, widzieć, jak ciągną się przez resztę życia, aż do następnego razu. To, jak się zachowywali na głodzie. I cokolwiek by głosili, nie znałem ani jednego, który nie tkwiłby w szponach swojego narkotyku. Teraz, gdy byłem wolny (a przynajmniej w to wierzyłem) od wszystkiego, na czym kiedyś polegałem, nie zamierzałem poddać się nowej zależności za kilka chwil wątpliwej rozkoszy.

Ale te grzyby, twierdził mój znajomy, były inne. Były potężne i uświęcone, wcale nie handlowy narkotyk. Nie można ich było kupić od handlarza — ani za miłość, ani za pieniądze. Udało mu się zdobyć tylko dlatego, że szczęśliwie miał przyjaciela, Indianina z Gwatemali, gdzie używa się ich podczas specjalnych ceremonii, by wprowadzać się w trans.

„Nie uwierzysz w te wizje" — powiedział mój znajomy. „To będzie, jakbyś umarł i poszedł do nieba, tylko lepiej. Ecstasy, kwas, nic się nie umywa. I bezpieczne. Bezpieczne jak mleko matki".

Byłem zaciekawiony. Nie, żebym za bardzo wierzył w umysłowe czy etyczne przymioty tego znajomego. A jednak całe to gadanie o wizjach i Indianach trafiło prosto w mój czuły punkt, w którego istnienie starałem się już nie wierzyć.

Przez cały college podtrzymywałem ukradkiem zainteresowanie Indianami. Kiedy tylko w miasteczku uniwersyteckim było jakieś spotkanie na ten temat, przychodziłem, siadałem z tyłu i przyglądałem się. Przejęci młodzi mężczyźni i kobiety, ubrani porządnie i oficjalnie, mówili nam o znaczeniu Fundacji Praw Rdzennych Amerykanów albo opisywali działania podejmowane przez Młodzież Zjednoczonych Plemion Ameryki. Doceniałem ich zmagania i podziwiałem energię, ale chociaż się starałem, nie czułem się jednym z nich, nie w taki skręcający wnętrzności sposób, w jaki to odczuwałem na ganku mojego pradziadka. I mimo ich całej wiedzy o tradycji i historii, ich życie wyglądało na równie bezbarwne i pozbawione tajemnicy jak moje.

Więc coś we mnie drgnęło, gdy mój znajomy podał mi grzyby.

Oczywiście nie okazałem tego. Wtedy byłem już mistrzem w ukrywaniu tego, co czułem. Odkryłem, że to ważna część bycia potężnym. Wrzuciłem paczkę grzybów do szuflady, nie dbałe wymówiłem słowo podziękowania, wręczyłem mu pieniądze, na co bardzo protestował, i zaczekałem, aż wyjdzie. Ale gdy tylko zamknęły się za nim drzwi, wyciągnąłem grzyby. Miałem je w dłoni czarne i skurczone, o konsystencji starej gumy. Ogarnęło mnie dziwne podniecenie, gdy na nie patrzyłem, uczucie, że być może wreszcie stoję znowu u drzwi, które łączą dwa światy, tam, gdzie stałem, gdy umarł mój pradziadek.

Jego oddech świadczy o tym, że przypomina sobie, staje się szybki i płytki. Mój także, w lęku przed tym, co ma nastąpić.

Wiem, co to za substancje. Najstarsza mówiła nam o nich wiele razy. „Córki, one wam pokażą zakazane, a czyniąc to, złamią wasz umysł”.

— Mój znajomy powiedział mi, że wieczór jest lepszym momentem na to doświadczenie, ale ja nie mogłem się powstrzymać. Włożyłem pierwszy do ust i zacząłem żuć. To była najwstrętniejsza rzecz, jakiej kiedykolwiek spróbowałem. Ostrzegiał mnie przed tym — nie ma róży bez kolców, powiedział — ale nie oczekiwałem czegoś takiego... gorzkie to nie jest właściwe słowo... takiej ohydy. Musiałem użyć całej siły woli, by tego nie wypluć.

Potem czekałem.

„Najwyżej piętnaście minut — powiedział mój znajomy — i wlecisz”, ale nic się nie wydarzyło.

Po półgodzinie przeżulem następny grzyb — tym razem wydawał się mniej obrzydliwy. Myślę, że taka jest natura powtórnego wykroczenia. Po kolejnej półgodzinie wziąłem jeszcze dwa.

Nic.

Byłem wściekły, że mnie oszukał. Poszedłem do łazienki wypłukać usta. Potem miałem zadzwonić do mojego znajomego — do mojego byłego znajomego — i powiedzieć mu parę słów. Gdyby okazał niechęć do oddania mi pieniędzy, byłem gotów zatelefonować do pewnych panów, którzy zaproponowali mi swoje usługi na wypadek takich nieprzyjemnych sytuacji. Jesteś zaszokowana? Powiedziałem ci, że niczego nie będę ukrywać. Taka była czarna strona życia w potędze, życia, którym żyłem. Czy bardzo źle będziesz o mnie myśleć, jeśli ci powiem, że była dla mnie równie atrakcyjna jak reszta?

Potrząsam głową, ja, Tilo, która wiem więcej niż dosyć o tym, jak ciemność pociąga.

— Opryskałem twarz wodą i spojrzałem w lustro. I zobaczyłem — nie, nic przerażającego, jak można by się spodziewać, żadnej głowy potwora czy kogoś z węzami wypelzającymi z ust. A jednak to było przerażające.

— Co to było?

— Tylko ja, ale kiedy spojrzałem sobie w oczy, były martwe. Spoglądały na mnie martwe oczy. Wtedy mnie uderzyło, że moje życie jest zupełnie jałowe.

— Dlaczego jałowe, Kruku?

— Bo w całym dorosłym życiu nikogo tak naprawdę nie uszczęśliwiłem ani sam nie byłem szczęśliwy.

Amerycaninie, prawda tego, co mówisz, uderza mnie. W jej błyskawicy muszę się jeszcze raz przyjrzeć mojemu własnemu życiu. Szczęję się, że wypełniłam pragnienia tylu ludzi, ale w jakim stopniu uczyniłam ich szczęśliwymi? W jakim stopniu uszczęśliwiłam siebie?

Kruk mówi dalej:

— Moje oczy pokazały mi moje serce, a ono także było martwe. Więc jaki był sens utrzymywać przy życiu to ciało, ten worek ekskrementów? Rozejrzałem się za czymś, żeby to skończyć. W łazience nic, ruszyłem więc do kuchni po nóż.

Po drodze chwyciły mnie skurcze. Zgiąłem się z bólu, wymiotując. Wymiotowałem, aż nic nie zostało, aż czułem się, jakbym wyrzucał z siebie wnętrzności. Pamiętam, że między atakami rzygania myślałem: „Przynajmniej nie będę się musiał zabijać, to samo nastąpi”. Chwilę się zastanawiałem, czy mój „przyjaciel” wiedział, że to się stanie, i zrobił to celowo. A potem straciłem przytomność.

Obudziłem się w szpitalu. Moja gospodyni znalazła mnie następnego ranka i wezwała karetkę. Zrobili mi płukanie żołądka, ale było już za późno, żeby to bardzo pomogło. Część trucizny zwymiotowałem, ale część rozprzestrzeniła się po organizmie. Mówili, że mam szczęście, że żyję. Musiałem się uśmiechnąć na tę ironię. Trzymali mnie pod baczną obserwacją.

Na przemian byłem rozgorączkowany i spocony, a między tymi atakami dostawałem gwałtownych dreszczy. Dłonie miałem wilgotne i zimne, a gardło wyschnięte jak piasek. To było najgorsze. Nie mogłem nic pić, bo lekarze bali się, że to znowu

wywoła wymioty. Podłączyli mnie do kroplówki, ale to nie likwidowało pragnienia. Nie mogłem przestać myśleć o wodzie, wodzie w wysokich, schłodzonych szklankach, wodzie w dzbanach i wiadrach, o zbiornikach pełnych wody, w której mógłbym zanurzyć dłonie i pić, i pić.

Gdzieś w tej spragnionej nocy przyszedł sen.

Stałem na wzgórzu popiołów pośród jeziora ognia, a nade mną wiał palący wiatr. Pył z popiołu był w moich ustach i w nosie, zatykał mi gardło. Wszędzie dookoła unosił się zapach spieczonego ciała. Pragnienie było gorsze niż kiedykolwiek. Dosłownie spalało mnie i gdy popatrzyłem w dół, moje ciało było pokryte pęcherzami i spieczone — tak pod bandażami musiało wyglądać ciało mojego ojca. Ból był tak ogromny, że nie mogłem go znieść. „Pomocy!” — krzychałem splekanymi wargami. „Niech mi ktoś pomoże!” Ale nikt nie zbliżał się do mnie, który odciąłem się w sercu od całej rasy ludzkiej i chlubiłem się tym. Wtedy zrozumiałem, że została mi tylko jedna droga. Śmierć. Rzuciłem się więc ze szczytu wzgórza do płonącego jeziora, a gdy spadałem, zastanawiałem się: „Co, jeśli nie umrę, co, jeśli nadal będę się palił?”

I wtedy zjawił się kruk.

Nie wiem, skąd przyfrunął, ale opadł, by mnie pochwycić w swoje skrzydła. Był piękniejszy niż kiedykolwiek, jego pióra z każdym uderzeniem skrzydeł połyskiwały głęboką, aż wpadającą w granat czernią. Gdy się unosił, pęd powietrza na mojej twarzy starł odór płonącego ciała. Ach, to było najlepsze ze wszystkiego, co w życiu czułem. W moich uszach była pieśń, ostra, ale nie gorzka, pełna siły, głos ptaka. Zrozumiałem, że nadaje mi swoje imię. Zamknąłem oczy, wypilem je i moje pragnienie ustąpiło.

Gdy otworzyłem oczy, nie było kruka, a ja znajdowałem się w miejscu, o którym ci opowiadałem. Eukaliptus i sosna, kalifornijska przepiórka, jeleń. Turnie i wąwozy ze słodką wodą, którą piłem bez pragnienia. Miejsce dzikości i wilgoci, by pra-

cować i stać się silnym i czystym raz jeszcze. Miejsce bez ludzi, którzy by je zepsuli. Wtedy się obudziłem.

Nie jestem pewien, co oznacza ten sen. Pewnie moja matka mogłaby mi wytłumaczyć. Czy ty możesz?

Ale ja nie wiem.

— To jest rzeczywiste miejsce — mówi Kruk. — Tego jestem pewien. To miejsce, w którym leży moje szczęście. Myślę, że ptak przybył, by mi to powiedzieć. Żebym przestał marnować życie na głupstwa i znalazł je. Żebym wrócił do dawnego sposobu życia, z czasów przed zepsuciem ziemi. Do ziemskiego raj.

Tylko że nie wiedziałem, jak się tam dostać. Wyprawiałem się w głąsę wiele razy, z przewodnikami, a później sam. Znalazłem wiele pięknych bezludnych miejsc, ale żadnego, które by mnie tak poruszyło jak miejsce z mojego snu.

Powoli traciłem do tego serce i wmówiłem sobie, że były to tylko halucynacje w gorączce. Poprzestałem na życiu (jeśli tak można to nazwać) w świecie, z którego wypłynęła wszelka magia.

Teraz sięga przez lądę, by położyć swoją dłoń na mojej. Po jego zmienionym oddechu czuję, że to nadchodzi, zwarte i przerażająco jasne, rdzeń tej historii, powód dlaczego.

— Ale ostatnio znów mi się to śni. Za każdym razem wyraźniej. Kruk też. Okrąża tam niebo. Gdy się budzę, mam uczucie ciepła, jakby to czyste światło słoneczne było w mojej piersi, rosło. Jakbym miał szansę wreszcie je odnaleźć, żyć w nim, odkryć, kim naprawdę jestem.

— Wiesz, kiedy się zaczęły te sny?

Nie — to słowo szepcze mi w gardle. Ale wiem, jakiej odpowiedzi bym chciała.

— Tak — mówi Kruk, który czyta w moim sercu. — Kiedy ktoś mi powiedział: „Jest taka kobieta w Oakland, idź się z nią zobaczyć. Ona nie jest tym, czym się wydaje. Potrafi robić różne rzeczy”. Po grzybach nie mogłem już sobie pozwolić na wiarę. Ale z kaprysu przyszedłem zobaczyć sklep w piątkowy wieczór. I spotkałem ciebie.

W kilku ostatnich snach byłaś tam ze mną, ty i ja, w tym doskonałym miejscu. Tylko wyglądałaś inaczej, byłaś taka, jaka wiem, że jesteś naprawdę, pod tą skórą.

Przesuwa paznokciem, jak ogniem, w górę mojej ręki.

Pozwalam, by jego słowa otuliły mnie swoim połyskiem. Dlaczego nie? — mówię do siebie hardo. Dlaczego to nie mogłoby się spełnić?

— Chcę jeszcze raz spróbować, tym razem z kimś, kto widzi jaśniej, niż ja kiedykolwiek mógłbym. — Jego oczy są głębokie i proszące, ale jest w nich także śmiałość. — Czy pojedziesz ze mną, Tilo? Pomożesz mi znaleźć ziemski raj?

Wciąż myślę nad odpowiedzią, co chcę powiedzieć, co powinnam — gdy rozlega się dzwonek u drzwi. Podnoszę wzrok i oto są, trzy dziewczyny bugenwille, najładniejsze i najmłodsze jak do tej pory, całe z musującego śmiechu i mrugających rzęs. Ich nogi w minispódniczkach są długie i opalone, gładkie jak masło kakaowe. Ich wargi są ciemne i wydęte. Odrzucają do tyłu pofalowane włosy i rozglądają się, i znowu śmieją, jakby nie mogły uwierzyć, że naprawdę tu są, że to robią.

Wyglądają, jakby nigdy w życiu nie ugotowały posiłku — a już na pewno nie indyjskiego posiłku.

Jedna z nich odłącza się od przyjaciółek i idzie naprzód. Ma na sobie cienką jedwabną bluzkę, przez którą dostrzegam ślad koronkowego stanika. Połyskujący beżowy cień do powiek. Zapach róż. Malutkie kolczyki — złote serduszka z diamentami i pasujący do nich wisiołek, który unosi się i opada w zagłębieniu jej szyi.

Efekt jest czarujący, nawet ja muszę to przyznać. Ze spojrzenia Kruka domyślam się, że on też tak sądzi.

— Przepraszam, czy pani rozumie po angielsku? W naszym biurze organizują składkowe przyjęcie, każdy ma przynieść coś

narodowego, wie pani, z naszej kultury, samemu trzeba to przygotować. Nie mamy pojęcia. — Uśmiecha się swoim naiwnym uśmiechem. — Może pani mogłaby nam pomóc?

To słowo „pomóc”. Nie mogę się na nie uodpornić. Odsuwam irytację, by pomyśleć. To jest wyzwanie, znaleźć taką potrawę na przyjęcie, która byłaby wystarczająco prosta, żeby jej nie popsęły przy przyrządzaniu.

— Może mogłybyście zrobić warzywne *pulao* — mówię w końcu. Wyjaśniam jej, jak to się gotuje: odmierza się i zagotowuje wodę, ryż basmati moczony przez dokładnie wyliczony czas, dodaje się *kesar*, groszek, przypieczone cashew i smażoną cebulę jako przybranie. Wyliczam przyprawy: goździk, kardamon, cynamon, szczypta cukru. *Ghee*. Można poproszyć czarnym pieprzem.

Spogląda z powątpiewaniem, ale podejmuje wyzwanie. Robi dużo notatek — pisze w małym notesie ze złotymi brzegami, ołówkiem od kompletu. Jej przyjaciółki tłumią chichot, zagładając jej przez ramię.

Mówię im, gdzie znajdują składniki. Przyglądam się, jak wędrują w stronę zaplecza, samo kołysanie i falowanie. Kruk też się przygląda. Myślę, że z uznaniem. W środku mej piersi coś kłuje jak szpilki.

— To zadziwiające — zauważa — jak kobiety potrafią utrzymywać równowagę na obcasach nie grubszych niż czubek ołówka.

— Nie wszystkie kobiety — odpowiadam, krzywiąc się.

Uśmiecha się, ścisza mi rękę.

— Hej. Ty potrafisz zrobić rzeczy, których te dziewczyny nie umiałyby za sto lat.

Uklucia szpilek zaczynają słabnąć.

— Jesteś tak autentyczna, jak one nigdy nie będą — dodaje. „Autentyczna”. Dziwnego słowa użył.

— Co masz na myśli, mówiąc: autentyczna? — pytam.

— No wiesz, prawdziwa. Prawdziwa Hinduska.

Wiem, że to miał być komplement. A jednak mnie niepokoi. Kruku, mimo ich perlistego śmiechu, ich szminki i koronek, dziewczyny bugenwille są na swój sposób równie hinduskie jak ja. I któż może wiedzieć, kto z nas jest bardziej realny?

Już mam mu to powiedzieć, gdy jedna z nich woła:

— Pomocy, nie możemy znaleźć kardamonu.

— Bo nie wiemy, jak wygląda — mówi inna. Śmieją się z tego rozkosznego dowcipu, z tego, że można od nich wymagać takiej wiedzy tajemnej.

Już mam tam pójść, ale Kruk oferuje swoją pomoc. Znika za półkami, zdaje się, że na długo. Więcej śmiechu przelatuje przez sklep, stada jaskótek. Żłobię wierzch lady paznokciem kciuka, zmuszam się, by za nim nie iść.

Wreszcie wracają, Kruk niesie paczki i worki. Puszki. Kupiły dosyć, by dziesięć razy nakarmić całe biuro.

— Tak nam pomogłeś — mówi jedna. Spogląda na Kruka spod rzęs. — Te chrupiące *papady* i nektar z mango będą świetnie pasować do *pulao*.

— No, to był wspaniały pomysł, żeby kupić więcej, żebyśmy mogły się wprawić w domu przed przyjęciem — mówi inna, ćwicząc na nim promienny uśmiech.

Trzecia dziewczyna bugenwilla, ta w jedwabnej bluzce, kładzie mu rękę na ramieniu. Jej oczy lśniące jak u kosa wchłaniają jego wysokie kości policzkowe, smukłą talię, twarde mięśnie rąk i ud.

— Wiesz co — mówi — możesz przyjść i spróbować. Powiesz nam, czy dobrze to zrobiłyśmy.

— Nie, nie. — Ale szczerzy zęby, czuje się całkiem swobodnie w centrum uwagi. Z jego zachowania widzę, jak wiele pięknych kobiet tak go zapraszało, i może jak wiele zaproszeń przyjął.

Nieświadomy pęcherza gorąca rosnącego w mojej czaszce, wskazuje w moją stronę:

— Ona jest ekspertem, to ją powinnyście wezwać.

Ta w koronkowym staniku zbywa jego sugestią trzepotaniem rzęs.

— Oto moja wizytówka — uśmiecha się, skrobiąc coś z tyłu i wkładając mu ją do ręki. Widzę, jak jej palce przesuwają się po jego palcach, leniwie, rozmyślnie. — Zadzwoń do mnie, jeśli zmienisz zdanie.

Pęcherz gorąca wybucha. Gdy opada wir dymu, widzę wyraźnie, co zrobię.

Pomaga im wyjść z torbami zakupów. Pieczołowicie zamyka drzwi samochodu, po raz ostatni przyjacielsko macha.

Kruku, nie różnisz się od innych mężczyzn, przyciąganych wysokim łukiem stopy, wygięciem biodra, sposobem, w jaki diament lśni wilgotno na jedwabistej skórze kobiecej szyi.

Przechyla się teraz przez ladę, jakby nie było żadnej przerwy, znów sięga po moją rękę.

— Tilo, droga, co powiesz?

Odsuwam dłonie, by były poza jego zasięgiem. Zajmuję je krzątaniem, składaniem, porządkowaniem, wycieraniem, czyszczeniem.

— Tilo, odpowiedz mi.

— Wróc tu jutro wieczorem — mówię. — Po zamknięciu sklepu. Wtedy dam ci odpowiedź.

Przyglądam mu się przez całą drogę do drzwi. Gładka sprężystość kroku, miękki połysk włosów, prześlizgiwanie się ciała jak rzeka złota pod ubraniem. Moje serce się wrywa.

O mój Amerykaninie, jeśli młodość i piękno, i rozkosz tego, co widzisz, czego możesz dotknąć, są tym, czego pragniesz, spełnię twoje pragnienie. Wezwę moce przypraw, by spełnić twoje najgłębsze fantazje o mojej ziemi.

Gdy spoglądam na swoje węzłaste dłonie, widzę, że podarłam na kawałki wizytówkę, którą ta dziewczyna dała Krukowi. A którą on (ale dlaczego?) zostawił.

9il AKARADWAJ



Na własnej półce w pokoju na tyłach spoczywa *makaradwaj*, król przypraw. Tkwił tam od dawna, pewny, że któregoś dnia przyjdę. Wcześniej czy później. Dni, miesiące, lata. To nie ma znaczenia dla *makaradwaja*, który jest pogromcą czasu.

Biorę w rękę długą cienką fiolkę, trzymam ją, aż się ogrzeje.

Makaradwaju, jestem tu, jak kiedyś przepowiedziałeś, ja, Tilo, której czas się kończy. Ja, Tilo, by złamać ostatnią, najbardziej uświęconą ze wszystkich reguł.

Co? — pyta *makaradwaj*.

Makaradwaju, który znasz odpowiedź, dlaczego chcesz mnie zmusić, bym to wypowiedziała?

Ale przyprawa czeka w ciszy aż.

Uczyń mnie piękną, *makaradwaju*, taką pięknnością, jakiej nie było na ziemi. Stokrotnie piękniejszą, niż on sobie może wyobrazić. Na jedną noc, by na zawsze jego skóra została nią oślepią, jego palce naznaczone. By nigdy już nie był z inną kobietą bez wspomnienia i żalu.

Śmiech przyprawy jest niski i głęboki, ale nie okrutny.

Ach, Tilo.

Wiem, że źle czynię, prosząc o to dla siebie. Nie będę udawała skruchy, nie będę grała wstydu. Powiem ci z wysoko podniesioną głową, że takie jest moje pragnienie, spełnij je lub nie, jak zechcesz.

Czy pragniesz tego bardziej, niż nas pragnęłaś na wyspie, tego dnia, gdy rzuciłabyś się z granitowych klifów, gdyby Pierwsza Matka powiedziała: „Nie”?

Przyprawy, czemu wy musicie zawsze porównywać? Każde pragnienie na świecie jest inne, tak jak każda miłość. Wy, zrodzone o świecie świata, powinnyście wiedzieć o tym znacznie lepiej niż ja.

Odpowiedz.

Zważcie to same: jemu dam jedną noc, wam resztę życia, jakakolwiek zgodnie z waszym postanowieniem by była, sto lat na wyspie czy jeden moment, strawiony pożogą, w ogniu Shampati.

Gdy mówię, opadają resztki wątpliwości, resztki moich nadziei. Jasno widzę swoją przyszłość w blasku fiołki. Czego nie mogę mieć. I zgadzam się.

Tilo, to nigdy nie było dla ciebie, zwykła ludzka miłość, zwykłe ludzkie życie.

Moja odpowiedź je zadowolili. Przyprawy już nie przemawiają. Ampułka w moich dłoniach jest teraz gorąca, jej zawartość topi się. Unoszę ją do warg.

Słyszę dawny głos Najstarszej:

„Z *makaradwajem*, najpotężniejszą z przypraw przemiany, trzeba się obchodzić z najwyższym szacunkiem. Jeśli uczynicie inaczej, może przynieść szaleństwo albo śmierć. Odmierzcie jedną tysięczną wagi danej osoby, zmieszajcie z mlekiem i owocem *amla*. Należy to pić powoli, łyżkę co godzinę, przez trzy dni i nocę”.

Piję wszystko od razu, ja, która odejdę, nim miną trzy noce i dni, kto wie dokąd.

Wstrząs uderza najpierw moje gardło jak kula, palenie, jakiego nigdy wcześniej nie czułam. Kark mi wybucha, przelyk aż do żołądka. A moja głowa nadyma się, gigantyczny balon, potem się kurczy do ziarna żelaza. Leżę na podłodze. Mdłości pulsują ze mnie jak krew z rozerwanej tętnicy. Palce mam sztywne i poskręcane, ciało wygina się i odchyła poza moją kontrolą.

Tilo, zbyt pewna siebie, myślałaś, że możesz przyjąć tru-

ciznę jak niebieskogardły Siwa, zaryzykowałaś wszystko na nic, teraz umieraj.

„Na nic”. Tę myśl najtrudniej znieść.

Ale zaraz, ból się zmniejsza, pozwala oddychać haustami. Przez niego odczuwam inne wrażenie, głęboko w ciele, unoszenie, zacieśnianie. Nastawianie kości na nowo. *Makaradwaj* czyni swą powinność.

I głos: *Jutrzejszej nocy, Tilo, będziesz u szczytu piękności. Ciesz się nią. Bo do następnego ranka zniknie.*

Ach, przyprawy, czemu mam się martwić o następny ranek? Wtedy ja także zniknę.

/ czy będziesz szła szczęśliwa, czy też przyjdiesz do nas z sercem splamionym barwami żalu?

Siebie nie żałuję, odpowiadam. I prawie wierzę w swoje słowa.

Ale, dodaję, jest dwoje pod moją pieczę, którym nie mogłam. Nie mogę odejść w pokój, jeśli nie poznam zakończenia ich historii.

Ach, chłopiec, kobieta. Ich historia dopiero się jednak zaczęła. To twoja się kończy.

Rozumiem. Ale choć nie mam prawa o to prosić, chcę ich zobaczyć po raz ostatni.

Więcej próśb, Tilo? Czy już nie wyraziłaś swojego ostatniego życzenia?

Proszę.

Zobaczymy, mówią przyprawy pobłażliwym głosem, wiedząc, że wygrały.

Świt mojego ostatniego dnia łamie serce jasnością, niebo w kolorze najbledszego indygo, powietrze pachnie różami, choć skąd w tym mieście, nie wiem. Przez chwilę leżę na moim cienkim materacu, boję się spojrzeć, ale potem unoszę ręce. Gru-

złowate kostki znikły, palce są długie i spiczaste. Jeszcze nie całkiem młode, ale wyciągają się do młodości.

Wypuszczam oddech w głębokim westchnieniu. Przyprawy, przepraszam, że aż do teraz nie ośmieliłam się mieć nadziei.

O ty, która jesteś młoda, nigdy nie poznasz rozkoszy, z jaką wstaję z łóżka, nie dowiesz się, jak prosta czynność wyciągnięcia w górę tych powtórnie dojrzałych ramion przyprawia mnie o zawroty głowy zakazanej przyjemności.

Pod prysznicem przebiegam rękami po ciele, czuję, jak staje się jędrniejsze pod moimi dłońmi. Pozwalam, by mokre włosy opadały mi na twarz, na wpół ciemność, na wpół światło.

Już tyle. Przed nocą o ileż więcej.

Niecierpliwa Tilo, odłóż na bok nocne myśli. Najpierw trzeba skończyć całą dzienną robotę.

Ściągam włosy w prosty kok, wkładam amerykańskie ubranie z Searsa. Otwieram drzwi frontowe, by umieścić wywieszkę: OSTATNI DZIEŃ.

Na moim progu bukiet rozrzuca czerwony aksamit. Róże o barwie dziewiczej krwi. *Do wieczora*, szepcze bilecik.

Przyciskam je mocno. Nawet kolce są przyjemnością. Ustawię je w słoju na ladzie. Cały dzień będziemy na siebie patrzeć i uśmiechać się naszą tajemnicą.

Wieści o wyprzedaży rozeszły się. Sklep jest pełen jak nigdy przedtem, kasa stuka bez przerwy, moje palce (młodsze, młodsze) zmęczyły się wciskaniem guzików. Szuflada w kasie napętnia się. Gdy już nic nie może pomieścić, upycham pieniądze w worku na warzywa i uśmiecham się do tego paradoksu, ja, Tilo, dla której te banknoty nie mają większego znaczenia niż opadłe liście.

Rozdałabym to wszystko za darmo, za trochę życzliwości. Ale nie wolno.

— Co się dzieje? — pytają raz po raz klienci, chętni, by wysłuchać opowieści.

Mówię im tylko, że ta stara kobieta zamyka sklep z powodów zdrowotnych. Tak, to coś nagłego. Nie, nie takie poważne, nie ma się co martwić. Ja jestem jej siostrzenicą, pomagam tego ostatniego dnia.

— Niech ją pani od nas pożegna. Proszę podziękować za całą pomoc. Niech pani powie, że zawsze ją będziemy pamiętać.

Porusza mnie ciepło w ich głosach. Chociaż wiem, że to, co mówią, w co wierzą, to złudzenie. Bo czas sprawia, że zapominamy wszystko. A jednak wyobrażam sobie, jak przecho-
dzą tą ulicą w następnym miesiącu, w następnym roku, pokazują: „Tu kiedyś była kobieta. Jej oczy wyciągały nasze najgłębsze tajemnice jak magnetyczna skała” — mówią swoim dzieciom. „Ach, co ona potrafiła wyczynić z przyprawami. Słuchajcie uważnie”.

I opowiadają moją historię.

Późnym popołudniem wchodzi wolnym krokiem dziadek Geety, przystając, by nabrać oddechu.

— Jeszcze trochę boli, *didi*, ale przyszedłem pani podziękować, powiedzieć, co się...

Przerywa w pół słowa, patrzy na mnie spod zmarszczonych brwi. Nawet po moich wyjaśnieniach przygląda mi się nieufnie.

— Jak ona może nas tak zostawiać? To nie w porządku.

— Ona nie zawsze sama decyduje. Czasami musi robić to, co jej każą.

— Ale ma tyle mocy, mogłaby...

— Nie — mówię. — Nie na to została dana moc. Pan z mądrością swego wieku powinien to wiedzieć.

— Mądrość — uśmiecha się krzywo, potem poważnieje.

— Ale ja muszę jej tyle opowiedzieć.

— Na pewno jej przekażę.

Podejrzliwie wzrusza ramionami, poprawia okulary, dziadek Geety, cała przyjemność odebrana jego opowieści.

— Czy Geeta wróciła do domu przedwczoraj wieczorem?
Jego głowa podskakuje.

— Skąd pani to wie?

— Ciotka mi powiedziała. Mówiła, żeby pana wyglądać,
bo może pan przyjść.

Długo się przypatruje. W końcu mówi:

— Tak. Wróciła z Ramu. Jej matka była taka szczęśliwa,
że późną nocą gotowała od nowa, rybę w gorzycy, *cholar dal*
z kokosem, same przysmaki Geety. Wszyscy siedliśmy dookoła
stołu i rozmawialiśmy, nawet ja, bo wziąłem to lekarstwo i po-
czułem się lepiej, chociaż niestety nie mogłem jeść. — Kłaska
językiem na tę myśl, na to całe dobre, stracone jedzenie. —
W każdym razie wszyscy byli bardzo szczęśliwi i bardzo uważ-
ni, rozmawialiśmy o pracy i o filmach, i o kuzynach w Indiach,
żeby już nie rozpętać gniewu, przede wszystkim ja. Pani ciotka
byłaby dumna z tego, jak trzymałem język za zębami, nie py-
tałem o to czy tamto, tylko wygłaszałem komentarze na temat
amerykańskich wiadomości politycznych.

Potem, tuż zanim wstaliśmy umyć ręce, Ramu powiedział:
„Dobra, może byś zaprosiła swojego chłopaka, żeby przyszedł
w odwiedziny”. A Geeta bardzo cicho odpowiedziała: „Jeśli
sobie życzysz, tato”. Ramu dodał: „Uprzedzam, nie uważaj tego
za pozwolenie”, a Geeta odpowiedziała: „Wiem”. I to wszystko.
Każdy poszedł do swojej sypialni, ale z uśmiechem.

Podnosi oczy, ten uśmiech wciąż trwa w fałdach jego twarzy.

— Tak się cieszę z ich radości — mówię. — I pana także.

— Ojciec i córka, tacy podobni, tacy dumni. Jestem pewien,
że jeszcze nieraz będą walczyć.

— Byle tylko nie zapomnieli miłości.

— Ja im przypomnę. — Dumnie stuka się w pierś.

— Byle w krótkich słowach, kazała panu powiedzieć moja
ciotka. I proszę, mówiła, żeby pan wziął cały olej *brahmi* ze
sklepu. Będzie pan miał po nim chłodną głowę, powiedziała.
Nie, nie, to pożegnalny prezent od niej.

Patrzy, jak zawijam butelki w gazetę, umieszczam je w worku.

— Więc ona naprawdę nie wróci.

— Nie sądzę. Ale kto wie, co przyniesie przyszłość. — Staram się zachować lekki ton, choć smutek pęcznieje mi w gardle.

— Ma pani jej oczy — mówi, odwracając się, by wyjść.

— Przez cały ten czas nie spostrzegłem, że są tak piękne.

Nie pyta już o nic ten mężczyzna w okularach, który widzi głębiej niż wielu o doskonałym wzroku. Ja też nic nie dodaję. To nasz nie wypowiedziany pakt.

— Niech jej pani przekaże, że życzę jej wszelkiej szczęśliwości. Będę za nią odmawiać modlitwę.

— Dziękuję — mówię. — Modlitwa jest jej teraz bardzo potrzebna.

Ale spójrz, kto właśnie wchodzi do mojego sklepu — młoda kobieta, której nigdy nie widziałam, jej skóra nieskazitelnie ciemna jak śliwka, falujące włosy uchwycone w sto malutkich warkoczy, uśmiech jak świeżo upieczony chleb.

— Wow, super tu jest. Nigdy tutaj nie byłam.

Wręcza mi coś, kopertę. Waham się, potem poznaję po jej uniformie w kolorze nieba i torbie, po ptaku z wygiętym dziobem na opasce na jej ręce. To listonoszka.

— Mój pierwszy list — mówię, biorąc go ze zdziwieniem. Zerkam na pismo, ale nie jest mi znane.

— Dopiero pani przyjechała?

— Nie. Właściwie mam wyjechać. — Chcę się zwierzyć tej kobiecie o przyjaznej twarzy, ale cóż mogę powiedzieć, co ona by zrozumiała, co ktokolwiek by zrozumiał?

— To mój ostatni dzień — mówię w końcu. — Cieszę się, że dostałam list ostatniego dnia.

— I ja się z panią cieszę. To trochę potrwało, bo ta osoba nie podała kodu. Nie ma też adresu zwrotnego, inaczej odesłaliby to z powrotem. Niech pani spojrzy.

Spoglądam na miejsce, które pokazuje, ale oczy przeskakują na imię wypisane na kopercie.

Mataji.

Tylko jedna osoba tak mnie nazywała.

Moje płuca zapomniały, jak oddychać. Moje serce tak wali, że na pewno rozbije ciało na kawałki. Brzegi dnia zwijają się w przypalony brąz.

— Ten list wiele dla mnie znaczy — mówię. — Dziękuję, że go pani przyniosła.

Na ślepo macam w brązowym powietrzu, by znaleźć coś, co mogę jej dać. Wracam z torbą złotych rodzynek, *kismis* na energię, która przetrwa.

— Z mojego kraju. Prezent.

— Dzięki, to naprawdę miło.

Przegląda swoją torbę. Po co? Co jej zajmuje tyle czasu? Kiedy wreszcie wyjdzie, żeby mogła otworzyć ten list?

Nagle dociera do mnie, że i ona chce mi coś dać.

Znajduje to i podaje mi.

Cienkie srebrne prostokąty owinięte zielonym papierem, miękkie w dotyku. Unosi się słodki świeży zapach mięty.

— Guma do żucia — odpowiada na moje pytające spojrzenie. — Pomyślałam, że może pani zasmakuje. Coś z Ameryki, wie pani, na drogę.

Mam nadzieję, że widzi to w moich oczach, nim odejdzie, jak doceniam ten nieproszony dar, ja, Tilo, która ten jeden raz nie wiem, co powiedzieć.

W drzwiach słońce pada na jej twarz, jak dawno temu na twarz żony Ahuji.

Zamykam za nią drzwi na klucz. Muszę poświęcić całą uwagę temu listowi, słowom i temu, co pomiędzy nimi.

Rozwijam płatek gumy, wkładam do ust. Hojna słodycz na języku daje mi odwagę do czytania.

*Mataji,
Namaste,*

nie mam Pani pełnego adresu, więc nie wiem, czy ten list kiedyś do Pani dotrze, ale słyszałam, że amerykańska poczta jest dobra, więc pozostaje mi mieć nadzieję. Bo tak bym chciała, żeby Pani wiedziała.

Nie jestem już w domu. Jestem w innym mieście, chociaż z powodów bezpieczeństwa nie mogę ujawnić gdzie.

To wszystko stało się tydzień temu, chociaż myślałam o tym i myślałam od miesięcy.

Pamięta Pani to pismo, które mi Pani dała? Z tyłu były ogłoszenia. W jednym zdanie: „Jeśli jesteś maltretowaną kobietą, zadzwoń pod ten numer po pomoc”. Długo na nie patrzyłam. W jednej chwili myślałam: „Czemu nie?” A w następnej: „Chee chee, jaki sharam mówić obcym, że mąż cię bije?” Wreszcie rzuciłam to pismo na kupę starych papierów, które on co miesiąc nosi do skupu makulatury.

Postanowiłam raz jeszcze spróbować. Zapomnieć o przeszłości. Jaki miałam wybór? Powiedziałam mu: „Dlaczego bym miała nie pójść do lekarza i zobaczyć, co jest nie tak, że nie mogę zostać matką?”

Nie miał zastrzeżeń. Nawet był gotów wydać pieniądze. Może on też myślał, że dziecko wszystko poprawi, zwiąże nas miłością. „OK, powiedział, pod warunkiem, że to będzie pani doktor. Najlepiej Hinduska ”.

Nie znalazłam hinduskiej lekarki, ale amerykańska powiedziała, że ze mną wszystko jest świetnie. „ To przecież może być pani mąż”, powiedziała. „Może ma mało plemników. Niech go pani przyśle na kontrolę. Niech mu pani powie, żeby się nie martwił. Mnóstwo rzeczy można dzisiaj zrobić, bez problemu”.

Ale kiedy mu powiedziałam, jego twarz zrobiła się ciemna jak monsunowe niebo. Żyły na jego czole przypominały niebieskie węzły. „Co ty mówisz, że nie jestem mężczyzną? Chcesz poszukać kogoś lepszego?” Zaczął mną potrząsać tak mocno, że słyszałam, jak kości mojej szyi strzelają.

„Proszę, powiedziałam, przykro mi, moja wina, zapomnijmy o tym, nie musisz nigdzie chodzić”.

Uderzył mnie mocno, dwa, trzy razy. „To wszystko część twojego planu, nie? Przeciągnęłaś amerykańską lekarke na swoją stronę?”

Zawłókł mnie do sypialni, rzucił na łóżko. „Zdejmuj ubranie!”, powiedział. „Pokażę ci, czy jestem mężczyzną, czy nie”.

Mataji, byłam tak przerażona, że moje ręce powędrowały do guzików bluzki pod sari, jak zwykle. Potem przypomniałam sobie, co Pani powiedziała, że żaden mężczyzna, mąż czy nie, nie ma prawa mnie zmuszać do swojego łóżka.

Usiadłam. Jedna część mojego umysłu mówiła: „On cię za to zabije”. Druga mówiła: „To nie może być gorsze”. Zmusiłam swój głos, by mu powiedzieć: „Nie pójdę do łóżka z mężczyzną, który mnie bije”.

Na chwilę skamieniał z zaskoczenia. Potem powiedział: „Och, tak? Zobaczymy”. Rzucił się naprzód, chwycił przód mojej bluzki i rozerwał ją. Wciąż słyszę ten dźwięk rozrywania, jakby to było moje życie.

Nie mogę pisać, co jeszcze mi zrobił. To za wielki wstyd. Ale na swój sposób to także było dobre. Złamało moje ostatnie opory, mój strach przed zranieniem rodziców. Leżałam tam później, słuchałam, jak płacze, błaga mnie o wybaczenie, przykłada mi kompresy z lodu na P/varz, mówi: „Dlaczego mnie do tego zmuszasz?” Kiedy zasnął, poszłam pod prysznic i stałam pod gorącą

wodą, szorując nawet siniaki, aż czułam się tak, jakby miała mi zejść skóra. Patrzyłam, jak brudna woda spływa do odpływu, i wiedziałam, że muszę odejść. „Jeśli moi rodzice nie kochają mnie wystarczająco, by zrozumieć, myślałam, to niech i tak będzie”.

Następnego ranka powiedział mi, żebym nigdzie nie wychodziła, weźmie pół dnia wolnego, wróci na lunch z niespodzianką dla mnie. Znałam jego niespodzianki: biżuterię, sari, rzeczy, na które nie mogliśmy sobie pozwolić. Czułam się chora, gdy pomyślałam, że będę je musiała dla niego włożyć. Gdy tylko jego samochód skrecił za róg, podeszłam do sterty starych papierów. Z początku nie mogłam znaleźć tego pisma. Tak się przestraszyłam. Myślałam, że jakoś je wypatrzył i wyrzucił, że będę musiała z nim zostać na zawsze.

Jeszcze raz przeszukałam ten stos. W głowie mi się kręciło, tak się denerwowałam, że wróci wcześniej. Gdy znalazłam, zaczęłam płakać. Kiedy zadzwoniłam, ledwo mogłam mówić.

Kobieta, do której zadzwoniłam, była bardzo miła. Jak ja była Hinduską, dużo rozumiała bez mówienia. Powiedziała, że dobrze zrobiłam, dzwoniąc, że mi pomogą, jeśli jestem pewna, co chcę zrobić.

Zapakowałam torbę, zabrałam swój paszport, trochę ślubnej biżuterii, która była w domu, wszystkie pieniądze, jakie mogłam znaleźć. Nie chciałam dotykać nic z jego rzeczy, ale wiedziałam, że będę musiała z czegoś żyć.

Dwie kobiety zabrały mnie z przystanku autobusowego i zawiozły do tego domu w innym mieście.

Nie wiem, co teraz zrobię, Mataji. Dały mi dużo książek do czytania. Moje prawa. Historie innych kobiet, takich jak ja, które teraz prowadzą lepsze tycie. Historie kobiet, które wróciły i zostały zatluczone na śmierć.

Mówią mi, że jeżeli chcę zgłosić sprawę na policji, to mi pomogą. Mogą mi też pomóc założyć mały punkt krawiecki, gdybym chciała. Ostrzegają mnie, że nie będzie łatwo.

Są tu inne kobiety. Niektóre cały czas płaczą. Niektóre w ogóle się nie odzywają. Boją się założyć sprawę, boją się stąd odejść. Jedna z nich ma czaszkę pękniętą od klucza francuskiego. Czasami słyszę, jak się modli: „Panie Ramo, wybacz mi, że opuściłam mojego męża”. Ja nawet nie mogę się modlić. Kogo mam prosić, by mnie błogosławił? Ramę, który wygnał do lasu biedną ciężarną Sitę z powodu ludzkiego gadania? Nawet nasi bogowie są okrutni dla swoich żon.

W niektóre dni i ja się boję. I jestem tak przygnębiona. Patrzę na pokój, który dzielę z dwiema kobietami, każda z nas żyje na walizkach. Nie mam miejsca na samotność. Jedna łazienka w domu na nas sześć, wszędzie wisi bielizna. Zapach miesięcznej krwi. Myślę o swoim schludnym domu. A potem mój umysł robi sztuczki, przypomina szczęśliwe chwile, kiedy czasem on był taki dobry, kiedy w piątki wieczorem przynosił kasety wideo i pizzę, a potem siadaliśmy na kanapie i oglądaliśmy „Dev Ananda”, śmialiśmy się.

Codziennie słyszę głosy w głowie. Szepczą: „On dostał nauczkę, teraz wszystko będzie inaczej, czy tak źle byłoby wrócić?”

Próbuję je odpychać. Pamiętam, co mi Pani powiedziała, tuż zanim wyszłam. Mówię sobie: „Zasługuję na godność, zasługuję na szczęście”.

Mataji, niech się Pani modli, bym pozostała dość silna, żeby je znaleźć.

*Pani na zawsze
Lalita*

List zaciera się, gdy zaciskam dłoń. Czy to są łzy smutku czy radości? Tak, moja Lalito, dochodząca wreszcie do siebie, modłę się za ciebie. O przyprawy, o wszystkie siły świata, nie pozwólcie jej zrezygnować. Córko, kanał narodzin jest zawsze *. ciasny, duszący. Ale ten pierwszy haust powietrza wypełniającego płuca, ach. O to się modłę dla ciebie.

A tymczasem utrę migdały i *chyavanprash* na siłę mentalną i fizyczną i postawię za drzwiami, by wiatr zaniósł je do domu kobiet, gdzie czekasz. Zrobię to teraz, w cienkim pasku czasu, który mi pozostał.

Otwieram drzwi, by wystawić *chyavanprash*, i oto jest na schodku, jego twarz zaskakująco blisko mojej, Jagjit w kurtce z prawdziwej skóry, przez mleczne szkło spoglądający na plakat: Dojo Kwesi. Jeden Świat. Jagjit, którego kumple nazywają Jag.

Dziękuję wam, przyprawy, już straciłam nadzieję.

Warczy na mnie, Jag, czyli Jaguar, jego ręka sięga do kieszeni, potem uspokaja się.

— Hej, proszę pani, nie powinna się pani tak skradać do faceta. Może się pani stać krzywda.

Uśmiecham się, myślę, czy mu nie powiedzieć: „W końcu to mój próg”. Ale to już nie jest prawda.

— Ty też mnie przestraszyłeś — mówię zamiast tego.

— A kto tu mówi, że ja się przestraszyłem? — Srebrny błysk koleczyka, gdy odrzuca głowę. Potem spogląda uważniej przez światło zmroku. — Zaraz, zaraz. Pani nie jest tą starą kobietą, która ma ten sklep. — W jego oczach pojawia się zainteresowanie, Jagjit jeszcze nie czternastoletni, tak szybko dorasta w Ameryce.

Opowiadam mu historyjkę o siostrzenicy. Potem mówię:

— Ale ja wiem, kim ty jesteś.

— Jakim cudem?

— Ciotka mi powiedziała, żeby się za tobą rozglądać. Powiedziała: „Ten Jagit to wspaniały młody człowiek, ma duże możliwości. Może zostać, kim tylko zechce w świecie”.

— Tak powiedziała? — Przez chwilę jego twarz jest chłopięco zadowolona, potem znów obejmuje ją cień. Jego myśli są pełne gwałtownych dźwięków.

Jagjicie, zdobywco świata, coś ty robił, kogoś ty...

Twarz Harouna, błada w bandażach, błyska przede mną, ale nie, to niemożliwe, nie będę o tym myśleć.

Tilo, wcześniej czy później to się stanie, na tej ścieżce, którą on kroczy.

— Chciałbyś coś kupić? — pytam. Chcę, by wszedł do sklepu. Wskazuję na afisze wyprzedaży. — Dzisiaj jest na to dobry dzień. Może twoja matka coś potrzebuje? — Ale już wiem, że przestał robić zakupy dla matki.

— Nieee. Tak przechodziłem, nie wiem nawet, dlaczego przystanąłem. Może to ten plakat. — Wskazuje go brodą.

— Lubisz karate? — Przyprawy, niech to się stanie, niech się stanie.

j

Wzrusza ramionami.

;

— Nie próbowałem. Za drogo, jak się chce stale ćwiczyć. Zresztą mam inne sprawy. Muszę lecieć.

Jego stopy już się obróciły ku nocnym zaułkom.

Myślę szybko, chociaż nie jestem w tym dobra. Nagle wpadam na pomysł.

— Och, prawie zapomniałam. Moja ciotka coś dla ciebie zostawiła.

— Naprawdę?

— Tak. Powiedziała, że to bardzo ważne. Znajdę ci to, jeżeli wejdiesz.

Waha się.

— Czasu nie ma. — Ale potem przyciąga go ciekawość, tego Jagita, który wciąż jest tylko chłopcem. — Tylko na minutę.

— Tylko na minutę — powtarzam. W moim umyśle jestem już na zapleczu. Spinam końce worka z pieniędzmi, piszę list i dołączam do niego.

— Myślisz, że dobrze zrobiłam? — spytam później Kruka, gdy będziemy leżeć w łóżku. — Wtedy wydawało się, że to jest idealne rozwiązanie, inaczej wszystkie te pieniądze zmarnowałyby się. Ale teraz nie jestem taka pewna.

Między jego brwiami także zmarszczka wątpliwości. Ale chce, żebym była szczęśliwa. Więc powie:

— Myślę, że zrobiłaś najlepszą możliwą rzecz.

Mimo to obawy będą mnie gryzły.

— W tym worku było ponad tysiąc dolarów. A co, jeśli użyje ich na coś złego, wiesz, narkotyki, broń, zamiast zanieść do Kwesiego i zapisać się?

— Zaufaj — powie. — Zaufaj jemu, zaufaj kosmosowi. Szansa jest pół na pół. Większa, niż kiedyś było prawdopodobieństwo naszego spotkania. — Uniesie moją dłoń z narzuty, będzie całował każdy koniuszek palca.

Ja będę pocierać jego brodę, delikatne klucie zarostu, czysty limonowy zapach. Ma rację.

— Pomyśl o jego twarzy. Jaką miał minę, kiedy otworzył pakunek? Kiedy wychodził ze sklepu?

Przypomnę sobie niedowierzające oczy Jagjita.

— Dla mnie? — I to, jak czytał list raz po raz. — Wie pani, co tu jest napisane?

— Nie. Przeczytasz mi? — mówię, kłamiąc bezwstydnie.

— Tu jest napisane: „Dla Jagjita, mojego zdobywcy świata, by zacząć życie od nowa”. A niżej: „Używaj siły, nie bądź używany przez nią”.

— Dobrze to brzmi. Ta moja ciotka, ona jest mądra — uśmiecham się. Potem zdejmuję z drzwi plakat i daję mu. — Wejdz w to — mówię.

Jego oczy błyszczą nowym blaskiem, wizjami niemożliwie wysokich kopnięć, grzbietu dłoni rozłamującego cegłę na połowy. *Kiai* dość gwałtownych, by zgruchotać ścianki serca przeciwnika, *kata* delikatnych i precyzyjnych jak taniec. Sława i majątek, może w filmie, jak Bruce Lee. Ucieczka z teraz do wieczności.

Ale także zmartwienie. Jagjit, który już wie, że droga powrotna jest dwa razy dłuższa. Zagradzają ją stalowe ostrza, których przedtem nie było.

— Nie wiem, czy mi kumple pozwolą.

Daję mu torbę *laddu*, *besan* i bryłki cukru, dla ochrony. Na postanowienie, które się nie skruszy. Mówię:

— Nie dowiesz się, jeśli nie spróbujesz, oto, co by powiedziała ciotka.

Uśmiecha się do mnie, a jego uśmiech jest trochę wystraszony, ale zarazem pełny i otwarty.

— Niech jej pani przekaze moje dzięki. Niech jej pani powie, że będę się naprawdę starał.

— Ufam. — Z łóżka Kruka w moją ostatnią noc, znowu patrząc, jak Jagjit znika w mlecznonocnej mgie, wyszepczę moją modlitwę, moją nadzieję, ostatnią rzecz, którą mogę zrobić: — Jagjicie, ufam, że będziesz.

% *ORZEN LOTOSU*



Wreszcie dzień się skończył, klienci wyszli, wszystko ze sklepu — poza tym, czego będę potrzebować na stos Shampati — zostało sprzedane lub rozdane.

Stosie Shampati, niebieski płomieniu, zielony żarze, dźwięku ognia podobny do dźwięku deszczu, co uczynicie z tym ciałem danym mi przez przyprawę? Dokąd zabierzecie to serce, które obiecałam im oddać?

I ból. Czy będzie...

Dosyć. Później będzie na to dość czasu. Teraz jest moment na zebranie żniwa z tego ziarna, które bezwiednie zerwałam tamtego dnia w sklepie Sears, by je tu zasadzić i każdej nocy podlewać wodą z nieskończonej rzeki pragnień.

Nakładam białą suknię, którą dał mi Kruk, sama piana i zapach kwiatów opadający na szczupłość talii i biodra, sam szept i ślizg wokół moich gołych nóg. Małą jedwabną saszetkę napelniam proszkiem z korzenia lotosu, ziela długiego kochania. Zawijuję ją na jedwabnym sznurku na szyi, tak że saszetka spoczywa między moimi piersiami, które pachną dojrzałym mango.

Teraz jestem gotowa. Idę na zaplecze, gdzie ono wisi na ścianie, usuwam z niego zasłonę, ja, Tilo, która złamałam zbyt wiele zasad, by można było je policzyć.

Ile żywotów minęło, odkąd w jakieś spoglądałam?

Lustro, co we mnie odkryjesz?

Oślepia mnie twarz, która na mnie spogląda, zarazem młoda i pozbawiona wieku, ożywiona fantazja fantazji, moc przypraw

w całej pełni. Czoło gładkie jak właśnie rozchylony liść *shapla*, nos zwięzający się jak kwiat *til*. Usta wygięte jak łuk Madana, boga miłości, usta koloru — nie ma na to innych słów — pokruszonych czerwonych chilli. Dla pocałunków, które będą palić i pochłaniać.

To jest twarz, która niczego nie okazuje, twarz bogini wolna od ludzkiej skazy, odległa jak malowidło z Ajanty. Tylko oczy są ludzkie, kruche. Widzę w nich Nayan Tarę, widzę Bhagyavati, widzę Tilo, które były. Szerokie, dumne oczy, które zarazem mówią mi coś, czego nie oczekiwałam.

Czy piękność może przestraszyć? W tych oczach widzę, że moja mnie przeraża.

A teraz drzwi, stukanie.

Poruszam się jak przez głęboką wodę, ja, która czekałam całe życie — choć dopiero teraz to dostrzegam — na ten krótki moment rozkwitnięcia jak fajerwerki na niebie o północy. Całe moje ciało drży, strach i pożądanie, bo nie tylko dla Kruka to czynię, ale i dla siebie. A jednak.

Zastygam z dłonią na gałce.

O Tilo, co, jeśli prawdziwa noc nie sprostą (bo z pewnością nie może) tej wyobrażonej. Co, jeśli ta miłość mężczyzny i kobiety, wargi do warg, ciało do ciała, serce do serca, jest gorsza niż...

— Tilo — woła on z drugiej strony. — Otwórz.

Ale gdy otwieram, to on zamiera. Aż otoczę dłońmi jego twarz i łagodnie powiem:

— Kruku, to jestem tylko ja.

Wreszcie mówi:

— Nie ośmieliłem się marzyć o takiej piękności. Nie ośmielię się jej dotknąć.

Biorę jego ramiona i otaczam się nimi, na wpół ze śmiechem, na wpół z przestraczeniem.

— Czy ciało robi taką różnicę? Czy nie widzisz, że wciąż jestem tą samą Tilo?

Patrzy uważnie. Potem jego ramiona zaciskają się.

— Tak — mówi w wodospad moich włosów. — Widzę to w twoich oczach.

— Więc weź mnie ze sobą, Kruku. Kochaj mnie. — W sercu dodaję: O, nie trać czasu.

Została mi jednak jeszcze ostatnia rzecz do zrobienia. Kruk gładko zatrzymuje samochód. Mrocznie wpatruje się w ciemną klatkę schodową.

— Jesteś pewna, że nie chcesz, żebym poszedł?

Przytakuję, mocniej przyciskam do piersi pakunek, który niosę. Wyrzucam z umysłu pytanie, co by powiedział, gdyby znalazł jego zawartość.

Przez całą drogę po spiralnych schodach śmierdzących starymi dywanami głos jak zardzewiały gwóźdź drapie wnętrze mojej czaszki. Pierwszej Matki czy mój? Czy jeszcze jest jakaś różnica?

Tilo, czy ty wiesz, co robisz?

Zaciskam zęby przeciwko temu głosowi, bo właściwie nie wiem. Bo gdy od czasu do czasu wyobrażałam sobie ten moment, o zawroty głowy przyprawiał mnie strach, że to jest złe. Ale oto, co mówię głośno:

— Przemoc za przemoc. Czasami to jest jedyny sposób.

Drzwi Harouna otwierają się, gdy pcham. Cieszę się z tego, ale też żaluję, że nie jest bardziej ostrożny. Harounie, czy jeszcze się nie nauczyłeś?

Jego pokój jest pełen nieruchomych, ciemnych kształtów. Jego łóżko, jego ciało, dzbanek wody, nie zapalona lampa na stole,

książka, którą ktoś mu czytał. Tylko bandaże błyszczą jak ostrzeżenie. Ował jego głowy jest odwrócony. Myślę, że śpi. Nie chcę go budzić do bólu, ale muszę.

— Harounie.

Na szept porusza się lekko, jak we śnie.

— Ladyjaan. — Jego język waha się przy tym słowie, ale jest w tym przyjemność.

— Skąd wiesz, że to ja? — pytam zdumiona.

— Z tego, jak pani wymawia moje imię — mówi głosem zmęczonym, ale uśmiechającym się przez ciemność. — Chociaż pani głos jest dziś inny, słodszy, mocniejszy.

— Dobrze się czujesz? Był znowu doktor?

— Tak. On jest bardzo dobry, *Shamsur-saab* i jego siostra też. — Jego głos podnosi się lekko na ostatnim słowie. — Nie wzięli ode mnie ani grosza. Ona gotuje wszystkie posiłki, zmienia bandaże, siedzi przy moim łóżku, opowiada historie, żeby mi dotrzymać towarzystwa.

Ach, Hameedo. Jest tak, jak miałam nadzieję.

— Harounie, nie jesteś zły, że tak się stało?

— *Ai*, Ladyjaan. — Jego usta robią się cienkie jak brzytwa, gdy się odzywa. — Oczywiście, że jestem. Jak bym złapał te świńskie bękarty, tych *shaitaanów*... — Przez chwilę milczy, powracając do przeszłości, wyobrażając sobie przyszłość. Potem bierze głęboki oddech. — Ale i tak miałem szczęście. Jedno oko jest ciągle trochę zamglone, ale *dokior-saab* mówi, że dzięki łasce Allacha i jego lekarskim umiejętnościom będzie jak nowe. I znalazłem takich przyjaciół — są jak rodzina. Nawet ta mała dziewczynka Begum Hameedy z głosem jak ptak mynah. Już planujemy wyjście do cyrku, jak tylko mi się poprawi.

— Harounie, przyszedłam się pożegnać.

Usiłuje się podnieść.

— Dokąd pani się wybiera? — Jego palce szukają lampki.

— Nie, Harounie, nie.

Ale on już ją włączył. Gwałtownie wciąga powietrze, przyciska dłoń nagły ból w żebrach.

— Pani, co to za *jaddu* i dlaczego?

Rumienię się pod jego spojrzeniem. Nie znajduję słów, które by dla niego nie zabrzmiały pusto. Ale Haroun z nowo otwartym sercem rozumie więcej, niż miałam nadzieję.

— Ach. — To słowo jest jego współczuciem i troską. — A potem? Dokąd pójdziesz, pani? Co ze sklepem?

— Nie wiem — odpowiadam, a strach jest słoną falą, w której znów tonę. — Myślę, że wrócę do domu, Harounie, ale czy kiedykolwiek jest droga powrotu?

Trzyma moją dłoń w swojej, Haroun pocieszyciel, nasze role odwrócone.

— Dla mnie nie, Ladyjaan. Ale dla pani — kto wie? Odprawię za pani szczęście *dua* do Allacha.

— Mam tu coś dla ciebie. A potem muszę odejść.

— Proszę, niech pani zaczeka dwie minutki, Ladyjaan. Hameeda wróci, jak tylko skończy gotować. Dziś wieczór coś specjalnego, curry z jagnięcia z *parathami*. Ona tak dobrze gotuje, wszystkie przyprawy świetnie dobrane, na pewno będzie pani smakowało. — W jego głosie słyszę zadowoloną dumę. — Tak się ucieszy, gdy panią znowu zobaczy. To będzie dla nas zaszczyt, jeśli pani zostanie i posili się z nami.

Potem pyta, mój ciekawy Haroun:

— Co mi pani przyniosła?

I nagle wiem, co powinnam zrobić. I jestem z tego zadowolona, jak ktoś nad nocną przepaścią, kto tuż przed zrobieniem ostatniego kroku widzi obrysowaną błyskawicą fatalną krawędź.

— Właściwie to jest dla Hameedy, dla was obojga.

Wciskam za siebie zawiniątko, które kiedyś było czerwonym chilli. Potem sięgam do szyi i wyjmuję saszetkę z korzeniem lotosu. Wkładam ją w jego dłoń.

Jeśli nawet żal muska moje serce (o Kruku) jak pasmo mgły, nie zwracam na to uwagi.

— Musi to mieć na sobie w noc waszego *nikah* — mówię — na całe życie w namiętym kochaniu.

Teraz to on się czerwieni.

— Przekaż jej mój *mubaarak* — mówię od drzwi. — I Harounie. Uważaj.

— Tak, Ladyjaan. Przekonałem się na własnej głupocie. Hameeda mnie też za to ruga. Nie będzie już pracy po nocach ani jeżdżenia w niebezpieczne okolice, ani brania klientów, jeśli będę mieć złe przeczucie. A przy przednim siedzeniu zawsze będę trzymał kij baseballowy. Shamsur ma mi go przynieść.

Macha mi *Khuda hafiz*, Haroun, który ma tyle powodów do życia, dla którego marzenia imigranta spełniły się w sposób, jakiego nigdy nie oczekiwał.

— Znikłaś na wieczność — mówi Kruk. W przytłumionym świetle latarni jego oczy odrobinę mnie oskarżają. — Czemu wyglądasz tak promiennie?

— Kruku! — śmieję się, wspominając dziewczyny bugenwille. — Jesteś zazdrosny?

— Dziwisz mi się? Niech się napatrzę. — Dotyka mojego policzka. Przyciąga mnie do siebie na długi, zapierający oddech pocałunek, chowa twarz w mojej szyi, Kruk uczący się konturów mojego ciała. Potem poważnieje. — To raczej — wiem, że to brzmi głupio — ale czuję się, jakbyś w każdej chwili mogła zniknąć. Jakbyśmy mieli tylko niewiele czasu. — Cofa się znowu, by spojrzeć mi w oczy. — Powiedz, że to głupie.

— Głupie — mówię, patrząc na swoje palce, ich różowy jak muszla połysk.

— Hej. Ciągłe masz ten pakunek. Myślałem, że po to tam poszłaś, żeby to dać twojemu przyjacielowi.

— Zmieniłam zdanie, Kruku. Czy zabierzesz mnie w jeszcze jedno miejsce?

Wzdycha.

— Kobieto, nie rób mi tego.

— To zajmie tylko kilka minut.

— No dobrze. Postaraj się pospieszyć, OK?

Gdy gasi silnik, całuję jego oczy, pozwalam moim wargom zatrzymać się na powiekach, na miękkich wgłębieniach pod nimi.

— By ci dodać sił do mojego powrotu — mówię.

Jęczy.

— Zdaje się, że właśnie skończyła się moja cierpliwość.

Śmieję się, czując moją moc, ja, która po raz pierwszy we wszystkich swych żywotach sprawiłam, by mężczyzna przema-
wiał w ten sposób.

Oświetlone przyćmionym światłem molo wydaje się bardzo długie, woda bardzo czarna, pakunek bardzo ciężki. A może to ciężar w moim sercu? Oddech drży w mojej piersi. Boję się, że nigdy nie dotrę do końca.

Znów przychodzi do mnie nieproszona stara tęsknota. Węże, czy wy...

Te słowa to chaos śniegowych płatków w światłach samochodu. Już znikły. Wiem, że to nie jest właściwy czas.

Przyprawy, przykro mi, mówię, stojąc nad atramentową krawędzią wody. Ale myślę, że wreszcie uczyniłam właściwie. Dla Harouna najlepiej żyć życiem miłości, nie nienawiści i ranienia, które przynoszą tylko więcej sobie podobnych.

*Powinnaś była o tym wcześniej pomyśleć, Tilo. Ich głos do-
bywa się znikąd i zewsząd, jak w sztuczce oszusta. Gdy jut
nas zbudziłaś, musimy użyć naszej mocy. Coś musi zostać zni-
szczone. Ty nam powiedz, co.*

Przyprawy, śpiewam pieśń przebłagania. Czy ten jeden raz nie możecie podróżować drogą wybaczenia?

Świat nie kręci się w taki sposób, głupia Mistrzyni, myśląca, że potrafisz zwinąć w górę spadający wodospad, że możesz sprawić, by leśny pożar wyszał własne rozpalone do czerwoności języki. Albo jak by powiedział ten mężczyzna czekający w samochodzie, znów trzymać w dłoniach ptaka, który już uleciał.

Nie mieszajcie go w to, przyprawy, to sprawa między mną i wami.

Pakunek w mojej ręce połyskuje z gorąca. A może z gniewu.

Tilo, która nie powinnaś była bawić się siłami przekraczającymi twoje rozumienie. Zniszczenie, które rozpetalaś, dotknie każdego życia wokół ciebie. Całe to miasto się od niego zatrząsie.

W takim razie nie ma nic więcej do powiedzenia, mówię im, wargami suchymi od nagłego strachu, z którego chcę się otrząsnąć, ale nie potrafię. Zniżam pakunek w wodę, wypuszczam go. Opada powoli, rozszarzony. Gdy wreszcie znika, robię wydech. I oto, co mówię, nim odwrócę się, by przejść długą drogę powrotną.

Przyprawy, zacznijcie od mojego życia, jeśli musicie. Weźcie mnie pierwszą. Na mnie zużyjcie swą nienawiść.

Tilo, jak ty mało rozumiałaś. Głos z głębi jest sykiem jak woda na gorącym żelazie. A może to westchnienie. Jak wodospad, lawina, ogień w lesie, my nie nienawidzimy. Czynimy tylko to, co musimy.

Kruk mieszka na ostatnim piętrze budynku, który wydaje mi się najwyższy na świecie. Ma szklane ściany. Gdy winda się unosi, widzimy, jak całe połyskujące miasto opada pod nami. To jest prawie jak latanie.

Szerokim gestem otwiera drzwi.

— Witaj w moim domu. — Jego głos lekko drży. Ze zdzi-

wieniem uświadamiam sobie, że mój Amerykanin się denerwuje. Głęboko we mnie gwałtowna fala. Miłość i nowe pragnienie, by ukoić tego mężczyznę.

— Jest piękny — mówię, i tak jest. Otacza nas światło, choć nie umiem powiedzieć, skąd pochodzi. Miękki biały dywan, w którym moje stopy zapadają się po kostki. Niskie szerokie sofy z gładkiej białej skóry. Na ścianie jeden duży obraz, wirowanie w kolorach wschodu słońca, a może początku świata. W kącie, pod rozrośniętym fikusem, posąg apsary. Klękam, by dotknąć ostro wyrzeźbionych rysów. To przypomina dotykanie mojej własnej twarzy.

W sypialni ten sam wstrzemięźliwy luksus, ta sama zaskakująca skromność. Łóżko przykryte haftowaną jedwabną narzutą, biało na bieli. Lampa. Jedna duża biblioteczka, po brzegi wypełniona książkami, czytany długo w noc. Zewnętrzna ściana to jedynie szkło. Mogę przez nią dostrzec światła, małe żółte dziurki przebijające czas nocy, za nimi ciemny zegar zatoki. Jediną dekoracją w pokoju jest batik z Buddą, lotosowa dłoń uniesiona we współczuciu.

Playboyu Kruku, mój amerykański bywalcze przyjąć, tego bym nigdy nie odgadła.

Jakby w odpowiedzi mówi:

— Zmieniałem wystrój, wyrzuciłem dużo moich starych rupiec, wyobrazałem tu sobie ciebie. Podoba ci się?

— Tak. — Mój głos jest niżony. Napelnia mnie pokorą, że ktoś mógł zbudować dom wokół swojego wyobrażenia o mnie. I czuję z tego powodu poczucie winy.

— Chociaż to właściwie nie ma znaczenia, prawda? — dodaje. — Skoro niedługo wyjedziemy.

— Tak, niedługo — mówię sztywnymi wargami.

Kruk wyłącza lampę. W chłodnym srebrnym świetle księżycy czuję za sobą jego oddech, pachnący migdałami i brzoskwiniami. Oplata ręką moją talię. Jego usta na moim uchu, jego szept ciepły jak skóra.

— Tilo.

Zamykam oczy. Całuje moje ramiona, mój kark, drobne pocałunki na każdej z osobnych wysepek kręgosłupa. Obraca mnie do siebie, rozpiną moją suknię i pozwala jej opaść w jedwabnym wirze do moich stóp. Jego dłonie poruszają się po moim ciele niby gołębie.

— Tilo, spojrzysz na mnie, dotknij mnie też.

Jestem zbyt zawstydzona, by otworzyć oczy, ale wsuwam dłoń pod jego koszulę. Jego skóra jest napięta i gładka, wszędzie prócz obojczyka, gdzie ma małą pomarszczoną bliznę, ślad * dawnej walki. Wzbudza to we mnie czułość, która mnie samą zadziwia, mnie, która zawsze pragnęła mocy doskonałości, a teraz odkrywa, że ludzka słabość ma własną moc. Całuję bliznę i słyszę ostry oddech w jego gardle. Potem jego usta są wszędzie, jego język, drażniący, wysuwający mnie ze mnie samej. Ja, Tilo, która nigdy nie myślałam, że tak zadziwiająco szybko nauczę się dróg przyjemności, przyjemności, która płynie po ciele jak ciepły miód, po czubkach palców u rąk i nóg, po każdym porze skóry.

Teraz jesteśmy w łóżku, ściany opadły, gwiazdy lśnią w naszych włosach. Podnosi mnie w górę, pozwala, by moje włosy przesłoniły mu twarz jak pieśń wody.

— W ten sposób, droga.

Ale ja już wiem. *Makaradwaj*, król przypraw, mówi mi, co robić, tak że Kruk śmieje się nisko, gardłowo:

— Tilo! — Potem chwyta powietrze i przechodzi go dreszcz.

W swym uchu słyszę głos przyprawy: *Użyj wszystkiego. Ust i raki, tak, paznokci i zębów, mrugania rzęsy na jego skórze, tego szczególnego spojrzenia twoich oczu. Dawaj i odbieraj, drażniąc się. Jak czyniły wielkie kurtyzany na dworach Indry, króla bogów.*

Pozwól mu odkryć ląd, którym jesteś, góry i jezioro, i zarys miasta. Pozwól mu wyrzeźbić drogi, którymi nikt przed nim nie

szedł. Pozwól mu wreszcie wejść tam, gdzie jesteś najgłębsza i najbardziej nieznana, w gęste winorośle, krzyk jaguara, oszalamiający aromat rajanigandha, dzikiej tuberozy, kwiatu nocy poślubnej. Bo czyż miłość nie jest złudzeniem, że otworzycie się na siebie całkowicie, nie pozwalając na zachowanie śladu dystansu.

O makaradwaju, czemu mówisz: „Złudzenie”? Jestem gotowa oddać temu mężczyźnie wszystkie moje tajemnice i moją przeszłość, i terażniejszość.

A twoją przyszłość? Powiesz mi, gdy wasze kochanie się zakończy, że ten pierwszy raz jest też ostatni? Powiesz mi o ogniu Shampati?

— Tilo! — Kruk krzyczy ponaglająco, przyciąga do siebie moje biodra, i jeszcze, i jeszcze, kość do kości, aż poczuje jak nas oboje ogarnia gorące wyzwolenie. Aż staniemy się zarazem jednym ciałem i wieloma ciałami, i bezcielesnością.

To wówczas czuję smutek, żar porzucający moją skórę jak ostatnie barwy porzucają wieczorne niebo, wprawiający mnie w drżenie. Część mnie umiera, czuję oddalającą się pieśń w każdej wydrążonej kości, w każdym kruszącym się włosie, w każdej części ciała zasypiającej ku dawnemu kształtowi. Czy Kruk też to czuje?

Czy to przyprawy mnie opuszczają?

Tilo, nie myśl teraz o tym.

Teraz pozwól nam leżeć w objęciach pod narzutą białą jak wierność, pozwól naszym oddechom zwalniać. Przez moment jego ramiona, okrążające mnie, są blankami, których czas nie może wziąć szturmem. Usta przy ustach szepczemy sennie .. drobne czułości, które nie mają sensu, chyba że słuchasz sercem. Zapach miłosego potu na jego skórze. Rytm jego krwi, który już znam równie dobrze jak własny.

Ta czułość, gdy wyczerpało się pożądanie, co może być słodsze?

Zanim zapadnę w sen, słyszę, jak mówi:

— Tilo, droga, nie mogę uwierzyć, że będziemy razem przez całe życie takich nocy. — Ale jestem zbyt głęboko w wodach snu, by odpowiedzieć.

O ty, która masz więcej niż ja wiedzy o kochaniu, o jedno cię zapytam: czy śpiąc w ramionach kochanka, śniesz jego sny? Bo cóż to jest, co widzę pod zamkniętymi powiekami? Sekwoja z czerwoną korą i niewinnie niebieski eukaliptus, wiewiórki z jedwabście brązowymi oczami. Ziemia, w którą wrastasz, by zo-
» stać przez nią przemienionym. Jej zima chodnych jaskiń i dymiącego ognia, jej wodospady zamarznęte w bezgłośność. Jej lata piaszczystej ziemi pod twymi bosymi stopami, pod naszymi nagimi plecami, gdy kochamy się na polach dzikich maków.

Kruku, wiem, że masz rację, gdzieś czeka to miejsce, które nazywasz ziemskim rajem. Więc jeszcze bardziej boleję, pragnąc go, wiedząc, że nigdy nie pójde tam z tobą, ja, Tilo, której czas się kończy.

Wierci się z jękiem, jakby słyszał moją myśl. Mruczy słowo, które brzmi jak „ogień”.

Sztynnieję. Mój Amerykaninie, czy ty śniesz mój sen?

Na chwilę wynurza się ze snu, by mi ofiarować rozproszony uśmiech, by wtulić się w moje ramię, moją szyję.

— Mój tropikalny kwiat — mówi. — Moja tajemnicza indyjska piękność.

Amerykaninie, dobrze, że mi przypominasz, mnie, która omal się w tobie nie zatraciłam. Kochałeś mnie za kolor mej skóry, za akcent mojej mowy, za osobliwość moich obyczajów, które obiecywały ci magię, jakiej już nie znajdujesz w kobietach twojej własnej ziemi. W swej tęsknocie uczyniłeś ze mnie kogoś, kim nie jestem.

Zbyttno cię nie winię. Może to samo czyniłam z tobą. Ale jak gleba nieporozumienia może wykarmić sadzonkę miłości? Nie udałoby się nam nawet bez przypraw trzymających przy nas straż. I kto może wiedzieć, czy byśmy się nie znenawidzili?

Tak jest lepiej.

Ta myśl daje mi siłę, by oderwać moje odporne ciało od jego ciepła. By zrobić to, co muszę, nim on się zbudzi.

W kuchennej szufladzie znajduję papier i ołówek. Zaczynam.

Napisanie listu zajmuje wiele czasu. Palce mam sztywne. Moje nieposłuszne oczy chcą płakać. Mój umysł podsuwa tylko słowa miłości. Ale wreszcie kończę. Otwieram szafkę w łazience, owijam list wokół tubki pasty, gdzie Kruk znajdzie go jutro rano.

Potem go budzę.

Sprzecamy się, nasza pierwsza kłótnia kochanków. (I ostatnia, mówi głos w mojej głowie).

Muszę wrócić do sklepu, mówię Krukowi. Jest zły. Dlaczego nie możemy zostać razem do rana, kochać się jeszcze raz we wczesnym świetle? Przyniesie mi do łóżka śniadanie.

O Kruku, gdybyś wiedział, jak bardzo bym chciała...

Ale o świcie, gdy ogień Shampati zapłonie — czy tego chcę, czy nie — muszę być od niego daleko.

Mój głos staje się zimny, mówię mu, że muszę być sama, wszystko przemyśleć.

— Już się mną zmęczyłaś?

Kruku, Kruku, płaczę w sercu.

Mówię mu, że trzeba zrobić coś pilnego, nie mogę wyjaśnić co.

Jego usta zastygają w linię głębokiej urazy.

— Myślałem, że nie będziemy już mieli tajemnic. Że od teraz mamy dzielić nasze życie, wszystko. Czy nie to mi właśnie obiecałaś swoim ciałem?

— Proszę, Kruku.

— A co z naszym wspólnym miejscem? Nie poszukamy go razem?

— Po co ten pośpiech? — Dziwi mnie zimny fałsz mojego głosu, gdy żołądek zaciska się i wiruje.

— Nie powinniśmy marnować więcej czasu — głos Kruka

jest naglący — teraz, gdy znaleźliśmy siebie. Ty ze wszystkich ludzi najlepiej powinnaś wiedzieć, jak niepewne jest życie, jak kruche.

Krew w moich uszach wybija echem „kruche, kruche”. Gwiazdy za oknem zawrotnie pędzą ku porankowi.

— OK — mówię na koniec do Kruka, ja, która jestem zbyt tchórzliwa, by patrzeć, jak prawda roztrzaskuje się w jego oczach. — Wróc rano, a pojedę z tobą. — Szeptem dodaję: — Jeśli jeszcze tam będę.

Wiem, że mnie nie będzie.

Jedziemy w ciszy. Kruk, wciąż niezadowolony, bawi się pokrętle radia. Zwierzęta w zoo w Oakland zachowywały się dziwnie, cały wieczór rycząc i wyjąc, oświadczają prezenter nocnych wiadomości. Śpiewak o głosie jak trzciny na wietrze informuje nas, że jeśli podróżujemy szybciej niż dźwięk, musimy się spodziewać spłonienia.

Ogniu Shampati, jak szybko ja będę podróżować, jak jasno zapłonę?

Widzę list tak, jak Kruk zobaczy go rano, gdy potykając się, wejdzie do łazienki, jego zasnutym oczom wciąż z nadrukiem kształtu moich ust. Oczy, które otworzy z zaskoczenia, wytrząsając z nich wełnę snów.

Kruku, wybacz mi, powie list. Nie spodziewam się, byś zrozumiał. Tylko byś uwierzył, że nie miałam wyboru. Dziękuję Ci za wszystko, co mi dałeś. Mam nadzieję, że i ja trochę dałam Tobie. Nasza miłość nigdy by nie przetrwała, bo opierała się na wyobrażeniu, Twoim i moim, jak to jest być Hinduską. Być Amerykaninem. Ale tam, dokąd idę — na życie czy śmierć, nie wiem — zaniosę jej krótką bolesną słodycz- Na zawsze.

S EZAM



Nie otwieram drzwi sklepu z przyprawami, nim Kruk nie odjedzie z warkotem. Obawiam się, jaką znajdę zapłatę za ten ostatni czyn, miłość wyrwaną w sposób niedozwolony dla Mistrzyni.

Ale wszystko jest tak, jak zostawiłam. Prawie czuję zawód. Przez cały ten czas zamartwiałam się bez powodu. Będzie, jak powiedziała Pierwsza Matka — wstąpię na stos Shampati, obudzę się na wyspie, by przejąć jej brzemię. O, kara nastąpi, w to nie wątpię. Może piętno wypalone na skórze, bym zawsze pamiętała, może (bo już czuję, jak się zmienia, kości z powrotem zwijają się w węzły) ciało starsze i brzydsze, ze wszystkimi bólami takiego ciała.

Przechodzę wzdłuż opróżnionych półek, żegnam się, wspominam chwilę. Tu Haroun po raz pierwszy podał mi dłoń do powróżenia, tu żona Ahuji z podziwem pochyliła się nad sari w kolorze jedwabnego serca papai. Tu Jagjit stał za matką, niewinny, w turbanie zielonym jak pierś papugi. Ale już wyslizgują mi się ich imiona, ich twarze, nawet ten smutek zapominania przytłumiony, jakbym odeszła już dawno.

Kruku, czy ciebie także zapomnę?

Dopiero gdy jestem w połowie sklepu, wyczuwam to, subtelne jak przesunięcie światła i cienia na nocnym niebie, gdy wypali się gwiazda. Dawna Tilo od razu by to poznała.

Sklep jest tylko skorupą. Cokolwiek w nim było, dając mu ciepło i oddech, dawno odeszło.

Przyprawy, co to znaczy?

Ale nie mam czasu, by to teraz rozważać. Kończy się trzeci dzień, słyszę, jak planety obracają się szybciej, godziny rzucone jak kamienie w niebo. Ledwo został czas, by przygotować ogień Shampati.

Przynoszę wszystko, co zostało w sklepie — przyprawy, *dale*, worki *atty* i ryżu, i *bajry* — i usypuję stos w środku pokoju. Rozrzucam z wierzchu przyprawę, która dała mi imię, sezam, ziarnisty *Ul*, by mnie osłonił i ochronił w długiej podróży. Lekko drżąc, pozwalam opaść białej sukni. Nie wolno mi zabrać niczego z tego życia, muszę odejść z Ameryki tak naga, jak w nią weszłam.

Teraz jestem gotowa. Zanurzam dłonie w turmeriku, przyprawie odrodzenia, którą zaczęłam tę opowieść, i unoszę kamienny słoć, w którym trzymałam chilli. Siadam w asanie lotosu na stosie przypraw (a moje członki już protestują jękiem) i po raz ostatni otwieram słoć. Odsuwam umysł od wszystkiego, co kochałam, a gdy się opróżnia (czy taka jest śmierć?), czuję zaskakujący spokój.

Unoszę jedyne chilli, które zostawiłam w słoju na ten moment, i wymawiam słowa wezwania.

Przybądź, Shampati, weź mnie.

Pierwsza Matko, czy ty w tej chwili śpiewasz powitalną pieśń, pieśń, by pomóc mojej duszy przedostać się przez te warstwy, kość i stal, i zabraniające słowo, które oddzielają dwa światy. Czy też w chorobie lub może rozczarowaniu pozwoliłaś mi wypaść z twojego umysłu?

Strach tłucze się w moich uszach jak przerażony sztormem ptak. Teraz w każdej chwili płomienie...

Ale nic się nie dzieje.

Czekam, potem znów wymawiam słowa. I znowu. Za każdym razem głośnieję.

Nic.

Teraz już ze szlochem wypowiadam słowa, próbuję innych zaklęć, nawet najmniejszej magii, proszę, proszę.

Wciąż nic.

Przyprawy, co wy robicie, co to za złośliwa sztuczka?

Nie ma odpowiedzi.

Przyprawy, w duszy już odeszłam, przebijam się przez przestrzeń i czas, moja skóra muskana przez meteory, moje włosy płoną. Nie przedłużajcie mojego cierpienia, błagam was, ja, Tilo, wreszcie upokorzona i przerażona, jak chciałyście.

Cisza bardziej znacząca, niż kiedykolwiek słyszałam, nawet planety się zatrzymują.

I w tej ciszy widzę karę przypraw.

Zostawiły mnie tutaj, samotną i odartą z magii. Dla mnie nie będzie ognia Shampati. Ogień Shampati, którego bałam się tak długo. Teraz nagle bardziej się boję mojego życia bez niego.

O piękne ciało, w którego żyłach krew staje się już gęsta i powolna, teraz to widzę. Zostałam skazana na życie w tym bezlitosnym świecie jako stara kobieta, bez mocy, bez środków utrzymania, bez jednej istoty, do której mogłabym się zwrócić.

O przyprawy, które tak dobrze znacie moją najgłębszą słabość, dumę, oto doskonały wyrok. Bo jak mogę pójść do tych, którym pomagałam, którzy przez cały czas bali się mnie i podziwiali, którzy kochali mnie za wszystko, co dawałam, jako to nagie wytrawione ja? Jak mogę znieść litość w ich oczach, a pod nią odrazę, gdy będę wyciągać zebrzącą dłoń?

Kraku, zwłaszcza z tobą nigdy bym taka nie stanęła twarzą w twarz.

A więc. Moje życie leży przede mną skręcone jak zaułki, w których zamieszkam, bezzębna i śmierdząca odpadami ciała, ukrywając twarz przed wszystkimi, którzy mogli mnie znać, pchając ciężar mojego życia w ukradzionym wózku, sypiając w bramach i modląc się, by pewnej nocy ktoś...

Każde włókno mojego obolałego ciała krzyczy: Lepiej wdrapać się na czerwonozłote dźwigary mostu, poczuć, jak ciemna woda zamyka się nad głową, wodorosty okręcają się wokół członków, wijąc się jak węże. Lepiej od razu skończyć!

Nie.

Przyprawy, ja, Tilo, przyjmuję wasz wyrok. Mimo przerażenia i złamanego serca, samotności utraconego kochania i mocy zamienionej w popiół, biorę na siebie to życie na tak długo, jak muszę. Na zawsze, jeśli tak postanowicie.

Oto jest moja pokuta. Odbędę ją z własnej woli. Nie dlatego, że zgrzeszyłam, bo czyniłam to z miłości, w której nie ma grzechu. Gdybym miała zacząć od nowa, zrobiłabym znów to samo. Przeszłabym przez zakazany próg sklepu, by zanieść Geecie do jej lśniącej wieży pikle z mango i pocieszenie. Trzymałabym mocno dłoń Lality w mojej i mówiła jej, że zasługuje na szczęście. Znów dałabym Harounowi korzeń lotosu na miłość, która jest więcej warta niż jego marzenia imigranta. I znowu, tak, uczyniłabym się równie ponętna jak Tilottama, tancerka bogów, dla przyjemności Kruka.

Ale wiem, że trzeba zapłacić za złamanie zasad. Zachwiana równowaga musi zostać przywrócona. By jeden mógł być szczęśliwy, inny musi na siebie przyjąć cierpienie.

Powraca do mnie opowieść z mojego zapomnianego dzieciństwa: na początku świata, szukając nektaru nieśmiertelności, bogowie i demony wzburzyli *halahal*, najbardziej gorzką trucizną pierwotnego oceanu. Jej opary pokryły ziemię i wszystkie stworzenia umierając, wykrzykiwały swe przerażenie. Wtedy wielki Siwa wziął *halahal* w złożone dłonie i wypił go. Straszliwa trucizna spaliła mu gardło, czyniąc je sinoniebieskim, i takie jest po dziś dzień. Ach, to musiało być bolesne nawet dla boga. Ale świat został ocalony.

Ja, Tilo, nie jestem boginią, a tylko zwykłą kobietą. Tak, przyznaję, przez całe życie próbowałam uciec od tej prawdy. I chociaż kiedyś myślałam, że mogę ocalić świat, teraz widzę, że wniosłam tylko krótkie szczęście w kilka żywotów.

A jednak to nie wystarczy.

Przyprawy, dla nich przyjmę każdy ciężar, jaki zechcecie na mnie nałożyć. Dajcie mi tylko godzinę snu. Jedną godzinę

zapomnienia, bym nie musiała patrzeć, jak to ciało na powrót staje się zniekształcone. Jedną godzinę, bym odpoczęła, chroniona przed kolczastymi palcami światła, który czeka na mnie, bo jestem zmęczona i tak, boję się.

Przyprawy nie mówią nie.

Kładę się więc, po raz ostatni, w środku sklepu, którego już nie jestem Mistrzynią.

Budzi mnie odległy głos, niosący rozpacz jak wiatr niesie kurz, wzywający mojego imienia. Zdaje się, że minęły tylko chwile, odkąd zasnąłam. Ale już niczego nie jestem pewna.

Głos znów woła: Tilo, Tilo, Tilo.

Czyż to nie ktoś, kogo znam i Kocham?

Wstaję na nogi tak szybko, że aż kręci mi się w głowie. Podłoga podnosi się z jednej strony, wewnątrz olbrzymiej dłoni, która chce mnie strącić. Wszędzie dookoła dźwięk jak rozdieranie, czy to w moim sercu?

Nie. Spójrz, to ten sklep, zbudowany z zaklęcia przypraw, kruszy się wokół mnie jak skorupka jaj. Ściany drżają jak papier, sufit pęka na połowy, podłoga unosi się jak fala, rzucając mnie na kolana.

Ach, przyprawy, nie musiałyście tak gwałtownie odzierać mnie z ostatniego schronienia, gdy zbierałam się na odwagę, by odejść.

Wtem przychodzą do mnie słowa: „Trzęsienie ziemi”.

Zanim mogę je w pełni pomyśleć, grunt drga i znów się otrząsa. Coś frunie przez powietrze — czy to kamienny słoik, czy to odłamek lustra? — by się roztrzaskać na mojej skroni. Czerwone gwiazdy eksplodują mi w czaszce. A może to nasiona chilli?

Ale nawet gdy zanurzam się w bólu, czuję beznadziejną pewność, że to mnie nie zabije.

AYA

fik



Znów się pomyliłam.

Jestem martwa.

A może zbyt szybko się przebudziłam w drodze do przyszłego życia?

O Tilo (ale to przecież już nie jest moje imię), że też ty nawet w tym musisz zawieść.

Bo czym innym może być to miejsce, ciepłe jak łono i równie ciemne, pulsujące mocą, gdy faluje poprzez pustkę?

Próbuję ruchu, by sprawdzić, czy jest możliwy. Moje członki są owinięte w coś jedwabiście miękkiego — czy to mój śmiertelny całun, czy powijaki noworodka? Ale mogę trochę ruszyć głową.

Pantera bólu spoczywała w oczekiwaniu. Teraz rzuca się, więc muszę wykrzyknąć.

To niesprawiedliwe, że nawet po śmierci jest tyle bólu.

Tilo, która już nie jesteś Tilo, odkąd to wiesz dość, by sądzić wszechświat, czy jest sprawiedliwy, czy nie?

— Wcale nie wiem dość, przyznaję — mówię. Mój głos zardzewiał od nieużywania.

— Obudziłaś się? — pyta głos. — Bardzo boli?

Kruk.

Czy on też umarł? Czy trzęsienie ziemi zabiło nas wszystkich, Harouna i Hameedę, Geetę i jej dziadka, Kwesiego, Jagjita, Lalitę właśnie otwierającą się na nowo w innym mieście?

O, niech tak nie będzie.

— Możesz się ruszać? — słyszę głos Kruka, dochodzący skądś z boku spuchniętej sztywności, która jest moją głową.

Wyciągam rękę ku temu dźwiękowi i dotykam ściany z futra. Wymoszczenie sarkofagu, myślę, wspólnego sarkofagu, w którym chowa się kochanków, by ich prochy mogły się mieszać do końca świata. Tylko że ten frunie przez galaktyki, zbacza, by się wymknąć strumieniom meteorów, pokrywających nas pasmami nagłego światła.

Wtem słyszę gniewny klakson.

— Chciałbym, żeby ludzie patrzyli, dokąd jadą — mówi Kruk. — Od trzęsienia tak jest, wszyscy wariują.

— Jestem w twoim samochodzie — mówię. Słowa padają z moich ust jak płaskie kamyki. Nie wyrażają zdumienia, które czuję. Dotykam mojego okrycia. — To narzuta z twojego łóżka — mówię. Nawet w ciemności potrafię wyczuć wypukłe ściegi, zawily wzór, jedwab na jedwabiu.

— To prawda. Myślisz, że uda ci się usiąść? Koło twojej głowy jest trochę ubrań. Możesz je włożyć. Oczywiście tylko, jeśli chcesz.

Chwytam uśmiech w jego głosie. Rozszerza się we mnie jak podwodne światło, dodaje mi siły, gdy z przerwami odwijam się z narzuty. Moja głowa to bryła betonu, niepewnie balansująca na obolałych ramionach. Ciężka jedwabna tkanina raz po raz wysuwa się z moich niezręcznych dłoni, które zapomniały swoich obowiązków.

A może chcę jak najbardziej opóźnić obnażenie tego zniechęconego ciała?

Ostrożnie dotykam. Poznawszy piękno, o ileż trudniej będzie tym razem przyzwyczać się do brzydoty. I do tej myśli, której jeszcze nie potrafię stawić czoła: Co widział Kruk, niosąc mnie do samochodu, skoro musiał mnie nieść? Co czuł?

Ale co to? Ciało pod moimi palcami nie jest wysuszone jak śliwka, włosy nie są przerzedzone, nie łysieję. Piersi trochę

obwisają, talia nie jest szczupła, ale aromat tego ciała nie został całkiem stłumiony.

Jak to możliwe?

Dotykam raz jeszcze, by się upewnić. Łuk łydki, trójkąt kości policzkowej, kolumna szyi. Nie omyliłam się. To nie jest ciało w pierwszym brzasku młodości, ale i nie w ostatnim przekwitnięciu wieku.

Przyprawy, ta gra przekracza moje rozumienie. Dlaczego mnie nie ukarałyście? A może to twoje dzieło, Pierwsza Matko? Tylko dlaczego taka łagodność dla grzesznej córki, która na to nie zasługuje?

Moje pytania wirują w górę, w górę i w noc. I zdaje mi się, że po chwili na dół szybuje odpowiedź, miękki szept, a może tylko to, co chciałabym usłyszeć.

Mistrzyni, która byłaś, gdy bez walki przyjąłś naszą karę w swoim sercu, to wystarczyło. Przygotowawszy swój umysł na cierpienie, nie musiałś przechodzić tego cierpienia także cielesnie.

Głos Kruka wyciąga mnie z wiru moich myśli.

— Jeżeli czujesz się na siłach, spróbuj się precyzyjnie między siedzeniami i usiąść tu koło mnie.

Niezgrabnie przesuwam się na przedni fotel, szybko zerkając na Kruka, który wygląda tak samo jak zawsze. Czuję się niezręcznie w moim nowym ubraniu — w dżinsach, które muszę podtrzymywać paskiem mocno zaciśniętym wokół talii. W za dużej flanelowej koszuli, która pachnie włosami Kruka. To naprawdę inne od tamtej sukni ze światła księżyca i pajęczyny z naszego ostatniego spotkania. Na szczęście w samochodzie jest ciemno — ciemniej, niż zapamiętałam.

Zastanawiam się, czemu. Potem zauważam, że większość latarni, które mijamy, nie świeci.

— Powiedz mi, co się stało? — Ten głos ochryply i wahający się. Jeszcze nie mogę o nim myśleć jako o moim.

Co jeszcze się zmieniło, Tilo, która kiedyś byłaś?

— Kiedy cię odwiozłem, nie mogłem spać — mówi Kruk.
— Byłem za bardzo zdenerwowany. Zacząłem się pakować na podróż. Pojadę sam, powiedziałem sobie, jeśli ona nie chce. Ale wiedziałem, że tak naprawdę tego nie zrobię. Nawet w największym gniewie nie mogłem sobie wyobrazić przyszłości bez ciebie.

Jego słowa płyną przez moje ciało jak wino z miodem, rozgrzewają mnie. Ale nawet gdy słucham, moje oczy są utkwione we wstecznym lusterku. Gdy zatrzymuje się na skrzyżowaniu, obracam je do siebie.

— Muszę popatrzeć — mówię. Mój głos drży trochę, przeprasza.

Kruk kiwa głową, oczy ma pełne współczucia.

Ona jest inna, ta kobieta w lustrze. Wysokie kości policzkowe, proste brwi, a między nimi zmarszczki. Trochę siwych włosów. Nie jest szczególnie ładna czy brzydka, młoda czy stara. Po prostu zwyczajna.

A ja, która przez moje liczne egzystencje wzdragałam się przed zwyczajnością albo z tęsknotą ku niej spieszyłam, widzę, że nie jest ani tak nienawistna, jak myślałam, ani tak pełna niezwykłego uroku. Jest sobą, a ja to przyjmuję, ja, która tylko przez jedną noc byłam śliczną Tilottamą.

W sercu żałuję tylko tego, co musi czuć Kruk, widząc mnie.

— Wiesz — mówi Kruk, który przyglądał się mojej twarzy — raczej tak sobie ciebie zawsze wyobrażałem. — Dotyka mojego policzka delikatnym palcem.

— Jesteś uprzejmy — odpowiadam sztywno. Nie chcę jego litości.

— Nie, naprawdę. — Jego głos mówi: „Proszę, uwierz mi”.

— Nie przeszkadza ci? Że cała ta piękność zniknęła?

— Nie, na początku myślałem, że tak, ale nie. Szczerze mówiąc, to było trochę onieśmielające. Czuję się, jakbym cały czas musiał się prostować, wciągać brzuch. Coś takiego.

Oboje śmiejemy się kruchym, lekkomyślnym śmiechem lu-

dzi, którzy za mało spali, którzy prawie umarli, którzy jednego dnia widzieli takie rzeczy, jakich zrozumienie zajmie całe życie.

Znów zaglądam do lusterka.

I widzę, że oczy są te same. Oczy Tilo. Wciąż lśniące ciekawością. Wciąż zbuntowane. Wciąż gotowe, by podważyć, by walczyć.

Przypominają mi mój list. Przypominają mi, że to, co w nim napisałam, nie zmieniło się.

Wyrywam rękę, którą on podnosi do ust.

— Co teraz, droga? — Jest na pół przejęty, na pół rozba-
wiony.

— Mój list. Czy go czytałeś?

— Tak. Dlatego tak szybko do ciebie dojechałem. Znalazłem go, kiedy pakowałem rzeczy z łazienki. Przestraszyło mnie, że piszesz o wyjeździe nie wiadomo dokąd. To było tak, jakbym znów się znalazł przy łożu śmierci pradziadka, stanął wobec dziwów przekraczających moje zrozumienie. Zawsze wiedziałem, że twoje życie ma drugą stronę, a tam nie ma dla mnie miejsca.

— Już nie.

Kruk słyszy smutek w moim głosie, wyciąga rękę, by dotknąć mojej dłoni.

— W naszym raju nie będziesz jej potrzebować. Nie będziesz potrzebować nic oprócz mnie. — Ścisną moją dłoń.

Nie mówię tak ani nie, więc po chwili on znów zaczyna:

— Czytając twój list, przypomniałem sobie też ten moment w samochodzie z matką, ten, który tak żałośnie sfuszerowałem. To była jakby jeszcze jedna moja szansa. Tym razem zdecydowałem, że postąpię właściwie. Tylko do połowy się spakowałem, ale nie przejmowałem się tym. Musiałem do ciebie dotrzeć, zanim zostaniesz mi na zawsze wyrwana. I dobrze zrobiłem, bo krótko po tym, jak przejechałem most na zatoce, ogłosili — stuka palcem w radio — że został zniszczony. Tak łatwo mogłem utknąć po drugiej stronie.

Kiedy się zbliżałem do sklepu, czułem, jak gniecie mnie zło-wieszczy ciężar, z każdą chwilą cięższy. Wcisnąłem gaz — tak, jakbym się ścigał z czymś niewidzialnym, nie umiem tego wytłumaczyć. Na szczęście na autostradzie nie było prawie nikogo. Nagle — byłem ze dwie mile od sklepu, blisko wody — nastąpił wstrząs. Tak jakby gigantyczna pięść uderzyła z podziemi, prosto pod moim samochodem. Jakby ktoś we mnie celował. Tylko że to szalona myśl, prawda? Rzuciło mnie na drzwi. Wypuściłem kierownicę. Czułem, jak samochód się przechyliła, byłem pewien, że to koniec. Wykrzykiwałem raz po raz twoje imię, tylko że dopiero później zdałem sobie z tego sprawę. Ale samochód jakoś w ostatniej chwili odzyskał równowagę. Nagle zobaczyłem falę przechodzącą nad nabrzeżem, lśniąca jak fosfor. Masywna, na-ladowana energią ściana, która mogłaby rozwalić domek na ka-walki. Minęła mnie o cale. Cale. Wtedy już tak mi się trzęsły ręce, że z trudem utrzymywałem kierownicę. Musiałem zjechać z drogi. Siedziałem tak przez dobre dziesięć minut i słuchałem hałasu. To był warkot spod spodu, jakby budziło się jakieś podziemne zwierzę. Nie wiem, jak długo to właściwie trwało, ale słyszałem to w głowie przez jakiś czas.

Przyznam się. Nigdy w życiu nie byłem taki przerażony.

Ale potem pomyślałem o tobie i zmusiłem się, by wrócić na drogę. Nogi mi się dalej trzęsły, jak po przebiegnięciu dłu-giego dystansu. Nie potrafiłem kontrolować nacisku na gaz. Sa-mochód szarpał i wzdragał się, i bałem się, że znowu wypadnę z drogi. Przez autostradę biegły szerokie pęknięcia, unosił się z nich gaz. Wszystko pokrywał odór siarki. Budynki się paliły i co chwila rozlegały się wybuchy gazu. Nawet przez zamknięte szyby słyszałem krzyki ludzi. Syreny. Karetki. Przez chwilę bałem się, że nie uda mi się przedostać.

I cały czas wiesz, co myślałem? „Proszę, Boże, niech jej się nic nie stanie. Jeśli komuś ma się stać krzywda, niech to będę ja”. Nie pamiętam, żebym kiedyś w życiu o czymś tak intensywnie myślał.

Przysuwam się, opieram głowę na ramieniu Kruka.

— Doceniam to — szepczę. — Nikt dotąd nie ofiarował się, by cierpieć za mnie.

— Dla mnie to też nowe myśleć o kimś bardziej niż o sobie, nie uważać kogoś za naprawdę oddzielonego ode mnie. — Jego rzęsy omiatają policzek, gdy spuszcza wzrok, mój Amerykanin nie śmiejący mówić o takich rzeczach. Wreszcie dodaje bardzo miękko: — Zdaje się, że taka jest miłość.

„Miłość”. To słowo przypomina mi o liście. Ale zanim mogę przemówić, Kruk opowiada dalej:

— Skręciłem w kilka bocznych ulic, wreszcie udało mi się dotrzeć do sklepu. Budynek zupełnie zniknął, nie została nawet jedna stojąca ściana. Jakby — tak, wiem, to głupia myśl — jakby ktoś wywarł na nim szczególną zemstę. Ale przynajmniej się nie palił.

Nie jestem całkiem pewien, co potem zrobiłem. Wiem, że wykrzykiwałem twoje imię jak szalenciec. Wzywałem pomocy, ale nikogo nie było. Przeciskałem się, pazurami odrzucałem gruzy — co ja bym dał za łopatę — klnąc, bo nie mogłem się szybciej ruszać, nie wiedziałem, czy się do ciebie przybliżam. Byłem przerażony, że się udusisz, zanim do ciebie dotrę. Czytałem o takich przypadkach. Albo że może stanę na czymś, pod czym jesteś uwięziona, i zgniotę cię. Wreszcie, kiedy już prawie zrezygnowałem, zobaczyłem dłoń ściskającą — kto by zgadł — czerwone chilli. Kopałem gruz jak szalony i w końcu znalazłem resztę ciebie — tylko że nie miałaś na sobie żadnego ubrania. — Przerzywa, by mi posłać spojrzenie. — Pewnego dnia musisz mi powiedzieć, co robiłaś.

— Pewnego dnia — mówię. — Może.

— Nawet nie wyglądałaś jak ty, nie jak wtedy, kiedy cię podrzuciłem, i nie jak przedtem. Ale ja wiedziałem. Więc zabrałem cię do samochodu. Owinąłem cię. Ruszyłem w drogę, kierując się na północ. Jedziemy już od jakiejś godziny. Musieliśmy zrobić parę objazdów — niektóre części autostrady

są mocno zniszczone. Jesteśmy już prawie przy moście Richmond. To jedyny, który pozostał nienaruszony — jakby to było przeznaczenie, nie uważasz, żebyśmy go mogli przekroczyć i jechać dalej na północ, do rajów.

Przerywa, czeka na odpowiedź. Nic nie mówię, ale czuję się dziwnie lekka, całe moje ciało jest uśmiechem, jakbym była biegaczką przez przeszkody, która nie wierzyła, że sobie poradzi, a właśnie przepełnęła nad ostatnim płotkiem. Kruku, ty podjąłeś za mnie decyzję. Może reszta jest przeznaczeniem i czas, bym się na nie zdała, ja, która tak mocno walczyłam ze swoim losem przez całe życie.

Ale wciąż jedna rzecz pozostaje nie rozwiązana.

Odsuwam się do mojego kąta samochodu.

— Kruku, czy ty czytałeś mój list?

— Tak, oczywiście. Czy nie mówiłem...

— Czy przeczytałeś cały? Tę część, która wyjaśnia, dlaczego my nie możemy...

— Słuchaj, czy nie moglibyśmy omówić tego później? Proszę. W naszym szczególnym miejscu takie rzeczy same się ułożą. Jestem tego pewien.

— Nie. — Mój głos brzmi niewdzięcznie, twardo. Chciałabym umieć z wdziękiem zgadzać się, jak się tego tak często uczy kobiety — Hinduski i nie-Hinduski. Zaczęła się kłótnia. Ale wiem, że mam rację, nie robiąc tego.

Kruk spostrzega wyraz mojej twarzy, zjeżdża na pobocze.

— Dobrze — mówi. — Rozmawiajmy.

— Nie rozumiesz, o co mi chodzi? Nie widzisz, dlaczego to się nigdy nie uda? Każde z nas kocha nie to drugie, ale egzotyczny obraz drugiego, który sobie urobiliśmy z naszych własnych braków, naszych własnych...

— To nieprawda. — Jego głos jest do żywego zraniony. — Kocham cię. Jak możesz mówić, że nie?

— Kruku, ty nic o mnie nie wiesz.

— Znam twoje serce, najdroższa. Wiem, jak kochasz. Czy to się w ogóle nie liczy?

Tak, chcę krzyknąć. Ale mocno się wstrzymuję wbrew pragnieniu.

— Wszystko, co cię we mnie pociągało — moja potęga, moja tajemniczość — to wszystko i tak znikło.

— I widzisz, ja nadal tu jestem. — Wyciąga do mnie rękę. — Czy to nie dowodzi, że się mylisz?

Moje dłonie poruszają się z własnej woli, z tęsknoty, by spocząć w jego dłoniach. Ale je odsuwam. Zwijam w pięści na podolku.

Kruk przygląda mi się przez chwilę, potem wzdycha.

— OK, może moje wyobrażenie o tobie i twoim ludzie nie jest słuszne. I może, jak powiedziałaś, nie wiem za wiele o tym, kim ty jesteś, kim my jesteśmy. Ale jeśli odejdziesz, to nigdy się nie dowiem, prawda?

Gdy nic nie mówię, ciągnie:

— Nauczmy się nawzajem tego, co powinniśmy wiedzieć. Obiecuję słuchać. A ty — wiem już, że jesteś dobra w słuchaniu.

Przygryzam wargę, zastanawiając się.

— Proszę — mówi Kruk. — Daj mi... nam... szansę. — Znów wyciąga rękę. I widzę to, czego wcześniej nie dostrzegłam — zdarte wnętrza dłoni, połamane paznokcie.

„Dla mnie”.

Ty, która byłaś kiedyś głupią Tilo, która może nadal jesteś głupia, czy to nie jest warte całej wiedzy świata?

— Kruku — szepczę. I podnoszę jego poranione ręce do ust.

Gdy skończyliśmy mówić to, co mówią kochankowie, którzy prawie się utracili, gdy obejmowaliśmy się tak długo, aż jego oddech stał się moim, a mój — jego, Kruk odpala samochód.

— Przy twoich stopach jest skrzynka z mapami — mówi.
— Różne trasy na północ, w góry. Może byś je przejrzała i wybrała tę, która ci się najbardziej spodoba?

— Ja? Ale ja nic nie wiem o tych drogach, która jest dobra, a która nie.

— Ufam twojej intuicji. Zresztą, co tam, jeśli źle pojedziemy, po prostu spróbujemy jeszcze raz. Będziemy szukać, aż znajdziemy nasz raj, a każdym kawałkiem drogi będziemy się razem cieszyli.

Jego śmiech to złota fontanna, z której spragniona piję. Potem przebiegam palcami po mapach i unoszę jedną na wyczcucie. W moich palcach tętni obietnicą.

„Tak, Kruku, razem”.

Ostatni przystanek, oplata za przejazd, potem będziemy tylko my i noc.

Most zbliża się powoli, jego światła spokojne i pozbawione zainteresowania, jak kiedyś były oczy przypraw. Dają mi pozwolenie. „Tak, tak”. Szepczę te słowa do siebie, kładę rękę na kolanie Kruka. Uśmiecha się, zwalniając, by zapłacić. Płynąc na tym uśmiechu, przez mgłę słyszę, jak mówi coś do mężczyzny w budce.

— Tak, naprawdę okropne — potwierdza mężczyzna. — Najgorsze od lat. Ogień narobił więcej zniszczeń niż trzęsienie. Skąd jedziecie? Z Oakland? Słyszałem, że tam było centrum, blisko śródmieścia. Dziwne, nie? Nikt nigdy nie myślał, że tam właśnie biegnie niebezpieczna linia.

Porywam swoją rękę z kolana Kruka, jakby jej dotyk mógł palić, spoglądam na wnętrze dłoni. Ach, Kruku, to tu są te niebezpieczne linie.

Samochód znowu się porusza, gładko, szybko, pewnie. Wpatruję się w północ ponad lekko wzburzoną wodą, ponad łamiącymi się odbiciami gwiazd. Za tą ziemią, za tymi górami,

gdzieś za tym ziemskim rajem z czarnym ptakiem, bez ruchu wiszącym na srebrnym niebie.

Dla Kruka on istnieje. Ale i dla mnie może istnieć.

Gdy docieramy do drugiego końca mostu, kładę mu dłoń na ramieniu.

— Zatrzymaj się, Kruku.

— Czemu?

Widzę, że jest niezadowolony. Nie podoba mu się to, nie ufa temu, co mogę zrobić. Całe jego ciało napręża się, by jechać dalej.

Podjeżdża jednak do platformy widokowej.

Popycham drzwiczki, wysiadam.

— Co teraz robisz?

Ale już wie. Idzie za mną do krawędzi i patrzy razem ze mną.

W dole na południu za wodą brudny czerwony blask, płonąca miasto. Prawie to słyszę, tłusty syk płomieni, wybuchające domy, pompy strażackie, wozy policyjne, megafony. Ludzie wypłakujący swój ból.

— Kruku — szepczę. — Ja to sprawiłam.

— Oszalałaś. To jest obszar sejsmiczny. Takie rzeczy zdarzają się co parę lat. — Wciska mi rękę pod łokieć i próbuje zaprowadzić mnie z powrotem do samochodu. W jego umyśle już spacerujemy pod sekwojami pachnącymi czystością. Zbieramy żołędzie do jedzenia i drewno na rozpałkę. Gdybym tylko skończyła z tymi głupstwami.

Wiem, jaki zapach ma spalenizna. Nie zapomniałam śmierci mojej wioski, choć to było całe żywoty temu, bo i to także ja spowodowałam. Dym i przypiekanie. Tlenie się. Każda rzecz, którą bierze w swoje posiadanie ogień, wydaje inny zapach. Pościel, wóz zaprzężony w woły, kołyska. Tak znika w płomieniach wieś. Miasto byłoby inne, autobusy i samochody,

komplety mebli z kanapą pokrytą sztucznym tworzywem, eksplodujący telewizor.

Ale zapach zwęglonego ciała jest wszędzie jednakowy.

Kruk patrzy na mnie. Wokół jego ust są nowe zmarszczki, ściśnięte i zmęczone. Nowe znużenie w oku: strach, że jego sen się nie spełni, tu na samym końcu, gdy ostatni most został przekroczony.

Żal podnosi się w moim gardle jak lawa. Kruku, pomyśleć, że to ja jestem przyczyną tego spojrzenia, ja, która kocham ciebie bardziej niż kogokolwiek we wszystkich światach, które przewędrowałam.

Tak łatwo byłoby mi odwrócić się od tego płonącego miasta. Wziąć cię za rękę. Widzę to, samochód sunie przez świt wycelowany jak strzała, ze światłem słońca połyskującym na bokach, nie zatrzymuje się, aż dotrzemy do szczęścia.

Każda cząstka mego ciała o to woła.

— Kruku. — Słowa są zakrzywionymi kośćmi, które muszę wyciągnąć, krwawiąc, z gardła. — Nie mogę z tobą jechać.

Jakaś częścią nienawidzę siebie samej za ten ból, który skacze w jego oczach.

Wyciąga rękę, jakby chciał mnie chwycić. Potrzęsnać mną, żebym odzyskała rozsądek. Ale po chwili pozwala jej opaść.

— Co przez to rozumiesz?

— Muszę tam wrócić.

— Co?!

— Tak, do Oakland.

— Ale dlaczego? — Jego głos jest postrzępiony od frustracji.

— Żeby spróbować pomóc.

— Mówiłem ci, to szaleństwo myśleć, że ty jesteś za to odpowiedzialna. Poza tym, mają dużo innych ludzi, którzy są przeszkoleni do takich rzeczy. Tylko byś przeszkadzała.

— Nawet jeśli masz rację — mówię — nawet jeśli nie ja to spowodowałam, nie mogę po prostu zostawić takiego cierpienia.

— Przez całe życie pomagałaś ludziom. Czy już nie czas, byś zrobiła coś innego, coś dla siebie?

Jego twarz jest tak otwarta w tej prośbie. Gdybym tylko mogła się na to zgodzić. Ponieważ nie mogę, mówię:

— Czyż wszystko, co robimy, nie jest ostatecznie dla nas? Kiedy byłam Mistrzynią, także...

Ale on nie jest w nastroju do słuchania.

— Gównu — mówi. — Gównu. — Tłucze pięścią w balustradę. Jego wargi są cienkie i zbielełe. — A co z ziemskim rajem? — pyta w końcu. W jego ustach ta fraza jest złamanym dźwiękiem.

— Ty pojedź. Proszę. Nie musisz mnie odwozić. Złapię okazję.

— Więc zamierzasz się wycofać z obietnicy, co? Tak po prostu? — Jego oczy wypełnia nie wyrażony gniew.

Moje serce jest tak przepelnione smutkiem, że muszę się trzymać balustrady, żeby ustać. Czy dwoje ludzi, jakkolwiek głęboka byłaby miłość, może wyjaśnić sobie nawzajem swoje życie? Wyrazić swoje pobudki? Czy w ogóle warto próbować?

Już mam westchnąć. Powiedzieć: „Zostawmy to, nigdy tego nie zrozumiesz”.

Potem myślę: „Nie. Ponieważ umieściłam cię w moim sercu, Kruku, muszę ci powiedzieć, co jest dla mnie prawdą. Niezależnie od tego, czy zrozumiesz. Bez względu na to, czy uwierzysz, czy nie”.

Odwracam się do niego i po raz ostatni otaczam dłońmi jego brodę. Jaki miękki jest na niej nocny zarost, przypomina młode sosnowe igły.

Spogląda, jakby chciał mnie odepchnąć. Potem pozwala na to.

— To by się nie udało, Kruku. Nawet gdybyśmy znaleźli nasze szczególne miejsce. — Biorę głęboki oddech, a potem mówię to: — Bo nie ma ziemskiego raj. Oprócz tego, co możemy tam uczynić, wśród sadzy, wśród gruzów, wśród spie-

czonych ciał. Między pistoletami i igłami, w pyłe białego narkotyku, wśród młodych mężczyzn i kobiet, którzy kładą się, by śnić o bogactwie i potędze, a budzą się w celach. Tak, w tej nienawiści, w tym strachu.

Zamyka oczy. Nie chce nic więcej słyszeć.

Żegnaj, Kruku. Każda komórka mojego ciała krzyczy, by zostać, ale muszę odejść, bo ostatecznie pewne rzeczy są ważniejsze od własnych rozkoszy.

Odwracam się, żeby ruszyć mostem z powrotem. Ja, niegdyś Tilo, która właśnie teraz uczy się, że kwiat miłości rośnie tylko na drzewie pokrzywę.

— Zaczekaj. — Oczy ma otwarte, a w nich zrezygnowane, odległe spojrzenie. — W takim razie ja chyba też będę musiał jechać.

Moje serce uderza tak mocno, że muszę chwycić balustradę, by ustać. O uszy, jaką okrutną sztuczkę mi robicie. Czy to nie wystarczający ciężar, myśl, że resztę mego życia muszę spędzić sama?

Kruk przytakuje w odpowiedzi na niedowierzanie w moich oczach.

— To prawda. Słyszałaś mnie.

— Jesteś pewien? To będzie trudne. Nie chcę, żebyś tego później żałował.

Śmieje się odważnym śmiechem.

— Wcale nie jestem pewien. Prawdopodobnie będę tego żałował sto razy, jeszcze zanim dotrzemy do Oakland.

— Ale?

— Ale — mówi. I nagle trzymam go mocno, śmieję się przy jego ustach.

Wymieniamy długi, długi pocałunek.

— Czy to miałaś na myśli? — pyta, gdy robimy przerwę na oddech. — Czy to mówiłaś o ziemskim raju?

Zaczynam mówić. I nagle widzę, że on nie potrzebuje odpowiedzi.

Później mówię:

— Teraz musisz mi pomóc znaleźć nowe imię. Moje życie Tilo się skończyło, a z nim ten sposób nazywania mnie.

— Jakie imię byś chciała?

— Takie, które spina mój i twój kraj, Indie i Amerykę, bo teraz należę do obu. Czy jest takie imię?

Zastanawia się.

— Anita — mówi. — Sheila. Rita.

Potrząsam głową.

Próbuje kilku innych. Potem mówi:

— A może Maya?

Maya. Próbuję dźwięku, podoba mi się jego kształt. Sposób, w jaki płynie to imię, chłodne i szerokie, po moim języku.

— I czy ono nie ma hinduskiego znaczenia, jakiegoś szczególnego?

— Tak — mówię, przypominając sobie. — W dawnym języku może oznaczać wiele rzeczy. Iluzję, zakłęcie, zaczarowanie, moc, która podtrzymuje ten niedoskonały świat dzień po dniu. Takiego imienia potrzebuję, ja, która mam teraz tylko siebie, by się podtrzymywać.

— Masz także mnie, nie zapomnij.

— Tak — mówię. — Tak. — I opieram się na jego piersi, która pachnie otwartymi polami.

Jak inne jest to nadanie imienia od poprzedniego. Nie ma perłowego światła wyspy, nie ma otaczających mnie siostr Mistrzyń, nie ma Pierwszej Matki, która by błogosławiła. A jednak, czy nie jest równie prawdziwe? Równie uświęcone?

Gdy o tym myślę, spoglądam przez jego ramię. Na niebie wisi szarozielony dym, jak grzybowe mchy w umierającym lesie. Ale woda zatoki jest perłoworóżowa, w kolorze świtu.

A na niej poruszenie. Nie fale. Coś innego.

— Kruku, czy słyszysz dźwięk?

— Tylko wiatr w dźwigarach, ukochana. Tylko bicie twego serca. Jedźmy już.

Aleja słyszę to wyraźnie, głośno, coraz głośniejszą, pieśń morskich węży. To lśnienie w falach to klejnoty ich oczu przytrzymujące mój wzrok.

Ach.

O ty, która szłaś za mną przez wzloty i upadki mojego życia, zostawiam cię z ostatnim pytaniem: Czy jest jakieś wytłumaczenie na łaskę świata, zabraną czy daną na powrót?

— Ja, Maya — szepczę. — Ja, Maya, dziękuję wam.

Oczy klejnotów mrugają z akceptacją. Wtem słońce przebija się przez szczelinę w dymie, a one znikają.

Ale nie znikają z mojego serca.

— Chodź — mówi Kruk i ręka w rękę idziemy do samochodu.

Spis treści

Tilo	11
Turnerik	21
Cynamon	45
Kozieradka	55
Asafetyda	75
Fenkuł	105
Imbir	135
Ziarno pieprzu	157
<i>Kało jire</i>	<i>Yll</i>
<i>Neem</i>	199
Czerwone chilli	235
<i>Makaradwaj</i>	271
Korzeń lotosu	289
Sezam	305
Maya	313